

Imperium Grozy V Nie bedzie litosci

Cook Glen



calibre 0.7.27

Glen Cook
Imperium Grozy V Nie bedzie
litosci

(With Mercy Towards None)

Dla Christiana, Michaela oraz ich Mamy

Co zdarzyło się wcześniej...

Jego imię odbijało się echem na rozpalonych piaskach pustyni długo, długo po tym, jak bandyci zmasakrowali jego rodzinę. Zwał się Micah al Rhami, ale teraz przybrał imię El Murida, Adepta, ponieważ gorzał w nim żar świętej wizji. Pojawił się w czasie niedostatku, czasie kłopotów, czasie rozpacz, i choć był tylko chłopcem, jego przesłanie objęło połogą połowę królestwa. Gromadzili się wokół niego marzyciele, desperaci, wydziedziczeni – ale także oportuniści. Głosił konieczność niez mordowanej wojny przeciwko ciemności. W tym dziele wspierał go przede wszystkim Nassef, zwany Biczem Bożym, jego szwagier, któremu jednak nigdy nie potrafił do końca zaufać.

Ci, w których El Murid widział sługusów ciemności, jego samego postrzegali w jeszcze mroczniejszych barwach. Nie ulegli bez walki. Żył też w owym czasie inny chłopiec, Haroun bin Yousif, najmłodszy syn księcia, na którego ziemiach El Murid zbudował swą domenę. Jego los splótł się nierozzerwalnie z losem Adepta. Spotkali się po raz pierwszy, kiedy Haroun był jeszcze dzieckiem, ale już wtedy nie obyło się bez konsekwencji – Haroun spłoszył konia El Murida, który stracił jeźdźca, powodując u niego trwałą kontuzję nogi.

Następne lata przyniosły liczne bitwy, jedne wygrane, inne przegrane, niemniej potęga El Murida wciąż rosła, póki zdjęty pychą nie kazał Nassefowi zorganizować kampanii przeciwko Al Rhemish, stolicy jego wrogów, niewiernych, rojalistów.

Roj aliści wydali mu bitwę pod Wadi el Kuf, w samym sercu wielkiej pustyni Hammad al Nakir (co tłumaczy się jako Pustynia Śmierci, Pustynia Zniszczenia lub Pustynia Występku), gdzie jego powstańcy ulegli sile zdyscyplinowanych zachodnich najemników dowodzonych przez sir Tury'ego Hawkwinda i zostali rozbici w proch. Ranni El Murid i Nassef przeżyli dzięki temu, że zdołali ukryć się w lisiej jamie na pustyni. Siedzieli tam długi czas, pośród ciał martwych żołnierzy, pijąc własny mocz, póki wróg nie odstępował i mogli wrócić do domów.

Jednakowoż przecie ocaleli, a wraz z nimi nadzieja wiernych.

Historia ta obejmuje losy jeszcze jednego chłopca, Bragiego Ragnarsona, uciekiniera z dalekiej północy, którego przeznaczenie zawiodło w szeregi najemników. Jego oddział przyjął służbę u ojca Harouna. I takim sposobem jego losy splótł się z żywotem Harouna, którego kilkakrotnie wyrwał z objęć śmierci.

Kłęska pod Wadi el Kuf nauczyła El Murida wiele, między innymi tego, aby dowodzenie w boju zostawiać generałom. Pod ich rozkazami ruch rósł w siłę, mimo iż ojciec Harouna i jego kapitanowie starali się ze wszystkich sił temu przeciwdziałać. W końcu rodzina Harouna i jej zwolennicy zostali zmuszeni do opuszczenia rodowych dziedzin i emigracji do Al Rhemish.

Po pewnym czasie wszelako El Murid znowu wyruszył przeciwko królowi i stolicy, tym razem podzieliwszy swe siły na niewielkie oddziały, prześlizgujące się mało znanymi szlakami przez pustynię. Zaatakowali natychmiast po dotarciu na miejsce i mimo przewagi liczebnej obrońców Al Rhemish wywołali panikę w ich szeregach.

Bragi, Haroun oraz garstka ich towarzyszy podjęła próbę wyrwania się ze śmiertelnej zasadzki – tylko po to, by na drodze ucieczki wpaść na El Murida i jego świtę.

Podczas walki, która się wywiązała, El Murid stracił żonę, Haroun zetknął się przelotnie z córką Adepta, Yasmid, a rojaliści w końcu zdołali uciec. A Haroun wiedział, że jest ostatnim członkiem rodziny, który może rościć sobie pretensję do tronu Hammad al Nakir na mocy prawa krwi. Odtąd też znany był pod przydomkiem Król Bez Tronu, On i Bragi – dwuosobowa armia – uciekli na pustynię, ścigani przez Bicza Bożego, gnanego żądzą pomśzczenia śmierci siostry.

El Murid w końcu stworzył dla swych wiernych imperium pustyni. Ale nie był to koniec walki.

Wszystko to zostało opowiedziane w tomie Ogień w jego dłoniach. Oto jak zaczyna się opowieść pod tytułem Nie będzie litości.

Rozdział 1

Adept Książyc zbryzgał srebrem jałową ziemię. Karłowate pustynne krzewy wyglądały niczym przycupnięte w bezruchu dziny rzucające długie cienie. Wiatr ucichł. Ciężka woń zwierząt i od dawna nie mytych ciał ludzi wisiała w powietrzu. Chociaż jeźdźcy zatrzymali się, odgłosy ich oddechów i mimowolnych poruszeń nie pozwalały uszom wyłowić dźwięków nocy.

Micah al Rhami, zwany El Muridem, Adeptem, skończył się modlić i odprawił swych kapitanów. Jego szwagier, Nassef, któremu sam nadał tytuł Bicza Bożego, odjechał w kierunku grzbietu wzgórz znajdującego się w odległości ćwierci mili. Dalej w tym kierunku leżało Al Rhemish, stolica pustynnego królestwa Hammad al Nakir, w którym znajdowała się Najświętsza Świątynia Mrazkim, główne sanktuarium pustynnej religii.

Micah podjechał bliżej konia, którego dosiadała jego żona Meryem.

–Chwila nadeszła. Po tych wszystkich latach. Prawie nie potrafię uwierzyć.

Od dwunastu lat toczył bój z pachołkami Złego. Od dwunastu lat mozolił się nad roznieceniem w sercach ludu Hammad al Nakir prawdziwej wiary. I bezustannie cień burzył podwaliny Królestwa Pokoju. Adept trwał jednak w powierzonej mu przez Boga misji. I oto triumf był bliski.

Meryem uściśnęła jego dłoń.

–Nie lękaj się. Pan jest z nami.

Postanowił skłamać:

–Nie lękam się. – Po prawdzie był przerażony do głębi. Cztery lata wcześniej, pod Wadi el Kuf, rojaliści wycięli dwie trzecie jego wyznawców. On i Nassef przeżyli tylko dzięki temu, że przez wiele dni nie wyściubiali nosa z lisiej nory, zatruwając organizmy własnym moczem, aby nie umrzeć z pragnienia, a on zmagął się nadto z bólem złamanej ręki. Ból, przerażenie i wyczerpanie na zawsze naznaczyły jego duszę. Na wspomnienie Wadi el Kuf wciąż oblewał go zimny pot.

–Pan jest z nami – powtórzyła Meryem. – Widziałam jego anioła.

–Doprawdy? – Poczł zaskoczenie. Dotąd nikt prócz niego nigdy nie widział anioła, który przeznaczył mu rolę Narzędzia Pańskiego w tym boju o Prawdę.

–Kilka minut temu, na tle tarczy księżycy. Dosiadał skrzydlatego konia i wyglądał dokładnie tak, jak go opisałeś.

–Pan był z nami pod el Aswad – powiedział, tłumiąc gorycz. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy oblegał fortecę swego najbardziej zawziętego wroga, Yousifa, waliego el Aswad, dotknęła go klątwa shaghfina. Rodzony syn waliego, Haroun, rzucił na niego zaklęcie wywołujące nieznośny ból. Nie mógł mu przeciwdziałać – jednym z dogmatów jego ruchu był

całkowity zakaz uprawiania czarów.

–Dzieci również go widziały, Micah.

Adept spojrzał na swoje potomstwo. Jego syn Sidi skinął głową, jak zawsze starając się sprawiać wrażenie niewzruszonego. Jednak w oczach córki, wciąż bezimiennej, tliły się iskielki nabożnej trwogi.

–On nadal jest tam, w górze. Nic złego nam się nie stanie.

El Murid poczuł, jak jego rozedrgane nerwy uspokajają się nieco. Anioł obiecał pomoc, jednak on wątpił... Wątpił. Spotkał się z samym Orędownikiem Pańskim i dalej wątpił. Cień bezustannie znajdował drogę do jego serca.

–Jeszcze kilka dni, malutka, i będziesz miała imię.

Adept raz już odwiedził Al Rhemish, dawno temu; dziewczynka była wówczas niemowlęciem. Miał zamiar głosić Słowo Pana podczas Wielkiego Tygodnia Disharhun i ochrzcić swą córkę w Massad, najważniejszym spośród nich. Jednak pachołkowie Złego, rojaliści władający Hammad al Nakir, oskarżyli go fałszywie o napaść na syna Yousifa, Harouna. Został skazany na wygnanie. Meryem zaś przysięgła wówczas, że ich córka pozostanie bezimienna, póki nie będzie można jej ochrzcić podczas kolejnego Massad, w Najświętszej Świątyni Mrazkim, wolnej od heretyków.

Disharhun przypadał ledwie za kilka dni.

–Dzięki, tato. Wydaje mi się, że wraca wujek Nassef.

–Rzeczywiście.

Nassef zajął miejsce obok El Murida, jechali ramię w ramię. Jak od samego początku. Meryem i Nassef nawrócili się jako pierwsi – aczkolwiek Nassef zdawał się kierować bardziej własną ambicją niżli wizją El Murida.

–Jest ich tam mnóstwo – oznajmił Nassef.

–Tego oczekiwaliśmy. Disharhun się zbliża. Masz wieści od swych agentów? – Bicz Boży całkowicie zasługiwał na swój tytuł. Jego taktyka była całkowicie nowatorska, w boju był przerażający, zaś w działalności szpiegowskiej zadziwiająco przemyślny. Miał agentów w samym Namiocie Królewskim.

–Hm. – Nassef rozwinął pergaminową mapę. – Znajdujemy się tutaj, na wschodnim grzbiecie. – Stolica leżała pośrodku wielkiej doliny kształtem przypominającej misę. – Ludzie króla Abouda rozbili obóz bez z góry założonego porządku. Niczego nie podejrzewają. Cała szlachta zbiera się dzisiejszego wieczoru w kwaterze króla. Nasi agenci zaatakują równocześnie z nami. Wąż straci głowę w pierwszych sekundach bitwy.

Adept zmrużył oczy, chcąc lepiej widzieć w mdłym świetle księżycy.

–Coś tutaj zaznaczyłeś? Co to jest?

–To jest obóz Hawkwinda po przeciwnej stronie doliny. – Adept zadrżał. Najemnik

Hawkwind dowodził siłami wroga pod Wadi el Kuf. Jego imię budziło w nim nieomal paniczny lęk. – Tu, obok Królewskiej Posiadłości, jest obóz Yousifa. Uznałem, że oba zasługują na szczególną uwagę.

–Zaiste. Złap mi to Yousifowe szczenię. Potrzebuję go; musi zdjąć ze mnie klątwę.

–Niechybnie tak się stanie, panie. Przeznaczyłem całą kompanię do ataku na obóz waliego. Nikt nie ucieknie.

–Meryem powiedziała, że ukazał jej się anioł. Dzieci go również widziały. Tej nocy będzie z nami, Nassef.

Bicz Boży spojrzał nań niepewnie. Adept zawsze podejrzewał, że wiara tamtego gości wyłącznie na jego ustach.

–A więc nie może nam się nie powieść, prawda? – Nassef przelotnie uściśnął jego rękę. – Wkrótce, Micah. Już wkrótce.

–Idź więc. Zaczynajcie.

–Zawiadomię cię przez posłańca, kiedy weźmiemy Świątynię.

Odgłosy bitwy tłukły się o ściany doliny. Poza nią nic nie było słyhać. Nawet śpiew nocnych ptaków brzmiał

bardziej donośnie. Trzeba było zbliżyć się do krawędzi zbrocza, aby usłyszeć, że w dole wala walka. El Murid stał tam właśnie, obserwując delikatne lśnienie amuletu, który nosił na lewym nadgarstku. Dawno temu ofiarował mu go anioł. Mógł posłużyć do ciśnięcia gromu z jasnego nieba. Zastanawiał się, czy konieczne okaże się wsparcie Nassefa mocą amuletu.

Z zajętego stanowiska niewiele mógł dojrzeć. Tylko rozsiane ognie, nakrapiające gęstą ciemność rozciągającą się poniżej.

–Jak sądzisz, dobrze nam idzie? – zapytał Meryem. – Żałuję, że jeszcze nie przybył posłaniec od Nassefa. – Przepęłniało go przerażenie. To była ogromna stawka jak na pojedynczy rzut kości. Wróg dysponował przecież znaczną przewagą. – Może powinienem zejść na dół.

–Nassef ma zbyt wiele roboty, by wysłać ludzi tylko po to, by dodać nam ducha. – Meryem obserwowała niebo. Bitwy już wcześniej wielokrotnie widywała. Anioła swego męża nigdy. Do dzisiejszej nocy nie bardzo weń wierzyła.

Adept czuł, jak nasila się jego niepokój, jak rośnie w nim przekonanie, że losy bitwy odwracają się na jego niekorzyść.

Za każdym razem, gdy zdecydował się towarzyszyć swoim wojownikom, coś szło źle... Cóż, może nie za każdym razem. Dawno temu, kiedy jego córka była jeszcze niemowlęciem, on i Nassef zdobyli Sebil el Selib nocnym szturmem przypominającym obecny atak. Sebil el Selib było najważniejszym ośrodkiem kultu religijnego poza Al Rhemish. Tamto zwycięstwo stanowiło kamień węgielny wszystkich późniejszych sukcesów.

–Uspokój się – powiedziała Meryem. – Rozmyślając na próżno, wprawisz się tylko w jeszcze większe rozdrażnienie. – Poprowadziła go z powrotem, poprzez szeregi odzianych w biel Niezwycięzonych, jego straży przybocznej, ku stosowi głazów, przy którym czekali członkowie świąty. Niektórzy spali.

Jak mogli spać? Niewykluźnione, że w każdej chwili trzeba będzie uciekać... Parsknął. Spali właśnie dlatego, że wiedzieli, że jeśli bitwa skończy się klęską, najpewniej czeka ich długa ucieczka.

On, Meryem i Sidi zsiadli z koni. Jego córka udała się sprawdzić warty.

–Płynie w niej krew el Habibów – zwrócił się do Meryem. – Ma dopiero dwanaście lat, a już zachowuje się jak mały Nassef.

Meryem usiadła na poduszce przyniesionej przez kogoś ze służących.

–Usiądź obok. Odpocznij. Sidi, gdybyś był tak miły i sprawdził, czy Althafa przygotowała już tę wodę z cytryną. – Meryem przytuliła się do męża. – Zimno dziś.

Powoli się uspokajał. Uśmiechnął się nawet.

–Cóż ja bym począł bez ciebie? Patrz. W dolinie powoli robi się jasno. – Spróbował wstać. Meryem pociągnęła go w dół.

–Spokojnie. Nic nie pomoże, jeśli będziesz się tak wiercił. Jak się czujesz?

–Co?

–Boli cię?

–Nie bardzo. Tylko trochę kłuje.

–Dobrze. Nie lubię, jak Esmat podaje ci narkotyki.

Jeśli było coś, co mu przeszkadzało u Meryem, to jej ciągle utyskiwanie na jego lekarza. Tym razem jednak zignorował jej słowa.

–Pocałuj mnie.

–Tutaj? Ludzie zobaczą.

–Jestem Adeptem. Mogę robić co chcę. – Roześmiał się bezwstydnie.

–Zwierzak. – Pocałowała go, kichnęła. – To ta twoja broda. Ciekawe, co zatrzymało Sidiego?

–Pewnie czeka, aż przygotują wodę z cytryną.

–Althafa to leniwa dziewczka. Pójdę zobaczyć.

El Murid rozparł się wygodnie.

–Wróć szybko. – Zamknął oczy i ku swemu zaskoczeniu poczuł, jak ogarnia go senność.

Rozbudziły go nagłe hałasy. Co? Gdzie?... Jak długo drzemał? Niebo nad doliną jarzyło się poświatą... Krzyki. Wrzaski przerażonych ludzi. Sylwetki szarżujących jeźdźców odznaczały się na tle bijącej z doliny jasności niczym postacie demonów wypadające z ognistej otchłani Piekła, wymachujące mieczami...

Chwiejnie powstał, nogi się pod nim ugięły, próbował przypomnieć sobie, gdzie położył miecz.

–Meryem! Sidi! Gdzie jesteście?

Nieprzyjaciół musiało być około pięćdziesięciu. Pędzili wprost na niego. Niezwyciężeni byli zbyt rozproszeni, aby ich zatrzymać. Już padali pierwsi członkowie jego świąty.

Poczuł zaciskające się szpony zadawnionego strachu. Nie potrafił myśleć o niczym innym jak o ucieczce. Ale nie będzie żadnej ucieczki, podobnie jak nie było jej po Wadi el Kuf. Nie prześcignie jeźdźców. Trzeba się schować...

Zobaczył dziecko biegnące z płaczem w jego stronę.

–Sidi! – krzyknął, zapominając o strachu.

Jeden z konnych skręcił w stronę chłopca. Kolejny wierzchowiec mignął gdzieś z boku.

–Dziewczyno! Głupia... – westchnął El Murid, widząc córkę zagradzającą drogę nieprzyjacielskiemu kawalerzyście. Zatrzymała się na moment, stając z nim twarzą w twarz, a tymczasem Sidi zdążył ukryć się wśród skał.

–Meryem! – Jego żona biegła przez gęstwą bitwy, ścigając Sidiego. Jeździec przemknął obok dziewczyny, ciął mieczem. Meryem krzyknęła, potknęła się, upadła, a potem z trudem popęzła w kierunku skał.

–Nie! – Nie mając żadnej broni, El Murid cisnął kamieniem. Chybił. Jednak na moment atakujący spojrzał w jego stronę.

–Haroun bin Yousif! – Zaklął. Potem dodał: – Bo któżby inny? – Jego starzy wrogowie nieustannie deptali mu po piętach. Rodzina Yousifa należała do wiodących orędowników Złego. Ten młodzieniec już w wieku sześciu lat wyrządził mu krzywdę – przez niego zrzucił go koń. Spadając z jego grzbietu, złamał kostkę. Nigdy nie przestała boleć.

Jego amulet rozbłysnął, kusząc możliwości ciśnięcia pioruna i skończenia raz na zawsze z tą zarazą.

Niezwycześni okrążyli Harouna i jego stronników. El Murid zagubił się zupełnie w toku zdarzeń. Główny ogień boju odsuwał się odeń, w miarę jak Niezwycześni brali się w garść. Znacznie przewyższali liczebnie napastników. Kilku zostało przy Adeptce i jego żonie.

Wziął Meryem w ramiona, nie zwracając uwagi na krew plamiącą jego szaty. Sądził, że umarła, póki nie usłyszał cichego jęku:

–Tym razem mi się udało, tak?

Zaskoczony roześmiał się przez łzy.

–Tak. Udało ci się. Esmat! Gdzie jesteś, Esmat? – Schwycił jednego z Niezwycześonych. – Dawaj tu lekarza.

Zaraz!

Esmata znaleźli ukrytego w cieniu skalnego nawisu, za stosem bagaży. Wywlekli go stamtąd. Bez odrobiny delikatności. Cisnęli pod stopy Adepta.

–Esmat, Meryem jest ranna. Jeden z tego pomiotu... Zajmij się nią, Esmat.

–Panie, ja...

–Esmat, uspokój się. Rób, co ci powiedziałem. – Głos El Murida był chłodny i twardy. Lekarz jakoś zdołał wziąć się w garść, przyklęknął przy leżącej Meryem. Był najbliższym El Muridowi człowiekiem, nie licząc Bicza Bożego. Najbliższym pod wieloma względami. Jego pan może się całkowicie załamać, jeśli straci żonę. Wiara El Murida, jakkolwiek wielka by była, nie wystarczy, aby znieść taki cios.

Nassef spał konia w miejscu, gdzie przechadzał się jego brat.

–Zwyciężyliśmy, panie! – oznajmił entuzjastycznie. – Zdobyliśmy Al Rhemish. Wzięliśmy Świątynię Mrazkim. Mieli nad nami przewagę liczebną w stosunku dziesięć do jednego, ale panika poraziła ich niczym zaraza. Nawet najemnicy uciekli. – Nassef zerknął ku tarczy księżycy, jakby się zastanawiał, czy jakiś nocny jeździec na wysokościach nie wzniecił przypadkiem tej paniki, która świetnie posłużyła jego celom. Zadrżał. Nienawidził nadprzyrodzonych mocy. – Micah, nic nie powiesz?

–Co? – Adept wreszcie dojrzał Nassef a. – O co chodzi?

Bicz Boży zsiadł z konia. Był szczupłym, silnym, przystojnym w jakiś mroczny sposób mężczyzną koło trzydziestki, z ciałem poznaczonym bliznami – śladami wielu bitew. Był jednym z tych generałów, którzy podczas walki stają w pierwszym szeregu. – O co chodzi, Micah? Cholera, stój przez chwilę spokojnie i porozmawiaj ze mną.

–Zaatakowali nas.

–Tutaj?

–Szczeniak waliego. Haroun. I ten obcy, Megelin Radetic. Wiedzieli dokładnie, gdzie nas znajdują. – El Murid wykonał gest dłonią, wskazując ciała ofiar. – Zginęło sześćdziesięciu dwóch ludzi, Nassef. Dobrych ludzi. Niektórzy byli z nami od początku.

–Fortuna to niestała suka, Micah. Uciekali i przez przypadek wpadli na ciebie. Przykra sprawa, ale takie rzeczy zdarzają się na wojnie.

–Nie istnieją żadne przypadki, Nassef. To tylko Pan i Zły zmagają się ze sobą, a my walczymy wedle ich woli. Próbowali zabić Sidiego. Meryem... – Wybuchnął płaczem. – Co ja pocznę bez niej, Nassef? Ona była moją siłą. Moją opoką. Dlaczego Pan zażądał ode mnie takiej ofiary?

Nassef nie słuchał dłużej. Udał się na poszukiwanie siostry. Maszerował krokiem zdecydowanym, w jego głosie brzmiał gniew. Adept pokuśtykał chwiejnie za nim.

Meryem była przytomna. Uśmiechnęła się słabo, ale nie odezwała słowem. Lekarz trząsł się wyraźnie, kiedy Nassef go indagował. Bicz Boży znany był z wybuchowego charakteru, otaczała go ponura sława. El Murid ukląkł, ujął dłoń żony. Oczy zaszyły mu łzami.

–Nie jest tak źle – oznajmił Nassef. – Widziałem, jak ludzie wychodzili z gorszych obrażeń. – Poklepał siostrę po ramieniu. Zadrżała. Odmówiła przyjęcia środków przeciwbólowych Esmata. – Będiesz na nogach, kiedy nadejdzie

dzień nadania imienia twojej córce, siostrzyczko. – Wsparł dłoń na ramieniu El Murida, ściskając je tak mocno, że ten omal nie krzyknął. – Zapłacą za to, bracie. Obiecuję. – Skinął na jednego z Niezwyciężonych. – Znajdź Hadja. – Hadj był dowódcą ochrony osobistej El Murida. – Dam mu szansę zmazania winy.

Niezwyciężony zagapił się.

–Ruszał, człowieku. – Głos Nassefa był suchy, ale tak bezwzględny, że wojownik od razu ruszył biegiem. Nassef dodał: – Straciliśmy wielu ludzi. Niestety, nie będziemy w stanie ich ścigać. Żałuję, że nie mogę ruszyć za najemnikami. Micah, idź do miasta. Zanim znajdziesz się na miejscu, Świątynia i Królewska Posiadłość będą gotowe na twoje przybycie.

–Co masz zamiar zrobić?

–Będę ścigał Harouna i Megelina Radetica. Tylko oni zostali z rodziny waliego.

–A król Aboud i księżę Ahmed?

–Ahmed zabił Abouda. – Nassef zachichotał. – Był moim człowiekiem. Trochę się zdenerwował, kiedy mu wyjaśniłem, że nie będzie królem.

Adept wyczuwał pychę, które podszyte były przechwałki Nassefa. Nassef nie był prawdziwie wierzący. Nassef służył tylko sobie samemu. Był niebezpieczny – ale nieodzowny. Na polu bitwy nie miał sobie równych, wyjąwszy może sir Tury'ego Hawkwinda. A tamten dowódca najemników już nie miał pracodawcy.

–Musisz sam jechać?

–Chcę. – Znowu ten paskudny chichot.

El Murid próbował się spierać. Nie chciał zostać sam. Jeśli Meryem umrze...

Podczas tej wymiany zdań podeszli do nich córka i syn Adepta. Sidi wyglądał na znudzonego. Dziewczyna była rozzłoszczona i pełna determinacji. Tak bardzo podobna do swego wuja, miała jednak zdolność empatii obcą Nassefowi. Nassef nie uznawał istnienia żadnych ograniczeń czy uczuć, które nie były jego udziałem. Dziewczyna ujęła dłoń ojca, nie mówiąc nic. Wkrótce już El Murid poczuł się lepiej, zupełnie jakby Esmat zaaplikował mu jedną ze swoich mikstur.

Zrozumiał, że dzisiejszej nocy środki przeciwbólowe Esmata nie będą mu potrzebne. Dziwne, bo zazwyczaj napięcie tylko potęgowało dokuczliwość dawnych ran i dolegliwości spowodowane klątwą tego potwora Harouna.

Waliemu nie wystarczyło, że przez dziesięć lat ograniczał domenę panowania Ruchu do Sebil el Selib; musiał jeszcze szkolić swe młode w czarach. Imperium, które nastanie, będzie wolne od tej herezji! A nastanie już wkrótce, bowiem dzisiejsza noc była świadkiem ostatnich bólów porodowych zwiastujących nadejście Królestwa Pokoju.

Spojrzał na Meryem, dzielnie próbując opanować ból i zastanawiając się, czy schody do nieba nie są zbyt strome.

–Nassef?

Ale Nassef już odszedł, wiedząc większość gwardii przybocznej śladem szczenięcia waliego. Po dzisiejszej nocy chłopak stał się ostatnim pretendentem dynastii Qesani do Pawiego Tronu Hammad al Nakir. Jeśli jego zabraknie, zabraknie sztandaru pod którym mogliby się skupić lokaje Złego.

Stara rana zaczęła jątrzyć się w sercu Adepta; czuł wściekłość i żądzę zemsty, chociaż to miłość i przebaczenie stanowiły treść nowiny zwiastowanej przezeń Wybranym. Skrzypienie uprzęży, stukot kopyt i grzechot broni ucichły – jeźdźcy zniknęli w mroku nocy.

–Powodzenia – wyszeptał El Murid, chociaż podejrzewał, że Nassefowi nie chodzi tylko o pomstę.

Córka ponownie uścisnęła jego dłoń, wsparła czoło o jego pierś.

–Z matką będzie wszystko dobrze, prawda?

–Oczywiście że tak. Oczywiście. – Wzniósł pośpiesznie ułożoną modlitwę ku nocnemu niebu.

Rozdział 2

ZbiegowiePowierzchnia pustyni paliła niczym kuźnie Piekła, słońce biło w świat młotem żaru. Jałowa ziemia oddawała gorąco zapalczywym sprzeciwem, powietrze nad nią drżało fatamorganami pradawnych oceanów. Na północy sterczały z nich czarnoniebieskie wyspy – góry Kapenrung, ogromne, wyznaczające odległą linię brzegową rzeczywistości. Miraże i ifrycie piaskowe diabły wytańczały dzielące od nich mile. Wiatr był ledwie tchnieniem; prócz odgłosów zwierząt i swoich kroków pięciu młodych chłopców brnących w stronę gór nie słyszało nic. Nie czuli żadnych zapachów prócz woni swoich ciał. Upał i tępy ból wyczerpania zakreślały granice ich świadomości.

Haroun wypatrzył kałużę cienia w miejscu, gdzie ziemię chroniło przed słońcem wypiętrzenie skał osadowych sterczące ze stoku nagiej ochry i luźnych, płaskich kamieni niczym rufa jakiegoś okrętu gigantów, powoli wcinającego się pod pochłaniającą go falę. Wokół stóp wzgórze wił się suchy kilwater. W oddali cztery iglice pomarańczowoczerwonej skały kłuły niebo niczym kominy splądrowanego i spalonego miasta. Wokół ich podnóży dostrzegł plamki ciemnej zieleni, świadczące o okazjonalnych pocałunkach deszczu.

–Tutaj odpoczniemy. – Haroun wskazał obszar cienia. Jego towarzysze nawet nie podnieśli oczu.

Po prostu brnęli dalej, drobne figurki na niezmiernym tle pustkowia. Haroun prowadził, trzech chłopcy

chwiejnie szli za nim, a zamykał kolumnę najemnik zwany Bragi Ragnarson, nieustannie zmagający się ze zwierzętami, które najwyraźniej pragnęły już tylko położyć się i umrzeć.

Gdzieś z tyłu, wczepiony w ich trop niczym bestia z nocnego koszmaru, podążał za nimi Bicz Boży.

Zataczając się, dobrnęli w cień, na ziemię nie spaloną jeszcze gniewem słońca, i padli na nią bez przytomności, nie czując ostrych i kłujących kamieni. Po upływie pół godziny, podczas której błędził na krawędzi snu i jawy, a przed oczyma przelatowały mu setki nie powiązanych ze sobą obrazów, Haroun podniósł się wreszcie.

–Może pod tym piaskiem znajdziemy wodę.

Ragnarson odchrząknął coś niezrozumiale. Ich towarzysze – najstarszy miał dwanaście lat – nawet nie drgnęli.

–Ile nam zostało?

–Może dwie kwarty. Nie starczy.

–Jutro dotrzemy do gór. Tam będzie mnóstwo wody.

–Wczoraj mówiłeś to samo. I przedwczoraj. Może krążymy w kółko.

Haroun był dzieckiem pustyni. Potrafił znaleźć drogę nawet na zupełnym pustkowiu. Jednak obawiał się, że Bragi może mieć rację. Góry wydawały się nie mniej odległe niż wczoraj. To były naprawdę dziwne ziemie, te północne krańce pustyni. Wyrwane z życia jak zęby ze starej czaszki, nawiedzane przez cienie i wspomnienia mroczniejszych dni. Być może czaiły się tu jakieś istoty, ciemne siły mylące im drogę. Tego pasa ziemi leżącego u podnóża gór Kapenrung wystrzegały się najśmielsze północne plemiona.

–Ta wieża, w której spotkaliśmy starego czarodzieja...

–W której ty spotkałeś czarodzieja – sprostował Ragnarson. – Ja nie widziałem nikogo, może tylko ducha. – Młody najemnik zdawał się zbyt otępiały, zbyt zatopiony w sobie, żeby można to przypisywać wyłącznie trudom, jakie znosili.

–O co chodzi? – zapytał Haroun.

–Martwię się o brata.

Haroun zachichotał, jakby starał się na siłę doszukać w tych słowach choćby najbardziej niewyraźnego i niepewnego powodu do śmiechu.

–Z pewnością ma się lepiej niż my. Hawkwind podąża znaną drogą. I nikt nawet nie spróbuje go zatrzymać.

–Jednak dobrze byłoby wiedzieć, czy Haakenowi nic się nie stało. Dobrze byłoby, gdyby on wiedział, że ze mną wszystko w porządku. – Atak na Al Rhemish zastał Bragięgo z dala od obozu, zmuszając do ucieczki w towarzystwie Harouna.

–Ile masz lat? – Haroun znał najemnika od kilku miesięcy, ale nie potrafił sobie przypomnieć. Podczas tej ucieczki zapodziały się gdzieś rozmaite mniej znaczące wspomnienia. W pamięci pozostały tylko rzeczy niezbędne do przetrwania. Może szczegóły pojawią się znowu, gdy dotrą w bezpieczne miejsce.

–Siedemnaście. Jestem prawie miesiąc starszy od Haakena. Tak naprawdę on nie jest moim bratem. Ojciec znalazł go porzuconego w lesie. – Ragnarson rozwodził się dalej, mówił bezładnie, próbując wypowiedzieć tęsknotę za odległą północną ojczyzną. Haroun, który nie znał świata poza ugorami Hammad al Nakir i nie widział w życiu roślinności bardziej imponującej niżli karłowate krzewy na zachodnich stokach Jeba al Alf Dhulquarneni, nie potrafił wyobrazić sobie trolledyngjańskich wspaniałości, których obraz Bragi starał się mu odmalować.

–Dlaczego więc stamtąd odszedłeś?

–Z tego samego powodu co ty. Mój ojciec nie był żadnym księciem, ale opowiedział się po złej stronie, kiedy stary król kopnął w kalendarz i rozpoczęła się walka o koronę. Wszyscy prócz mnie i Haakena zginęli. Ruszyliśmy na południe, zaciągnęliśmy się do Gildii Najemników. I zobacz, co nam z tego przyszło.

Haroun nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

–No.

–A ty?

–Co ja?

–Ile masz lat?

–Osiemnaście.

–Tamten stary facet, który umarł, Megelin Radetic, był kimś szczególnym?

Harouna zapiekły oczy. Miniony tydzień nawet odrobinę nie ukoił bólu.

–Moim nauczycielem. Od czasu, gdy skończyłem cztery lata. Był dla mnie bardziej ojcem niż rodzony ojciec.

–Przepraszam.

–Nie przeżyłby, nawet gdyby nie był ranny.

–Jak to jest być królem?

–To jest jak kiepski żart. Los musi chyba drwić sobie ze mnie. Jestem władcą największego kraju na tym krańcu świata i nie panuję nawet nad ziemią, którą mogę objąć wzrokiem. Wszystko, do czego jestem zdolny, to ucieczka.

–Cóż więc Wasza Wysokość powie na to, byśmy sprawdzili, czy tu w dole nie ma wody? – Bragi wyprostował się, wyciągnął z juków wielbłąda krótki, szeroki nóż. Wielbłądy wciąż jakoś dawały sobie radę. Haroun też wydobył swój nóż z zapa. Przyklękli na wątlej nitce piasku. – Mam nadzieję, że wiesz, czego szukasz – powiedział Bragi. –

Cała moja wiedza pochodzi z drugiej ręki, od waszych wojowników spod el Aswad.

–Znajdę wodę, jeśli tylko tu jest. – Podczas gdy Megelin Radetic uczył go geometrii, astronomii, botaniki i języków, mistrzowie mroczniejszych nauk z Jeba kształcili go w umiejętnościach shaghuna, żołnierza-czarodzieja. – Bądź cicho.

Haroun przykrył dłońmi oczy, aby osłonić je przed blaskiem pustyni, i wprowadził się w płytki trans. Wysłał poza ciało swoje zmysły shaghuna. W dół ku piaszczystemu podłożu, w dół – sucho niczym kość. W górę, w górę, dziesięć jardów, piętnaście... Jest! Pod tą łatą ziemi, rzadko nękanej przez słońce, gdzie ciek wodny skręcał pod wypiętrzeniem... Wilgoć.

Haroun zadrżał, przeszyty krótkim dreszczem.

–Chodź.

Ragnarson spojrział nań dziwnym wzrokiem, ale nic nie powiedział. Widział już, jak Haroun robił dziwniejsze rzeczy.

Ostrzami noży spulchniali piach, potem wygrzebywali go dłońmi i... proszę bardzo! – na głębokości dwóch stóp pojawiła się wilgoć. Wykopali jeszcze ze stopę mokrego piasku, póki nie dotarli do skały, a potem usiedli, czekając, by woda wypełniła zagłębienie. Haroun zanurzył palec, posmakował. Bragi poszedł w jego ślady.

–Raczej kiepska.

Haroun przytaknął.

–Nie pij za dużo do razu. Niech konie się napiją. Przyrowadź je tu po jednym.

Długo to wszystko trwało. Ale nie mieli nic przeciwko temu. To był doskonały pretekst, by jeszcze przez chwilę odpocząć w cieniu przed dalszą mordęgą palącego żaru słońca.

Napoiwszy konie, Bragi zajął się wielbłądami. Wreszcie powiedział:

–Te dzieciaki z trudem się ruszają. Słońce je wykończyło.

–Jeśli uda nam się doprowadzić ich do gór...

–Kim oni są?

Haroun wzruszył ramionami.

–Ich ojcowie byli dworzanami Abouda.

–To cię nie wkurza? Ratowanie tyłków ludziom, o których nawet nie wiemy, kim są?

–Megelin powiedziała, że to część bycia człowiekiem.

Od strony gromadki młodzieńców dobiegł krzyk. Najstarszy zamachał dłońmi, wskazał coś. W oddali, na czerwonym zboczu wzgórza pojawił się obłoczek kurzu.

–Bicz Boży – oznajmił Haroun. – Ruszajmy.

Ragnarson zebrał chłopców, zajął się zwierzętami. Haroun zasypał wykopaną wcześniej dziurę, żałując, że nie może zatruć wody.

Kiedy ruszali w drogę, Bragi cmoknął:

–Przekonajmy się, czy nie zdołamy dotrzeć do tych gór jeszcze dzisiaj.

Haroun zmarszczył czoło. Najemnik łatwo poddawał się nastrojom, potrafił żartować w najbardziej niestosownych chwilach.

Góry okazały się równie niegościnne jak pustynia. Żadnych ścieżek, prócz tych wydeptanych przez zwierzynę. Tracili kolejne konie i wielbłądy. Niekiedy byli w stanie pokonać ledwie cztery mile dziennie, czy to dlatego, że próbowali za wszelką cenę przeprowadzić zwierzęta przez trudny teren, czy też z powodu skrajnego wyczerpania. W tym zatraceniu w wysiłkach utrzymania się przy życiu pozbawione szczególnych zdarzeń dni powoli przeradzały się w tygodnie.

–Jak długo jeszcze? – zapytał Bragi. Minął miesiąc od opuszczenia Al Rhemish, a trzy tygodnie, od kiedy po raz ostatni dostrzegli ślady pościgu.

Haroun pokręcił głową.

–Nie mam pojęcia. Przykro mi. Wiem tyle tylko, że Tamerice i Kavelin są gdzieś po drugiej stronie. – Ostatnio rzadko którykolwiek z nich się odzywał. Chwilami Haroun szczerze nienawidził swych towarzyszy. Był za nich odpowiedzialny. Nie mógł się poddać, póki oni trwali.

Wyczerpanie. Mięśnie dręczone skurczami. Biegunka spowodowana obcą wodą i złym jedzeniem. Każdy krok stanowił wielki wysiłek. Każda mila odyseję. Nieustanny głód.

Nieliczone skaleczenia i siniaki, których nabawiali się, potykając z osłabienia. Czas zdawał się nie mieć początku, ni końca, nie było żadnego wczoraj ani jutra, tylko wieczne teraz, w którym trzeba zrobić jeszcze jeden krok. Powoli przestawał pamiętać, po co właściwie idzie. Chłopcy zapomnieli już dawno temu. Ich istnienie sprowadzało się do trwania przy nim.

Bragi znosił trudy najlepiej ze wszystkich. Udało mu się jakoś uniknąć cierpień i wstydu związanego z biegunką. W końcu wychował się na dzikim krańcu gór Trolledyngji. Wyrobił w sobie większą wytrzymałość, jeśli już nie wolę. W miarę jak Haroun słabł, dowodzenie powoli przechodziło w jego ręce. Najemnik brał na siebie również większość prac fizycznych.

–Musimy zatrzymać się i odpocząć – wymamrotał pod nosem Haroun. – Musimy przystanąć gdzieś w okolicy, aby odzyskać siły. – Jednak Nassef był gdzieś tam z tyłu, nieubłagany w swym pościgu jak siła przyrody, umęczony w takim samym stopniu jak ścigana zwierzyna, a jednak nieprzejednany. Musiało tak być, nieprawdaż? Dlaczego Nassef tak go nienawidził?

Koń kwiknął. Bragi krzyknął coś. Haroun odwrócił się.

Zwierzę zgubiło krok. Kopnęło najstarszego z chłopców. Oboje spadli ze zbocza tak stromego, iż właściwie zasługiwało na miano urwiska. Chłopak zdążył tylko słabo krzyknąć, ledwie oprotestowawszy wybawienie od nie kończącej się udręki.

Haroun nie potrafił odnaleźć żaloby w swym sercu. Tak naprawdę poczuł, jak wzbiera w nim obrzydliwe poczucie satysfakcji. O jednego mniej trzeba się troszczyć.

Bragi powiedział:

–Jeśli będziemy wlekli za sobą zwierzęta, staną się przyczyną naszej zguby. W taki czy inny sposób.

Haroun popatrzył w dół przepaści. Czy powinien iść poszukać chłopaka? Jak on, u diabła, miał na imię? Nie potrafił sobie przypomnieć. Wzruszył ramionami.

–Zostawmy je. – Potem ruszył dalej.

Dni wlokły się. Noce piętrzyły jedna na drugiej. Zapuścili się jeszcze głębiej w góry Kapenrung. Haroun nie miał pojęcia, kiedy minęli ich najwyższe partie, bowiem wszystko dookoła zdawało mu się jednostajnie identyczne. Nie wierzył już w kres wędrówki. Mapy kłamały. Góry ciągnęły się aż po krawędź świata.

Pewnego ranka obudził się i rzekł:

–Dzisiaj nie idę dalej. – Jego wola złamała się.

Bragi uniósł brwi, wskazał kciukiem w kierunku pustyni.

–Tamci zrezygnowali. Musieli zrezygnować. W przeciwnym razie już by nas dogonili. – Rozejrzał się dookoła. Dziwny, dziwny kraj. W niczym nie przypominał Jeba! al Alf Dhulquarneni. Tamte góry były całkowicie pozbawione wody i życia, z łagodnymi, zaokrąglonymi szczytami. Te tutaj były znacznie wyższe, o poszarpanych wierzchołkach, pokryte drzewami wyższymi niżli był sobie w stanie wcześniej wyobrazić. W powietrzu wyczuwało się chłód. Śnieg, który widywał dotąd jedynie w najdalszych ustroniach, zalegał łatami w każdym cieniu. Pachniało żywicą. To był obcy kraj. Poczuł szarpnięcie tęsknoty za domem.

Bragi poczuł przyływ sił witalnych. Po raz pierwszy od czasu, gdy Haroun go spotkał, wydawał się czuć u siebie.

–Tu jest tak, jak w kraju, z którego pochodzisz?

–Trochę.

–Niewiele mówiłeś dotąd o swoich ludziach. Dlaczego?

–Nie ma wiele do opowiadania. – Bragi uważnie przyglądał się otoczeniu. – Jeśli nie mamy zamiaru ruszyć w drogę, musimy znaleźć jakieś miejsce, z którego będziemy mogli obserwować szlak, sami nie będąc widziani.

–Rozejrzyj się po okolicy. Ja się tymczasem umyję.

–Słusznie. – Człowieka z północy nie było przez jakieś piętnaście minut. Powróciwszy, oznajmił: – Znalazłem. Poważone drzewo tam w górze. Za nim paprocie i mech. Możemy położyć się w ich cieniu i będziemy wiedzieli wszystkich, którzy za nami jadą. – Wskazał palcem. – Ominiemy te skały, potem wejdziemy od tyłu na górę. Postarajcie się nie zostawiać śladów. Ja pójdę ostatni.

Haroun zaprowadził swoich podopiecznych na wskazane miejsce. Bragi dołączył do nich w parę chwil później; pieczołowicie wybrał miejsce na legowisko.

–Szkoda, że nie mam łuku. Stąd doskonale widać cały odcinek szlaku. Myślisz, że zrezygnowali, co? Dlaczego mieliby zrezygnować, skoro wcześniej na pustyni gotowi byli wręcz ziemię gryźć?

–Może i gryzą.

–Tak myślisz?

–Nie. Nie Nassef. Dobre rzeczy jakoś mi się ostatnio nie przytrafiają. A ta byłaby chyba najlepsza z... – Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Otarł je dłonią. A więc z jego rodziny nikt nie przeżył. A więc Megelin umarł. Jednak nie poddał się rozpacz. – Opowiedz mi o swoich ludziach.

–Już to zrobiłem.

–Opowiedz mi.

Bragi zrozumiał, o co chodzi.

–Mój ojciec miał majątek zwany Draukenbring, Latem mężczyźni z naszego rodu łączyli siły z kilkoma innymi rodzinami i płynęli na rabunek. – Haroun nie bardzo potrafił złożyć do kupy słowa młodzieńca, ale wystarczało mu samo brzmienie głosu tamtego. – ...stary król umarł, mój ojciec i than znaleźli się po przeciwnych stronach w sporze o sukcesję... Haaken znalazł czego szukał, gdy zaciągnął się do Gildii.

–A ty nie? Przecież już dowodzisz własną drużyną.

–Nie. Nie mam pojęcia, czego chcę, ale to nie to. Może po prostu chcę wrócić do domu.

Haroun znowu poczuł, jak wilgoć zbiera się w kącikach jego oczu. Ze złością smagnał paprocie. Przecież nie

może dopuścić, by żarła go tęsknota za domem! Za późno na bezproduktywne emocje. Zagadnął o miasta, jakie Bragi odwiedził. Megelin Radetic pochodził z Hellin Daimiel.

Na dnie wężowu zaczynały powoli gromadzić się cienie, kiedy Ragnarson powiedział wreszcie:

–Wygląda na to, że dzisiaj nie powinniśmy spodziewać się gości. Mam zamiar trochę się przespać. Możesz jeść wiewiórki, nieprawdaż?

Haroun zdobył się na słaby uśmiech. Bragiego w konfuzję wprawiały zakazy dotyczące jedzenia. – Tak.

–Alleluja. Ciekawe, dlaczego nikt nie zatroszczył się o znalezienie miejsca na obóz.

Nieporuszony jego sarkazmem, Haroun podniósł się z ziemi, oparł o powalone drzewo. Zdumiewające, jak to się w życiu plecie. Był królem, a sam musiał się o wszystko troszczyć. Nic takiego go nie spotkało, kiedy był czwartym synem wali ego.

–Ludzie przed nami – powiedział Ragnarson. Haroun uniósł pytająco brwi. – Nie czujesz dymu?

–Nie. Ale wierzę ci. – Dwukrotnie już Bragi okrążył z dala górskie osady; nie ufał tutejszym ludziom. Jednak niezależnie od tego, czy mieliby okazać się przyjaźnie nastawieni czy nie, świadomość ich obecności dodawała wędrowcom ducha. Oznaczała bliskość cywilizacji.

–Pójdę na zwiady.

–W porządku. – Blisko już. Tak blisko. Ale do czego? Mimo że od momentu, gdy przyjęli, że Bicz Boży zrezygnował z pościgu, poruszali się wolniej, Haroun nadal był zbyt zmęczony i przygnębiony, aby zastanawiać się nad swym przyszłym losem.

Uciec przed Nassefem. Pokonać góry. Pierwsze zadanie wykonane, drugie nieomal również. Niejasna, odległa myśl, jakby spowita mgłą: wykuć z rojalistycznego ideału broń, która zniszczy Adepta i jego bandyckich dowódców. Ale nie potrafił nawet wyobrazić sobie szczegółów, w jego głowie nie rozwijał się żaden zgrabny plan. Kusiło go, aby pójść z Ragnarsonem, gdy ten wróci do swych towarzyszy najemników.

Bragi zaś z pewnością wyczuwał już koniec ich ucieczki. Wciąż mówił o powrocie do jednostki, o spotkaniu z bratem, albo przynajmniej o dotarciu do kwatery głównej Gildii w Wysokiej Iglicy, gdzie pozna losy towarzyszy Hawkwinda.

Haroun pragnął być królem w znacznie mniejszym stopniu, niż Bragi chciał być żołnierzem. Zostać najemnikiem? Może rzeczywiście? Byłoby to życie ograniczone precyzyjnie sformułowanymi regułami. Wiedziałyby, na czym stoi.

–Głupoty – wyszeptał. Przeznaczenie określiło już jego rolę. Nie mógł się jej rzec tylko dlatego, że była mu nie w smak.

Wrócił Ragnarson.

–Jest tam około dwudziestu twoich ludzi. W równie złym stanie jak my. Nie potrafię powiedzieć, czy to przyjaciele, czy wrogowie. Musisz sam pójść i się im przyjrzeć.

–Mhm. – To powinni być przyjaciele. Partyzanci El Murida nie mieli powodu przekraczać gór. Popelźł do miejsca, gdzie tamci stacjonowali. Słuchał.

To byli rojaliści. Podobnie jak on i Ragnarson nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują. Ale wiedzieli, że gdzieś w pobliżu jest obóz uchodźców. Budowa całego łańcucha obozów została wcześniej sfinansowana z funduszków waliego el Aswad i jego przyjaciół, zgodnie z propozycją przedłożoną przez Megelina Radetica, dawno temu, kiedy stało się jasne, iż zagrożenie ze strony Adepta jest jak najbardziej realne.

Haroun wrócił i poinformował Bragiego:

–To przyjaciele. Powinniśmy połączyć siły. Tamten zmierzył go pełnym powątpiewania wzrokiem.

–Nie musielibyśmy obawiać się tutejszych mieszkańców.

–Niewykluczone. Ale po tym, co przeszliśmy, nikomu nie ufam.

–Porozmawiam z nimi.

–Ale...

–Idę.

–Hej! – zawołał Haroun. – To jeden z kapitanów mojego ojca. Beloul! Hej! Tutaj! – Zamachał ręką.

Od pół godziny znajdowali się w obozie. Dwaj chłopcy padli jak nieżywi na ziemię i wszyscy o nich zapomnieli. Haroun oszołomiony wałęsał się z miejsca na miejsce, niezdolny jeszcze uwierzyć, że im się udało, rozglądając za kimś znajomym. Ragnarson włókł się za nim, obrzucając mijanych po drodze ludzi zmęczonym spojrzeniem.

Człowiek o imieniu Beloul odłożył topór i spojrzał na niego. Po chwili jego twarz pojaśniała.

–Mój panie!

Haroun ruszył w jego stronę.

–Myślałem, że wszyscy zginęli.

–Prawie wszyscy. Obawiałem się, że ty też. Ale wierzyłem w nauczyciela. I miałem rację. Oto jesteś.

Oblicze Harouna przestronił cień.

–Megelin nie dotrwał. Umarł od ran. Czekał. Pamiętasz Bragiego Ragnarsona? Jednego z ludzi Hawkwinda? Uratował mi życie w bitwie na słonym jeziorze, a potem podczas oblężenia

el Aswad. Cóż, w Al Rhemish znowu to zrobił. Ale został odcięty od oddziału. – Haroun nie potrafił przestać mówić. – Bragi to Beloul. Należał do garnizonu Sebil el Selib, kiedy zaatakował ich El Murid.

–Pamiętam, spotkałem go w el Aswad.

–Jako jedyny ocalał. Przystał do mojego ojca i stał się jednym z jego najlepszych dowódców.

Bragi próbował zapytać:

–Jak mogę dotrzeć do Wysokiej Iglicy? Kiedy tylko trochę odpocznę... – Nie słuchali go.

–Ludzie! Ludzie! – krzyknął Beloul. – Król! Niech żyje król!

–Och, nie rób tego – błagał Haroun. A potem dodał: – Zgubiliśmy się w górach. Myślałem, że nigdy ich nie pokonamy.

Beloul nie przestawał krzyczeć. Ludzie zbierali się przy nich, ale wykazywali niewielki raczej entuzjazm. Strach i rozpacz odbijały się na każdej ze zmęczonych twarzy.

–Komu jeszcze udało się wydostać, Beloul?

–Jeszcze nie wiem. Sam jestem tu od niedawna. Gdzie jest nauczyciel?

Haroun nachmurzył się. Tamten w ogóle go nie słuchał.

–Nie udało mu się dotrzeć na miejsce. Wszyscy zginęli, wyjąwszy dwójkę dzieciaków. Ścigał nas sam Bicz Boży. Miesiąc zabrało nam oderwanie się od niego.

–Przykro mi to słyszeć. Z pewnością przydałaby się nam rada starego.

–Wiem. To kiepski interes, Megelin za koronę. Uratował mnie, bym mógł zostać królem. Ale królem czego? Nie jest tego wiele. Jestem najuboższym monarchą, jaki kiedykolwiek panował.

–Nieprawda. Powiedzcie mu – zaapelował Beloul do uciekinierów.

Niektórzy pokiwali głowami. Inni pokręcili głowami. Interpretacja zależała od tego, czy zgadzali się z Harounem, czy z Beloulem, czy też przeczyli słowom któregoś z nich.

–Stronictwo twego ojca przygotowało dziesiątki takich obozów, panie. Będziesz miał swój lud i swoją armię.

–Armie? Nie jesteś już zmęczony ciągłą walką, Beloul?

–El Murid nadal żyje. – Dla Beloula to była wystarczająca odpowiedź. Póki żył El Murid, Sebil el Selib i jego rodzina pozostawały nie pomszczone. Od dwunastu lat toczył swą wojnę. I wytrwa w walce, póki El Murid chodzi po tej ziemi. – Roześle wieści po obozach. Zobaczymy, czym dysponujemy, zanim przystąpimy do układania planów.

–Wysyłasz więc posłańców na zachód – powiedział Bragi. – Pozwól mi jechać razem z nimi. Dobra? – Nikt mu nie odpowiedział. Splunął z irytacją.

Haroun odezwał się:

–Na razie cieszę się, że wreszcie tu dotarłem. Jestem zupełnie wyczerpany, Beloul. Wskaż mi jakieś miejsce do spania.

Spał i próżnował przez trzy dni. Potem, tak zeszywniały, że ledwie mógł chodzić, opuścił swój szałas i przyjrzał się swoim nowym włościom.

Obóz zbudowano wokół szczytu w północnych Kapenrunggach. Tyle drzew! W życiu nie przyzwyczai się do tych drzew. Kiedy spoglądał w wyłomy, które pozostawiły w palisadzie topory, widział nie kończące się szeregi drzew. Wywoływały w nim taki niepokój, jakim pustynia napawała Ragnarsona.

Od jakiegoś czasu nie widział nigdzie najemnika. Co się stało?

Tymczasem Beloul donosił:

–Dzisiaj przybyło czterdziestu trzech ludzi, panie. W górach jest uciekinierów jak mrówek.

–Zdołamy zadbać o wszystkich?

–Przyjaciel nauczyciela wiedział, co robi. Przygotował stosowne narzędzia i pełne magazyny.

–Jednak nawet w takiej sytuacji część ludzi będziemy musieli odesłać gdzie indziej. To jest przystanek w drodze, nie jej kres. – Objął spojrzeniem szczyt. Beloul wznosił już blokhauzy i palisadę. – Co się dzieje z moim przyjacielem?

–Odszedł w towarzystwie udającego się na zachód kuriera. Bardzo zdeterminowany chłopak. Chciał wrócić do swoich ludzi.

Przez chwilę Haroun czuł pustkę. Podczas ucieczki wytworzyła się między nimi specyficzna więź. Będzie tęsknił za potężnym niedźwiedziem z północy. – Po trzykroć zawdzięczam mu życie, Beloul. I nie jest w mojej mocy odpłacić mu się stosownie.

–Pozwoliłem mu wziąć konia, panie.

Haroun zmarszczył czoło. Niewielka odpłata. Potem wskazał na umocnienia.

–Po co to wszystko?

–Będziemy potrzebowali baz do wypadów na Hammad al Nakir. Al Rhemish nie znajduje się wcale tak daleko stąd.

–Jeśli zna się drogę.

Beloul uśmiechnął się.

–Racja.

Haroun znowu przyjrzał się drzewom i rzece wijącej u podnóża góry. Trudno mu było uwierzyć, że ojczyzna znajduje się tuż-tuż.

–Tu jest tak spokojnie, Beloul.

–Niedługo już to potrwa, panie.

–Tak. Świat dowie o wszystkim.

Rozdział 3

Grubasz grubego chłopaka spływały strumienie potu. Siedział w pyle i mamrotał bezgłośnie przekleństwa pod adresem Mistrza. Pora roku skłaniała raczej do pobytu na północy, a nie w kipiącej, nękaniej deszczem delcie Ro. Wiosną w Necremnos było naprawdę paskudnie, miesiąc później w Throyes jeszcze gorzej. Argon latem zamieniał się w Piekło. Stary musiał chyba oszaleć.

Uniósł powiekę jednego ciemnego oka w smagłej, okrągłej twarzy, przekrzywił głowę, przyjrzał się swemu Mistrzowi.

Czy ziemia kiedykolwiek nosiła większą ruinę człowieka? Cień Bramy Dzielnicy Cudzoziemców maskował nieco zmarszczki, ale nawet nocą na twarzy Mistrza byłoby widać wiek, starcze otępienie, oznaki słabnącego umysłu i ślepoty.

Stary drzemał.

Dłoń chłopaka pomknęła ku zniszczonej skórzanej torbie, a potem wróciła, ściskając twardą jak kamień bułkę.

Uderzenie laski Mistrza wznieciło kurz na drodze.

–Mały niewdzięczniku! Przeklęty złodzieju! Okradać starego człowieka...

Teraz było już łatwiej. Niegdyś ze zdobywaniem jedzenia w ten sposób łączyły się poważne trudności. Jakiś rok temu rozwiązanie problemu wymagałoby całkowitej koncentracji.

Starzec próbował się podnieść. Nogi zawiodły go. Zatoczył się, bezradnie wymachując laską w powietrzu.

–Wszystko słyszałem! Śmiałeś się. Przez cały dzień będziesz żałował...

Przechodnie nie zwracali na nich uwagi. A to już stanowiło złowieszczy znak.

Ongiś Mistrz potrafił swobodnie naginać ich do swej woli. Zręcznymi sztuczkami i żartami najsprytniejszych skłaniał do rozstania się z pieniędzmi.

Starzec monotonicznie zaintonował:

–Uchyl kurtynę, spójrz oczyma czasu, przebij wzrokiem mgły, otwórz drzwi przeznaczenia... – Spróbował wykonać sztuczkę ze szklaną kulą i czarną chustą, ale zepsuł cały efekt.

Gruby chłopak pokręcił głową. Głupiec. Nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że to już koniec.

Gruby chłopak nienawidził starca. Przez całe swoje dotychczasowe życie podróżował w towarzystwie tego wędrownego szarlatana. Ani razu nie usłyszał od niego miłego słowa. Tamten zawsze wysiłał wyobraźnię, aby tylko mu dokuczyć. Nigdy nie pozwolił, by chłopak

choćby przyjął imię. Jednak grubas nie uciekł. Aż do niedawna sam pomysł wydawał mu się niewyobrażalny.

Czasami, kiedy udawało mu się zarobić więcej pieniędzy, stary folgował sobie monstrualnymi ilościami wina.

Mamrotał wtedy o czasach, gdy był dworskim błaznem u prawdziwie możnego człowieka. Jakimś sposobem zawsze okazywało się, że gruby chłopak miał coś wspólnego z ich obecną niedolą. Teraz musiał pokutować, niezależnie od tego, czy była to jego wina, czy też nie.

Stary zdołał wpędzić swego towarzysza w głębokie poczucie winy. Miał być to rodzaj ubezpieczenia na ostatnie lata życia, gdy siły nie będą już dopisywać.

Gruby chłopak, o skórze koloru glinianej nawierzchni ulicy, pocił się, odpędzał muchy i zmagał z pokusą. Wiedział, że da sobie radę sam. Posiadał niezbędne umiejętności.

Czasami, kiedy Mistrz przysypiał, ćwiczył na własną rękę. Był nadzwyczajnym brzucho mówcą. Udzielał głosu rekwiyztom starca – najczęściej była to małpia czaszka albo wypchana sowa. Rzadziej wykorzystywał wynędzniałą ośliczkę o sparszywiej sierści, która dźwigała ich dobytek. W przyływach śmiałości gotów był nawet posłużyć się ustami Mistrza.

Raz został przyłapany. Stary stłukł go niemalże na śmierć.

Starzec posługiwał się wieloma imionami, zmieniającymi się zależnie od tego, przed kim, jak mu się zdawało, uciekał. Feager i Zajac należały do jego ulubionych. Chłopak był pewien, że oba są fałszywe.

Wytrwale więc tropił tajemnicę prawdziwego imienia starca. Mogło się to okazać kluczem do zagadki jego tożsamości.

Nadzieja, że kiedyś się dowie, kim Mistrz jest naprawdę, stanowiła w chwili obecnej główny powód, dla którego nie robił nic, aby poprawić swą sytuację.

Nie łączyły go z Zajacem więzy krwi, tyle wiedział. Stary był wysoki, szczupły i blady. Miał wodniste oczy i blond włosy. Pochodził z zachodu.

Najwcześniejsze wspomnienia chłopaka obejmowały kraje dalekiego wschodu. Matayangę. Escalon. Oślawione miasta: Janin, Nemie, Shosutał-Watkę i Tatarian. Udało im się nawet odwiedzić dziki Łańcuch Segasture, gdzie Monastery Theon Sing spoglądały na mroczne obszary Imperium Grozy.

Już wtedy zastanawiał się, dlaczego on i Zajac wędrują razem i co wciąż gna starego z miejsca na miejsce.

W chwili obecnej Zajac sprawiał wrażenie, jakby znowu zasnął.

Chłopak poczuł, jak z głodu ściska go w żołądku. Nie potrafił sobie przypomnieć choć jednej chwili, gdy nie był głodny.

Ręce poruszyły się błyskawicznie.

Nic. Worek był pusty.

Stary nie zareagował tym razem. Naprawdę zasnął.

Czas coś przedsięwziąć w sprawie pustej spiżarni.

Uczciwe zarabianie pieniędzy nawet w najlepszych czasach było dostatecznie trudne...

Włóczył się wśród ludzi, starając sprawiać wrażenie wyjątkowo niezgrabnego i powolnego. A chociaż nie sposób było go nazwać szybkim, do powolności daleko mu było. Był w miarę zwinny. Szybki i subtelny. I śmiały.

Sakiewkę kapitana gwardii odjął ruchem tak zręcznym, że tamten podniósł larum dopiero wtedy, gdy wszedł już do tawerny i chciał zapłacić za wino.

Wtedy jednak grubas znajdował się już trzy kwartały dalej i kupował pączki.

Na jego niekorzyść przemawiało to, że za bardzo rzucał się w oczy.

Kapitan gwardii popełnił jednak błąd taktyczny. Wykrzyczał, co ma zamiar zrobić, zanim złapał złodziejaszka.

Gruby chłopak pisnął i rzucił się do ucieczki. Za taką zbrodnię groziło sprzedanie w niewolę, jeśli nie odjęcie kończyny albo topór kata.

Udało mu się uciec i wrócić do Zajaca, zanim tamten się obudził.

Serce łomotało mu w piersiach długo po tym, gdy już uspokoił oddech. Trzeci raz w tym tygodniu ledwo ocalił skórę. Miał wrażenie, że jego szczęście zaczyna się wyczerpywać. Ludzie zaczęli się oglądać za grubym, smagłym chłopakiem o lepkich palcach. Czas ruszać w drogę.

Ale stary nie był w stanie wyruszyć. Tym razem chyba postanowił zapaść korzenie.

Coś trzeba z tym zrobić.

Zajac obudził się zniecałkowany.

–A teraz co kombinujesz? – warknął. – Znowu kradniesz moje jedzenie? – Pochwycił laskę, wbił jej koniec w worek z pożywieniem. – Co?

Worek był pełny.

Gruby chłopak uśmiechnął się. Zawsze kupował najstarsze i najtwardsze ciastka, ponieważ stary miał kiepskie zęby.

–Kradłeś, mogę się założyć! – Zajac podniósł się chwiejnie. – Ja cię nauczę, ty mały pypciu...

Gruby chłopak nie znalazł w sobie sił do ucieczki. Tylko zajęczał. Stary uniósł już laskę. Coś trzeba było zrobić.

Kiedy oprawca zmęczył się już, chłopak zajęczał:

–Mistrzu, jakiś człowiek chciał się z tobą zobaczyć godzinę temu.

Czas nadszedł.

–Jaki człowiek? Nikogo nie widziałem.

–Pojawił się, kiedy byłeś pogrążony w medytacji. Wielki człowiek z miasta. Dawał trzydzieści oboli za potwierdzone wróżenie z kurczących wnętrzności, które pozwolą mu wybrać wśród pretendentów do ręki córki. Jeden biedny, jeden bogaty. Mężczyzna woli bogatego,

dziewczyna kocha ubogiego. Kazano mi stawić się o północy, aby utrzymać całą rzecz w sekrecie przed córką.

Rzekłem, że Mistrz mój znajduje się w posiadaniu najpotężniejszego specyfiku, który potrafi zdławić miłość, dostępnego za dwadzieścia oboli ekstra.

–Kłamca! – Ale laska opadła bez zwykłej siły. – Dwadzieścia i trzydzieści razem? – To było mnóstwo wina i głębokie zapomnienie.

–Prawdę rzekłem, mistrzu.

–Gdzie?

–Na ulicy Wielkiej. Za Frontową, obok Fadem. Brama zostanie otwarta.

–Pięćdziesiąt oboli? – Zajac zaśmiał się paskudnie. – Daj mi moje mikstury. Zrobię z nich coś, co sprawi, że nawet żabie wyrosną włosy.

Grubas zazwyczaj potrafił spać w najgorszych nawet warunkach. Tym razem jednak aż do północy nie zmrzątnął oka.

Deszcz jak zawsze spadł godzinę po zapadnięciu zmroku. Starego chronił płaszcz, chłopaka tylko jego łachy. Ostatnia chwila, by wyznać swoje kłamstwo, potem nie będzie już odwrotu.

Postanowił ciągnąć rzecz dalej.

Posadził Mistrza na parchatym grzbiecie ośliczki, poprowadził zwierzę przez ciche ulice, w górę i w dół, bocznymi alejkami, wykonując mnóstwo niepotrzebnych nawrotów, aby jego towarzysz stracił orientację. Żaden rabuś ani strażnik ich nie niepokoił.

Poszli obok siedziby rządu Fadem, zwanego Fadem. I tu nikt nie stanął im na drodze.

Dotarli na miejsce wcześniej wybrane przez grubego chłopaka.

Argon jest położony na wyspie mającej kształt trójkąta, połączonej z pozostałymi wyspami delty pontonowymi mostami. Szczyt trójkąta wyspy wskazuje w górę rzeki i tam właśnie niewidoczne prądy są najbardziej bystre. To tam starożytni architekci wzniesli najwyższe mury, podstawą osadzone w dnie rzeki.

Sto stóp poniżej i ćwierć mili na południe znajdował się jeden z mostów pontonowych. Łączył on Argon z przedmieściami na sąsiedniej wyspie. Dalej jeszcze, skryte za zasłoną głębszej ciemności, leżały żyzne wyspy ryżowe, stanowiące podstawę argońskiego bogactwa.

Grubasa to nie obchodziło. Ekonomia była dlań pustym pojęciem.

–Stąd trzeba już pójść pieszo – oznajmił. – Wielki pan powiedział, by nie wprowadzać zwierzęcia do warzywnika.

Starzec zaczął mrużyć coś pod nosem, ale pozwolił chłopcu zсадzić się z ośliczki.

–To tędy. – Grubas wziął Zająca pod ramię.

–Niech cię cholera! – warknął stary jakąś minutę później, podnosząc się z pozostałej po deszczu kałuży, głębokiej na jakieś cztery cale. – To już drugi raz. – Łup! – Zrobiłeś to specjalnie. – Łup! – Następnym razem okrążysz ją.

–Najpokorniej proszę o przebaczenia, Mistrzu. Obiecuję, że będę bardziej ostrożny. – Kąciki ust wykrzywił mu uśmiech. – Biada! Oto znowu kałuża skroś ścieżki.

–Obejdz ją.

–To niemożliwe. Po obu bokach są rabaty kwietne. Wielki pan gniewałby się. – Urwał na moment. – Aha. Ma tylko cztery stopy szerokości. Ja sam przeskoczę. A potem złapię Mistrza, gdy pójdzie w me ślady. – Dokładnie ustawił starego i złowieszczo chrząknął.

Usłyszał własne słowa:

–Ha! To było łatwe, Mistrzu. Ale odbij się mocno, żeby sprawa była pewna.

Stary zaklął i laska przecięła powietrze.

–Chodź, Mistrzu. Proszę. Wielki pan będzie zły, jeśli zjawimy się za późno. Skacz. Ja cię złapię.

Czuł, jak serce wali mu w piersiach. W uszach słyszał łomot pulsu. Stary z pewnością również musiał słyszeć ten ogłuszający niczym marsz piechoty odgłos...

Zajac wypluł ostatnie przekleństwo, przykucnął i rzucił się naprzód.

Krzyczeć zaczął nie wcześniej, jak w połowie drogi ku powierzchni rzeki.

Napięcie prysło. Gruby chłopak wyrzucił ręce do góry i zatańczył...

–Hej, ty! Co się tam dzieje?

Policjant z nocnej straży spiesznie wchodził po stopniach wiodących na mury. Grubas pobiegł do miejsca, gdzie czekała ośliczka. Ale zwierzę nie chciało nawet drgnąć.

Będzie musiał inaczej poradzić sobie z sytuacją.

Policjant wkroczył prosto na scenę rozpaczy.

–Biada mi! – płakał grubas. – Jestem najgłupszym z głupców.

–Co się stało, synu?

Gruby chłopak zaczął wyrzucać z siebie bezładne słowa. W tym był naprawdę dobry.

–Dziadek mój nieszczęsny, jedyny krewny, jakiegom miał w całym świecie, właśnie skoczył z murów. Jestem idiotą. Uwierzyłem, że chce tylko po raz ostatni spojrzeć na rzekę w nocy. – Zrobił całe przedstawienie z rzekomych prób opanowania się. – Jedyny krewny, który mi został. Choroba zżerała go od wewnątrz. Bolało, bardzo. Nie mieliśmy już pieniędzy na opium. Jamże najgłupszy jest z głupców. Powiniennem wiedzieć...

–Spokojnie, spokojnie, synu. Wszystko będzie dobrze. Może tak i lepiej, co? Jeśli bolało go tak bardzo?

Policjant od lat patrolował ten sam teren. Widywał już najrozmaitszych samobójców, którzy zdecydowali się na skok z murów. Zawiedzeni kochankowie. Odarci z czci mężowie. Dręczeni wyrzutami sumienia. Zwykli ludzie.

Większość z nich robiła to za dnia, jakby potrzebowali publiczności dla swego ostatecznego gestu okazania wzgardy światu. Ale człowiek chory na raka nie żywi pretensji do świata, tylko do bogów. A ci mali zbrojeńcy w nocy widzieli równie dobrze. Nic więc nie wzbudziło jego podejrzeń.

–Chodź ze mną na dół do koszar. Dzisiejszą noc możesz spędzić z nami. Rankiem zobaczymy, co możemy dla ciebie zrobić.

Gruby chłopak nie wiedział, kiedy przestać. Protestował, zawodził, udawał, że chce się rzucić w ślad za ostatnim krewnym.

Policjant zdecydował, że dla własnego bezpieczeństwa należy mu zapewnić azyl, i siłą zawłókł go do koszar.

Gdyby okazywał rozpacz mniej demonstracyjnie, mógłby odejść własną drogą. Przedstawiciel prawa z pewnością by nie protestował. Jego świat pełen był bezdomnych sierot.

Ten sam nocny strażnik obudził chłopca po pierwszej w jego życiu nocy spędzonej w prawdziwym łóżku.

–Dzień dobry, chłopcze. Czas na wizytę u kapitana.

Gruby chłopak miał złe przeczucia. Jak wielu kapitanów gwardii może być w mieście? Niewielu. Nie mógł ryzykować spotkania z tym konkretnym.

–Głód mnie dręczy. Umieram z głodu.

–Myślę, że da się coś zorganizować. – Policjant obrzucił go osobliwym, uważnym spojrzeniem.

Chłopak doszedł do wniosku, że nie od rzeczy będzie bardziej żałobny nastrój. Zdobył się na przekonujące przedstawienie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nocne wydarzenia nie były tylko złym snem.

Policjant wydawał się usatysfakcjonowany.

W kantynie gruby chłopak napchał się do pełna. Co mógł, włożył do kieszeni, kiedy nikt nie patrzył. Potem, niezdolny przełknąć nic więcej, poszedł za strażnikiem do kwatery kapitana. Skoczył w boczne drzwi, kiedy policjant z patrolu składał raport. Rozpoznał bowiem głos oficera. Jego przeczucia okazały się słuszne. O mały włos nie złapali go w stajniach. Ośliczka za nic nie chciała odejść od obficie wypełnionego żłobu. W końcu jakoś ją od niego odciągnął, akurat na czas, by ujść uwadze ludzi kapitana.

Postanowił na dobre opuścić Argon. Kapitan z pewnością zastanowi się nad całą sprawą i zarządzi przeszukanie miasta. Zając nauczył go już dawno temu, że najlepszym sposobem uniknięcia złapania przez policję jest znaleźć się daleko poza miastem, kiedy zaczną szukać.

Czy uda mu się okłamać strażników pilnujących wyjścia? Mogą nie zechcieć puścić chłopaka samego. Udało się. Był zręcznym i przekonującym kłamcą.

Dzieciak-uciekinię z Argon zasilił szeregi tych wszystkich, którzy – pozornie bez żadnego stałego zajęcia – jakoś jednak żyli. Radził sobie, wykorzystując wątpliwe moralnie umiejętności, które nabył od Zajaca oraz innych jego pokroju, których spotykali po drodze.

Przez kilka lat przemierzał trasę, którą wcześniej wędrował z Zajacem, od Throyes do

Necremnos, potem do Argon i z powrotem, zatrzymując się w większości przydrożnych wiosek. Pewnego lata zapuścił się nawet do Matayangi i Escalonu. Innego ruszył wzdłuż zachodniego wybrzeża morza Kotsum, aż po majaczące zbocza Jeba al Alf Dhulquarneni, jednak ta trasa niewiele obiecywała. Ludzie byli tam zbyt dzicy i nazbyt łatwo było ich wyprowadzić z równowagi.

W tych przerażających górach ludzkiej skóry używano do produkcji pergaminu, na którym spisywano księgi zaklęć.

Nauczył się kilku kolejnych języków, ale żadnego z nich dobrze. Nigdzie nie zagrażał miejsca na tyle, by w którymkolwiek osiągnąć biegłość. Albo po prostu nie dbał o to. Rozwinął w sobie niedobre nawyki. Pieniądze przeciekały mu przez palce jak ziarna piasku. Były dziewczęta i wino... Ale dopiero hazard okazał się jego równią pochyłą. Nie potrafił się oprzeć pokusie gier losowych. Wpadł w poważne długi. Lista miejsc, których unikał, stała się zbyt długa, by ją w całości zapamiętać. Nadal kradł i robił sobie wrogów.

Przeznaczenie dopadło go w Necremnos.

Rankami i wieczorami oddawał się zwykle zachwalaniu swych oszukańczych usług czarnoksiężskich.

–Hai! Wielka pani! Oto przed oczyma kobiety sławnej swą urodą i mądrością zasiada uczeń osławionego Wielkiego Mistrza Istwana z Matayangi, ja mianowicie, który udaję się z rozkazu mego Mistrza na zachód, aby szukać wiedzy, którą dysponują wielkie umysły poza górami M'Hand. Młodym jest, prawda, ale zdażyłem się wyćwiczyć we wszystkich sposobach upiększania kobiety. Jestem także wieszcz Primus. Mogę nauczyć, jak zdobyć miłość, albo stwierdzić, czy mężczyzna już kocha. Mam też rzadkie i tajemne mikstury upiększające, jak dotąd sporządzane wyłącznie dla żon możnych Escalonu, dam znanych aż po najdalszy wschód z dziewczęcego iście piękna nawet w pięćdziesiątej wiośnie życia.

I tak to ciągnął, zmieniając tekst w zależności od typu kobiety, u której udało mu się wzbudzić zainteresowanie. Sprzedał mnóstwo zaczerpniętej wprost z bagien wody, jak też rozmaitych obmierzłych płynnych treści i szczątków ichtiologicznej proweniencji.

Między ranną i wieczorną turą polował na rynkach, przetrząsając przechodniom kieszenie. A nocami przepuszczał swój łup.

Pewnego razu ofiara jego złodziejskich sztuczek rozpoznała go, gdy oddawał się najbardziej niewinnemu ze swych zajęć. Próbował się wykręcić, blefując. Wyklócał się zażarcie, równocześnie pakując swój sprzęt i ładując go na ośliczkę. A kiedy policjant zaczął sprawiać wrażenie, że chętnie da wiarę oskarżycielowi, uciekł.

Nie był wiele zręczniejszy ani szybszy niżli dawno temu w Argon. Liczył na swoją przebiegłość. Przebiegłość stanowiła jego broń przeciwko całemu światu.

Przebiegłość też go zdradziła.

Miejsce, w którym zdecydował się przywarować, było równocześnie kantorem gracza, któremu zeszłego lata nie spłacił długu.

–Brać go! – Tak brzmiały słowa stanowiące pierwszą zapowiedź katastrofy.

Dwóch bandziorów, jeden chudy i poznaczony bliznami, drugi gruby i poznaczony bliznami, rzuciło się na niego. Poprzez zasłonę wymachujących kończyn młodzieniec zobaczył człowieka, który obiecał mu powolne obdzieranie ze skóry przy następnym spotkaniu. Ogarnęła go panika. Z rękawa dobył nóż, którego używał do

odcinania sakiewek.

I w moment później pod rozdziawionymi w niemym krzyku ustami jednego z atakujących rozwarły się drugie, tryskające szkarłatem. Krew zbryzgała grubasa. Była ciepła i smakowała solą. Próbując wyrwać się drugiemu napastnikowi, zwrócił śniadanie. To w niczym nie przypominało nakłonienia podstępem starego głupca, by sam rzucił się ze skały. Gracz popatrzył na niego szeroko rozwartymi, pełnymi złości oczyma, a wtedy chłopak rzucił się na niego. Gruby bandzior nie zdołał złapać chłopaka. Hazardzista szybko ulotnił się przez tylne drzwi. Młodzieniec poderwał się na równe nogi i przekonał, że przeciwnik trzyma już w ręku własny nóż. Wokół powoli gromadził się tłum gapiów. Najwyższy czas się stąd wynosić. Jego przeciwnik nie miał zamiaru na to pozwolić. Chciał tylko zatrzymać chłopaka, póki jego pracodawca nie sprowadzi posiłków. Chłopak zamarkował manewr, skoczył w drugą stronę. Był już za drzwiami, kiedy tamten dopiero odzyskiwał równowagę.

To była piekielna noc. Gramolił się po dachach i przeciskał przez rynsztoki. Pół miasta deptało mu po piętach. Szpicle byli chyba wszędzie. Ścigających go bandziorów była chyba setka – zwabiła ich wysokość nagrody ofiarowanej przez gracza.

Czas najwyższy poszukać zieleńszych pastwisk. Ale tylko jeden kierunek pozostawał przed nim otwarty. Zachód, na który od tak dawna rzekomo już zmierzał.

Wciąż nie pojmował lekcji, jakich udzieliło mu życie. Kiedy przekraczał góry, nadal trwał w postanowieniu uczynienia złodziejstwa głównym źródłem dochodów.

Jednak nawet na Zachodzie miało go prześladować przeznaczenie, które sam na siebie ściągnął.

Tymczasem jednak, stojąc na bezpiecznie odległym szczycie wzgórza, śmiał się i szydził z Necremnos.

Wciąż się szczerząc, mówił do siebie:

–Jestem świetnym szydercą. Najlepszym szydercą. Najsubtelniejszym szydercą. Niezły pomysł. Odtąd więc, mój panie – tu uderzył się w piersi – nosić będziesz imię Szydercy.

Podróżował na południe bocznymi drogami, póki nie dotarł do zaimprovizowanego miasteczka podróżników, wzniesionego na przedmieściach Throyes, gdzie podstępem załatwił sobie pracę wodarza karawany zmierzającej do Vorgrebergu, miasta w Kavelin, jednego z Pomniejszych Królestw, położonego na zachód od gór M'Hand.

Karawana pokonała rozległe, nie zamieszkane równiny, ominęła ruiny Gog-Ahlan, potem wspięła się na góry wyższe i bardziej jeszcze niegościnnie niżli wszystko, co Szyderca widział na dalekim wschodzie. Szlak wił się przez wąską przestrzeń Przełęczcy Savernake, potem obok strzegącej przejścia ponurej fortecy Maisak, prowadząc wreszcie w dół ku miasteczku Baxendał. Tam, napiwszy się pierwszej wina i zabawiwszy z dziewczyną, Szyderca zasiadł do kości z miejscowymi.

Przyłapali go na oszukiwaniu. Tym razem musiał uciekać przez kraj, w którego języku nie znał bodaj jednego słowa. W Vorgrebergu zatrzymał się tylko na tak długo, by liźnąć kilku zachodnich języków. Jeśli chciał, potrafił uczyć się naprawdę szybko, nawet jeśli niezbyt dogłębnie.

Rozdział 4

Najświętsza Świątynia MrazkimDzień po dniu czuwał El Murid przy łożu Meryem. Czasami towarzyszyła mu córka, niekiedy Sidi. Razem się modlili. Jego dowódcy tam właśnie go szukali, kiedy potrzebne były jego rozkazy. Tam też znaleźli go generałowie Karim i el-Kader, przynosząc wspaniałe wieści o zdumiewającym zwycięstwie nad siłami rojalistów pod ruinami Ilkazaru. Ten sukces był jeszcze ważniejszy niżli wcześniejsze zdobycie Al Rhemish, oznaczał bowiem złamanie kręgosłupa rojalistycznemu ruchowi oporu. Hammad al Nakir było bez reszty w rękach Adepta.

To właśnie przy łożu Meryem w swoim czasie stawił się do raportu wycieńczony, spalony słońcem pustyni Nassef.

–Szczeniak Yousifa wymknął mi się. Ale Radetica spotkała pomsta.

El Murid pokiwał tylko głową.

–Jak ona się czuje, Micah?

–Bez zmian. Wciąż nie odzyskała przytomności. Ani razu, przez cały ten czas. Losy są okrutne, Nassef. Co jedną ręką dają, zabierają drugą.

–Brzmi to jakby z pochodziło moich ust. Ty powinieneś powiedzieć coś w rodzaju: „Pan dał i Pan wziął”.

–Tak. Powinienem, nieprawdaż? Znowu macki Złego wślizgują się do mego umysłu. On nie zrezygnuje z żadnej okazji, czyż nie?

–Taka jest natura Bestii.

–Pan przeznaczył mi naprawdę trudną ścieżkę, Nassef. Chciałbym wiedzieć, dokąd mnie zaprowadzi. Meryem nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. A jeśli nawet, jej zasługi jako żony Adepta zadośćuczyniłyby za każdą po stokroć. Dlaczego teraz musiało się to zdarzyć? Kiedy zwycięstwo mamy już w zasięgu ręki? Kiedy chrzest naszej córki jest tak blisko? Kiedy w końcu będziemy mogli prowadzić życie z grubsza choćby przypominające normalność?

–Zostanie pomszczona, Micah.

–Pomszczona? A któż został, na kim można ją pomścić?

–Syn Yousifa. Haroun. Pretendent do tronu.

–Tak czy owak zginie. Harish już odnotowali jego imię na swoich listach.

–W porządku. A więc ktoś inny. Micah, mamy pracę do wykonania. Disharhun zaczyna się jutro. Nie możesz pozostawać w odosobnieniu. Wierni się gromadzą. Od lat już obiecywaliśmy im to święto. Musisz odłożyć swój osobisty ból na bok.

El Murid westchnął.

–Oczywiście, masz rację. Pograżałem się w żalu nad sobą. Tylko że odrobinę za długo. Ty... Wyglądasz strasznie. Aż tak źle było?

–Słowa tego nie opiszą. Rzucili na nas jakieś czary. Ja jedyny przeżyłem. I nie pamiętam, co się wydarzyło. Straciłem pięć dni z mojego życia. Była tam jakaś wieża... – W jego głosie dźwięczała niepewność.

–Pan jednak czuwał nad tobą. Wie, że jesteś mi potrzebny.

–Muszę odpocząć, Micah. Zupełnie opadłem z sił. Przez następnych kilka dni nie będzie ze mnie wielkiego pożytku.

–Odpoczywaj tak długo, jak musisz. Zdrowiej. Jeśli stracę Meryem, będziesz mi potrzebny bardziej niż kiedykolwiek.

Po odejściu Nassefa El Murid modlił się znowu. Tym razem błagał jedynie o to, by żonie dane było być świadkiem chrztu córki.

Tak wiele to dla niej znaczyło.

Było to największe, najbardziej szalone i radosne Disharhun, jak żywi sięgali pamięcią. Wierni przybyli z najdalszych krańców Hammad al Nakir, aby wraz z Adeptem wziąć udział w święcie zwycięstwa. Niektórzy mieli do przebycia tak daleką drogę, że zdążyli zjawić się dopiero na Mashad, ostatni ze Świętych Dni Wielkiego Tygodnia. Niemniej niczego nie stracili. Tego właśnie dnia El Murid miał ogłosić zwycięstwo i proklamować Królestwo Pokoju. Obecni w tym dniu mieli być świadkami najważniejszego wydarzenia w historii Wiary.

Tłumy były tak wielkie, że trzeba było wznieść podium, z którego przemawiali mówcy. Jedynie kilku specjalnie zaproszonych gości zostało wpuszczonych do samej Świątyni. Tylko najstarsi wyznawcy Adepta mieli być świadkami chrztu.

Krótko po południu El Murid wyszedł ze Świątyni i wspiął się na podium. Miał wygłosić pierwszą z dorocznych odezwo do Królestwa. Tłum zaintonował:

–El Murid, El Murid – zaczęto przytupywać i rytmicznie klaskać. Adept wznosił dłonie, prosząc o ciszę.

Płomienie gorejącego słońca rozпалиły amulet, który niegdyś otrzymał od anioła. W tłumie podniosły się okrzyki zdumienia i podziwu.

Religia rozwijała się samoistnie, poza kontrolą El Murida. We własnych oczach Adept był tylko głosem, nauczycielem wybranym, aby wskazać parę prostych prawd. Jednak w umysłach i sercach swych wyznawców był kimś znacznie więcej. Na odległych obszarach pustyni czczono go jako Pana Wcielonego.

Nie miał pojęcia o tych herezjach.

W jego pierwszej mowie na Mashad nie pojawił się żaden nowy wątek. Ogłosił nastanie Królestwa Pokoju, przypomniał prawo religijne, zaproponował amnestię swym niedawnym wrogom i zarządził, aby każdy zdolny do walki mężczyzna na Hammad al Nakir następnej wiosny zgłosił się do poboru. Jeśli Pan pozwoli, narody niewiernych zostaną wówczas

nawrócone i rządy obejmie prawowita władza Imperium.

Mężczyźni, którzy mieli okazję odwiedzić Al Rhemish podczas poprzednich Świętych Dni, zdumiewali się nieobecnością obcych faktorów i ambasadorów. Niewierni nie uznali roszczeń El Murida do świeckiej władzy.

Opuszczając podium, El Murid czuł ogarniającą go słabość. Ból szarpał rękę i kostkę. Wezwał lekarza. Esmat dał mu to, czego potrzebował. Dłużej nie spierał się ze swym panem.

Na ceremonię chrztu zaproszono stu ludzi wraz z żonami. El Murid chciał, by ta ceremonia stanowiła precedens. Jego córka stanie przed Najświętszym Ołtarzem odziana w panieńską biel – miała równocześnie otrzymać imię i zostać zaślubiona Panu.

Zamierzył to również jako jednoznaczny deklarację w kwestii wyboru spadkobierczyni.

–Jest piękna, nieprawdaż? – Powiedziała Meryem ochryplym głosem, kiedy dziewczynka podeszła do ołtarza.

–Tak. – Jego modlitwy zostały wysłuchane. Meryem obudziła się ze śpiączki. Ale jej członki pozostały sparaliżowane. Służący musieli ją ubierać i nosić w lektyce.

El Murid pamiętał, jak dumnie wyglądała na swoim białym wielbłądzie. Jak śmiała, jak piękna, jak pewna siebie była podczas tego pierwszego przyjazdu do Al Rhemish! Teraz wszystko skryła mgła. Ujął dłoń Meryem i ścisnął ją mocno przez całą ceremonię. Dziewczyna była już nieomal dorosła. Rodzice niewiele mogli wnieść do rytuału. Sama będzie w stanie udzielić wszystkich odpowiedzi.

Kiedy nowo naznaczony Wysoki Kapłan Świątyni zapytał:

–A jakim imieniem nazwane ma być to dziecię Boże? – El Murid ścisnął dłoń Meryem jeszcze mocniej. Tylko ona знаła odpowiedź. To była chwila, dla której żyła.

–Yasmid – odpowiedziała Meryem. Jej głos brzmiał mocno. Dźwięczał niczym dzwon. El Murid poczuł nagły przypływ nadziei. Popatrzył na Nassefa. Tamten chyba również myślał podobnie. – Daj jej imię Yasmid, Córka Adepta.

Uścisnęła w odpowiedzi jego dłoń. Poczuł, jak przepelnia ją radość.

Jednak poprawa stanu jej zdrowia nie trwała dłużej jak kilka chwil. Meryem zapadła w śpiączkę, zanim ceremonia dobiegła końca i odeszła do Raju przed nastaniem dnia. Jej zgon był tak pewny, że Nassef wkrótce po zachodzie słońca zarządził w Al Rhemish żałobę.

El Murid był tak wyczerpany nieustannym zmartwieniem, że na śmierć żony zareagował otępieniem. Nie potrafił uronić ani jednej łzy. Resztki energii, jakie w nim zostały, poświęcał Yasmid, Sidiemu i Nassefowi.

Zawsze spokojny, całkowicie opanowany Nassef jakby rozpadł się na kawałki. Meryem była dlań kimś znacznie więcej niżli dla El Murida – była wszystkim, co posiadał na świecie. Poczesała formułka: „Spoczywa teraz w objęciach Pana”, nie zadowoliła nikogo. Nassef zareagował w ten sposób, że ze zdwojoną energią rzucił się w wir pracy, jakby chciał dać odczuć

całemu światu skutki swej żałoby. Bywały noce, że w ogóle się nie kładł.

Sidi po prostu zamknął się w sobie. A Yasmid bardziej upodobniła się do swej matki, gdy ta była w jej wieku. Była bezczelna, śmiała i chętnie wprawiała w konfuzję towarzyszy ojca. Nie tolerowała pompatyczności, poczucia własnej ważności i tępego konserwatyzmu. I potrafiła dyskutować o kwestiach doktrynalnych ze zręcznością, przy której nawet zdolności jej ojca wypadały blado. Wyłącznie z tego ostatniego powodu nowa klasa kapłańska powoli oswajała się z ideą jej sukcesji.

Yasmid mnóstwo czasu spędzała, naprzykrzając się wujowi ślęczącemu nad mapami i studiującemu taktykę. Wiedziała o jego planach więcej niżli ktokolwiek inny. Za ich plecami powiadano sobie na poły poważnie, że po wuju również obejmie sukcesję.

Przypływ idealizmu osiągnął punkt najwyższy i jeszcze nie zaczął opadać. Ludzie wciąż najzupełniej szczerze dbali o duchowość i doktrynalną czystość. Nieuchronna porewolucyjna fala biurokracji jeszcze nie nadeszła.

Pozycji Yasmid nic nie zagrozi, póki zawodowi administratorzy nie zastąpią zawodowych rewolucjonistów.

Pacyfikację Hammad al Nakir Nassef rzucił na barki el-Kadera. Swego popiecznika o imieniu el Nadim uczynił satrapą na wschodnim wybrzeżu i throyeńskich bagnach. On i Karim natomiast całą uwagę skupili na terenach na zachód od Sahel, ziemi, gdzie El Murid postanowił restaurować władzę Imperium. Miesiąc za miesiącem upływały im na grach wojennych i reinterpretacjach planów, które Nassef od lat już piastował w sercu.

El Murid, któremu od czasu do czasu towarzyszył syn, uczestniczył w niektórych posiedzeniach sztabu. Miał swoją misję i swoje dzieci, nic więcej nie posiadał. Ból w członkach ani na chwilę nie chciał zelżeć. Nie potrafił już dłużej udawać, nawet przed samym sobą, że nie jest uzależniony od narkotyków Esmata.

Mimo iż często się nad tym zastanawiał, nie potrafił zrozumieć ambiwalentnych uczuć, jakie wzbudzał w nim Nassef. Jego szwagier był niczym chimera. Być może on sam nie miał pojęcia, do czego właśnie dąży.

Kwaterę główną Nassefa powoli wypełniały przeróżne artefakty. Całe lata wcześniej najął zręcznych artystów i wysłał ich na zachód. Teraz korzystał z ich pracy: szczegółowe mapy, rysunki i plany umocnień, szkice najwybitniejszych przedstawicieli zachodu wraz z charakterystykami ich mocnych i słabych stron. W miarę jak informacje napływały, stosownie do nich modyfikował plan strategiczny.

–Zasadniczy plan polega na tym – oznajmił El Muridowi – aby wypaść z terytorium Sahel, na pozór zupełnie bezładnie. Potem rozproszone oddziały połączyć w jedną siłę uderzeniową i ruszyć na Hellin Daimiel. Kiedy uznają, że wiedzą, dokąd zmierzamy, zawrócimy i przejmujemy Simballawein, aby zabezpieczyć sobie tyły podczas ataku na północ.

–Ipopotam...

–Moi agenci powiadają, że gotowi są zrobić wszystko, byle nas zadowolą. Pozostaną neutralni, póki nie będzie za późno. Kiedy zajmiemy już Simballawein, ruszymy na Hellin Daimiel. Ale gdy schowają się za murami obronnymi, ominie miasto. Dojdziemy do Scarlotti. Zajmiemy brody i przeprawy promowe, tak że z północy pomoc nie nadejdzie. Przez cały czas lotne oddziały komandosów będą nękać Pomniejsze Królestwa, angażując ich wojska, by nie zagroziły naszej flance. Kiedy uwaga wszystkich skupi się na mnie, el Nadim pokona Throyes i zaatakuje Kavelin przez Przełęcz Savernake. Jeśli uda mu się przedrzeć, weźmiemy Pomniejsze Królestwa w kleszcze. Rzucimy je na kolana. O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, przed końcem lata zdobędziemy wszystkie królestwa na południe od Scarlotti.

El Murid przyjrzał się mapom.

–To jest ogromny obszar, Nassef.

–Wiem. Sprawa nie jest oczywista. Wszystko zależy od szybkości, z jaką będzie posuwać się nasza konnica, i od pomieszczenia, jakie ogarnie szeregi wroga. Nie możemy podjąć walki na ich warunkach. Dowiedli tego pod Wadi el Kuf. Trzeba ich zmusić, żeby walczyli na naszych zasadach.

–Ty jesteś generałem, Nassefie. Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

–Dopóki zwyciężam.

El Murid zmarszczył czoło, niepewny, jak rozumieć jego słowa.

Później tego samego dnia wezwał do siebie Mowaffaka Haliego, starszego oficera Niezwycięzonych, który w jego imieniu prowadził śledztwo.

–No co, Mowaffak? Zbliża się czas poboru. Czy jestem zakładnikiem w rękach bandytów?

Hali był fanatykiem, ale stać go było na uczciwość. Nie brał odpowiedzi z kapelusza, w nadziei, że powie to, co jego pan chce usłyszeć.

–Nie znalazłem nic jednoznacznie obciążającego, panie. Przestali grabić naszych ludzi. Przypuszczam, że należy widzieć w tym dobry znak. We własnym towarzystwie radują się perspektywą rabowania niewiernych. Nie potrafiłem jednak wyśledzić losów większości monet, które wywędrowały na zachód. Część z pewnością poszła na żołd dla szpiegów. Za część najwyraźniej zakupiono broń. Część pozostaje zdeponowana w bankach Hellin Daimiel. Ale mnóstwo najwycyżajniej zniknęło. A więc cóż mogę powiedzieć?

–A jak ci się wydaje, Mowaffak?

–Nie potrafię wyciągnąć ostatecznych wniosków, panie. Jednego dnia przychyliam się do jednej hipotezy, drugiego do przeciwnej. Próbuje odsuwać osobiste uczucia.

El Murid uśmiechnął się.

–Co najmniej kilkanaście razy docierałem do tego punktu, Mowaffak. I za każdym razem kończyło się na tym, że wybierałem ten sam sposób postępowania. Pozwalałem, by sprawy

biegły swoim torem, ponieważ Nassef jest tak użyteczny. Nie podejmowałem żadnych działań i czekałem w nadziei, że Nassef w końcu odsłoni swą prawdziwą naturę. Sądziłem jednak, że niezależny obserwator może odkryć coś, co mi umknęło.

–Nie karzemy przecież naszych dłoni, gdy zawiodą nas i upuszczą cenny przedmiot. Nie lubię Bicza Bożego i nie ufam mu. Jednak nie ma sobie równych. Karim jest dobry. El-Kader jest dobry. A jednak obaj są tylko cieniem swego mistrza. Muszę powiedzieć, że Pan dobrze wykuł swe narzędzia, pozwalając, by splotły się wasze losy. Niech więc w jego rękach pozostanie utrzymanie was razem.

–Wszelako...

–Dzień, w którym stanie się dla nas ciężarem, będzie ostatnim dniem jego życia, panie. Srebrny sztylet znajdzie drogę do jego serca.

–To pocieszające słowa, Mowaffak. Czasami zastanawiam się, czy zasłużyłem sobie na uczucia, jakimi obdarzają mnie Niezwyciężeni.

Mowaffak wydawał się zaskoczony.

–Mój panie, gdybyś nie zasługiwał, jak zaskarbiłbyś sobie naszą miłość?

–Dziękuję ci, Mowaffak. Uspokoileś mnie, mimo iż nie dostarczyłeś niezbitych dowodów i nie rozproszyłeś zamętu w mej głowie.

Zbliżał się kolejny Disharhun. El Murid z każdym dniem robił się coraz bardziej nerwowy. Chwila, w której nie będzie już odwrotu, mknęła ku niemu skroś czasu jak spadająca gwiazda. Kiedy Synowie Hammad al Nakir pokonają Sahel, będzie już za późno, by się wycofać. Wielka wojna potrwa, dopóki Imperium nie zostanie odrestaurowane albo jego ludzie nie zostaną wdeptani w ziemię.

Wojownicy już zaczęli się gromadzić. Zapytał Nassefa:

–Czy nie powinniśmy odłożyć tego na przyszły rok, aby mieć więcej czasu na przygotowania?

–Nie. Nie denerwuj się. Czas jest naszym wrogiem. Zachód jest słaby i pogrążony w zamęcie. Nie mają pewności, czy zaatakujemy. Jednak coś się tam dzieje, podejmują jakieś przygotowania. Za rok będą już wiedzieli i zdążą zorganizować obronę.

W Mashad El Murid przemówił do zebranych zastępów wiernych. Był zdumiony, że takie rzesze odpowiedziały na jego wezwanie. Stał wobec pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Zebrali się, ponieważ on tego chciał. A drugie tyle już znajdowało się w drodze do Sahel.

Najwidoczniej żaden dorosły mężczyzna nie miał zamiaru spędzić tego lata w domu.

Nakazał im nieść Słowo; potem wrócił do wnętrza Świątyni. Chciał pozostać przy Najświętszym Ołtarzu, modląc się, zanim czas nie rozstrzygnie losów kampanii.

Pierwsze doniesienia wydawały się zbyt dobre, by dawać im wiarę. Yasmid poinformowała go, że wszystko idzie lepiej, niżli Nassef śmiał przypuszczać. Potem przyszedł doń Mowaffak

Hali:

–Panie, potrzebuję twojej rady.

–Jakiej to?

–Człowiek imieniem Alif Shaheed, kapitan Niezwycięzonych, popełnił wielki błąd. Pytanie brzmi, jak powinniśmy nań zareagować.

–Wyjaśnij.

–Oddział Niezwycięzonych startł się z Gildią generała Hawkwinda na terytorium Hellin Daimiel. Postąpili głupio, wydając bitwę. Hawkwind rozbił ich w pył.

–A co to ma wspólnego z naszą decyzją odnośnie do Shaheeda?

–On objął dowództwo nad ocalałymi. Podczas ucieczki natknął się na posiadłość pozostającą w rękach Gildii.

Wyrznął w pień wszystkich jej mieszkańców.

–I co?

–Nie jesteśmy w stanie wojny z samą Gildią, panie. Walczymy z ludźmi, którzy są pracodawcami żołnierzy Gildii.

To znacząca różnica. Oni domagają się, abyśmy o tym pamiętali.

–Domagają się? Ode mnie, Mowaffak? Wymagania wobec mnie może mieć tylko Pan. Na pewno nie żaden ze śmiertelników.

–Zapewne tak jest, panie. Ale czy naprawdę powinniśmy bez konieczności ściągać na siebie nienawiść dziesięciu tysięcy mężczyzn, równie wiernych swej sprawie jak nasi Harish? Dwukrotnie zdarzyło się, że odprawili rytuał noszący u nich miano Sankcji Nonverid i jako zakon wyruszyli na wojnę. Za każdym razem wycięli swych wrogów w pień. Jeśli skoncentrują swe siły i pomaszerują na Al Rhemish, nawet Bicz Boży nie zdoła ich powstrzymać.

–Sądzę, że przesadzasz, Mowaffak. Żaden niewierny nie będzie mi dyktować, co mam robić.

–Po prostu sugeruję, byśmy nie dokładali dodatkowych ciężarów do tych, które już przyszło nam dźwigać, panie. Abyśmy wykonali gest, który ułagodzi starców z Wysokiej Iglicy. Znacznie łatwiej będzie stawić czoło Gildii rozproszonej niż Gildii w pełnej sile.

El Murid zastanowił się. Potrafił dostrzec sens argumentu Haliego. Wadi el Kuf na zawsze odcisnęło się w jego pamięci. Ale faktem było, że przyjmowanie warunków Gildii – w jakiegokolwiek sprawie – oznaczało przyznanie się do słabości. Nie ma słabości w tych, którzy wędrują ścieżką Pana.

–Wypuść Shaheeda. Niech wraca do Al Rhemish. Poza tym nie rób nic, prócz przekazania informacji dowódcom, aby nie dopuszczali do takich incydentów.

–Jak rozkażesz, panie. – Mowaffak Hali zbladł. On również przeszedł przez Wadi el Kuf. Miał nadzieję już nigdy więcej nie oglądać takiej rzezi.

Przez cały dzień szukał odpowiedzi w swym sumieniu, zanim znalazł w nim przyzwolenie na akt nieposłuszeństwa.

Trzema trasami wysłał trzech posłańców; każdy niósł listy błagające o zrozumienie i proponujące stosowne odszkodowania. Ale Pan tym razem nie był mu przychylny. Wszyscy trzej zaginęli gdzieś po drodze.

Rozdział 5

Czarne chmury Bragi dotarł do Wysokiej Iglicy po trwającej cztery miesiące podróży przez kolejne obozy uchodźców, rozproszone na całym obszarze Pomniejszych Królestw. Zamek był starożytną budowlą, pełną przeciągów, przycupniętą na najwyższym szczycie wietrznego, chłostanego przez morze przyładka, sterczącego z północnego wybrzeża Dunno Scuttari. Ragnarson stał chwilę na dole, patrząc wzdłuż wysokich stoków na bramy, wspominając przykrości, jakich zaznał podczas szkolenia rekrutów; omal nie odwrócił się na pięcie i nie odszedł. Tylko troska o brata kazała mu pokonać ten ostatni, króciutki etap podróży.

Wartownikowi przy bramie wyjaśnił powody spóźnienia. Ten polecił mu zgłosić się do raportu u sierżanta gwardii. Sierżant odesłał go do porucznika, a ten przekazał go kapitanowi, który z kolei kazał mu spędzić noc w koszarach, ponieważ w tym czasie stało się jasne, że będzie musiał powtórzyć swoją historię co najmniej kilkanaście razy, zanim ktoś wreszcie zdecyduje, co z nim zrobić. W rejestrze figurował w rubryce „zaginiony w boju, prawdopodobnie martwy”. Odszkodowanie za jego śmierć zostało wypłacone bratu. Pieniądze trzeba będzie zwrócić.

–Nic mnie to nie obchodzi – powiedział Bragi. – Chcę po prostu wrócić do brata i do mojej kompanii. Gdzie oni są?

–Kompania Sanguineta? Daleko, w okolicy Hellin Daimiel. Simballawein właśnie prowadzi negocjacje w sprawie wzmocnienia znajdującego się tam garnizonu Gildii. Powiadają, że El Murid planuje świętą wojnę. Chce wskrzesić Imperium.

–Dlaczego nie mogę zwyczajnie do nich dołączyć?

–Będziesz mógł, kiedy tylko otrzymasz rozkazy podrózne.

Ostatecznie spędził w Wysokiej Iglicy trzy miesiące.

Haaken gapił się jak ciele w malowane wrota.

–Oczom nie wierzę. Skąd, u diabła, się tu wzięłeś? – Młodzieniec, potężnie zbudowany, większy nawet od przyrodniego brata, zmęczonym krokiem podszedł do Bragiego i okrążył go powoli. – To ty. To naprawdę ty. Niech to diabli. Och, jasna cholera. Po tym całym kluciu w sercu, przez które musiałem przejść.

W przestrzeni między namiotami ktoś się rozdarł.

–Ty kłamiwy sukinsynu! – Żołnierz wbiegł na plac musztry. – Niech się zesram! To on. Co ty tu, u diabła, robisz, Bragi? – Tym razem był to wysoki, szczupły, opalony, rudowłosy chłopak imieniem Reskird Smokbójca, przyjaciel Haakena i jedyny oprócz nich Trolledyngjanin w kompanii.

Haaken otoczył Bragiego ramieniem.

–To naprawdę ty. Niech mnie cholera. Byliśmy pewni, że nie żyjesz.

–Dlaczego, do diabła, nie pojechałeś w jakieś inne miejsce? – dopytywał się Smokbójca. – Haaken, jak my teraz spłacimy to odszkodowanie za jego śmierć?

Bragi zaśmiał się.

–Ani trochę się nie zmienił, co? – zapytał Haakena.

–Nadal jest cholernie głupi. Nie sposób mu wbić do głowy odrobiny rozsądku. Powiedz chłopakom, Reskird.

–No – Smokbójca mrugnął do Ragnarsona.

–A więc gadaj – powiedział Haaken. – Jak się wydostałeś z Al Rhemish? Gdzie byłeś? Być może naprawdę powinieneś udać się gdzieś indziej. My przypuszczalnie kierujemy się do Simballawein. Adept coś knuje. Zapewne trafimy w sam środek tego zamieszania. No co? Nie możesz czegoś powiedzieć?

Bragi, szczerząc się, odparł:

–Mogę. Jeśli tylko dopuścisz mnie do słowa. Zdajesz sobie sprawę, że w ciągu ostatnich pięciu minut powiedziałeś więcej, niż zazwyczaj mówisz przez rok?

Powoli schodzili się pozostali towarzysze z oddziału Ragnarsona, spacerowym krokiem, jakby gnała ich tylko próżna ciekawość.

–Ho, ho – powiedział Haaken. – Oto zbliża się porucznik Trubacik.

–Porucznik?

–Było wiele awansów. Sanguinet jest obecnie kapitanem. Bragi zassał powietrze przez zaciśnięte zęby, nagle zdenerwowany.

–Spóźniłeś się, Ragnarson – warknął Trubacik. – Miałeś się stawić na warcie dziesięć miesięcy temu. – Zachichotał, rozbawiony własnym dowcipem. – Kapitan chce cię widzieć.

Przybył łącznik na spienionym koniu. Sanguinet rozkazał zamknąć bramy obozu, a pododdziały ustawić w szyku kompanii.

–Panowie, zaczęło się – oznajmił. – Wyruszamy do Simballawein. Generał Hawkwind tam do nas dołączy.

Pięć dni piekła na drodze, marszu po czterdzieści, pięćdziesiąt mil dziennie. Potem dogonił ich łącznik niosący wiadomość, że regiment Niezwycięzonych wpadł na Hawkwinda, który spuścił im lanie. Tylko garstce udało się uciec.

Mury obronne Simballawein majaczyły w oddali.

–Jest tak wielkie jak Itaskia – mruknął Ragnarson do Haakena.

–Chyba nawet większe. – Wiwatujące tłumy czekały na nich u bram. – Im się wydaje, że już wygraliśmy tę wojnę. Do diabła, miasto to nic innego jak pułapka bez wyjścia.

–Smutek, rozpacz i błogosławiona nędza – strofował go Smokbójca. – Wyrzyj na zewnątrz

z tej mgły, która cię spowija, i rozejrzyj się dookoła, Haaken. Spójrz na te dziewczynki. Zobacz, co mają w oczach. Sądzę, że są już gotowe do ataku. – Pomachał do stojącej najbliżej.

–Sanguinet nam za to...

Dziewczyna podbiegła do Reskirda. Wepchnęła mu w dłonie bukiet kwiatów, potem szła obok niego. Paplała coś. Smokbójca chętnie odpowiadał. Brak wspólnego języka nie stawał na drodze do porozumienia.

Haakenowi szczęka opadła. Zmusił się do zbolatego uśmiechu i też zaczął machać.

–Halo, halo – skrzeczał.

–Trochę swobodniej – pouczył go Bragi. – Naprawdę całkiem niezły z ciebie podrywacz, braciszku. – Poprawił rzemienie plecaka i spróbował także wyglądać pociągająco, nie wygłupiając się równocześnie. Powrócił na stanowisko dowódcy drużyny, ponieważ Haaken nie miał zamiaru zajmować jego miejsca. A więc musiał zachowywać się w miarę stosownie.

Zorientował się, że kapitan go obserwuje, a na jego twarzy zastygł pełen rozbawienia uśmieszek. Z powodów, których nie potrafił pojąć, stał się ulubionym obiektem zabiegów wychowawczych Sanguineta niemalże od momentu, w którym się zaciągnął. To jednak nie ułatwiało mu życia. Sanguinet wymagał od niego więcej niż od innych.

Okazało się, że trafili do żołnierskiego nieba. Picie było za darmo, kobiety chętne, ludzie ze wszystkich sił starali się ich zadowolić, a służba nie stawiała przed nim wielkich wymagań. Po raz pierwszy Bragi czuł zadowolenie z faktu, że jest żołnierzem.

Idylla trwała dwa tygodnie.

Horyzont skryła zasłona dymu. Wojownicy Nassefa okazali się bezlitosnymi zdobywcami. Czego nie byli w stanie zabrać ze sobą, palili, a wszystkich, którzy przed nimi nie uciekli, zabijali. Bicz Boży najwyraźniej całkowicie świadomie starał się umocnić swój paskudny wizerunek.

–Jasna sprawa, jest ich wielu – zauważył Bragi.

–Zbyt wielu – powiedział Haaken.

Siły Bicza Bożego z każdym dniem były coraz bliżej. Tylko nieliczne z wysuniętych warowni jeszcze się

trzymały.

–Musi być ich jakieś sto tysięcy – zgadywał Reskird.

Nie pomylił się wiele. Podniecenie wywoływane przez wojnę i plotki o łatwych łupach przeniknęły w najdalsze krańce Hammad al Nakir. Tysiące, które nie dbały o objawienie El Murida, odpowiedziały na jego wezwanie do broni.

Mogli nie być entuzjastami jego religijnego przesłania oraz projektów reform społecznych, jednak podobała im się idea wskrzeszenia Imperium i objęcia władzy nad światem, zawrócenia biegu dziejów. To zachód spowodował upadek Ilkazaru. Teraz młot trafił w inne dłonie.

Reskird miał kłopoty ze skrywaniem trapiących go obaw.

–Namioty niczym piana na morzu – mruczał.

–Konie nie potrafią wspinać się na mury – przypominał Bragi. I dodał: – Jeśli ruszą do szturm, zrobimy z nich kotlety.

Szeregi obrońców Simballawein liczyły dwa i pół tysiąca żołnierzy Gildii oraz dziesięć tysięcy doświadczonych żołnierzy miejscowych. Wielka Rada uzbroiła również obywateli miasta, jednak ich wartość bojowa była wątpliwa. Mimo to generał Hawkwind wierzył, że poradzi sobie z obroną.

–Coś musi pójść źle – wieszczył Haaken.

Tym razem jego pesymizm okazał się słuszny.

Nassef zabrał się do robót ziemnych szybko i z wprawą. Jego agenci doskonale wypełnili swe zadania. Szturm rozpoczął się od czołowego uderzenia nakierowanego na południowe mury, których broniły lokalne oddziały i miejska milicja. Hordy wojowników pustyni ruszyły naprzód, by polec u stóp umocnień. Jak wcześniej zauważył Bragi, nie był to sposób walki, który dobrze opanowali. Tych kilka machin oblężniczych, jakie zdołali zbudować, wzbudzało śmiech swoją niezgrabnością.

Ale Nassef znał swoich żołnierzy. Dlatego właśnie na długo przed początkiem inwazji zaczął przygotowywać grunt.

W Simballawein, podobnie jak wszędzie, żyła rasa ludzi lojalnych tylko wobec złota, jak również grupa zainteresowana wyłącznie szansą osobistego awansu. Agenci Nassefa zdołali z ludzi tej drugiej grupy utworzyć sprzyjający El Muridowi rząd na uchodźstwie. Quislingowie skorzystali z pustynnego złota, by nająć desperatów gotowych do zdrady miasta.

Zatakowali Południową Bramę Simballawein od wewnątrz, podczas gdy obrońcy zajęci byli odpieraniem ataku spoza murów. Zdołali otworzyć bramy. Rozbłysły szable. Jeźdźcy zawyli w przestrzeni bram. Żelazne kopyta wzniciły iskry na kamieniach bruku. Poleciała ulewa strzał z krótkich łuków. Z okien i dachów posypały się na nich strzały i oszczepy, jednak nie wyćwiczeni w sztuce wojennej obywatele nie potrafili powstrzymać nawały. Od konspiratorów, którzy przeniknęli w szeregi ich formacji, otrzymywali sprzeczne rozkazy. Pośpiesznie sformowane kompanie uciekały w bezpieczniejsze sektory. Szerzyła się panika. A jeźdźcy przez cały czas wlewali się przez zdobytą bramę, rozplywając po mieście niczym oliwa po powierzchni wody.

Panika objęła resztę grodu.

Panika stała się ulubioną bronią Nassefa podczas wschodnich kampanii. Z niej właśnie skorzystał podczas szturm na Al Rhemish. Teraz najwyraźniej zamierzał nauczyć zachodnie królestwa strachu przed jeźdźcami, którzy poruszali się szybko jak błyskawica, pojawiali się i znikali, uderzając niczym grom.

Simballawein było niczym dinozaur. Wielkość miasta nie pozwalała mu umrzeć od razu.

Stojąc na północnym murze obronnym, młodzieńcy obserwowali, jak płomień barwią krwią podbrzusza chmur, i nasłuchiwali jęków ginącego miasta.

–Wydaje mi się, że są coraz bliżej – powiedział Reskird.

Wiedzieli, co się stało. To była ostatnia noc niepodległego Simballawein. I byli przerażeni.

–Jak to możliwe, że tak spokojnie tu siedzimy? – zapytał jeden z żołnierzy.

–Nie mam pojęcia – przyznał Bragi. – Kapitan zawiadomi nas, co mamy robić.

–Jest cholernie gorąco – mruknął Haaken. Żar płomieni można było wyczuć z daleka.

–Nie mam zamiaru krytykować Hawkwinda...

–A więc nie rób tego, Reskird – warknął Haaken.

–Chciałem tylko powiedzieć...

–Ragnarson? – Porucznik Trubacik ostrożnie przestępował przez nogi nonszalancko rozłożonych na ziemi żołnierzy. Szczyty murów obronnych były tu wąskie.

–Tutaj, proszę pana.

–Do raportu u kapitana.

–Tak jest.

Trubacik przeszedł do następnej drużyny.

–Haven?

Bragi udał się na posterunek dowodzenia Sanguineta.

–Chodźcie tu bliżej – powiedział cicho kapitan, kiedy już wszyscy się pojawili. – I mówcie cicho. W porządku. Oto wiadomość. Nie ma szans, żebyśmy się utrzymali. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Generał już poinformował Wielką Radę. O północy zaczynamy się wycofywać.

Podniosły się głosy.

–Cicho. Ktoś tam może mówić po itaskiańsku. Panowie, chcę, żebyście porozmawiali ze swoimi ludźmi. Główne siły wroga przesunęły się w kierunku południowym, ale i tak czeka nas walka. W marszu. Dyscyplina będzie czynnikiem decydującym. Dlatego tym bardziej musimy się postarać. Jesteśmy zieloni. Przed nami i za nami będą weterani, ale i tak musimy utrzymać nasz odcinek kolumny.

Bragiemu wcale się to nie podobało. Hawkwind sądził, że jest w stanie przeprowadzić odwrót i przedrzeć się przez oddziały silniejszego liczebnie, bardziej ruchliwego wroga.

–Utrzymanie dyscypliny jest sprawą życia i śmierci. Bierzemy ze sobą cywilów. Członków Wielkiej Rady, ich rodziny i Tyrana. Tyranowi towarzyszyć będzie własna eskorta, ale nie liczyłbym na nich w trudnej sytuacji. Znaleźliśmy się w wąskim zaułku. Nie możemy liczyć na nikogo prócz naszych towarzyszy.

Do Ragnarsona zaczynało powoli docierać, co to znaczy być żołnierzem Gildii.

Zrozumiał także, w jaki sposób Hawkwind może usprawiedliwić nie wywiązanie się ze zlecenia. Skoro władcy Simballawein opuszczali swój lud, on po prostu trzymał się swoich zleceńodawców.

–Marsz nie potrwa długo. Musimy tylko dotrzeć do zatoki w punkcie wybrzeża odległym stąd o dwanaście mil na północ. Czekają tam flota, która nas zabierze.

–Dlaczego nie odpłyniemy stąd?

–Nabrzeże jest już w rękach wroga. To wszystko, żołnierze. Nie zostało wiele czasu. Wyjaśnijcie wszystko swoim ludziom. Dyscyplina i milczenie. Dyscyplina i milczenie.

Grupa rozproszyła się. Potem ten sam proces powtórzył się wszędzie.

–To szaleństwo – protestował Reskird. – Wszystkich nas pozabijają.

–A jakie mamy szanse, zostając tutaj? – zapytał Bragi. – Haaken, znajdź mi brudną skarpetę.

–Co?

–Znajdź mi skarpetę. Mam zamiar wepchnąć mu ją do buzi i wyciągnąć dopiero na pokładzie statku. Nie pozwolę, żeby się tu wydzierał i żebyśmy przez niego zginęli.

–Hej! – zaprotestował Reskird.

–Jest to ostatni dźwięk, jaki słyszałem z twoich ust dzisiejszej nocy. Zbierajcie swoje rzeczy. Nadchodzi Trubacik.

–Gotowi, Ragnarson?

–Gotowi, panie poruczniku.

–Sprowadź ich na ulicę. Kapitan sformuje szyk.

Oczekiwanie pod bramą, na spowitej mrokiem ulicy zdawało się trwać wieczność. Nawet Sanguinet zaczął się niecierpliwić. Kilku członków Wielkiej Rady spóźniało się.

Lokalni żołnierze powoli przechodzili na stronę straży przybocznej Tyrana. Żołnierze Gildii zaczęli się robić nerwowi.

Więści o planowanym odrocie szerzyły się. Niedługo dotrą do uszu wroga.

Korzystając ze zwłoki, Hawkwind dokonał przeglądu swych wojsk. Był niskim, szczupłym człowiekiem po pięćdziesiątce. Wyglądał na nieszkodliwego sklepikarza, nie na najgroźniejszego dowódcę swej epoki. Póki nie spojrzano się mu w oczy.

Bragi potrafił dostrzec drzemającą w nim surową siłę. Siłę wspartą czystą potęgą woli. Tylko Śmierć mogła pokonać człowieka takiego jak sir Tury Hawkwind.

Hawkwind dokończył przegląd, a potem poinformował Tyrana, że dłużej nie można już czekać. Bramy otworzyły się. Ragnarson był zaskoczony tym, jak cicho poruszają się odrzwia.

Chwilę później zaczął marszobieg ku niebezpieczeństwu. Ognie straży wroga układały się w konstelacje na wzgórzach i równinie. Ścisnął swój oręż i ekwipunek, aby nie szczękały, i próbował się nie bać.

Ale w istocie był przerażony. Śmiertelnie przerażony. Znowu. Po tym wszystkim, co przeżył, wydawało mu się, że zdolność odczuwania strachu w nim umarła.

Ruszyli na północ drogą, którą wcześniej kompania Sanguineta pokonała podczas marszu na południe. Potem zjeżdżają z niej i wkraczą na drogę wiodącą ku wybrzeżu.

Pierwszy kontakt z wrogiem miał miejsce prawie natychmiast. Ludzie Nassefa byli czujni. Ale nie spodziewali się wycieczki pełną siłą. Żołnierze Gildii przebili się przez ich oddziały z łatwością.

Bragi pojął nagle, dlaczego Hawkwind zdecydował się na ucieczkę o północy. Ciemność odbierała nieprzyjacielowi najsilniejszą broń – szybkość i swobodę manewru. Tylko samobójcy galopowali przed siebie, nie widząc ziemi pod końskimi kopytami.

Niemniej ludzie Nassefa wciąż szarpali kolumnę. Kiedy wreszcie udało im się spowolnić jej marsz, ich

towarzysze zaatakowali ją od tyłu.

Kompania Bragiego rzadko brała udział w bezpośredniej walce. On i Haaken znaleźli sobie zajęcie, niosąc żołnierza Gildii, który padł i o mało nie został z tyłu. Nie rozmawiali wiele.

Minęła godzina. Pokonali kolejne mile. Następną godziną trafiła na półkę w magazynie czasu. Hawkwind niezłomnie parł naprzód. Wróg nie potrafił rzucić przeciwko niemu wystarczających sił.

Godziny i mile. Niebo powoli zaczynało jaśnieć.

–Słyszysz już fale – szepnął Haaken. Ich brzemień stawało się nieznośnie ciężkie.

Bragi parsknął.

–Nawet gdybyśmy byli tuż przy brzegu, nie usłyszałbyś fali przyływu w hałasie, który robimy.

Ale Haaken miał rację. Stratowali jeszcze gaj oliwny i oto zobaczyli morze. Galaktyka latarń sygnalizowała miejsce cumowania statków.

–Okręty – wymamrotał pod nosem Haaken. – Widzę okręty.

Wyścig skończył się dziesięć minut później. Principes i triarii sformowali szyk obronny. Pierwsze łodzie wiosłowe przewoziły członków Rady na statki.

Flota była naprawdę okazała. Niektóre z okrętów zdołały uciec z Simballawein. Inne wysłały władze Hellin Daimiel na wypadek takiej właśnie ewentualności – zależało im na ratowaniu żołnierzy Gildii, którzy mieli wzmocnić obronę.

Ludzie El Murida atakowali, ale brakowało im zapału i organizacji. To nie byli fanatycy, tylko łupieżcy. Nie widzieli żadnej korzyści w wycięciu w pień wroga. Żołnierze Gildii z łatwością odpierali ich ataki.

Kompania Bragiego jako ostatnia zajmowała miejsca w łodziach.

Bragi właśnie zabierał się do wyciągania grotu strzały z ramienia Reskirda, kiedy Sanguinet powiedział:

–Z was, chłopcy, może jeszcze będą żołnierze.

Bragi poczuł zaskoczenie. Nie zauważył, jak kapitan wchodzi na pokład.

–Proszę?

–Widziałem, jak zabraliście człowieka i donieśliście go na plażę.

–To był jeden z naszych.

–Będziesz jeszcze żołnierzem, Ragnarson. Podobnie jak twój brat. Przez ostatnie trzy mile nieśliście trupa.

–Co? Nie zauważyłem.

–A co się dzieje z twoim kumplem? Zwykle nawet kiedy śpi, nie jest taki cichy.

–Kazałem mu się zamknąć. Zaczynał mnie wkurzać.

–Tak? Być może z niego również będzie jeszcze żołnierz Gildii.

–Może. Możesz już mówić, Reskird. Postawiłeś na swoim.

Ale Smokbójca nie odezwał się. Był obrażony.

Trzy dni później flota dotarła do Hellin Daimiel.

Hordy Nassefa ścigały ich od północy. Drogi wychodzące z miasta były już zablokowane. Pierścień okrążenia zaciskał się szybko. Za kilka dni otwarta pozostanie tylko droga morską.

Hellin Daimiel to nie było Simballawein. Sprzymierzeńcy Nassefa zostali wyłapani i powieszeni, zanim zdążyli spowodować jakiegokolwiek szkody.

Kompania Bragiego spędziła tu sześć tygodni, póki Hawkwind i rządząca rada nie upewnili się, że miastu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo.

–Spotkanie sztabu kompanii – poinformował Trubacik pewnego ranka Ragnarsona. – Plotki były prawdziwe.

Wyruszamy.

Sanguinet był wyraźnie skwaszony.

–Cytadela wysłała nas do Pomniejszych Królestw. Nassef w chwili obecnej stracił zainteresowanie Hellin Daimiel. A tymczasem Itaskia i pozostałe królestwa północy wystawiają armię. Po nas oczekuje się, że powstrzymamy Nassefa przed oczyszczeniem wschodniej flanki, zmusimy do pozostania na południe od Scarlotti, póki nie przybędzie armia z północy. Będzie ciężko, szczególnie jeśli Kavelinianie nie utrzymają Przełęczy Savernake. Wyruszamy do Altei. Przypuszczam, że ten manewr ma znaczenie czysto propagandowe. Jedna kompania nie na wiele się przyda. Moim zdaniem tylko marnujemy siły. Cytadela powinna zwołać cały zakon i przejąć inicjatywę. Ale Wysoka Iglica nie pyta mnie o zdanie.

Rankiem się zaokrętuujemy. Przewiożą nas do Dunno Scuttari. Tam przesiądziemy się na statki żeglugi rzecznej. Zejdziemy na ląd gdzieś we wschodniej Altei i będziemy bawili się w berka.

Panowie, jesteście najlepszymi żołnierzami świata. Ale sądzę, że tym razem ktoś za bardzo ufa w nasze siły. Przekażcie to delikatnie swoim ludziom.

Sanguinet pozwolił zadać tylko kilka pytań. Nie potrafił udzielić żadnych odpowiedzi.

Reskird przestał się dąsać po kilku wizytach w tawernach i burdelach miasta. Odzyskał rezon.

–Wyglądasz jak śmierć na urlopie – poinformował Bragiego. – Co jest? – Przewożą nas statkami do Pomniejszych Królestw. – Hę?

–Dokładnie do Altei. Tam będziemy zdani na własne siły. Lepiej módl się, żeby Sanguinet okazał się tak dobrym kapitanem, jakim był sierżantem.

Haaken nie skomentował tych wieści. Tylko ponuro pokiwał głową.

Rozdział 6

Wędrowiec Grubas dziko wymachiwał rękami i nogami. Znowu musiał to zrobić. Ścigającym go chłopcom z pewnością obce było pojęcie miłosierdzia.

Jego ośliczka chociaż raz wykazała chęć współpracy. Truchtała obok, smutno przewracając oczyma, jakby pytała, czy jej pan wreszcie pójdzie po rozum go głowy. Na razie majaczyła przed nim wizja poderżniętego gardła i rychłego śmiertelnego zejścia.

Człowiek, który sam ochrzcił się Szydercą, najwyraźniej znajdował się na równi pochyłej. Miasto, z którego uciekał, nazywało się Lieneke. Było niewiele większe od zwykłej wsi. A nawet przypadkowa zbieranina wieśniaków przyłapała go na oszukiwaniu.

Lekcja, jaką otrzymał, powoli docierała do jego świadomości. Odtąd trzeba będzie wszystko robić inaczej. Zakładając oczywiście, że ujdzie cało.

Chłopcy z Lieneke byli najwyraźniej zdeterminowaną i upartą zbieraniną wieśniaków, ale w końcu się poddali. Chociaż gruby i leniwy, Szyderca krył w sobie pokłady wytrzymałości. Zmykał, póki nie zrezygnowali z pościgu.

Przebierał nogami tylko do chwili, gdy zniknął im z oczu. Potem padł jak martwy na skraju drogi i przez dwa dni nie ruszał się z miejsca. Czas ten poświęcił na poważne przemyślenie swojej sytuacji, dochodząc w końcu do wniosku, że najwyraźniej nie dysponuje zdolnościami pozwalającymi żyć z oszustwa. Ale cóż innego mógłby robić? Jedyne umiejętności, jakie posiadał, pochodziły od Zajaca i jemu podobnych. „Powiniennem znaleźć sobie mecenasa” – pomyślał. Kogoś głupiego, lecz opływającego w odziedziczone bogactwa. Uśmiechnął się paskudnie, a potem zaprzysiągł za wszelką cenę unikać gier hazardowych i ordynarnego rabunku.

Jego oficjalna profesja była społecznie akceptowana. Oczywiście, zdobywał pieniądze pod fałszywymi auspicjami, ale to przecież jego klienci sami się oszukiwali. Powszechne nastawienie wobec takiej działalności streszczało się w tolerancyjnym caveat emptor. Ludzie dostatecznie łatwowierni, by kupować jego szalone rady i szkodliwe środki upiększające, zasługiwali na to, co ich spotykało.

W końcu, kiedy głód w połączeniu ze strachem dał mu się we znaki, ruszył z miejsca. Strach wywołał przejeżdżający oddział rycerzy. Kilka tygodni wcześniej spotkał podobny oddział w pobliżu Vorgrebergu. Zbrojni z rycerskiego orszaku spuścili mu porządne lanie tylko dlatego, że był obcy. Poza tym nie przyjął nauczki ze stosowną pokorą, co nie wpłynęło na złagodzenie jej charakteru. Przyparty do muru potrafił walczyć zajadle i nieczysto. Kilku z nich porządnie poharatał. Może nawet by go zabili, gdyby nie wtrącił się któryś z rycerzy.

Kavelin było państwem typowym dla Pomniejszych Królestw. Te małe księstwa stanowiły zupełnie zwariowany galimatias, w którym chaos definiował normę struktury społecznej. Ich ziemiami rządili słabi królowie, silni baronowie i bizantyjska polityka. Granice krajów rzadko określały bądź ograniczały zasięg lojalności, aliansów i konspiracji. Wojny między szlachtą były na porządku dziennym. Niekontrolowany porządek lenny sięgnął tu szczytów. Baron – rabuś stanowił endemiczną plagę społeczną. Równie łatwo można było natknąć się na przydrożnego bandytę-rycerza z pozbawioną godła tarczą.

Były to ziemie wręcz stworzone dla Szydercy.

W chwili obecnej zachodnie Kavelin ogarnęło zamieszanie. Baronowie rzucali się sobie wzajem do gardeł. Ale ich małe armie częściej łupiły niewinnych ludzi, niżli ścierały się w boju. Wszędzie jak okiem sięgnąć łatwo było o zdobycz.

Szyderca doszedł do wniosku, że doskonałym miejscem na rozpoczęcie jego krótkiej zapewne kariery będzie Damhorst, zdające się być wysepką porządku w całym tym bałaganie.

Damhorst liczyło jakie dziesięć tysięcy mieszkańców, było zamożne, ciche i przyjemne. Ponury stary zamek, usadowiony na wzgórzu ponad miastem sprawiał na tyle onieśmielające wrażenie, by wymusić przyzwoite zachowanie. Baron Breitbarth cieszył się wśród rozmaitych łotrów ponurą sławą. Damhorst zawdzięczało swą zamożność po części faktowi, że kolejne oddziały żołnierzy przybywały doń po walce, aby po śmiesznie niskich cenach pozbywać się łupów.

Dotarłszy na rynek miasta, Szyderca dostrzegł wokół placu całkiem reprezentacyjny zbiór ludzi swego pokroju. Podszedł i zajął miejsce wśród nich. Nie wyróżniał go nawet akcent ani kolor skóry.

Losy niemalże natychmiast postanowiły wystawić na próbę jego zdecydowanie. Tradycyjny towar, jakim handlował, nie bardzo nadawał się dla żołnierzy pragnących na moment zapomnieć o wczoraj i jutrze. Skoncentrował się więc na wyyskiwaniu kobiecej próżności. Jednak damy, z którymi przyszło mu się tu spotkać, były przeważnie mądrymi życiowo kobietami o wątpliwej reputacji. Nie potrzebowały jego wyrobów, by sprzedawać to, czego od jego zwyczajowych klientek mało kto chciał za darmo.

Niemniej losy potrafią niekiedy okazać względy. Czasami zaś w ramach zadośćuczynienia za całe życie pełne brudnych figli podsuwają jedną bajeczną okazję.

Dzień był miły. Szyderca musiał przyznać, że w Kavelin zwykle jest miło. Głównym kaprysem aury nękającym to

maleńkie królestwo była polityka.

Liście powoli zmieniały barwę. Był to widok, który zdumiał go i urzekł. Na jego rodzimych ziemiach drzewa stanowiły rzadkość. Skomplikowane plamy i eksplozje barw w lasach Kavelin sprawiały, iż pożałował, że nie potrafi malować – tak bardzo chciał na wieczność utrwalić ich przemijające piękno.

Dzień był ciepły i rozleniwiający. Szyderca siedział na swej macie wśród rozłożonych towarów i spod przymkniętych powiek przyglądał się światu. Nawet fakt, że nie dysponował

choćby miedziakiem, jakoś był mu obojętny. W tej chwili zawarł pokój i zjednoczył się ze wszechświatem. Był to jeden z tych rzadkich stanów całkowicie harmonijnego poczucia doskonałości.

Potem ją zobaczył.

Była piękna. Młoda, prześliczna i bezbrzeżnie smutna. I zagubiona. Przemierzała w oszołomieniu plac, jakby nie miała dokąd pójść i zapomniała, jak trafiła na to miejsce. Wydawała się krucha i bez reszty podatna na ciosy.

Szyderca poczuł, jak budzą się w nim jakieś niepojęte emocje. Może było to współczucie. Nie potrafił tego nijak określić. Samo pojęcie współczucia było mu wszak obce. Niemniej dziwne uczucie trwało, postanowił więc pójść za jego głosem. Kiedy tamta, wędrując na oślep, dotarła w pobliże miejsca, gdzie siedział, szepnęła:

–Pani?

Spojrzała w jego stronę i zobaczyła dwie pacynki po obu stronach okrągłej smagłej twarzy. Prawa ukłoniła się wdzięcznie.

Druga zagwizdała.

Pierwsza warknęła:

–Zachowuj się, Polo, ty prostaku! – i przesunęła się, aby ukarać gwizdzącą. – Zachowuj się w obecności szlachetnej damy.

Szyderca mrugnął ponad zajęętą ręką. Na jego ustach zastygł lekki uśmiech.

Była młodsza, niżli z początku osądził. Nie więcej niż osiemnaście lat.

Pierwsza pacynka ukłoniła się znowu i powiedziała:

–Błagam o wybaczenie, szlachetna damo. Ten wieśniak Polo urodził się w stodole, a wychowała go podwórkowa kotka, bardziej niż to zwykle bywa pozbawiona manier oraz moralności. – Kilukrotnie uderzył jeszcze drugą pacynkę. – Barbarzyńca.

Kiedy pierwsza pacynka znalazła się znowu po prawej stronie Szydercy, Polo gwizdnął ponownie. Tamta jęknęła:

–Hai! Cóż można począć z takim dzikusiem jak ten? Naprawdę chcesz, żebym ci paskiem wbił maniery do głowy?

Uśmiechnęła się.

–Naprawdę wydaje się milutki.

Polo udawał, że się wstydzi, podczas gdy pierwsza pacynka krzyczała zdumiona:

–Biada! Nigdy ci on się nie ucywilizuje, gdy piękne damy za niegrzeczność odplącać mu będą uśmiechem, od którego robi się ciepło na sercu.

–Jesteś tu nowy, nieprawdaż? – To pytanie było skierowane do Szydercy.

–Przybyłem do miasta trzy dni temu, wprost ze wschodu, spoza gór M’Hand.

–Jak daleko! Nigdy nie byłam nawet w Vorgrebergu. Kiedy wychodziłam za Wulfa... Ale to głupie, zamartwiać się tym, co mogłoby być, nieprawdaż?

–Niewątpliwie. Jutro jest zbyt pełne tego, co zdarzyć się może, by się przejmować tym, co mogło zdarzyć się wczoraj.

Pierwsza pacynka skryła twarz w dłoniach.

–Słyszałeś, Polo? Wielki facet znowu zaczyna gadać filozoficzne nonsensy.

–Byłby z niego pierwszorzędnym nawóz, gdyby go rozrzucić na grządce kapusty, Tubal – odparł Polo. – Nie będziemy zwracać na niego uwagi, co? Hej, panienko, słyszałaś kawał o magiku i czarodziejkiej różdżce? Tubal prychnął:

–Polo, taki wieśniak jak ty potrafiłby wzbudzić niesmak samego diabła. Zachowuj się. Albo poproszę wielkoluda, żeby nakarmił tobą czaszkę.

–Czaszka nie gryzie – oznajmił trzeci głos, którego Szyderca udzielił następnemu rekwizytowi. – Jest na diecie. Musi trochę schudnąć.

Własnymi ustami Szyderca rzekł:

–Jako zwykły uliczny komediant z pewnością nie mam prawa pytać. Widzę jednak wielką rozpacz przepełniającą damę i smuci mnie ona. Dzień jest zbyt piękny na żalobę.

–Och. Mój mąż... Sir Wulf Heerboth. Umarł zeszłej nocy. Ani na chwilę oka nie zmrużyłam.

Tubal i Polo wymienili spojrzenia. Odwrócili się do Szydercy. Ten tylko wzruszył ramionami. Zabrakło mu kontenansu.

–To wielka szkoda, że tak śliczna osóbką owdowiała tak młodo.

–Przeżyliśmy takie cudowne chwile... Och, co ja mówię? Przecież czuję nieomal zadowolenie. Wulf był

potworem. Mój ojciec zaaranżował to małżeństwo. A potem przyszły dwa lata udręki. Tyle z tego miałam. Teraz wreszcie odzyskałam wolność.

Szyderca powoli zaczynał dostrzegać rysujące się przed nim perspektywy. Jej żaloba po części brała się stąd, że tego po niej oczekiwano, po części z poczucia winy wywołanego szczerą ulgą, wreszcie po części z braku poczucia bezpieczeństwa zwiastowanego wizją przyszłości bez opiekuna.

–Taka piękna dama jak ty, pani, ze szlachetnego rodu... Moźni panowie będą padać do twych stóp, zanim minie okres żaloby. Gotów jestem się założyć. To rzecz równie pewna jak to, że magus primus Occlidiańskiego Kręgu. Nie ma się czego obawiać, szlachetna pani. I nie wstydz się też uczucia ulgi, z jakim powitałaś wyzwolenie z niewoli okrutnego małżonka. Nigdy, nigdy nie zachowuj się zgodnie z tym, czego oczekują od ciebie rodzina i przyjaciele. To prosta droga ku nieszczęściu. Mówię ci to, czerpiąc z własnych a gorzkich, doświadczeń.

–Oho – odezwał się Polo. – Proszę bardzo. Przyszedł czas na górnolotne opowieści.

–To chyba strasznie głęboka myśl jak na kogoś w twoim wieku.

Szyderca nie przypuszczał, aby była więcej niż rok odeń starsza, jednak nie protestował. Tubal odrzekł:

–Wielkolud urodził się w dziurze w ziemi. W głębokiej dziurze.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

–Jak ma...

–Jama, to również głęboki temat. Rozmaitej zresztą głębokości. W Shousta-Wotka...

–Jak masz na imię, komediantcie?

Zbity z pantafyku, nie potrafił na poczekaniu nic wymyślić, więc rzekł:

–Ze wstydem wyznać muszę, że nie wiem. Sam siebie w myślach zwę Szydercą.

–A co z twoimi rodzicami?

–Nigdy ich nie poznał.

–Jesteś sierotą?

Wzruszył ramionami. Nie myślał o sobie w ten sposób. Lubił roić sobie, że Zajac uprowadził go od rodziców, że być może nawet jeszcze teraz go szukają. Może był zaginionym księciem albo synem wielkiego domu kupieckiego.

–Niewykluczone.

–To straszne. Jesteś sam na świecie?

–Miałem kiedyś staruszkę. Podróżowałem z nim czas jakiś. Potem umarł.

Jakiś cichy wewnętrzny głos szeptał mu, że sam doprasza się kłopotów. Jego świat zamieszkiwały dwa rodzaje ludzi: frajerzy oraz ci, z którymi nie chciał mieć do czynienia, ponieważ mogliby go załatwić bez mrugnięcia okiem. Ta kobieta nie pasowała do żadnej z tych dwu kategorii. Co czyniło ją podwójnie niebezpieczną. Nie miał pojęcia, jak ją traktować.

–To doprawdy smutne – powiedziała. – Mój ojciec wciąż żyje i poniekąd to również jest smutne. Wiem, że będzie próbował położyć ręce na wszystkim, co Wulf mi zostawił.

Ding! Zadzźwięczało coś w głębi głowy Szydercy.

–Onże ojciec... Może jest przesądny? We mnie znajdziesz najzręczniejszego przecherę...

–Nie mogę przecież wyrzucić krzywdy własnemu Ojcu! Nawet jeśli wydał mnie za mąż, z góry mając nadzieję, że Wulf wcześniej czy później da się zabić. To nie byłoby w porządku...

Wtedy wtrącił się Tubal.

–A przecież powiadano ci, nie tak znowu dawno temu, że nie należy pozwolić przyjaciółom i rodzicom kierować swoim życiem. Wielkolud nie rozminął się z prawdą.

–Nie znasz mojego ojca.

–Prawdę rzekłaś – odrzekł Szyderca. – A onże nie zna korpulentnego kupca komunałów. A więc. Rzeczy równe innej rzeczy są sobie równe. Czy coś w tym stylu. Hai! Pani: ponieważ łatwo popadam w konfuzję, nie mogę przez cały czas zwracać się do rozmówczynie „szlachetna damo”. Musisz mieć jakieś imię.

–Och, tak. Jestem Kirsten. Kirsten Heerboth.

–Kirsten. Pięknie brzmi. Jak śpiew dzwoneczków. Bardzo stosownie. Kirsten, może zawrzemy umowę? Za niewielką kompensatę, ja, jako że magus wielki inżynier spraw społecznych, podejmuję się uchronić cię przed knowaniami kłopotliwego ktosia, jako też chciwością jemu podobnych. Nietrudno sprostać moim wymaganiom, jako że jestem wędrowcem zainteresowanym głównie zwiedzaniem obcych krain. Potrzebny mi jedynie wikt i łożo. Zwłaszcza na tym pierwszym by mi zależało.

–No, nie wiem... To nie wydaje się... Naprawdę jesteś głodny?

–Głodny? – zapytał Polo. – Wielkolud od jakiegoś czasu mierzy już wzrokiem konia po drugiej stronie placu, który niestety jest utytułowanym rumakiem Najwyższego Sędziego Damhorst.

–No cóż, chodź więc. Nie sądzę, aby poczęstowanie cię obiadem miało komuś wyrzucić krzywdę. Ale musisz coś mi obiecać.

Szyderca westchnął.

–Cóż mianowicie?

–Pozwól Polo opowiedzieć mi o kapłanie i magicznej różdżce.

–Odrażające! – warknął Tubal, kiedy Szyderca wepchnął go do worka z bagażem. – Bez reszty wstrząsające – mamrotała jeszcze zamknięta w środku pacynka.

Szyderca wyszczerzył się.

Kirsten miała niewielki dom w mieście, stojący w cieniu ponurego zamczyska barona Breithbartha. Służba składała się z jednej podstarzałej pokojówki, pełniącej równocześnie obowiązki kucharki. Sir Wulf był jednym ze wzmiankowanych rycerzy-rabusiów, ale najwyraźniej nieszczególnie mu się wiodło. Zostawił Kirsten dom, złotego nobla, stanowiącego walutę obiegową tutejszego handlu, oraz małą sakiewkę klejnotów, którą znalazła u niego pod koszulą, po tym jak zmarł w jej ramionach. Dzięki złotu mogła przeżyć następny miesiąc lub dwa, dzięki klejnotom jeszcze kilka lat; cóż z tego, skoro zupełnie nie знаła życia.

Szyderca powtórzył swą uwagę, tym razem dosyć jednoznacznie stwierdzając, że winna własną urodę potraktować jak posiadaną fortunę.

Zaproszenie na obiad przerodziło się w miesięczny pobyt. Za dnia Szyderca rozkładał matę na placu – upierał się, że ma swoją dumę – i oddawał swoim zwykłym zajęciom. Niekiedy nawet odnosił sukcesy. Ludzi naprawdę bawiła – rozrywkowa przynajmniej – część jego przedstawienia. Często zdarzało się, że Kirsten przychodziła popatrzeć. Szyderca najwyraźniej dysponował niewyczerpanymi zapasami bujdy.

Wieczorami zabawiał ją opowieściami ze wschodu. Kirsten szczególnie lubiła występy Tubala i Polo, popularnych bohaterów przedstawień kukiełkowych na wschód od gór M’Hand. Zresztą rywalizacja miejskiego cwaniaczka z prostym wiejskim chłopakiem podobała się wszystkim. Klasyczne przedstawienia łatwo było zaadaptować dla potrzeb konkretnej publiczności, czy to miejskiej, czy prowincjonalnej.

Czas, bliskość i samotność dokonały swych diabolicznych cudów. Szyderca i Kirsten

najpierw stali się czymś więcej niż towarzyszami niedoli, potem czymś więcej niż przyjaciółmi.

Uporanie się z ojcem Kirsten wymagało odrobiny pomysłowości. Za zarobione na rynku pieniądze Szyderca wynajął kilku zbirów, którzy wyprowadzili starca za mury miasta. Parę siniaków i guzów sprawiło, że nie miał kłopotów ze zrozumieniem przekazu. Poszedł swoją drogą. Kirsten rzecz jasna nigdy się o niczym nie dowiedziała. Wciąż nie przestawała się dziwić, że jej staruszek poprzestał na jednej przyjacielskiej wizycie.

Szyderca zaczynał czuć się zagubiony. Miał przecież swoje plany. Mgliste rojenia, nic więcej, niemniej były to jakieś projekty. A teraz wyglądało na to, że jego zamiary spełzną na niczym przez przygodnie poznaną kobietę. Po raz pierwszy spotkał istotę ludzką, w której nie widział ani przeciwnika, ani kogoś, kogo można by wykorzystać. Nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Nigdy dotąd nie przeżył nic takiego. Im dłużej to trwało, tym bardziej było mu z tym niewygodnie.

Omalże nie spanikował tego dnia, gdy Kirsten oznajmiła mu, że widziała się z kapłanem i że kapłan z nim również chciałby się spotkać. Ledwie się powstrzymał od natychmiastowego rzucenia się do ucieczki.

Kilka dni później Kirsten poskarżyła się:

–Pieniądze mi się skończyły. Udało ci się coś zarobić?

Skłamał, żywo kręcąc głową:

–To był koszmarne tygodnie. Jesienne deszcze. Robi się zbyt zimno, zbyt wiele błota na ulicach.

–Przypuszczam więc, że trzeba będzie sprzedać kamienie. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Tolverem. To złotnik z ulicy Głównej. Powiedział, że da mi dobrą cenę. Może poszedłbyś do niego i zapytał, ile proponuje?

–Ja? Po nocy? W mieście pełnym bandziorów i złodziei? – Czuł łomotanie serca. Nie potrafił nawet sobie wyobrazić, że wytrwa z taką fortuną dłużej niż pięć minut.

Ograniczał go własny światopogląd. W każdym widział złodzieja, jakim sam był.

–Poradzisz sobie z tym, kochany. Widziałam na własne oczy, na co cię stać. Poza tym kto będzie wiedział, że masz je przy sobie?

–Wszyscy zrazu zobaczą. Jestem nerwowo, zamartwiać się będę w głos...

–Nie wygłupiaj się. – Wcisnęła skórzaną sakiewkę w jego tłuste dłonie. – Idź już. Albo jutro nie będziemy mieli co jeść.

Poszedł. Zamiary miał honorowe. Kirsten była jego pierwszą miłością. Pierwsze ukłucie pokusy poczuł dopiero, gdy doszedł do Głównej.

Stanął jak wryty.

Zaczął myśleć o tym wszystkim, co mógłby kupić za pieniądze otrzymane za klejnoty. O Kirsten i bliskiej wizycie u kapłana. O możliwościach gry, jakie daje dostęp do nieograniczonych stawek. O tym cholernym kapłanie...

Wreszcie uległ podszeptom paniki. Tym razem naprawdę uciekł.

Póki nie przekroczył granicy Altei, nawet nie zdawał sobie sprawy, że zostawił ośliczkę i dobytek.

Wtedy jednak było już za późno. Nie mógł wrócić. W oczach Kirsten był już na zawsze przeklęty. Bolało. Bardzo. Przez całe tygodnie ból sprawiał, że Szyderca był cichy, milczący i trzymał się z dala od kłopotów. A cierpienie jakoś nie chciało go opuścić. Zaczął pić, aby je zagłuszyć. Wreszcie w Alperin, małym mieście

południowej Altei, pijany zasiadł do gry.

Pecha miał wprost niesłychanego. Jego stan umysłu również nie pomagał rozważnie szafować groszem. Nim pozwolili mu odejść, znowu był bankrutem; na szczęście miał tyle zdrowego rozsądku, aby wcześniej zaopatrzyć się w narzędzia swej podejrzanej profesji.

Trudy przetrwania zimy w Altei sprawiły, że nie myślał dłużej o Kirsten. Nie było już dla niej miejsca w jego sercu. Stracił ją na dobre. Wraz z nią wyrzucił z pamięci ambitne postanowienia odnośnie do gry i złodziejstwa. Przestał martwić się, co przyniesie jutro. Jego przyszłość malowała się w zbyt mrocznych barwach. Nie potrafił już nadać jej żadnej treści. A im mniej o niej myślał, tym bardziej stawała się ponura. Znalazł się w pułapce bez wyjścia. Każdy poryw sugerujący choćby wolę życia i pragnienie poznawania nowych rzeczy systematycznie tłamsił winem i głupimi przestępstwami.

Na południe od Altei leżało Tamerice, królestwo wciśnięte niczym długi wąż między góry Kapenrung i granicę alteańską. Na wiosnę Szyderca przeniósł się do Tamerice. Powodziło mu się dostatecznie dobrze, by dusza nie chciała opuścić ciała. Stracił na wadze. Miewał napady dreszczy, które czasami zdradzały go podczas wykonywania bardziej skomplikowanych sztuczek.

Z najlepszym przyjęciem spotykał się wtedy, kiedy zniżał się do zabawiania innych. Obywateli Tamerice naprawdę rozweselały przedstawienia z udziałem Tubala i Polo. Ale Szydercę wciąż prześladowały fałszywa duma i nieświadomione pragnienie śmierci. Występował tylko wówczas, gdy głód dał mu się porządnie we znaki.

Do miasteczka Raemdouck przybył śladem cyrku i zaraz rozłożył swą matę tuż obok drogi, którą ludność Tamerice podążała na pole, na którym rozbito cyrkowe namioty. Wzmógłony ruch na drodze nieco poprawił stan jego finansów.

Trzeciego ranka pobytu w Tamerice, zanim jeszcze ruch na drodze stał się w miarę duży, pojawił się gość. Mężczyzna był wysoki, szczupły, z twarzy o ostrych rysach patrzyły przymrużone, ciemne oczy. Policjant? Bandyta? – zastanawiał się nerwowo Szyderca. Tamten usiadł naprzeciwko niego i przez dobrą minutę przyglądał mu się w milczeniu. Szyderca wiercił się niespokojnie. Diabeł sypał mu gruboziarnistą sól na koniuszki nerwów.

–Jestem Damo Sparen – oznajmił wreszcie przybysz. Głos miał chłodny i twardy, jakże doskonale współgrający z wyglądem. – Właściciel cyrku. Obserwowałem cię.

Szyderca wzruszył ramionami. Miał teraz błagać o wybaczenie za to, że uszczknął drobną część dochodów tamtego?

–Jesteś interesujący. Stanowisz jednej z najbardziej ohydnych przykładów marnowania się na własne życzenie, jaki w życiu widziałem. Talent wycieka wręcz z ciebie, a ty marnujesz każdą jego drobinę. Naprawdę chcesz młodo umrzeć?

–Może i tak. Za tysiąc lat. Albo dwa. – Uśmiechnął się słabo. Był przerażony. Co tu się dzieje?

–Chcę ci coś powiedzieć. Nie jestem żadnym wieszczem, ale ta przepowiednia nie wymaga umiejętności nekromanty. Umrzesz. Wkrótce. Chyba że się zmienisz.

Szyderca poczuł, jak strach dławi go w gardle.

–Jeśli będziesz nadal odcinał sakiewki, któregoś dnia ktoś poderżnie ci gardło, i to zanim lato dobiegnie końca. Jesteś cholernie niezgrabny.

Szyderca przełknął wielką kluchę zalegającą mu w gardle. Był zupełnie oszołomiony. Tamten mówił jak kaznodzieja.

–Mój przyjacielu ze wschodu, zamierzam ofiarować ci szansę jeszcze jednego spotkania ze Starą Damą Zimą. Szukam kogoś, kto miałby twój talent i komu nie bardzo przeszkadzałoby sumienie. Mogę cię wykorzystać. Najpierw jednak musimy cię doprowadzić do przytomności i nauczyć rozumu. Dysponujesz umiejętnościami, ale nie jesteś w formie.

–Sam nie wiem, czy mnie uszy nie mylą. Wyjaśnij proszę. Proponujesz mi pracę?

–Na określonych warunkach. Potrzebuję brzuchomówcy i magika. Zazwyczaj moi wykonawcy otrzymują jakąś część zysków. W twoim przypadku ta zasada nie będzie obowiązywała, póki nie doprowadzisz się do przyzwoitego stanu. Na razie proponuję ci jedzenie, spanie i lekcje tego, czego jeszcze nie umiesz. Na przykład hipnotyzerstwa. Okres próbny będzie trwał, powiedzmy, trzy miesiące. Jeśli przestaniesz pić i kraść... Tylko nie wciskaj mi żadnych bzdur, przyjacielu. Mówię, że cię obserwowałem. Nawet bez udziału w zyskach proponuję ci więcej, niż obecnie posiadasz. Powtarzam, w ten sposób nie przeżyjesz lata.

Szydercy ze zdumienia mowę odjęło. Nie potrafił uwierzyć, że tamten mówi serio. Niemniej zdecydowany był skorzystać z szansy. Gorzej już być nie mogło.

Sparen pochodził z zachodu, był znacznie starszy, miał jednak w sobie coś, co czyniło go duchowym bratem Szydercy. Ich czarne, leniwe dusze były jak symetryczne lica figury karcianej.

W trakcie nadzorowania edukacji Szydercy Sparen stał się jego pierwszym prawdziwym przyjacielem.

–Jednej rzeczy musisz się nauczyć – poinformował go zaraz na początku. – Dyscypliny. Wszystkie twoje kłopoty biorą się z braku dyscypliny.

Szyderca tylko splunął.

–Mam na myśli samodyscyplinę, a nie razy, które brałeś od Zajaca. Zresztą te wspomnienia też stanowią część twoich problemów. Nie masz pojęcia, jak radzić sobie z wolnością. Mój przyjacielu, dotąd radziłeś sobie wyłącznie dzięki swemu talentowi. Ale musisz nauczyć się paru rzeczy, których instynktownie nie odkryjesz. Zawsze wzbraniałeś się przed tym ze wszystkich sił. Dlatego głodowałeś.

Pierwsze prawo Sparena brzmi: zawsze staraj się, żeby frajer myślał, że jest mądrzejszy od ciebie. Każ mu myśleć, że to on cię nabiera. Resztę za ciebie załatwi jego chciwość. Drugie prawo: nigdy nie rób przekrętów po pijaku. Ostrzegałem cię już wcześniej, żebyś nie kradł w cyrku. Wczoraj znowu odciąłeś gościowi sakiewkę. Żeby mi to był ostatni raz. Nie jestem cierpliwy. Możesz doprowadzić do ruiny całą moją operację. Trzecie prawo: nie drażnij ludzi ze świata przestępczego. Musisz pozostawać w dobrych stosunkach z tymi facetami. Są dobrze zorganizowani. Zadrzesz w Hellin Daimiel z Trzypalcym i uciekniesz do Octylii, a kiedy tam dotrzesz, ludzie Smoka będą czekać. Z nożami. Lubią wyświadczać sobie nawzajem drobne przysługi. Czwarte prawo: nie poprzestawaj na małym. Siedzenie na ulicy i sprzedawanie buteleczek z błotem, do którego nalewasz kocich szczyn, nie ma żadnej przyszłości. Za pięćdziesiąt lat będziesz robił to samo. Dokładnie jak Zajac.

Szyderca zdołał w końcu wejść tamtemu w słowo:

–Cóż innego mam robić, skoro tylko to umiem.

–A może przestaniesz knuć i kraść, dopóki się czegoś nie nauczysz? U mnie będziesz bezpieczny. Nie będziesz musiał ryzykować. Spróbuj rozwijać swe talenty. Spójrz na mnie, Szyderco. Zaczynałem od tego, co ty robisz teraz. A dzisiaj mam willę na Wybrzeżu Auszura. Sąsiaduje z posiadłością księcia.

Posiadam też plantację kopy w Simballawein. Mam kopalnie w Anstokin.

–Hai! I wciąż...

–I wciąż jeżdżę z cyrkiem? Oczywiście. Mam to we krwi. Podobnie jak ty. Nie potrafimy oprzeć się wyzwaniu, jakie stawia cyrk. Jeszcze jeden dupek oskubany do gołej skóry. Ale tych rzeczy nie robię jako Sparen. Sparen i jego cyrk stanowią tylko przykrywkę. Sparen jest uczciwym i szanowanym człowiekiem interesu. Ludzie ufają mu tak bardzo, że gotowi są pożyczać mu pieniądze.

Po raz pierwszy w życiu Szyderca słuchał uważnie.

–Miałeś to, czego było ci trzeba, kiedy położyłeś łapę na tych kamieniach. Kapitał inwestycyjny. Znacznie większy niż ten, od którego ja zaczynałem. Jak, na miłość boską, mogłeś zmarnować go w ten sposób?

–Teraz to dopieroś zabił mi ćwieka. Jestem całkowicie oglupiały. I zupełnie nieświadom, kędy podążać odtąd.

–To jest dobre. To jest świetny szlif, ten sposób, w jaki mówisz. Nigdy tego nie zmieniam.

Jeśli nie będą w stanie cię zrozumieć, nie będą nawet pewni, czy nie stracili wszystkiego z własnej winy. W najgorszym razie da ci to odrobinę więcej czasu na ucieczkę. I pomoże wbić im do głów, że są bystrzejsi niż są.

–Pierwsze prawo.

–Dokładnie.

I tak rozpoczęła się intensywna edukacja Szydercy. Uczył się panowania nad sobą, którego brakowało mu właściwie przez całe życie. Sparen zadbał nawet o „dodatkową motywację” w postaci ogromnego zbira imieniem Gouch, który zawsze był w pobliżu i potrafił dać Szydercy po łapach, gdy pokusa brała górę.

–Myślę, że końcu do czegoś dochodzimy, mój przyjacielu – oznajmił Sparen pod koniec lata. I naprawdę tak myślał. On i Szyderca stali się sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe w przypadku dwóch mężczyzn. – Myślę, że jesteś już gotów do spółki.

–Hai! Dobrze. Wpadłem ci na pomysłów parę...

–Trochę się boję tych plotek o wojnie – ciągnął dalej Sparen, studząc jego rozbuchany entuzjazm. – Ci wariaci aktualnie nękają Throyes. Jeśli przejmą władzę i wyruszą z Hammad al Nakir, rozpełzną się po całych Pomniejszych Królestwach. Dla nas to będzie oznaczało ruinę. Widziałem już, jak wojna wpływa na interesy. Na szczęście ta zabawa z cyrkiem nie jest jedynym źródłem dochodów. Mam jeszcze kilka znacznie bardziej stosownych na czas wojny. Pora zacząć przygotowania. Tak na wszelki wypadek. – Sparen upił spory łyk wina. – Wiesz, nigdy nie miałem syna. Przynajmniej oficjalnie. Sądzę, że wreszcie znalazłem kogoś w tym rodzaju.

Oczy Szydercy zwężyły się. Czy była to tylko czcza gadanina zrodzona z połączenia wina i melancholii?

–Dobra, na razie to bez znaczenia. Musimy wymyślić ci pseudonim. Magellan Mag wydaje mi się niezłe. Miałem kiedyś partnera, który się nim posługiwał. Ale przyłapałem go na fałszowaniu rachunków. Musiał niestety przenieść się duchem na wyższy poziom bytu, ciało zaś trafiło niżej... do ryb. Bardzo przykry moment życia. Płakałem chyba przez godzinę. Uważałem go za przyjaciela. Nie rób mi tego, dobra?

–Rzecz taka nawet przez myśl mi nie przeszła, gwarantuję. Udało mi się wypracować w sobie dużo zdrowego szacunku dla Goucha i całości własnego karku. Nauczyłem się lepiej żyć.

To nie do końca była prawda. Od Sparena i Goucha nauczył się mnóstwa paskudnych i cudownych sztuczek, ale zmiana nastawienia wobec świata do nich nie należała. Nadal nie potrafił oprzeć się pokusie odcięcia komuś sakiewki albo zatracenia w hazardzie.

Nauczył się natomiast kraść w sposób tak finezyjny, że mimo nadzoru Goucha tylko on sam wiedział, co się dzieje.

Rozdział 7

Wygnańcy Pierwsi zabójcy dotarli do górskiego obozu wraz z wiosną. Sześciu ludzi zginęło w walce.

–Zawsze jest ich trzech – westchnął Haroun. Był blady i spocony. – Harish zawsze przychodzą we trzech. Co powoduje takimi ludźmi, Beloul? Wiedzą przecież, że muszą zginąć.

Beloul wzruszył ramionami i pokręcił głową.

–Wierzą w swoją sprawę, panie.

Druga grupa zmaterializowała się niemalże natychmiast, a wkrótce po niej trzecia. Haroun wyobrażał sobie nie kończący się szereg uśmiechniętych mężczyzn o pustych oczach, gotowych umrzeć za swego proroka i pewnych natychmiastowego wniebowzięcia.

W chaosie, który nastąpił, odróżnienie przyjaciół od wrogów było właściwie niemożliwe.

–Beloul, nie mogę tu zostać – oznajmił Haroun po trzecim ataku, w którym zginęło ośmiu jego zwolenników. – Jestem nieruchomym celem. Póki będą wiedzieli, gdzie mnie znaleźć, nie przestaną.

–Niech sobie giną. Każdego nowo przybyłego rozbiorę do naga i sprawdzę, czy nie ma tatuażu Harish. – Na piersi, w miejscu, gdzie znajdowało się serce, każdy wyznawca kultu miał tatuaż. Tatuaż ten zniknął po śmierci, znamionując rzekomo wstąpienie duszy do raju.

–Wobec tego wyślą zabójców bez tatuaży. Wynoszę się stąd. Będę przenosił się z obozu do obozu. Tak czy siak powinienem przecież pokazać im mój sztandar, nieprawdaż? – Jego decyzja była w takim samym stopniu podyktowana niedawnymi atakami, co znużeniem zimową bezczynnością. Gnała go młodzieńcza żądza bycia w ruchu, robienia czegoś. Wybrał sobie sześciu towarzyszy i odjechał.

Sytuacja w obozach umocniła w nim tylko poczucie, że inspekcja była konieczna. Był przerażony obrotem spraw. Zerwanie z Hammad al Nakir oznaczało rozstanie z kruchą kulturą i płytko zinternalizowaną przeszłością. W niektórych miejscach ludzie wracali do dawnych, nomadycznych sposobów życia z czasów sprzed nastania monarchii.

–Co złego jest w łupieniu obcych? – zapytał go jeden z kapitanów w obozie zarządzanym przez starego funkcjonariusza imieniem Shadek el Senoussi.

–To my tutaj jesteśmy obcy, ty idioto! – Haroun zerknął na el Senoussiego. Twarz tamtego była niczym maska. – A tutejsi ludzie okazali nam więcej zrozumienia, niż ja byłbym w stanie, gdyby role się odwróciły. Powiem ci jedną rzecz, Shadek. Jeśli twoi ludzie jeszcze raz będą się naprzykrzać naszym sąsiadom, sam wezmę do ręki katowski topór. Prawo Quesani obowiązuje dalej, nawet na uchodźstwie. Pod jego ochroną znajdują się wszyscy, którzy wyciągnęli do nas rękę w biedzie.

–Rozumiem, panie. – Na twarzy starego zastygł teraz lekki uśmiech. Haroun miał niejasne wrażenie, że tamten aprobuje jego słowa.

–A więc na tym koniec. Jeśli wam się nie podoba, trudno. Macie traktować waszych sąsiadów jak równych sobie. Potrzebujemy ich pomocy.

Wśród ludzi el Senoussiego wrzały buntownicze nastroje. Haroun spojrział przez ramię. Starego trzeba było zastąpić kimś innym. Zbyt bardzo polegał na osobistej lojalności.

Niewielu dowódców obozów witało go z entuzjazmem. Niektórzy byli braćmi duchowymi generałów El Murida: urodzeni bandyci, którzy we wszechogarniającym chaosie widzieli dla siebie sposobność. Innym zwyczajnie nie podobało się, że dowodzi nimi niewyszkolony młodzik.

Wędrował na zachód w towarzystwie swej ochrony osobistej. Spotkał się ze wszystkimi swoimi dowódcami, ocenił ich. Potem zaczął szukać sprzymierzeńców. Przekonał się, że roszczenia do tronu nie otwierają żadnych drzwi.

–Jeszcze zobaczymy – narzekał po kolejnej rekuzie. – Inaczej zaśpiewają, kiedy Bicz Boży zacznie miażdżyć Pomniejsze Królestwa.

–Niech mają za swoje – zaproponował jeden z jego strażników.

–On naprawdę chce wywołać tę wojnę? – zapytał drugi.

–Ktoś to na pewno zrobi. Mój stary nauczyciel nazywał to inercją historii. Nic już nie może tego zatrzymać. Nawet śmierć Nassefa albo El Murida.

–A więc wielu polegnie.

–Zbyt wielu, a wśród nich mnóstwo naszych ludzi. Adept nie zdaje sobie sprawy, co czyni.

Próbował. Próbował dzielnie i wytrwale, ale nigdzie nie otrzymał poparcia. Nie ustawał jednak, poczucie misji gnało go bezlitośnie. Jego strażnicy zaczęli się obawiać, że to jakaś obsesja.

Wreszcie musiał przyznać się do porażki. Póki bezpośrednie zagrożenie nie obejmie Pomniejszych Królestw, nic nie działo. Wrócił do swoich ludzi.

Znajdował się właśnie w obozie el Senoussiego, kiedy asasyni Harish znowu go znaleźli. Trzy komanda zaatakowały równocześnie. Zarżnęli jego strażników. Zarżnęli dziesięciu ludzi Shadeka. Haroun odniósł dwie rany, zanim el Senoussi wyrwał go z rąk wrogów.

–Odpraw mnie, panie! – błagał stary. – Mojej winy niczym nie zmażę.

–Przestań. Nic nie można było poradzić. Au! Ostrożnie, człowieku! – Rany opatrywał mu weterynarz. – Walczymy z okrutnym, zdecydowanym na wszystko wrogiem, Shadek. I tak będzie, dopóki albo nie zostaniemy pozabijani, albo ich nie zgładzimy.

–Powiniennem ich wykryć, panie.

–Może. Może. Ale jak? – Haroun zatopił się w myślach. Atak najwyraźniej wstrząsnął el Senoussim, jednak zdawał się bardziej przejęty tym, że nastąpił on w jego obozie, niżli faktem, że zagrożona była osoba króla.

Haroun zrozumiał, że el Senoussi, powołany jeszcze przez króla Abouda, przez całe życie był funkcjonariuszem. Całe lata uczył się zrzucać winę na innych i przypisywać sobie cudze zasługi.

–Zapomnij o Harish, Shadek. Oni są jak siła natury. Musimy z nimi żyć. Tymczasem trzeba pogasić ognie. – Zabójcy wzniecili liczne pożary. Kłębiące się chmury dymu wciąż przesłaniały niebo.

Palisada z drewnianych bali, stanowiąca zewnętrzną fortyfikację obozu, oraz zespół drewnianych chat przy niej pobudowany uparcie opierały się wysiłkom strażaków. Szybkość, z jaką szerzyły się płomienie, pozwalała domyślać się wcześniejszych starannych przygotowań.

–Dlaczego zadali sobie tyle trudu? – zastanawiał się głośno Haroun. – Gdyby nie marnowali czasu, mogliby mnie zabić.

–Nie wiem, panie.

Odpowiedź na to pytanie poznali trzy godziny później. Wartownik zawołał:

–Niewyciężeni!

–Tutaj? – Dopytywał się Haroun. – W Tamerice? – Zerknął ponad krawędzią palisady.

Z pobliskiego lasu wyłaniali się właśnie jeźdźcy. Odziani w biel Niewyciężonych.

–Musi ich być co najmniej setka, panie – ocenił el Senoussi. – Ogień stanowił zapewne umówiony sygnał.

–Na to wychodzi. – Haroun ogarnął wzrokiem teren obozu. Kobiety i dzieci przenosiły właśnie zapasy do poczerniałej od sadzy budowli blokhauzu. Wyglądali na przestraszonych, niemniej panika nie wkradła się jeszcze w ich szeregi. El Senoussi dobrze je wyszkolił.

–Panie, uciekaj, póki jeszcze możesz. Mam tylko osiemdziesięciu trzech ludzi. Część z nich jest ranna.

–Zostaję. Co za pożytek z króla, który zawsze ucieka?

–Żyje, kiedy nadchodzi jego czas.

–Niech atakują. Przeszedłem szkolenie w posługiwaniu się Mocą. – Przemawiały przezeń brawura i rozczarowanie. Miał ochotę walczyć.

El Senoussi cofnął się odrobinę.

–Król-czarownik?

Haroun widział, jak w oczach tamtego pojawiają się błyski strachu, stanowiącego z pewnością odbicie przerażających historii, jakich musiał się nasłuchać o królach Ukazani.

–Nie. W każdym razie nie do końca. Niemniej potrafię raczej sypanąć im piaskiem w oczy.

Niewyciężeni doskonale wiedzieli, co robią. Ich wywiad był znakomity. Już pierwszy atak zdołał pokonać palisadę, mimo sztuczek Harouna i zacieklej obrony.

–Przedzierają się dokładnie w miejscach, gdzie spłonęły szałasy! – krzyknął Haroun. Odwrócił się na pięcie. El Senoussi wyszczeniwał rozkazy. Wojownicy chwyтали łuki i posyłali strzały w ciżbę mrowiącą się w szczelinie umocnień, jednak Niewyciężeni i tak wdarli się do środka.

–Panie, udaj się do blokhauzu – nalegał el Senoussi. – Tutaj jesteś tylko jeszcze jednym żołnierzem. Z blokhauzu równie dobrze możesz razić wroga swymi czarami.

Haroun pozwolił powieść się przez walczącą ciżbę. Przemówiła do niego roztropność rady Shadeka.

I faktycznie – przebywając w blokhauzie, był znacznie bardziej skuteczny. Zrobił parę sztuczek i dzięki nim oszukał pojedynczych wrogów. Niewyciężeni zrezygnowali z walki.

–Tym razem niewiele brakowało – zauważył Haroun, zwracając się do el Senoussiego.

–To jeszcze nie koniec. Nie wycofali się. Krążą wokół obozu.

Haroun popatrzył za palisadę.

–Niektórzy krążą. Inni wyglądają, jakby udawali się po wsparcie.

–Lepiej będzie, jak odjedziesz dziś w nocy, panie.

To było oczywiście rozsądne, logiczne i pragmatyczne rozwiązanie, jednak Harounowi wcale się nie podobało.

–Będą tylko czekać, aż spróbuję. Albo aż ktoś zechce ściągnąć pomoc.

–Oczywiście. Ale czy spodziewają się, że ich zaatakujemy? Ufają swojej reputacji. Jeśli poprowadzimy przeciwko nim wycieczkę, nie próbując równocześnie uciekać...

–Może ich to zbić z tropu, ponieważ nie ma w tym wiele sensu.

–Będzie, jeśli dzięki temu ty, panie, zdołasz się wydostać.

–Nie rozumiem cię, Shadek.

–Nie próbuj, panie. Po prostu wyjedź stąd. I przyślij pomoc.

Haroun uciekł podczas potyczki, jaką rozpętała trzecia wycieczka el Senoussiego. Pieszko, skradając się niczym złodziej, zaciskając zęby od bólu wywołanego przez rany, jakie odniósł. Jednak uparcie pełził przez noc, ignorując cierpienie.

Świt zastał go piętnaście mil na północ od obozu. Czyli dokładnie dwadzieścia od stolicy Tamerice, Feagenbruch. Od najbliższego obozu uchodźców dzieliło go ponad czterdzieści mil. Zdecydował się ruszyć do stolicy.

Co stanowiło pomysł dość ryzykowny. Szlachta Tamerice może okazać się tak łękliwa, że przymknie oczy nawet na to jawne pogwałcenie suwerenności królestwa. Jeśli jednak zareaguje, wówczas stanie się niezależnym świadkiem agresji. A wtedy niewykluczone, że zajmie nieco bardziej wojownicze stanowisko wobec El Murida. Warto było zaryzykować. Obóz el Senoussiego stanowił tylko przejściową siedzibę. Jego strata nie będzie oznaczała poważniejszej porażki. Tak czy siak, Niezwyciężeni chcieli jego zguby, a nie zniszczenia obozu. Wielkie, ważne dla rojalistów obozy, na które atak mógłby oznaczać strategiczną korzyść, znajdowały się na dalekiej północy.

Harouna znano już w Feagenbruch, ale nie cieszył się tam sympatią. Wcześniej już swoją natarczywością uprzedził do siebie lordów miasta. Pozwolili mu przemówić tylko dlatego, że odwołał się równocześnie do swego tytułu, młodości i litości, jaką mogły wzbudzać jego rany. Przemawiał przekonująco, wyjaśniając całą rzecz seneszalowi króla. A w obecności samego władcy jego mowa wypadła jeszcze lepiej, jeszcze żarliwiej.

–To jest jawna obraza, Wasza Wysokość – zaopiniował seneszał. – Nie możemy pozwolić, by tak aroganckie zachowanie zostało puszczane w niepamięć.

–A więc zbierz tylu rycerzy, ilu zdołasz. Sam pojedziesz na ich czele. Kuzynie – tu król zwrócił się do Harouna – zechciej być moim gościem, póki ten drobny kłopot nie zostanie rozwiązany.

–Dziękuję, kuzynie – odparł Haroun. Uśmiechnął się lekko. Nie bezpośrednio, ale jednak siedzący przed nim człowiek uznał jego prawa do Pawiego Tronu.

Pod koniec tygodnia goniec przywiózł wieści, że Niezwyciężeni zostali pokonani i zagnani z powrotem w góry Kapenrung. Ludzie El Senoussiego przeżyli.

Fale uderzeniowe naruszenia terytorialnej suwerenności miały z czasem, rzecz jasna, rozejść się po Pomniejszych Królestwach, wznecając uczucia wrogości wobec El Murida. Pomniejsze Królestwa były zaiste niewielkie i często zupełnie bezsilne, jednak każde zazdrośnie strzegło swej niepodległości i suwerenności. Nacjonalizm był tutaj silniejszy niżli w większych państwach.

W okresie, kiedy oczekiwał na dworze na wieści, Haroun spotkał pewnego człowieka. Wówczas wydarzenie to wydało mu się zupełnie nieistotne, jednak później miało zadecydować o losach królestw.

Znudzony pobytem w zaniedbanych wnętrzach pałacu, który wydawał się zwykłą rudera nawet w porównaniu z miejscem, gdzie spędził dzieciństwo, Haroun zaczął odwiedzać cyrk, który wiosną zjechał do miasta i rozbił namioty na łące, na północnych jego krańcach. Pewnego popołudnia obserwował połykacza mieczy, kiedy wyczuł, że dzieje się coś złego. Początkowo nie potrafił zidentyfikować źródła ewentualnego zagrożenia. To wprawiło go w konfuzję. Zazwyczaj jego intuicja była znacznie dokładniejsza. Rozejrzał się dookoła. Przyszedł bez straży przybocznej. Jeśli Harish czekali na właściwy moment, to on właśnie nadszedł. Sam wystawił się na niebezpieczeństwo, podejmując niepotrzebne ryzyko.

Sięgnął za siebie wyostrzonymi zmysłami shaghuna. Ten przerażający pałac... Władcy Tamerice byli istnymi barbarzyńcami. Niepiśmienni tępacy poprzebierani w szaty arystokratów. Fe! Jedyną osobą zdolną do prowadzenia normalnej konwersacji był urzędnik skarbu pochodzący z Hellin Daimiel...

Z tłumu wychudzonych rolników i rudowłosych mieszkańców miasta wyróżniał się pewien człowiek. Niski, gruby, smagły, najwyraźniej w wieku Harouna, w oczywisty sposób nie pasował do otoczenia. Otaczała go aura zawierająca lekkie tchnienie pustyni, Haroun nie potrafił sobie

przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej spotkał tego nieszczęsnego grubasa.

Pozwolił swym zmysłom dokładnie zlustrować tamtego. On właśnie był źródłem wyczuwanego występkę. „Musi być chyba szalony, skoro sądzi, że morderstwo tutaj ujdzie mu na sucho” – pomyślał Haroun. Przez chwilę rozważał w myślach tę kwestię, analizując ją z różnych punktów widzenia. Młody grubas nie miał w sobie nic z szaleństwa Harish. Tyle Haroun wyczuł natychmiast. A więc musiało mu chodzić o coś zupełnie innego. Ciekawość Harouna rosła. Pozwolił, by tamten śledził go przez jakiś czas. Zdał sobie sprawę, gdzie wcześniej widział grubego. Był jednym z artystów cyrkowych. I to jednym z naprawdę niezłych, autorem jeśli nie zawsze do końca zrozumiałych, to jednak bardzo śmiesznych numerów.

Młodzieniec był szybki i zręczny. Haroun dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że stracił sakiewkę. Krótka chwila nieuwagi, tylko tego było trzeba, tego jednego momentu, w którym połykacz mieczy właśnie zionął ogniem, a Haroun próbował rozszyfrować anatomie sztuczki. Kiedy zrozumiał, co się stało, zaraz zawrócił. Grubego młodzieńca nigdzie nie było widać. Bin Yousif uśmiechnął się krzywo. Złodziej był naprawdę dobry, ale okazał się głupcem. Poluzował broń u pasa i szybko ruszył w stronę namiotu, za stragan, gdzie widział wcześniej

występującego grubasa. Za zaciągniętym płótnem usłyszał brzęk monet. Zajrzał do środka przez rozcięcie w płachcie. Młodzieniec liczył pieniądze, uśmiechając się do siebie. Siedział tyłem do wejścia. Podwójny głupiec, pomyślał Haroun. Wślizgnął się do namiotu, zręcznie niczym łasica. I stanął nieruchomo z obnażonym sztyletem. Grubas nagle wyczuł jego obecność. Odwrócił się, próbował powstać. Haroun wbił czubek noża w jego gardło.

–Na ziemię!

Tamten klapnął ciężko. Haroun wyciągnął dłoń. Jego oczy były zimne, twarde i bezlitosne. Gruby młodzieniec, skrajnie przerażony, gorączkowo oceniał swe szanse.

–Moje pieniądze. – Głos Harouna był cichy i groźny.

Złodziej próbował coś powiedzieć, ale ostatecznie uznał, że lepiej zmilczeć. Oddał Harounowi jego sakiewkę.

–Wszystko. – Haroun wcześniej zobaczył, jak tamten chowa, zręcznie sztukę złota. Niewątpliwie był fachowcem, ale on też znał się na tych sztuczkach. – Dobrze. Teraz wytłumacz mi, dlaczego nie mam cię kazać powiesić.

Młodzieniec zaczął się wrywać. Haroun wzmocnił uścisk. Jego sztylet znowu znalazł się na smagłym gardle.

–Szkolono mnie w posługiwaniu się Mocą. Nie dasz rady poruszać się dość szybko, by mnie zaskoczyć.

Chłopak znowu popatrzył na niego.

–Wiesz, kim jestem?

–Nie.

–Haroun bin Yousif.

Złodziej zmarszczył czoło, wyraźnie zbity z tropu. Potem zapytał:

–Ten, którego nazywają Królem Bez Tronu?

–Tak.

–I co z tego?

–To z tego, że wybrałeś niewłaściwą ofiarę, sir Smalec. Mogę sprawić, że zadyndasz na królewskim szafocie. Ale przyszło mi właśnie do głowy, że być może byłaby to strata. W moim kraju nauczyliśmy się nie marnować niczego. Przyszło mi do głowy, że mógłbyś mi się przydać, jeśli znajdziemy właściwy użytek dla twych złodziejskich zdolności.

–Ta sama stara śpiewka. Najgłupszym z głupców. Nigdy się nie nauczę. – Gruby młodzieniec skrzyżował nogi i zaplótł ramiona na piersiach. – Jam ostatecznie jest nie zainteresowany polityką.

–A ja trzymam sztylet w dłoni, bulaju. To powinno sprawić, że zmienisz zainteresowania. Możesz wybierać między pracą dla mnie a szubienicą. Jeśli mi się przydasz, dobrze zapłacę. – Od kilku miesięcy w zakamarkach jego umysłu powoli nabierała kształtu osobiwa, niewielka intryga. Grubas ze swoimi szczególnymi umiejętnościami mógł okazać się jak najbardziej właściwą osobą do wcielenia planu w życie.

Jeśli zawiedzie, co z tego? Świat pozbędzie się jednego bandyty.

Na twarzy grubasa wyraźnie widać było wewnętrzne zmagania. Najwyraźniej sądził, że nawet jeśli w tej chwili się zgodzi, i tak będzie mógł później uciec. Haroun uśmiechnął się łagodnie.

–Dziesięć sekund. Potem odchodzę. Albo z tobą, albo po funkcjonariuszy prawa.

–Biada! – zawołał grubas. – Oto niesławna zagadka: wolisz być powieszony, czy utopiony. Otom pochwycyony przez nierozstrzygalny dylemat. Otom w wąskim przejściu, między młotem a kowadłem. Oto na głowie mej problem epickich iście rozmiarów. Otom zagnany w niezgłębione niziny najczarniejszej, niemożliwej niemocy...

–Hę? – Harounowi zaczynało kręcić się w głowie od tej werbalnej pirotechniki. – Czas ucieka, bulaju.

–I tyle pożytku z taktyki oszołamiania i ogłupiania. Tylko jedno wyjście mi pozostało: ostatnie schronienie kalekiego na umyśle. Pójść po rozum do głowy. Hai! Niemożliwe jest bym ja cyrk opuścił. Jestem w nimże współnikiem. Młodszym współnikiem, którego na chwilę nawet z uważnego, ach jakże uważnego, smoczego iście spojrzenia nie spuszczają paranoiczny starszy współnik, Damo Sparen, i nieprzekupny, wielki niczym góra zbir imieniem Gouch.

–Trudno powiedzieć, żebym im się dziwił. Jedziesz czy wisisz?

–Hai! Panie! Okaż litość. Jestem tylko pokornym głupcem...

–Wyciągnij tylko ten nóż, a będziesz pokornym głupcem z dziurą w gardle.

–Biada – wymamrotał młodzieniec. – Gwiazdy zwiastowały kiepski dzień. Powinienem ich posłuchać. – Powoli się podniósł. Haroun nie podał mu pomocnej dłoni. – Będę potrzebował kilku minut, żeby zebrać swoje rzeczy.

–Nie kupuję wozu z bagażami.

–Alem ja przywykł przecie do określonych narzędzi. Jestem zawodowcem, czyż nie? Cieśle także samo potrzebują młotków, pił...

–A więc się pospiesz.

Grubasowi powoli wracała pewność siebie. Zrozumiał, że Haroun zawahałby się przed zadaniem ciosu.

–Okaż trochę manier, szcurze pustyni. Może i jest tak, żeś mnie przyparł do muru, ale wystarczy, iż krzyknę, a w jednej chwili cały cyrk się tu zleci.

–Włączywszy w to twojego szacownego starszego współnika? Bardzo by się ucieszył, gdyby poznał prawdę o twoim złodziejstwie.

–Onże mnie wyuczył tej delikatnej sztuki. – Zbyt mało przekonania włożył w te słowa, żeby zwieść Harouna.

–Bez wątpienia. Dlatego właśnie nie spuszcza cię z oczu?

Młodzieniec wzruszył ramionami i zaczął się pakować.

–Onże Damo Sparen dziwne miewa chwile. Ja sam zupełnie nie potrafię pojąć istnego. Czasami jako ojciec się zachowuje, no przecież, a czasami jako więzienny strażnik.

–Wszyscy ojcowie są tacy. Jak masz na imię? Nie mogę przez cały czas mówić do ciebie „bulaju”.

–Na jedno wychodzi. Tutaj czasami występuję pod imieniem Magellan Mag.

Haroun patrzył na niego w milczeniu.

–Miałem dobrego przyjaciela imieniem Magelan. Zbyt podobnie to brzmi. Spróbujmy czegoś innego.

–Sam na siebie mówię Szyderca. Nazwałem się tak w następstwie pozbawionego dalszych konsekwencji incydentu na dalekim wschodzie, dawno już temu, zanim okoliczności mej pielgrzymki nie sprowadziły mnie na zachód.

–Pielgrzymki? I skończyłeś w gabinecie osobliwości?

Szyderca zachichotał słabo.

–Nie wolno mi zapominać, że oto rozmawiam z pretendentem do tronu. Muszę słowa wybierać bardziej precyzyjnie, skoro osądzać mnie będzie podle szlacheckich standardów. Nie jest to żadna pielgrzymka godna rycerza. Żadne święte powołanie. Po prostu szukam miejsca, gdzie nie dosięgną mnie klingi wrogów.

–Och? – Haroun przesunął kciukiem po ostrzu swego noża. – A więc często zdarzają ci się głupie pomyłki.

Szyderca doskonale wychwycił delikatne akcenty groźby pobrzmiwające w słowach Harouna.

–Żadną miarą! Rozpocząłem nowe życie. Na koniec wyciągnąłem wnioski z lekcji, jakich mi udzielono. Pułapka, w którą obecnie wpadł, jakkolwiek niemożliwe wyjście z niej, jest jako światło, odślaniające wielką prawdę, jak dotąd wymykającą się mej pokornej, głupiej osobie. Prawda brzmi: nie ma nic za darmo. Kiedy wydaje się, że inaczej jest, odwróć głowę w drugą stronę. Oto losy zastawiają na ciebie pułapkę.

–Mam nadzieję, że rzeczywiście przyswoiłeś sobie tę lekcję. Ale wyglądasz mi na kogoś, kto jest już zbyt stary, żeby się czegoś nauczyć. Ile jeszcze czasu zajmie ci wepchnięcie tych śmieci do worka?

Szyderca grał na zwłokę, próbując zdecydować, czy opłaca się wzywać pomocy. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje.

–Śmieci? – jęknął Szyderca. – Panie...

Obrzucił wzrokiem Harouna. Szczupły młodzieniec o wysmaganej wiatrem twarzy wydawał się całkowicie nieporuszony. Jego świadomość własnej przewagi okazała się zbyt niewzruszona jak na nerwy Szydercy. Szarpnięciem zaciągnął rzemienie worka.

–Tyle będzie musiało wystarczyć. Sparen zajmie się resztą. No dobra, muszę jeszcze dla istnego informację zostawić, wyjaśnienie jakieś, albo onże wyśle moim śladem Gouchaogara. Biada zaś człękowi, co w Gouchu ma wroga.

–Umiesz czytać i pisać?

Szyderca uniósł palce, rozwarte odrobinę w geście oznaczającym: „tylko troszeczkę”.

–Posiadłem podstawy tej umiejętności dzięki uprzejmości okrutnego nauczyciela, rzeczonoego starszego wspólnika. Nauka, nauka. Zawsze nauka. Wszystkiego trzeba się uczyć.

–Uwiń się szybko. I zrób to dobrze. Uczciwie. Nie uda ci się wrócić za pół godziny i podrzeć kartki. – Haroun potrafił współczuć grubasowi. Pamiętał dobrze, jak Radetic zadreślał go nauką czytania, pisania i języków obcych!

Szyderca był na tyle sprytny, żeby nie zakładać, iż jego prześladowca może być niepiśmienny. Napisał prostą notatkę na pożegnanie, w której stwierdzał, że za kilka dni będzie z powrotem. Nadarzyła mu się sposobność wzbogacenia się na zamieszaniu, które szerzyło się na granicy. Notatka sporządzona została w języku Hellin Daimiel, stanowiącym lingua franca Pomniejszych Królestw, a równocześnie język obcy, który Haroun opanował najbardziej biegle.

–Coś jeszcze? – zapytał na koniec Haroun.

–Osiołek, najstarszy przyjaciel mój. Jest w zagrodzie.

–Prowadź. Pójdę krok za tobą. – Pokręcił głową, mrużąc: – Mogłem się tego spodziewać. Najlepszego przyjaciela znalazł w osie. – Pozwolił Szydercy wyjść z namiotu, zanim schował sztylet do pochwy.

Na zewnątrz zastali dwóch ludzi. Szyderca stanął jak wryty, z gębą rozdziawioną, nie mogąc wykrztusić słowa. Najwyraźniej targaly nim sprzeczne uczucia, strach i ulga.

–O co chodzi? – zapytał Haroun. Szyderca wreszcie odzyskał mowę.

–Sparen. Gouch.

Haroun nie miał kłopotów z odgadnięciem, który jest który. Gouch musiał być tą górą

mięsa, która blokowała im drogę biegnącą obok sceny, na której Szyderca występował.

–Zabierz tego człowieka – zwrócił się bin Yousif do niższego mężczyzny, który przysiadł na jakiejś skrzyni.

–Dokąd się wybierasz, Szyderco? – zapytał Sparen. Całkowicie zignorował słowa Harouna. – Zabierasz coś ze sobą?

–Osiołka...

Haroun precyzyjnie przesunął się obok grubasa.

–Odsuń się – powiedział do Goucha.

Gouch równie dobrze mógłby być głuchy. Sparen ciągnął dalej:

–Nie mówiłem do ciebie, chłopcze.

–Przemówiłem już dwukrotnie. Więcej nie powiem ani słowa. Sparen wreszcie zdradził przepełniającą go irytację.

–Jesteś silny w gębie, chłopcze. Gouch, ucisz go. Gouch poruszał się szybciej niż atakujący wąż. Ale Haroun był jeszcze szybszy. Trzy razy ciął wielkoluda, choć niezbyt głęboko. Szyderca próbował zbiec. Haroun podłożył mu nogę, pchnął na Sparena.

–Przypuszczam, że Gouch jest wiele wart. Zabierz go stąd, albo go stracisz.

–Co racja, to racja. Gouch, cofnij się. Sam się wszystkim zajmę.

Haroun schwycił Szydercę za łokieć, ruszył naprzód.

–Nie powiedziałem, że możesz odejść, chłopcze – powiedział Sparen. – Po prostu postanowiłem, że sam cię zabiję.

–Uważaj, Damo – ostrzegł tamtego Szyderca. – Jest ćwiczony w Mocy.

–Jak wszyscy w tym interesie, co?

–Jest mały i arogancki, ale znany ludziom jako Król Bez Tronu.

Sparen splunął na bok.

–Jasne. A ja jestem Zaginiony Książę Libiannin.

Haroun skorzystał z faktu, że uwagę tamtego odwróciła na chwilę ta wymiana zdań i ujął dłonią dmuchawę. Uniósł rękę, kaszlnął. Sparen zorientował się, o co chodzi, ale było już za późno. Szarpnął się raz, gwałtownie, potem upadł. Wyraz całkowitego niedowierzania zastygł na jego twarzy. Gouch i Szyderca podeszli do leżącego Sparena.

–Co mu zrobiłeś? – dopytywał się Gouch. Potrząsnął bezwładnym ciałem. – Panie Sparen, proszę się obudzić. – Olbrzym zdawał się zupełnie nieświadom własnych ran. – Niech pan mi

powie, co robić, panie Sparen. Mam ich zmiażdżyć?

–Chodźmy – warknął Haroun, chwytając Szydercę za ramię. – Ten wielki facet pewnie dojdzie do wniosku, że to ty jesteś wszystkiemu winien. – Powoli legła mu się w głowie myśl, że powinien naprawdę dużo wycisnąć z tego Szydercy, żeby opłaciły mu się wszystkie kłopoty.

Jakiś czas później Szyderca zauważył:

–Sparen był moim przyjacielem. Nieszczerólnie ufnym, ale mimo wszystko najlepszym, jakiegom miał.

Haroun usłyszał w tych słowach ukrytą groźbę. A w oczach swego towarzysza dostrzegł żądzę mordu.

–Nie zabiłem go. Ostrze strzałki było pokryte trucizną, która powoduje czasowy paraliż.

Pochodzi z dżungli rozciągających się na południe od Hammad al Nakir. Za parę godzin twój przyjaciel dojdzie do siebie. Przez jakiś czas będą go dręczyć bóle głowy i kiepskie samopoczucie, i to wszystko.

Przynajmniej taką miał nadzieję. W co najmniej jednej czwartej przypadków narkotyk okazywał się śmiertelny.

Im dłużej Haroun przyglądał się swemu towarzyszowi, tym bardziej był pewny, że Szyderca może być śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem. Pokłady tłuszczu i nieuleczalnego optymizmu skrywały gibkiego i pozbawionego sumienia mordercę.

Minęło kilka dni. Znajdowali się w połowie drogi do obozu el Senoussiego, kiedy natknęli się na uchodźców. Ale nie byli to synowie pustyni uciekający przed gniewem El Murida, tylko rodzimi mieszkańcy tych ziem, uciekający przed poplecznikami tamtego. Rozpoczęła się wojna El Murida i oddziały pustynnych jeźdźców wtargnęły już do Tamerice.

Dzięki temu grubas wpadł wreszcie w sidła Harouna.

Nie było sensu jechać dalej na południe. Zawrócili więc, kierując się do obozu w Altei. Kilkakrotnie patrole Niezwycięzonych zmuszały ich do szukania schronienia w kryjówe.

Na północ od Feagenbruch natrafili na zwęglone wozy cyrku Sparena. Zwłoki Sparena znaleźli wśród innych ciał. Gouch przeżył. Ranny, schował się pod stertą trupów wojowników.

Szyderca przez dłuższy czas stał nad ciałem Sparena.

–Może czasami był paranoicznym głupcem. Ale był też przyjacielem. W pewien sposób był mi niczym ojciec. Teraz to jest już sprawa krwi, Harounie bin Yousif. Ktoś musi zapłacić za to kwią. Tak więc teraz już jak najbardziej interesuję się polityką. – Podszedł do Goucha. – Gouch. Ty. Wielki facet. Wstawaj. Jest robota do wykonania.

I, co zupełnie niewiarygodne, Gouch podniósł się znad stosu ciał tych, których porąbał.

–Oni zamordowali moich obu ojców – wyszeptał Haroun.

Miało minąć dużo czasu, zanim Szyderca pojął sens tej uwagi.

Ocierał łzy Goucha, opatrywał mu rany, kołł lęki i słuchał, podczas gdy Król Bez Tronu objaśniał mu rolę, jaką miał odegrać w doprowadzeniu do upadku Adepta.

Rozdział 8

Samotne miastoPodczas tego pierwszego lata wojny Adept czuł się samotny w Al Rhemish. Wszyscy bliscy opuścili go, gnani perspektywą podniet i łupów, które czekały na nich na zachodzie. Często przechadzał się zakurzonymi ulicami, tylko w towarzystwie dzieci, i rozmyślał o tym, że nie do końca potrafi pogodzić się z wyrokiem losu. Pustka, którą pozostawiła po sobie Meryem, często odzywała się bólem. Jego samotność pogłębiała się, w miarę jak zwycięstwo następowało po zwycięstwie, a euforia tych, którzy zostali w domach, budowała religijną cześć dla człowieka, który wyśnił ten sen i umożliwił odrodzenie.

–Oni próbują zrobić ze mnie Boga – mówił swym dzieciom. – A ja najwyraźniej nie potrafię ich przed tym powstrzymać.

–Gdzieniegdzie już nazywają cię Panem Wcielonym – powiedziała mu Yasmid.

Charakteryzowała się nie tylko śmiałością, upodabniając ją do matki za czasów młodości; była w niej także owa dojrzała pewność siebie, którą El Murid zawdzięczał spotkaniu z aniołem. Wydawała się starym dzieckiem, dorosłą osobą uwięzioną w na poły wyrośniętym ciele. Nawet ojca wprawiały czasami w zakłopotanie jej nadzwyczaj dojrzałe uwagi.

Natomiast Sidi przeciwnie – sprawiał wrażenie, jakby na zawsze miał pozostać dzieckiem.

–Wydaję edykty. Oni je ignorują. A ludzie, którym zlecam zadanie zwalczania herezji, stają się najgorszymi bluźniercami. – Mówiąc te słowa, myślał o Mowaffaku Halim. Mowaffaka bez reszty ogarnęła gorączka kultu jednostki.

–Ludzie potrzebują czegoś, czego mogliby dotknąć, ojcze. Czegoś, co mogliby zobaczyć. Taka jest natura ludzka.

–A ty jak uważasz, Sidi? – Adept korzystał z każdej sposobności, by angażować syna w takie rozmowy. Pewnego dnia Yasmid będzie musiała zdać się na swego brata w taki sposób, w jaki on polegał na Nassefie.

–Nie mam pojęcia – odparł ponuro Sidi. Nic go nie obchodziły dzieła Pana. Mieszkał w nim Zły. Pod każdym względem stanowił przeciwieństwo swej siostry. Patrząc na niego, ojciec czuł bolesną rozpacz.

El Murid miał poważne kłopoty z rozwikłaniem kwestii niejasnych uczuć, jakie żywił wobec Sidiego. Chłopak w sumie nie robił nic naganego. Jeszcze. Ale Adept potrafił wyczuć czającą się w nim niegodziwość. Pewnego dnia Sidi stanie się problemem, jeśli już nie dla ojca, to dla Yasmid, gdy obejmie rolę Adeptki.

El Murid czuł, jak zamyka się wokół niego pułapka szczęk wiary i uczuć rodzinnych. Zamiast jednak zająć się rozwiązaniem problemu, pozwalał, by najważniejsze dla chłopca lata, lata kształtujące charakter, przeciekały między palcami. Za to modlił się dużo. Każdej nocy

błagał Pana, by dla niegodziwości mieszkającej w Sidim znalazł właściwe ujście, jako uczynił z Nassefem. I błagał o wybaczenie za nieustanny, cichy gniew, jaki czuł w związku z przedwczesnym odejściem Meryem.

Yasimd zajęła miejsce żony; przed nią mógł się wypowiedzieć i na jej ramieniu wyplakać.

El Murid był silny swą wiarą, ale nigdy nie udało mu się na dobre uciszyć tego samotnego, przerażonego chłopca, który w nim mieszkał. Chłopiec musi kogoś mieć...

–Tato, powinieneś znaleźć sobie nową żonę.

Wspinali się akurat po zboczu niecki, w której leżało Al Rhemish. Dwa razy tygodniowo udawał się do miejsca, gdzie zginęła Meryem. Zwyczaj ten również stał się częścią legendy.

–Twoja matka była moją jedyną miłością. – Wcześniej już musiał odpierać te argumenty, które wysuwali Nassef i Mowaffak Hall.

–Nie musisz przecież kochać jej tak, jak kochałeś matkę. Wszyscy dobrze wiedzą, jakim darzyłeś ją uczuciem.

–Rozmawiałaś z Nassefem.

–Nie. On również uważa, że powinieneś się ożenić?

–Wobec tego z Halim.

–Nie.

–No to z kimś innym. Kochanie, wiem, co chcesz powiedzieć. Wszystko to już wcześniej słyszałem. Powiniennem pojąć za żonę kobietę ze szlachty, aby scementować więzi z arystokracją. Powiniennem zdobyć jej zaufanie, aby najlepsi ludzie przestali uciekać od nas do tego króla-dziecka, Harouna.

–Prawda. Z pewnością by to nie zaszkodziło.

–Może. Ale nie wchodzę w układy z wrogami Pana. Nie zadaję się z przekłętymi, chyba w celu ukarania ich niegodziwości.

–Ojczy, któregoś dnia spowoduje to kłopoty. Musisz się kiedyś ugiąć.

–To przysparza nam kłopotów od dnia, w którym spotkałem twoją matkę. A dzisiaj zasiadam na Pawim Tronie, mimo iż nigdy nie ustąpiłem nawet o krok. Znowu słyszę w twych ustach słowa wuja. Mówisz jak polityk. A polityka jest dla mnie odrażająca.

Yasmid bynajmniej nie powtarzała cudzych słów, jednak zmilczała o tym wobec ojca. Ostatnimi czasy robił się naprawdę kłótniwy. Przedłużające się spory wywoływały u niego napady furii.

–Polityka jest sposobem realizacji ludzkich planów – powiedziała.

–Jest sposobem zdobycia władzy nad innymi dzięki knowaniom i spiskom.

Pan był ośrodkiem i źródłem wszelkiej władzy, a El Murid był jego rzecznikiem na ziemi. Nie widział potrzeby uprawiania żadnej polityki, związku między ludźmi pojmował jako monolit, ze sobą na szczycie, wydającym rozkazy, których Wybrani słuchali bez szemrania.

Ale tej wizji nikt nie podzielał. W chwili, gdy ruch osiągnął swój pierwotny cel, załęgła się w nim paskudna polityka. Jego dowódcy walczyli niczym wygłodniałe psy o te okruchy władzy, które ronily jego dłonie. Rzucali się sobie do gardeł w wyścigu po korzyści towarzyszące politycznemu zwycięstwu. Nie było właściwie dnia, by nie musiał rozstrzygać jakiegoś sporu o zakres odpowiedzialności lub porządek hierarchii.

–Bardziej są zainteresowani własnym dobrem niż dobrem ruchu. Nawet najstarsi wierni nie potrafią uniknąć tej pułapki. – Zatrzymał się i próbował uporządkować myśli. – Być może wielki sukces nadszedł zbyt niespodziewanie. Po dwunastu latach oczekiwania zwycięstwo po prostu wpadło nam w ręce. A teraz wszystko wygląda tak dobrze, że solidarność wobec wrogiego świata wydaje im się niepotrzebna.

Lękał się, że intrygi i knowania staną się chlebem powszednim. Tak właśnie wyglądało to u rojalistów. Przez ostatnie lata swych rządów nie robili właściwie nic poza oskarżaniem się nawzajem oraz folgowaniem przywarom i kaprysom.

Czuł się bezradny. Ziarna Złego właśnie kiełkowały, a on nie potrafił zrobić nic, by zahamować ich wzrost. Nawet gdyby modlił się przez całą wieczność, nie zbawiłby ludzi, którzy nie chcą być zbawieni. Powoli dojrzewał. Zaczynał dostrzegać słabości swego ruchu, potencjalne zło przyczajone na uboczu ścieżki prawości. Zaczynał rozumieć, że upadek prawdziwego wyznawcy może być szybki i bolesny, a co gorsza – jego ofiara nie zrozumie, co się dzieje, póki nie będzie za późno. Wiedza o tym wszystkim w żaden sposób nie przyczyniała się do złagodzenia rozpaczy wywołanej samotnością. Kiedy nie potrafił jej już wytrzymać, zawsze wzywał Esmata.

Doszli do miejsca, gdzie zginęła Meryem.

–Czy oni kiedykolwiek skończą tę budowę? – zapytał Sidi, wskazując na pomnik, który El Murid kazał wznieść. Wykonano dopiero czwartą część robót. Nie wykorzystany kamień leżał w stosach, które powoli zamieniały się w nieporządne sterty skały.

–Nawet nasi mularze chcieli zobaczyć stare prowincje Imperium. Czy mogłem zmusić ich do pozostania, skoro zapragnęli iść, nawracać niewiernych na Prawdę?

–Ich nie obchodzi Prawda, tato. Po prostu uznali, że okradanie obcych jest łatwiejsze niż praca.

El Murid skinął głową. W Zastępach Światłości mnóstwo było ludzi, których umiejętności bardziej przydałyby się w domu. Poczul nagły, przemożny uścisk strachu. Hammad al Nakir mogło poszczycić się doprawdy nielicznymi sprawnymi rzemieślnikami. Ewentualna katastrofa militarna mogła wytepić całą tę grupę i tym samym popchnąć naród kolejny krok naprzód na ścieżce ku barbarzyństwu. Minione wieki nie zmieniły w dostatecznym stopniu natury jego ludu. Wciąż przedkładał plądrowanie nad budowanie. Postanowił zmienić temat rozmowy.

–Czego potrzebuję jeszcze bardziej niżli przerwy we wzajemnych sporach, to wody. Milionów galonów wody.

–Czego? – Yasmid miała właśnie zasugerować, aby rozkazał Nassefowi przysłać wziętych do niewoli rzemieślników, którzy zastąpiliby rodzimych mistrzów – miłośników wojaczki.

–Wody. To jest najważniejsza rzecz, którą odebrał nam upadek Imperium. Nie mam pojęcia, jak... Może tylko sam Varthlokkur byłby w stanie zwrócić nam deszcz.

Sidi zdawała się interesować jego słowa, więc ciągnął dalej:

–W niektórych miejscach gleba jest dosyć żyzna. Ale brakuje jej wody. A ponieważ roślinności nie ma dosyć, to, co przyniesie deszcz, po prostu wsiąka bezużytecznie w ziemię... Rozumiecie, w czasach Imperium większość drzew wycięto do prac budowlanych i na podpałkę. Potem przyszli barbarzyńcy. W niektórych miejscach zaorali ziemię i posypali ją solą. W innych bydło i owce ogołociły glebę z roślinności. A potem czarownik Varthlokkur kazał deszczom przestać padać...

Yasmid przypatrywała mu się z grymasem znamionującym częściowe rozbawienie.

–Czym tyś się zajmował, tato? Po kryjomu chodziłeś do szkoły?

–Nie, czytałem kilka raportów z badań przeprowadzonych przez tego obcego, Radetica. Odkryłem je już po zdobyciu Al Rhemish. Ciekawa rzecz. Yousif próbował wcielić w życie niektóre z moich zamiarów.

–Czy nie powtarzasz zawsze, że poplecznicy Złego często nieświadomie uczestniczą w dziele Pana?

–To prawda. Ale ani słowa na ten temat. Mam zamiar zabrać się do realizacji niektórych pomysłów obcego, kiedy Imperium zostanie wskrzeszone i będziemy mieli ludzi do pracy. Radetic sądził, że dawna żyzność tych ziem może zostać odtworzona, aczkolwiek przeminą trzy lub cztery pokolenia, nim rzeka życia popłynie nowym korytem. To napętniało go rozpaczą. Ale mi się podoba. Muszę postawić przed Wybranymi dalekosiężne cele. W przeciwnym razie Królestwo Pokoju padnie ofiarą starych sporów.

–Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś.

El Murid oparł się o podstawę pomnika i ogarnął wzrokiem dolinę. Próbował sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać w dawnych czasach. Na jej miejscu było płytkie jezioro. Najświętsza Świątynia Mrazkim wznosiła się na niskiej, stanowiącej w całości dzieło rąk ludzkich wysepce. Na zboczach otaczających jezioro pyszniły się bogate cytrusowe gaje.

Barbarzyńscy najeźdźcy ścięli ich drzewa na opał.

–Wydawało mi się to marzeniem zbyt odległym, żeby choć o nim śnić. A teraz istnieje przynajmniej szansa. Któregoś dnia... Cóż, wszystko zależy od twojego wuja. Jeśli wygra wojnę... Wówczas będziemy mogli rozpocząć swe dzieło.

Znowu objął spojrzeniem nagą dolinę. Na moment dojrzał w niej piękno minione i piękno, które mogło tu zagościć na powrót.

–Możemy sprowadzić wodę z gór Kapenrung. W ich zboczach wciąż są ślady dawnych kanałów... Ale poprzestańmy na tym. – Odwrócił się, ukląkł i pomodlił za duszę Meryem. Yasmid i syn poszli w jego ślady, Sidi najwyraźniej z pewnymi oporami. Kiedy wreszcie skończyli, Adept powstał i oznajmił: – Chodźmy zerknąć do wiedźmiego kotła i zobaczyć, jakie głupstwa nam dzisiaj sprokurowali.

Na twarzy idącej w ślady ojca Yasmid zastygł osobliwy wyraz. Oto odkryła zupełnie nowe oblicze człowieka, którego знаła – jak się jej wydawało – na wylot. W jej ojcu tkwiły głębie, których istnienia dotąd nie podejrzewała.

Dzień, który zaczął się tak niepomyślnie, zmienił się w dzień radości Adepta. Odkrył najbliższym najbardziej tajemne ze swych marzeń i nikt go nie wyśmiał. Nawet pozbawiony wyobraźni Sidi jakoś pojął rozmach jego wizji. Może... choć tylko może... uda mu się doczekać końca dnia bez wizyty Esmata.

Na miejscu przekonał się, że ze strefy działań wojennych przybył do domu co koń wyskoczy Mowaffak Hali.

–Przyjmuję cię w pierwszej kolejności, ponieważ wiem, że twoja sprawa musi być poważna, Mowaffak. O co chodzi?

–O dwie rzeczy, panie. Oto ta mniej ważna: zgubiliśmy wszelki ślad po pretendencie do tronu, Harounie bin Yousifie. Po ataku na Tamerice zszedł do podziemia. Kontaktował się tylko z nielicznymi przywódcami buntowników i zarzucił zupełnie wizyty na dworach Pomniejszych Królestw. Nasi agenci nie są w stanie go znaleźć.

–Czas zagna go w nasze ręce. Co jeszcze?

–Stała się rzecz straszna. Wiem o wszystkim od swojego człowieka w sztabie Bicza Bożego, który podsłuchał raport jednego ze szpiegów twojego szwagra. Itaskianie i ich sprzymierzeńcy zdecydowali się nie czekać, aż sami do nich przyjdziemy. Wysyłają na południe armię. Dowodzić nią będzie Książę Szarego Płaskowyżu. Jest kuzynem itaskiańskiego króla, nadto raporty przedstawiają go jako znakomitego żołnierza.

–To naprawdę niedobrze, Mowaffak. Miałam nadzieję, że uda nam się zakończyć kampanię na południu, zanim będziemy mieli do czynienia z Itaskią.

–To najsilniejsze państwo spośród tych, z którymi przyszło nam się dotąd zmierzyć. I najbogatsze. Przypuszczalnie również najlepiej rządzone. Nadto otrzymało wsparcie od Iwa Skołowda, Kamieńca Prost i Dvaru. Bicza Bożego czeka ciężka przeprawa na północ od Scarlotti.

–Niewykluczone. Ale znam Nassefa. Gdybym był człowiekiem grzesznym i zakładał się, postawiłbym na to, że zanim przekroczył Sahel, miał już gotowe plany na taki wypadek.

–Mam taką nadzieję, panie. Onieśmiela mnie sama liczebność naszych wrogów.

El Murid podzielał te obawy. Żałował, że nie może otwarcie powiedzieć o tym Haliemu, ale

powstrzymał się. To dzięki jego absolutnej pewności Niezwyciężeni byli tym, czym byli. Zwątpienie mogło oznaczać ich zgubę.

–Miejmy nadzieję, że wszyscy nasi przyjaciele zdają sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, Mowaffak. Ruch zaczyna powoli potykać się o własne zwycięstwa.

Rozpuść wieści.

–Jak rozkażesz, panie. – W tonie głosu Haliego wyczuwało się wątpliwości. – Czy Niezwycięzeni mogą coś przedsięwziąć, aby odsunąć to niebezpieczeństwo, panie?

–Przyjrzyj się temu księciu, Mowaffak. Na ile jest kompetentny? Czy armia zachowa zdolność bojową, gdyby jego zabrakło? Kto zajmie jego miejsce w takim przypadku? Na ile kompetentny będzie następca? Rozumiesz?

–Z całkowitą jasnością, panie. Obaj wiemy, jacy są politycy; następca księcia może okazać się zupełnym niezgułą.

–Właśnie. Aha, póki tu jesteś. Potrzebuję twojej rady w związku z el Nadimem i armią wschodu.

–Panie?

–Pomiął Bicza Bożego i zwrócił się bezpośrednio do mnie z prośbą o pozwolenie na zaprzestanie szturmów Przełęczą Savernake. Jednak Nassef twierdził w mojej obecności, że ciągle utrzymywanie zagrożenia przełamania tamtejszej obrony jest korzystne dla naszej sprawy.

–Na czym polega problem el Nadima?

–Twierdzi, że wrogowie dziesiątkują jego ludzi przy pomocy czarów. Że jego throyańscy sprzymierzeńcy są o krok od buntu. A ponieważ stanowią trzon jego armii, nietrudno przychodzi im uznać, że próbujemy się ich pozbyć, innymi słowy – doprowadzić do ich śmierci.

–Nie można tego wykluczyć, panie. Bicz Boży również na zachodzie wykorzystuje rodzime wojska sprzymierzone. Widziałem, jak pozwalał, by zbierali niemiłosierne baty. Ale zgadzam się z nim, kiedy twierdzi, że musimy utrzymywać zagrożenie od wschodu. Dzięki temu wróg jest zmuszony stosować statyczną strategię, która pozostawia inicjatywę w naszych rękach. Kiedy padną Altea i Kavelin, cała sprawa straci na znaczeniu. Ale teraz wystarczy, że zwerbuję kilka kompanii Niezwycięzonych i pošlę je na wschód. Wniosą w szeregi el Nadima więcej ducha walki.

–I skuteczności bojowej, jak mniemam. Nie należy on do najbardziej błyskotliwych generałów.

–Być może i nie. Ale można na nim polegać. Wypełni rozkazy, nawet gdyby miał przy tym zginąć. I spośród dowódców naszych wojsk on jeden jest prawdziwie wierzący. Odkrył to w sobie późno, już po tym jak stał się jednym z popleczników Nassefa, i przypuszczam, że to właśnie dlatego otrzymał przydział na tak odległy front. Bicz Boże nie chce już, by ten człowiek zaglądał mu przez ramię.

–Znowu politykujesz, Mowaffak.

–Panie! – Hali uśmiechnął się. – Zaiste, czynię tak na swój sposób. Przypuszczam, że to po prostu część ludzkiej natury.

–Zapewne. Nie zawsze jednak zdajemy sobie sprawę z tego, co czynimy. Tylko jawne, wymierzone z premedytacją ciosy w plecy wzbudzają we mnie gniew. Wyślij te kompanie el Nadimowi.

–Jak rozkażesz, panie.

–Powiedz Yassirowi, że może już zacząć wysyłać narzekających i uskarżających się.

Miesiąc, który nastąpił po tym spotkaniu, należał do najbardziej udanych. Na okupowane

terytoria powoli zaczynał wracać spokój. Podbój Pomniejszych Królestw przebiegał bez większych zakłóceń, mimo iż Nassef oddał Karimowi tylko niezbędne minimum żołnierzy potrzebnych do tego zadania. Brody i przeprawy promowe przez Scarlotti, przynajmniej aż do zachodniej granicy Altei, zostały zamknięte. Nassef przekroczył rzekę ponad Dunno Scuttari i tym samym zamknął pierścień wokół miasta. Nawet zmartwienia el Nadima nie mogły stanowić powodu do rozpacz. Jego sukces bądź porażka miały marginalne znaczenie w ramach ogólnej strategii Nassefa. Tylko jego obecność w tym miejscu była istotna.

Potem El Murid otrzymał list od swego szwagra.

–Yasmid. Sidi. Chodźcie posłuchać, co wuj ma nam do powiedzenia. – Dwukrotnie jeszcze przebiegł list wzrokiem. – Chce, żebyśmy pojechali przyjąć kapitulację Dunno Scuttari. Píše, że to nie potrwa już długo.

–Tato, jedźmy! – entuzjasmowała się Yasmid. – Proszę. Powiedz, że możemy! Chcę zobaczyć zachód. I pomyśl, ile to będzie znaczyło dla wojowników, jeśli cię zobaczą.

Roześmiał się.

–To może być niebezpieczne, Yasmid.

–Możemy przecież udawać kogoś innego. Kogoś, kto wcale nie jest ważny.

–Kupców solnych – podsunął Sidi.

–Kupcy solni są bardzo ważni – zaproponował El Murid dla żartu. Jego ojciec był właśnie kupcem solnym.

–Jasne, tato. Kupcy solni – powiedziała Yasmid. – Wiesz wszystko o byciu kupcem solnym. Możemy przebrać twoich strażników za handlarzy i pojechać na wielbłądach.

–Oni nadal będą wyglądać na zwykłych zbirów.

–Ale...

–Dość. Wasz wuj nie zdobył jeszcze miasta i nie sądzę, aby był w stanie to zrobić. Od Hellin Daimiel nie napotkał żadnego poważniejszego oporu, a tamto miasto naprawdę powinno stanowić łatwiejszy orzech do zgryzienia. Poczekamy, zobaczymy.

–Tato, on po prostu zostawia sobie Hellin Daimiel na później.

–Poczekamy, zobaczymy. Pamiętajcie, że armia itaskiańska stanowi teraz poważny problem. Nie mamy pojęcia, co robią.

Yasmid uśmiechnęła się. Uznała, że bitwa jest w połowie wygrana.

El Murid zmusił się do krzywego uśmiechu. Czytał w jej myślach. Doszedł do wniosku, że musi chyba być głupcem o słabym kręgosłupie. Miał takie kłopoty z odmówieniem swoim dzieciom czegokolwiek.

Jedenaście dni później przyszedł do niego Esmat. Miał grobową miną.

–O co chodzi, Esmat? Jesteś zupełnie szary.

Lekarz przełknął z wysiłkiem ślinę i zaczął bełkotać:

–Panie, kurier z Ipopotam nie przybył. Ma cztery dni spóźnienia.

El Murid poczuł, jak chłód pełźnie po jego plecach.

–Ile środków przeciwbólowych nam jeszcze zostało? – Nie potrafił się zmusić, by nazwać opiaty inaczej.

–Najpewniej wystarczy nam jeszcze na dwa miesiące, panie. To zależy od wielkości i ilości dawek.

Co z kolei zależy od napięcia, jakie będę musiał znosić, pomyślał El Murid.

–W takiej sytuacji strata jednego kuriera nie powinna wiele znaczyć, nieprawdaż? Jeśli się obawiasz, że zabraknie ci zapasów, wyślij następnego. Albo zadbaj o podwojenie kolejnych dostaw.

–Zamierzam uczynić i jedno, i drugie. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, uzyskamy przynajmniej odpowiedź na niezwykle istotne pytanie.

–Pytanie? Jakie pytanie?

–Czy nasi wrogowie nie odkryli przypadkiem naszych potrzeb i nie zaczęli przechwytywać kurierów.

Tym razem pełznący po plecach zimny dreszcz mógłby być omalże lodowcem.

–Esmat... Czy to możliwe?

–Wszystko jest możliwe, mój panie. A to jest coś, czego lękam się od wielu lat. Dotarliśmy do punktu, w którym odstawienie lekarstwa na jakiś czas pozbawi nasz ruch przywódcy. Miesiące mogą minąć, zanim przejdą bóle spowodowane abstynencją.

–Jest tak źle, Esmat? – zapytał cicho.

–Jest bardzo źle, panie.

–Esmat, zrób, cokolwiek uznasz za konieczne. Zadbaj o bezpieczeństwo dostaw. To jest krytyczna chwila. Nie ośmielę się dopuścić do własnej niemocy. Powinieneś wcześniej wspomnieć, że to nasza słaba strona.

–Być może. Nie chciałem obrazić...

–Jest już za późno, by się obrażać. Narkotyk wytwarza się z jakiejś rośliny, czy tak? Z maku? Nie możemy wyhodować własnego?

–Nie jestem agronomem, panie. Poza tym oni mają monopol. Strzegą nasion i pól...

–Czy mogą ustrzec się karzącej ręki Zastępów Światłości?

–Oczywiście że nie. Ale podpisaliśmy z nimi traktaty o wzajemnych przyjacielskich stosunkach. Nasze słowo honoru nie znaczyłoby już nic... Traktaty wynegocjowaliśmy właśnie z myślą o naszym zapotrzebowaniu na narkotyk. Mogą spalić pola, jeśli uznają, że one stanowią przyczynę inwazji.

–Nassef negocjował te traktaty, zanim przystąpił do wojny. Czy to oznacza, że on wie?

–Wielu ludzi wie, panie. To nie jest coś, co można długo utrzymywać w tajemnicy.

El Murid skłonił głowę, na poły w geście wstydu, na poły lęku.

–Zrób, co możesz. A ja zrobię, co będzie konieczne.

–Jak rozkażesz, panie.

Rozdział 9

Itaskianie Haroun rozstał się z Szydercą i Gouchem na obszarze północnego Cardine, niedaleko na wschód od miejsca, w którym przebiegała granica królestwa z sąsiadującym Dunno Scuttari.

–Wszędzie pełno patroli – ostrzegł. – Uważajcie na siebie.

Szyderca roześmiał się.

–Potrafię przecie tak być przezorny, iż nawet oko wyniosłego orła mnie nie uświadczy. Jestem mężnym wojownikiem, prawda, zdolnym w walce pokonać oddział wroga, wszelako niepewnym swoich zdolności, gdyby przyszło się mierzyć z całą armią. Nawet mając za plecami rosnącego Goucha.

Dzień wcześniej, kiedy natknęli się na jeden z patroli Nassefa, bin Yousif miał okazję obserwować towarzysza w działaniu. Sparen wyszkolił go doskonale. Szybkość Szyderycy, jego zręczność i wytrzymałość w wywijaniu klingą były niemalże nadnaturalne. Był urodzonym szermierzem.

–Gouch, trzymaj go z dala od kłopotów.

–Będę, panie. Będzie się zachowywał tak dobrze jak nigdy.

–Nie pozwól też, żeby cię oszukiwał na pieniądzach. – Dał grubasowi trochę monet na wydatki.

–Nie martw się panie. Znam go. Obserwowałem go, kiedy pracował dla pana Sparena. Wykonamy naszą robotę, a potem wrócimy po następne zlecenie.

W prostocie Goucha była jakaś niezawodność, która Harounowi zdawała się równocześnie urzekająca i niepokojąca.

Megelin nauczył go dostrzegać w świetle śliskiego węża, wiecznie zmiennego, o łuskach mieniących się wszystkimi odcieniami niewiarygodności. Naiwny światopogląd Goucha stanowił antytezę filozofii Radetica.

–Nie wątpię, że tak się stanie. Powodzenia. – Odwrócił się plecami do nich i osiołka, ruszył energicznymi krokami w stronę swego wierzchowca i towarzyszy.

–Sądysz, że im się uda? – zapytał Beloul.

Haroun zerknął przez ramię. Tamci dwaj już wędrowali na południe, idąc kołyszącym się krokiem, Grubas z powodu swej tuszy, Gouch ze względu na ból, wywołany świeżymi obrażeniami.

–Kto wie? Jeśli się nie uda, niczego nie tracimy.

–A więc jedziemy na północ – zadumał się Beloul. – Jesteś pewien, że będą na nas czekać za rzeką?

Miał na myśli armię rojalistów, która miała ześrodkować się w Vorhangs, małym królestwie

za rzeką Scarlotti. Haroun ocenił, że na jego wezwanie do broni może odpowiedzieć nawet tysiąc lub dwa tysiące ludzi.

Miał nadzieję, że jeśli uda mu się mądrze wesprzeć nimi zachodnie armie, wzmocni swoją pozycję w negocjacjach dotyczących pomocy przy odzyskaniu Pawiego Tronu.

–Przekonamy się, Beloul.

Kilka godzin później, kiedy zastanawiali się, jak pokonać Scarlotti, dotarł do nich goniec.

–Panie – wydyszał – Bicz Boży przeszedł przez rzekę.

–Co? – dopytywał się Beloul. – Gdzie? Kiedy?

–W górze nurtu, tuż ponad Dunno Scuttari. Cztery dni temu zaczęli przewozić ludzi na łodziach. Wzięli miejscowych z zaskoczenia. W tej chwili Bicz Boży ma już na północnym brzegu jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi.

–On zwariował – jęknął Beloul. – Nadal wystawiony jest na atak ze strony Pomniejszych Królestw, a wkrótce Itaskianie też na niego ruszą.

–Nie, już nie musi się obawiać ataku – zaproponował Haroun. – Możesz nazywać El Murida wariatem, jeśli chcesz, ale nie Nassefa. On nawet nie chrapie bez powodu.

–Zagrożenie stanowi tylko brzeg północny – zauważył el Senoussi. – Nikt po tej stronie rzeki nie stanowi dlań prawdziwego wyzwania. Lepiej więc przekonajmy się, do czego on

zmierza.

–Tak. – Haroun zwrócił się do posłańca: – Wracaj do swojego oddziału. Powiedz kapitanowi, żeby kontrolował poczynania Nassefa. Powiedz mu, żeby o wszystkim mnie informował. Będę w obozie na terenie Kendel.

–Kendel? – zapytał el Senoussi. – Jedziemy aż tak daleko na północ?

–Poprosiłem o spotkanie z itaskiańskim generałem. Obóz w Kendel nie jest aż tak bardzo nie po drodze. Niech ktoś odda konia temu człowiekowi. Jego wierzchowiec nie przeżyje powrotnej drogi.

–Dziękuję ci, panie – powiedział posłaniec. – Zajmiecie się moim koniem? To dobre zwierzę.

–Oczywiście.

–Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? – zapytał Beloul, kiedy posłaniec już się oddalił. – Ile czasu minie, zanim do Harish dotrą pogłoski o twoim aktualnym miejscu pobytu?

–Sądziś, że działają nawet tak daleko od domu?

–Oni działają nawet na najdalszych krańcach świata, panie, jeśli El Murid tego chce.

–Przypuszczam, że tak się właśnie sprawy mają. A więc dobrze strzeżcie mych pleców. W nocy pokonali Scarlotti, w najtrudniejszy możliwy sposób. Rankiem, wciąż ociekając wodą, wyczerpani dołączyli do swoich wojowników.

Trudno powiedzieć, by armia Harouna wywarła na swym wodzu wielkie wrażenie.

W porównaniu z tą, którą dowodził jego ojciec, stanowiła zwykłą bandę obszarpańców. Tych ludzi wszakże różniło od tamtych jedno: oni przeżyli.

–Dasz radę coś z nimi zrobić? – zapytał Beloula.

–Oczywiście. Większość w domu parała się żołnierką. Wciąż są żołnierzami. Po prostu nie wyglądają zbyt imponująco.

–Wyglądają jak bandyci.

Beloul wzruszył ramionami.

–Postaram się nadać im trochę poluru.

Haroun pozwolił na dzień odpoczynku, a potem powiódł swój zastęp obszarpańców na północ.

Wojownicy narzekali. Większość miała za sobą długą drogę na południe do miejsca zbiórki. Największe grupy uchodźców znalazły schronienie na obrzeżach miast z pozoru najlepiej zabezpieczonych przed zakusami Bicza Bożego.

Tydzień wytężonej jazdy zabrało im dotarcie do obozu w Kendel. Po dwakroć brano ich za ludzi Nassefa i ledwie udawało im się uniknąć walki ze sprzymierzeńcami. Nassef sprawił, że ludzie mieszkający między Scarlotti a Porthune bali się własnego cienia.

Haroun dotarł do obozu tylko po to, by się przekonać, że itaskiański książę nie ma zamiaru odpowiedzieć przychylnie na jego prośbę o spotkanie. Jednak połączone północne armie maszerowały już naprzód, poruszając się na południe krótkimi etapami, a ich główny korpus znajdował się nie dalej jak czterdzieści mil na północ od obozu.

–Jakoś nie wydaje się szczególnie palić do spotkania z Nassefem – zauważył Beloul. – Nawet największa, najciężej uzbrojona armia potrafi poruszać się szybciej niż ta.

–W tym powietrzu wyczuwam woń politycznej korupcji, Beloul. Śmierdzi niczym stary, rozkładający się trup.

–Będziemy musieli urządzić dla tego człowieka małe przedstawienie. Szkoda byłoby jechać tak daleko zupełnie po nic.

–Zrobimy, jak powiadasz. Jutro rano go odwiedzę.

–Panie?

–Przeprowadźmy inspekcję tego obozu, Beloul. Ludzie powinni czuć, że się nimi interesujemy.

Już zdołał zobaczyć więcej, niżli chciał. Ci ludzie żyli w najprymitywniejszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Mieszkali w nędznych chatach, właściwie szałasach z gałęzi, których jedyną funkcją było chyba tylko niedopuszczanie do wnętrza promieni słońca.

–Kiedy nadejdzie zima, to miejsce zmieni się w obóz śmierci, Beloul. To nie jest Hammad al Nakir. Zimy są tu naprawdę mroźne. Ludzie zamarzną. Co się stało z Gamilem Meguidem, który rzekomo ma tu dowodzić?

–Zniknął zaraz po tym, jak przybyliśmy na miejsce.

–Co?

–Tak właśnie.

–Nie spuszczaaj go z oka.

–Taki miałem zamiar. Zaraz. Myślę, że to on. Tam, z obcym.

Meguid był jednym z tych niskich, wiecznie niezadowolonych ludzi tak często spotykanych na zachodnich połaciach Hammad al Nakir. On i el Senoussi byli starymi znajomymi. Mówiąc, Meguid gestykulował żywo, a w jego lewym policzku drgał niepowstrzymanie mięsień. Był do głębi przejęty przybyciem swego króla.

–Wasza Królewska Mość – gulgotał. – Pozwól sobie przedstawić, oto hrabia Dickes Ronstadt. Nasz sąsiad i dobroczyńca. Hrabio, oto najjaśniej nam oświecony król...

–Dosyć. Meguid Ronstadt? Słyszałem już to imię.

Hrabia był potężnej postury. Składał się z grubych zwojów mięśni, zwieńczonych imponującą srebrną grzywą. Haroun odnosił wrażenie, że przesywające spojrzenie ciemnych oczu tamtego wwierca się w miękkie podbrzusze jego duszy. Na białych wargach hrabiego zaigrał przelotny, ciepły uśmiech. Uśmiech, który jednoznacznie określał uśmiechającego się, jako rozbawionego obserwatora ludzkiej kondycji.

–Niewykluczone, chłopcze. Mieliśmy wspólnego przyjaciela. Megelina Radetica.

–Oczywiście! Jego współlokator z Rebsamen... Jesteś tym, przez którego zawsze pakował się w kłopoty.

–Jako też tym, który go z nich wyciągał. Był najbardziej naiwnym dzieciakiem... Ale błyskotliwym. Geniuszem wręcz. Potrafił wszystko zrobić. Nie dałbym sobie rady bez niego. Od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie. Byłem zdruzgotany, kiedy dowiedziałem się o jego losie.

–Świat jest uboższy o jego osobę. Ja jestem uboższy. Uczyniłbym go swoim wezyrem. Marszałkiem.

–Rzecz niesłychana, Megelin jako wojownik. Ale przecież nie było takiej rzeczy, z którą nie poradziłby sobie, gdyby się tylko przyłożył. Chodź ze mną. Gamil chciałby ci pokazać nasz nowy obóz.

–Megelin obiema rzeczami zajmował się u mego ojca, faktycznie, nawet jeśli nie z nazwy. Jaki nowy obóz?

–Gamil podejrzewał, że możesz być zły z powodu tego bałaganu. Bał się, że zechcesz go wyrzucić. A więc natychmiast pobiegł do mnie i zapytał, czy możemy ci pokazać, czym się zajmujemy.

–W porządku. Prowadź. Ale miał rację. To miejsce napelnia mnie zgrozą.

–Chodźmy więc. Zbudowaliśmy wszystko w dolinie, na przeciwległym zboczu grzbietu. Lepsze jest tam zaopatrzenie w wodę, dno jest równiejsze i nie brakuje dobrej gliny do prac budowlanych.

Haroun poszedł. Beloul, el Senoussi i pozostali nie odstępowali go ani na krok, a ich dłonie błędziły w okolicach rękojeści broni.

–Jaki jest twój udział w tym wszystkim? – zapytał Ronstadt Haroun.

–To ziemie mojego hrabstwa. Moje lenno. To kraina stosunkowo prymitywna i słabo zaludniona. Połączyłem więc przysługę wobec starego przyjaciela z własnym interesem. Megelin napisał do mnie kilka lat temu i wyjaśnił całą ideę. Spodobała mi się.

Hrabia Ronstadt doprowadził ich do wycinki w lesie, na dole rozległej, poza tym gęsto zadrzewionej doliny, której dnem płynęła wolna, leniwa rzeczka. Na polanie znajdowało się kilkanaście budynków w różnych stadiach budowy.

–Tego roku naszą główną troską pozostaną przygotowania do zimy. Twoi ludzie żywią się głównie tym, co upolują. Jednak następnej wiosny będą już gotowi do uprawy roli.

Haroun przyjrzał się kilku nie ukończonym budynkom. Zrobiono je z glinianej cegły, wysuszonej na słońcu. Uchodźcy nie korzystali z drewna licznie rosnących wokół drzew. Cięli je na bale i spławiali rzeką.

–Podoba mi się ten widok, przyjacielu mojego przyjaciela – powiedział Haroun. – Widzę, że pomagają nam twoi ludzie. To już doprawdy zbyt wiele.

–Występują tylko w roli nauczycieli. Wkrótce będą musieli wrócić do własnej pracy.

–Jak wielu ludzi mógłbyś tu przyjąć? – Uchodźcy nigdzie nie cieszyli się szczególną sympatią, mimo iż szczyt fali emigracji z pustyni był jeszcze przed nimi.

–Jak wielu ich tu przebywa, Gamil? – zapytał Ronstadt.

–Prawie pięć tysięcy, hrabio. Ale wedle oficjalnego spisu ponad osiem.

–Powitam was z otwartymi ramionami – poinformował Harouna Ronstadt. – Moje lenno jest właściwie ziemią dziewiczą. Bez trudu pomieści kolejne tysiące. Jednak król trochę się denerwuje. Kazał mi sporządzić spis ludności, a potem nie przyjmować już następnych osadników. Boi się, żebym zanadto nie urósł w siłę. Trochę się pokłóciliśmy. Ja chcę rekultywować całą dolinę. To się nie uda bez taniej siły roboczej Gamila.

–Taka jest twoja umowa z Meguidem?

–Umowa jak najbardziej korzystna, wedle wszelkich norm. Ponieważ jestem człowiekiem poczciwym, ciężary zobowiązań wasalnych również nie są duże.

–Aha. A ich zobowiązania wobec mnie jako ich króla?

Ronstadt jakby trochę stracił animusz.

–Nie mieszkają już na Hammad al Nakir. To jest ziemia Kendel.

Haroun zdławił nagły przyływ gniewu. Beloul delikatnie ujął go pod ramię.

–Nie sposób niczego zarzucić logice takiego postępowania, panie. Nie możemy oczekiwać czegoś za nic. A ten szlachetny pan najwyraźniej chce nam ofiarować więcej, niżli sam od nas

weźmie.

–Nie będę stawał na przeszkodzie, jeśli zechcą pomóc w miarę możliwości – oznajmił Ronstadt. – Póki nie będzie się to działo moim kosztem.

Haroun jednak nie potrafił pozbyć się gniewu. Los króla bez tronu przynosił więcej zawodów, niżli z początku oczekiwał. Zbyt wiele zależało od dobrej woli ludzi, którzy nic mu nie zawdzięczali.

Musiał dorobić się jakiejś własnej politycznej waluty, zanim na zachodzie zechcą go potraktować poważnie. Musi zdobyć coś, czego potrzebowali na wymianę za to, co mogli mu zaoferować.

Imperatywem musiało jednak pozostać zachowanie lojalności uchodźców. Nie może pozwolić im na asymilację, na zapomnienie o doznanych krzywdach. Muszą pozostać realną siłą polityczną, zdolną w każdej chwili sięgnąć po władzę nad Hammad al Nakir.

–Gamil powiada, że chciałeś spotkać się z Księciem Szarego Płaskowyżu – powiedział Ronstadt. – Mogę dać ci pewną radę?

–Mianowicie?

–Nie marnuj czasu.

–Co?

–To nie jest odpowiedni dla ciebie partner. Książę jest zwierzęciem politycznym, wytworem polityki, politycznym oportunistą. Otrzymał stanowisko głównodowodzącego tylko dlatego, że Korona Itaskiańska musiała pójść na kompromis z opozycją. Twoje ambicje na nic nie są mu potrzebne. Nie ustąpi ci nawet na jotę.

–Znasz go?

–Jesteśmy dalekimi krewnymi. Po kądzieli. Podobnie jak inny człowiek, z którym koniecznie powinieneś się spotkać. Wszyscy na północy spokrewnieni są ze wszystkimi.

–Z kim powinniśmy się koniecznie spotkać? – zapytał Beloul. – Jeśli nie z księciem, to z kim?

–Z ministrem wojny Itaskii. Jest w ramach tej kampanii przełożonym księcia, a ponadto jego wrogiem. I cieszy się łaską itaskiańskiego króla. Napiszę ci list polecający.

Następnego ranka, podczas jazdy na spotkanie z Księciem Szarego Płaskowyżu, Haroun zapytał:

–Co myślisz o naszym dobroczyńcy?

Beloul wzruszył ramionami.

–Czas pokaże.

–Nie jest to człowiek niewydukowany – zaopiniował el Senoussi. – Meguid dobrze o nim myśli. I ufa mu.

Pozostali zgodzili się z Beloulem.

–To, jak potraktuje nas Książę Szarego Płaskowyżu, również wiele powie o naszym gospodarzu.

Księcia nietrudno było odnaleźć. W ciągu ostatnich trzech dni jego armia nie pokonała nawet dwudziestu mil.

Ronstadt miał rację. Książę Szarego Płaskowyżu nie chciał mieć do czynienia z Harounem. Bin Yousif dotarł tylko do wejścia namiotu książęcego; czekał, a tymczasem adiutant próbował uzgodnić jego audiencję.

Radetic nauczył go trochę mówić po itaskiańsku. Wystarczająco, by mógł zrozumieć kolejne obelgi, jakie sypały się z ust księcia, i słowa nagany kierowane do adiutanta za niepokojenie go żądaniami „krzywonogiej bandy złodziei wielbłądów”.

Adiutant wrócił z poczerwieniałą twarzą, przepraszał. Haroun rzekł tylko:

–Powiedz mu, że pożałuje swej arogancji.

–No i cóż? – zapytał Beloul, gdy Haroun dołączył do swych kapitanów.

–Hrabia miał rację. Ze spotkania nici.

–Wobec tego może postąpimy zgodnie z sugestią Ronstadta. Itaskia nie jest aż tak daleko.

–Sądzę, że kilka dni więcej nie zrobi różnicy.

Trzy dni później przejechali Wielki Most, prowadzeni przez zniecierpliwionego sierżanta lokalnej formacji.

–Chwała miniona – zaintonował el Senoussi. – Taki był Ilkazar u szczytu potęgi Imperium.

Niewielu z nich widziało coś, co mogłoby się równać z nabrzeżami. Ruch na rzece był wręcz niewiarygodny. Hellin Daimiel i Dunno Scuttari w coraz większym stopniu uzależnione były od transportu rzeczno. Rzeka bogactw płynęła ze skarbców oblężonych miast do kufrów itaskiańskich kupców.

Sierżant popędzał ich, łajał, aż w końcu doprowadził do kremla w centrum miasta. Weszli do środka, pokonali kilka pięter, by znaleźć się w przedpokoju, gdzie energiczny staruszek wyrwał wręcz Harounowi z dłoni list polecający. Po czym zniknął za finezyjnie rzeźbionymi drzwiami. Jego nieobecność nie trwała długo.

–Jego Lordowska Mość przyjmie cię zaraz. Ciebie – wskazał na Harouna. – Reszta poczeka na zewnątrz.

–Nieźle tempo – westchnął Haroun. Ruszył w kierunku drzwi. Członkowie jego świty kręcili się niepewnie, staruszek blokował im drogę.

Na powitanie Harouna wyszedł szczupły, niski mężczyzna w średnim wieku. Wyciągnął dłoń.

–Powiedzieli mi, że jesteś młody. Nie spodziewałem się jednak, że aż tak młody.

–Hrabia Ronstadt z Kendel zaproponował, bym się z tobą zobaczył.

–I bezpośredni. Podoba mi się to, chociaż czasami wy, młodzi, trochę z tym przesadzacie.

Zakładam, że mój kuzyn nie spełnił twoich oczekiwań?

–Książę Szarego Płaskowyzu? Był wręcz nieuprzejmy.

–Zazwyczaj taki jest. Ktoś zapomniał nauczyć go manier. Nigdy nie przestało mnie zadziwiać, że mimo wszystko potrafił zbudować tak silne stronnictwo. Jeszcze bardziej mnie zdziwiło, kiedy wymanewrował mnie w kwestii obsady stanowiska dowódcy.

–Słyszałem, że jest dobrym żołnierzem.

–Kiedy służy to jego celom. Przypuszczam, że spróbuje wykorzystać całą sprawę jako kolejny szczebel na drodze do tronu. Nie czyni żadnych tajemnic ze swoich długoterminowych planów.

Haroun powoli pokręcił głową.

–A cóż taki cel ma w sobie pociągającego? W moim przypadku oznacza to tylko bóle

głowy i klucie w sercu.

Minister wzruszył ramionami.

–Proszę, siadaj. Przypuszczam, że możemy zawrzeć umowę. Haroun usiadł. Uważnie przyglądał się ministrowi. A tamten wbił w niego przenikliwe spojrzenie.

Haroun miał przed sobą człowieka, który w pełni panuje nad swym losem, kogoś równie pewnego swoich racji co El Murid. Twardy mężczyzna. Byłby z niego zażarty wróg.

Minister zaś widział chłopca zmuszonego stać się mężczyzną. Troski sprawiły, że wyglądał na starszego, niż był. Nadżerający już duszę cynizm objawiał się napięciem brwi, nadawał też jego młodemu ustom lekko kwaśny wyraz. Ale wyczuwał też w młodzieńcu hart, nieustępliwość graniczącą z fanatyzmem.

–Jaką umowę? – zapytał Haroun.

–Po pierwsze, powiedz mi, co sądzisz o strategicznych celach El Murida. Celach militarnych. Kwestie religijne mnie nie interesują.

–Restauracja Imperium? To jest marzenie głupca. Świat nie jest już taki jak niegdyś. Teraz istnieją na nim odrębne kraje. A poza tym ze względów geopolitycznych, Hammad al Nakir nie nadaje się do roli siły unifikującej. – Streszczał niektóre z rozważań Megelina na ten temat, rozwodząc się o braku tradycji scentralizowanej administracji w swej ojczyźnie i braku wykształconej warstwy, która poradziłaby sobie ze sprawowaniem rządów. Ilkazar takową dysponował, a ludy, które Imperium podbiło, w większej części nie wyszły poza poziom organizacji plemiennej.

–He masz lat?

–Dziewiętnaście.

–Wobec tego musiałeś mieć znakomitych nauczycieli. Znam ludzi, którzy mimo czterdziestoletniego doświadczenia politycznego nie potrafiliby tego przedstawić równie jasno. Ale nie powiedziałeś mi tego, co chciałbym wiedzieć. Czy tobie również śnią się imperialne sny?

–Nie. Zgadza się z Adeptem tylko wtedy, gdy mówi o restytucji godności i bezpieczeństwa narodu.

–Tak. Dobrze cię wyuczono. – Minister uśmiechnął się. – Przypuszczam, że na to mogę się zgodzić. Pozwól, że wyznam ci również własne drobne marzenie. Chcę uczynić z Itaskii dominujące mocarstwo zachodu. Już jesteśmy najsilniejsi, jednak podbój nie jest moim ideałem. Chodziłoby raczej o dominację moralną i handlową. Dzisiejsze królestwa są zbyt zróżnicowane, by dało się je wcielić do jednej struktury politycznej.

Rozmawiali po daimielliańsku, który był najlepiej przez Harouna opanowanym językiem obcym. Wyznanie ministra sprawiło, że nabrał chęci na lepsze poznanie itaskiańskiego.

–Jak przypuszczam, słowem, które masz na myśli, jest hegemonia.

Minister uśmiechnął się znowu.

–Być może masz rację. A teraz do rzeczy. Możemy pomóc sobie wzajem.

–Wiem, że możesz mi pomóc. Dlatego tu jestem. Ale cóż ja mógłbym uczynić dla ciebie?

–Po pierwsze, zrozumieć, że w El Muridzie widzę główne zagrożenie dla mego marzenia. Ale równocześnie jego dążenia wydają mi się korzystne. Jeśli zostanie pokonany, zanim spowoduje większe szkody, moje nadzieje mogą się ziścić w sposób znacznie bardziej naturalny. Zniszczenia południowych terenów i oblężenie Hellin Daimiel same w

sobie ustawiły Itaskię na pozycji moralnej i militarnej dominacji. Dominacja ekonomiczna przyjdzie z czasem. Dominacja kulturowa nie każe na siebie długo czekać.

–Mogę pomóc odeprzeć jego zakusy. Ale potrzebuję pieniędzy, broni i miejsca do życia dla moich ludzi. Głównie jednak broni.

–Właśnie. Posłuchaj. Masz wrogów, którzy nie są moimi wrogami. Ja mam wrogów, którzy ciebie nie obchodzą. I tu właśnie możemy pomóc sobie wzajem. Przypuśćmy, że pohandlujemy wrogami? Rozumiesz, co mam na myśli?

–Nie jestem pewien.

–Dla człowieka groźniejszy jest cios wroga, którego nie zna, zgoda?

–Rozumiem. Chcesz handlować morderstwami.

–Brutalnie powiedziane, ale to prawda. Dam ci broń i pieniądze, jeśli zgodzisz się spełnić trzy żądania. Po pierwsze, wyruszysz na wojnę i będziesz walczył z El Muridem. Po drugie, jeśli zwyciężysz, porzucisz wszelkie dążenia imperialne. I po trzecie, mówiąc wprost, dostarczysz mi skrytobójców, czy kogo będzie trzeba, kiedy będę chciał wykonać ruch, od którego musiałbym się oficjalnie zdecydowanie zdystansować.

Klasyczny intrygant, pomyślał Haroun. To, czego mu trzeba, to własna armia podziemna.

–Czy sam również planujesz zdobycie itaskiańskiego tronu?

–Ja? Boże broń, nie! Dlaczego, na niebiosa, miałbym go chcieć? Jestem bezpieczny i szczęśliwy na zajmowanym stanowisku, pociągając za sznurki. Jak rozumiem, masz zastrzeżenia.

–To wszystko brzmi trochę zbyt słodko. Zbyt dobrze, żeby mogło być prawdziwe.

–Może z twojego punktu widzenia. Ale nie orientujesz się w polityce itaskiańskiej. Mnie również nie znasz. Nie proponuję, byś od jutra zaczął podrzynać gardła. Mówię o planach długofalowych. O wymianie, która będzie trwać całe nasze żywoty. Wzajemnym przymierzu. Naszych problemów nie da się rozwiązać w ciągu roku. Ani w ciągu dziesięciu lat, ani nawet wówczas, gdy osiągniemy to, na czym, jak nam się wydaje, bardzo nam zależy. Rozumiesz teraz? Weź również pod uwagę fakt, że to ja nadstawiam karku. Proponuję ci tajny traktat. Jeśli dowiedzą się o nim określone siły, mogę wylecieć na pysk z zajmowanego stanowiska.

Haroun doskonale zdawał sobie sprawę, że może spędzić życie, uganiając się za celem na zawsze dlań niedosiężnym. Stary czarownik w ruinach wieży strażniczej jasno ukazał mu taką możliwość.

Nadstawił wewnętrzne ucho na szept intuicji i Niewidzialnej Korony.

–Zaryzykuję. Możesz uznać umowę za zawartą.

–Raz na zawsze? Powiada się, że twój ojciec był słownym człowiekiem.

–Tak. A ja jestem jego nieodrodnym synem. Szczupły mężczyzna powstał, wyciągnął dłoń. Haroun uścisnął ją.

–To musi wystarczyć za całą umowę – poinformował go minister. – Nikt prócz ciebie i mnie nie powinien się o niczym dowiedzieć.

–I bez wątplenia nigdy nie będzie mi wolno na jej podstawie zażądać immunitetu.

–Niestety. Taka jest natura gry, w której bierzemy udział. Ale pamiętaj, ja jadę na tym samym wózku.

W oczach Harouna wcale to tak nie wyglądało, jednak powstrzymał się od komentarza. Zgodnie z tym, co powiedział minister, nie orientował się w itaskiańskiej polityce. A poza tym zjeździł cały zachód i nikt inny żadnej pomocy mu nie zaproponował. Żebracy nie mają wyboru.

–Czego chciałbyś w pierwszej kolejności? – zapytał.

–Niczego. Po prostu pomóż powstrzymać El Murida. Najpierw muszę przetrwać ten kryzys. – Minister odwrócił się i podszedł do wielkiej ściennej mapy. Przyjrzał się jej przelotnie, palcem wyznaczył linię łączącą Itaskię z Dunno Scuttari. – Jeśli wyślesz paru ludzi na wrzosowiska Hempstead, mniej więcej dwanaście mil na południe od Bramy Południowego Miasta na Drodze Octyliańskiej, moi ludzie dostarczą ci tam transport broni. Niech to będzie gest dobrej woli z mojej strony. Co na to powiesz?

–Znowu: zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. Nie zdajesz sobie sprawy z rozczarowań, jakie przyszło nam znosić.

–Ależ doskonale zdaję sobie sprawę. Jak ci się wydaje, dlaczego tak szybko cię przyjąłem? Od ośmiu miesięcy badam te sprawy. Przygotowuję broń. Nie jest najlepsza. To stara,

niestandardowa broń zdobyczna. Z rodzaju tych, które wykorzystujemy do uzbrajania obcych sprzymierzeńców i rodzimej milicji. Mogę swobodnie nią dysponować, nie musząc się rozliczać.

–Wszystko jest lepsze niż puste dłonie. Nieprawdaż? Będę tam czekał.

Ale ostatecznie nie dotarł na miejsce. Musiał zlecić el Senoussiemu wykonanie tej pracy.

Z Dunno Scuttari przybył posłaniec. Jednak wieści o nietrudnych do odgadnięcia planach Nassefa zdały się Harounowi znacznie mniej interesujące niż zupełnie nieprawdopodobne fakty dotyczące Księcia Szarego Płaskowyżu, w których posiadanie tamten wszedł cudownym sposobem.

Z anielską cierpliwością, najpewniej już po raz nasty, posłaniec opowiadał swoją historię:

–Panie, kiedy mijiałem obóz itaskiańskich zastępów... na com się ośmielił, albowiem chciałem zobaczyć armię, która w oczach wszystkich ma stanowić zbawienie południa... zobaczyłem zbliżających się jeźdźców. Gdybym próbował uciec, z pewnością zostałbym dostrzeżony, a więc ukryłem się w lesie. Przejechali nie dalej jak dziesięć jardów ode mnie, panie. Oddziałem dowodził ten bandyta, Karim. Było z nim kilku Itaskian o wyniosłych minach. Żartowali sobie z ludźmi Karima niczym starzy przyjaciele.

–To był Karim? Jesteś pewien?

–Widziałem Karima kilka razy, panie. Znam jego głos. To był ten sam człowiek. Najwyraźniej knują tu jakąś zdradę.

–A więc książę... Nie będzie paktował z prawowitym królem Hammad al Nakir. Nie będzie dzielił się swoimi myślami z sojusznikiem. Praktycznie rzecz biorąc, przepędził mnie ze swego obozu... Nic dziwnego. Karim był tam przez cały czas.

Beloul wymamrotał:

–Skorpion. Trująca zaraza. Przyłączył się do bandytów.

–Ach, Beloul. Pomyśl. Skorpion ginie pod obcasem człowieka, który zna jego naturę. Być może wreszcie los uśmiechnął się do nas. Shadek, spotkaj się z ludźmi, którzy mają

przywieźć nam broń. Beloul, zwołaj wojowników. Niech wiedzą, że ścigamy tego łotra Karima. Niech wiedzą, że ślad jest jeszcze ciepły. Reszta rusza za nim od razu. Jeśli złapiemy go, zanim dołączymy do armii... – Zaśmiał się paskudnie.

Grymas na twarzy Beloula był nieomal równie paskudny. Darzył Karima wyjątkową nienawiścią. Karim był jednym z rzeźników spod Sebil el Selib.

–Jak rozkażesz, panie.

Losy jednak igrały sobie z młodym królem. Karim zafundował im wesoły wyścig na południe. Stary bandyta znajdował się na wrażym terenie i wiedział o tym. Nie marnował ani chwili. Haroun dogonił go dopiero przy przeprawie przez rzekę na tereny północno-zachodniej Altei. Ale wtedy nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przeklinać i biernie patrzeć. Na południowym brzegu stało sześć setek wojowników Karima.

Haroun musiał czekać na Beloula, zanim mógł spróbować przeprawy, ciskając całe swoje siły przeciw garstce zostawionej na straży przez Karima. Ale wtedy był już o dzień spóźniony i tamten wiedział doskonale, że ledwo udało mu się uciec.

Rozdział 10

Alteańskie perypetie Strzały świstały ponad barką, pęd rozmazywał je w smugi i łupały, uderzając w burtę. Ostrzał był wszakże całkowicie bezładny. Bowiem odległość przekraczała zasięg krótkich pustynnych łuków.

–Zachowują się, jakby zamierzali nas gonić aż do źródeł rzeki – narzekał Haaken.

Jeszcze przed ich odjazdem Nassef zacieśnił pierścień okrążenia wokół Dunno Scuttari. Wypłynęli z miasta pod ostrzałem, a podczas dalszej podróży ani jeden dzień nie minął bez ataku. Wprawdzie napastnicy nie spowodowali żadnych strat, jednak ciągły pościg działał przygnębiająco. Wcześniej czy później żołnierze Gildii będą zmuszeni podjąć walkę, choćby po to, by móc wylądować.

Barka była w istocie niewielką galerą. Większość regularnej załogi musieli jednak zostawić w porcie, żołnierze Gildii zmieniali się więc przy wiosłach. Nie omijało to nikogo, ani principes, ani nawet podoficerów.

Wysiłek przygnębiająco wpływał na Smokbójcę.

–Gdybym chciał zrobić karierę przy wiosle, wróciłbym do domu, do Trolledyngji – narzekał za każdym razem, gdy przypadała jego kolej.

–Wkrótce to się skończy – obiecywał Bragi. – A wtedy dla odmiany zaczniesz nas zabawiać swoją filozofią ponurego życia żołnierza piechoty. Kapitan mówi, że czeka nas ostry marsz.

Haaken i Reskird zamruczeli coś buntowniczo.

–Zabawiłeś się dosyć. W Simballawein uganiałeś się za spódniczkami. W Hellin Daimiel uganiałeś się za spódniczkami. W Dunno Scuttari nie miałeś nic innego do roboty, jak tylko uganiać się za spódniczkami. A teraz zaczynasz narzekać, ponieważ trzeba zapracować na żołd.

–Myślę, że ta belka kaprańska uderzyła mu do głowy – zaopiniował Reskird.

–Też to zauważyłem – zgodził się Haaken.

–Dajcie spokój... Dlaczego nie zajmiecie się oporządzeniem ekwipunku? Dziś wieczorem schodzimy na brzeg.

Pięć tygodni zwlekali w Dunno Scuttari, najpierw z powodu braku transportu, później

oczekując na właściwą fazę księżyca. Pierwszych kilka godzin na brzegu będzie decydujące. Potrzebowali całego światła, jakie tylko może zapewnić księżycowa tarcza.

Ciemność, wschód księżyca, a wreszcie godzina grozy nadeszły szybciej, niżli można się było spodziewać.

–To tam – powiedział Bragi, wskazując ujście dopływu Scarlotti. – Piętnaście minut.

Wylądowali w wiosce tuż nad miejscem, gdzie boczny nurt łączył swe wody z głównym, a tymczasem ludzie El Murida miotali się bezładnie, szukając brodu. Kapitan Sanguinet miał nadzieję, że jego kompania zdoła zniknąć w mrokach nocy, zanim ścigający przedostaną się na drugą stronę.

Alteańscy wieśniacy witali ich równie entuzjastycznie, jak wcześniej mieszkańcy Simballawein.

–Trzymaj łapy przy sobie, Smokbójca – warknął Bragi, formując szyk swej drużyny. – Nie mamy na to czasu.

Haaken zachichotał cicho. W Dunno Scuttari jego brat zapracował sobie na reputację najbardziej zagorzałego w drużynie zwolennika uganiań się za „kociakami”.

–Zawodowa zazdrość – zauważył Reskird.

–Przyganiał kocioł garnkowi, bez najmniejszych wątpliwości – zgodził się Haaken.

–Ruszamy, chłopcy – powiedział Bragi. – Sytuacja jest krytyczna. – Powoli stawał się rozdrażniony, z każdą chwilą coraz bardziej. Miał złe przeczucia w związku z tą alteańską kampanią. Węszył nadciągającą katastrofę. A Trolledyngjanie znani byli z tego, że przywiązywali niezwykłą wagę do proroczych znaków i przeczuc.

–Gotowi? – zapytał Sanguinet.

–Gotowi, panie kapitanie – odparł Bragi.

–Co to za wrzaski? – zapytał Reskird, kiedy tylko Sanguinet odszedł. Przekrzywił szyję, aby lepiej widzieć.

Bragi zarzucił na ramię swój tornister.

–Prawdopodobnie właśnie zdali sobie sprawę, że nie mamy zamiaru zostać i ich chronić. – Nie potrzebował znajomości lokalnego języka, aby zrozumieć gniew nabrzmiewający w głosach wioskowej starszyny. – Zabierajcie swoje tornistry.

Ruszyli naprzód, ścigani przekleństwami mężczyzn i zawodzeniem kobiet. Bragi czuł, jak coś ściska go w sercu, kiedy słyszał płacz dzieci.

Nigdy nawet się nie dowiedzą dlaczego.

Zmierzali na południowy wschód. Sanguinet narzucił ostre tempo. Sam nie tracił nawet czasu na narady z przewodnikami, których alteańską korona wysłała im na spotkanie – a jeśli już, to trwały one tylko parę minut. Marszruta do Bergwoldu, lasu, który mieli wykorzystać jako bazę wypadową, liczyła sto mil, a kapitan chciał ją pokonać bez żadnych dłuższych postojów.

Wstał świt, a kompania dalej maszerowała. Wioski, farmy, posiadłości, niewielkie zamki najpierw kolejno majaczyły w oddali, potem prezentowały się w całej okazałości i znikwały za plecami niczym powolne, samotne okręty. W wyglądzie okolicy właściwie nie znać było żadnych śladów działalności najeźdźców, ale na widok zmęczonych żołnierzy Gildii chłopcy natychmiast znikali z pól.

Tu i ówdzie Sanguinet przekazywał i wysłuchiwał wieści od panów majątków i zamków.

Miały one bardziej charakter sąsiedzkich plotek niż konkretnych informacji. Karim jak dotąd nie

zainteresował się Alteą. Jedyne poważniejsze walki, jakie miały miejsce, objęły tereny leżące wzdłuż granicy z Tamerice. Książę Korony Raithel zdołał zapobiec trzem bardzo skromnym próbom najazdu.

Bragi zastanawiał się, dlaczego wszędzie jest tak spokojnie. Oczekiwał ciągłego boju w marszu. Działalność armii Karima w Pomniejszych Królestwach stanowiła przedmiot nie kończących się rozmów podczas podróży w górę rzeki. Spośród niewielkich państw zajmujących obszary leżące poniżej rzeki Scarlotti jedynie Altea i Kavelin – to drugie osłaniane przez Alteę – pozostawały wolne. Bragi sądził, że przybędą za późno, by cokolwiek ocalić po przejściu nawałnicy.

Działo się tu coś dziwnego i najwyraźniej wszyscy mieszkańcy Altei zdawali sobie z tego sprawę. Protegowany Nassefa nie był człowiekiem, który łatwo zrezygnowałby z przewagi, jaką dawał mu niepowstrzymany pęd jego armii.

Po dwudziestu ośmiu godzinach wyczerpującego marszu kompania dotarła do północnych rubieży lasu Bergwold, zawdzięczającego swoją nazwę bliskości zamku Colberg, fortecy obecnie zrujnowanej, która odegrała poważną rolę we wczesnej historii Altei. Alteanie uważali zamek za pomnik pamięci narodowej. Jednak przechodzący obok niego żołnierze Gildii nie widzieli nic prócz nadgryzionych zębem czasu murów majaczących widmowo w księżycowej poświacie.

Żaden z nich nie wiedział nic o królestwie, którego mieli bronić. Jedyne porucznik Trubacik znał trochę lokalny język.

Wszystkie te fakty nie dawały Bragiemu spokoju podczas marszu. Jak zauważył Reskird, awans zmienił jego sposób myślenia. Zaczynał traktować dowodzenie drużyną poważnie.

A podczas marszu niewiele było do roboty prócz myślenia.

Nawet kapitan sprawiał wrażenie wyczerpanego. Tej właśnie nocy po raz pierwszy w dyscyplinę kompanii wkradło się rozluźnienie. Nikt nie przerzucił nawet jednej łopaty ziemi na perymetrze obozu.

Ale załamanie nie trwało dłużej niżli tę jedną noc. Następnego dnia Sanguinet wszedł głębiej w las i zarządził prace przy na poły stałej bazie wypadowej. Zwiadowcy nawiązali kontakt z pustynnymi rojalistami, którzy wykorzystywali Bergwold do tego samego celu. Sanguinet zawarł z nimi coś na kształt luźnego przymierza.

Przez całe tygodnie nie robili nic innego, tylko patrolowali farmy na obszarach przylegających do lasu. Wysyłali patrole bez szczególnego przekonania. Pustynni jeźdźcy szybciej pokonywali większe obszary, a lokalna szlachta schodziła im z drogi, równocześnie na bieżąco informując Sanguineta.

Taką właśnie reputacją cieszyła się Gildia.

– Niezłe uczucie – wyznał Bragi swemu bratu. – Jedna kompania dekowników i ci ludzie już myślą, że królestwo jest ocalone.

– Ciekawe, co się stanie, jeśli nie sprostamy ich oczekiwaniom? – zrzędził Haaken. A potem dodał jeszcze: – Może właśnie po to tu jesteśmy. Żeby podnieść mor Je. Może Wysoka Iglica dobrze wie, co robi.

–Może – w głosie Bragiego pobrzmiwał sceptycyzm, z jakim każdy frontowy żołnierz traktuje intelektualistów w swoim zawodzie. On i jego ludzie zajmowali się głównie chodzeniem na ryby i włóczęnictwem w okolicach zamku Colberg. Żadne bardziej interesujące rozrywki nie były dostępne. W końcu dotarły do nich wieści, że wróg ruszył się z miejsca. Książę Raithel wydał mu bitwę i został pokonany. Teraz wycofywał się na północ i rozpaczliwie potrzebował wsparcia.

–Oto znowu wyruszamy – mruzczał Haaken, zarzucając tornister na ramię. – Dlaczego po prostu nie poczekamy, aż sami do nas przyjdą?

–Odezwał się mistrz strategii – zakpił Reskird. – Bragi, załatw mu przydział do sztabu kapitana.

–Bragi, jeśli tylko trzeba, skarpetę mam przygotowaną.

Ragnarson zignorował ich obu. Sprzeczki Haakena i Reskirda stały się rytuałem. Nie było w nich prawdziwej urazy. Stanowiły rozrywkę pozwalającą zabić czas.

Nawet nie zobaczyli armii Raithela. Los zrzucił inaczej – kompania natrafiła na wrogów dwanaście mil na południe od zamku Colberg.

–Ojej – jęknął Reskird swoim wieszczym głosem. – Kłopoty.

Royalistyczni zwiadowcy galopowali w panice wzdłuż kolumny, nadjeżdżając od strony skrzyżowania dróg, które kompania minęła pół mili temu.

–A teraz jesteś oficjalnym zwiastunem zagłady? – dręczył go Haaken.

–Narada sztabu kompanii! – krzyknął Sanguinet, porozmawiawszy z którymś z jeźdźców. – Dalej! Ruszać się!

Kapitan przedstawił całą rzecz bez ogródek:

–Wpadliśmy. Po tej bocznej drodze, którą nie tak dawno minęliśmy, pędzi cała masa ludzi El Murida. Nie uciekniemy im. Już nas zobaczyli. – Machnął dłonią w stronę odległego o milę bezkształtnego wzgórza. Droga wiała się u podnóża jego zachodniego zbocza. – Wleziemy na to wzgórze i okopimy się. Jeśli któryś jest religijny, niech się modli o ocalenie dupy. Tych bękartów jest gdzieś z tysiąc. – Przesadzał. Wrogów było najwyżej pięć setek. Ale już tylu stanowiło wystarczający problem.

Drużyna Bragiego stała z przygotowaną bronią, podczas gdy drugi szereg kopał.

–Choć paru przyjaciół – mamrotał Haaken, obserwując, jak ostatni rojaliści znikają w galopie. – Z ich pomocą moglibyśmy mieć szansę.

–Wciąż mamy cholernie wielkie szanse – powiedział Bragi. – Jesteśmy z Gildii, pamiętasz?

Reskird zerknął przez ramię.

–Zobaczcie, jak ta ziemia lata.

Hastati i triarii zapalczywie wgryzali się w glebę.

–Nic tak nie motywuje człowieka jak widok wrażego miecza – zauważył Bragi.

Wrogie oddziały dotarły do stóp wzgórza i zatrzymały się. Dowódcy naradzali się. Najwyraźniej wahali się, czy przypuścić bezpośredni atak.

–Hej! – powiedział Bragi. – Niektórzy z tych gości są z zachodu. Haaken, możesz dojrzeć ich barwy? Czy nie są przypadkiem takie same jak te, które nosili faceci spotkani w Itaskii? Zaraz po tym, jak zesliśmy z gór?

Haaken wytężył wzrok.

–Myślę, że masz rację. Szary Płaskowyż. A może to po prostu kolejna banda rojalistów?

–Dlaczego więc nasi przed nimi uciekli? Sanguinet podszedł i stanął obok Ragnarsona.

–Itaskianie?

–Tak, panie kapitanie. To są barwy Szarego Płaskowyżu.

–Poruczniku Trubacik, niech pan weźmie białą flagę i zejdzie na dół. Przekonamy się, z kim mamy do czynienia.

Spór dowódców u stóp wzgórza trwał, póki Trubacik nie podszedł bliżej i nie zaczął mówić. Jego słowa najwyraźniej wzburzyły słuchaczy. Jakiś człowiek z grzywą siwych włosów ugodził go.

Ze zbocza wzgórza odpowiedziało mu dzikie wycie.

–Zrobiliśmy coś źle – powiedział Bragi. – Ale co?

–Nie myśl o tym teraz – rozkazał Sanguinet. – Myśl o pozostaniu przy życiu. Podjęli decyzję. Nadchodzą.

Jeździec ze zmięzioną czupryną ciosami nahajki ustawiał szyk do szarży.

–Za rów – rozkazał Sanguinet. – Principes, nie puszczaj tarczy i włóczni. Łucznicy, każda strzała ma trafiać, póki będą się przedzierać przez krzaki. Żołnierze, jeśli odeprzemy pierwszy atak, może nam się udać.

Dowódca wroga wysłał przeciwko nim większość swych wojowników, zatrzymując w odwodzie jakichś osiemdziesięciu. Rumaki z trudem przedzierały się przez krzewy porastające stromy stok. Lepszy łucznicy Gildii zaczęli strzelać właściwie od razu, mimo iż odległość równa była zasięgowi łuków. Przynajmniej pięćdziesięciu jeźdźców nie dotarło do rowu, który przecinał zbocze tuż za najtrudniejszym odcinkiem podejścia.

Pierwsi atakujący próbowali przeskoczyć rów, ale zwierzęta były już zmęczone wspinaczką na zbocze wzgórza. Tylko garstce się udało. Tylne nogi pozostałych obsuwały się do okopu. Próbowaly się wydostać na jedną bądź drugą stronę, blokując w ten sposób drogę kolejnym szeregom jeźdźców. Włócznicy Gildii zapełnili rów ciałami martwych i umierających koni.

Bardziej opieszali napastnicy poprowadzili swe konie do okopu, a potem po jego przeciwległej ścianie – prosto pod ciosy włóczni. Kolejne zwierzęta padały. Tylko nielicznym udało się zachować dość impetu, by przebić się przez front Gildii.

Strzały łuczników zaczęły trafiać tych, którzy wciąż jeszcze byli na stoku.

Jeźdźcy – widząc nieskuteczność dotychczasowej taktyki – zeskakiwali z siodła i rzucali się na mur tarcz.

Na to właśnie czekał Sanguinet.

Bragi upuścił zakrwawioną włócznię i zaczął wymachiwać mieczem. Wróg nieustępliwie atakował. Ciała poległych oraz rannych zaścielały stok i wypełniały rów.

Ragnarson odepchnął napastnika tarczą. Trzech kolejnych skoczyło, by zająć jego miejsce. Położył jednego, ale połączone siły dwu pozostałych sprawiły, że cofnął się o krok. Z konieczności Haaken i Reskird dopasowali swoje pozycje tak, aby ich tarcze nadal pozostawały szczepione.

Kilku jeźdźców odpowiedziało na strzały Gildii. Nie spowodowali jednak żadnych szkód, ponieważ hastati i triarii przykryli walczących dachem własnych tarcz.

Chociaż atak trwał tylko parę minut, Bragiemu wydawało się, że wieczność minęła, zanim szeregi wojowników El Murida zaczęły się załamywać. Przynajmniej setka ciał atakujących oraz tyleż koni zaścielała stok zbocza.

Człowiek z rozwianą czupryną poganiał bezlitośnie swoich ludzi. Znowu zaczęli nacierać.

Rzeź trwała bez chwili zmiłowania. Sześciu, siedmiu, ośmiu pustynnych jeźdźców padało na każdego żołnierza Gildii. Ale nieprzyjacielski dowódca nie przerywał ataku.

„Jeśli ten głupiec nie zrezygnuje, straci cały oddział – myślał Bragi. – Dlaczego tak rozpaczliwie próbuje nas pokonać?”

Potem usłyszał, jak Sanguinet krzyczy coś z tyłu frontu.

Nie ośmielił się odwrócić, ale zrozumiał, co się stało. Wojownicy, którzy nie brali udziału w ataku, okrążyli wzgórze, by zająć ich od tyłu. Sanguinet próbował ich powstrzymać. Udało mu się, jednak tylko dzięki temu, że odciągnął łuczników z pierwotnych pozycji.

Nacisk na główną linię frontu zdwoił się. Mur tarcz zaczął pękać. Pustynni wojownicy rzucili się w powstałe szczeliny.

Już po chwili Bragi, Haaken i Reskird przekonali się, że zostali odcięci. Stanęli plecami do siebie i kontynuowali walkę, a tymczasem wyczerpane konie wroga przemykały obok.

–Andy! Raul! – krzyknął Bragi. – Przebijcie się tutaj i złączcie szyk. Haaken, kiedy powiem, dasz krok do tyłu. Reskird, bądź gotów wpuścić tamtych. – Krzycząc, ani na moment nie przestał ciąć i kłuć mieczem.

Szeregi Gildii powoli traciły zwartość.

Ragnarson poczuł, jak jego strach gdzieś znika; opanował nim dziwny spokój, kiedy zrozumiał, że oto śmierć jest blisko. Jego umysł wyzwolił się z więzów przykuwających go do ciała. Z niezwykłą jasnością wiedział, co należy zrobić, i dokładał wszelkich starań, by być

skutecznym.

Udało mu się na powrót ustawić w szyku swą drużynę, tracąc jedynie dwóch ludzi.

Promieniujący zeń spokój udzielił się pozostałym. Panika należała już do przeszłości. Całkowicie skupili się na swym ponurym dziele, walcząc w taki sposób, jak ich nauczono – maksymalizując własne szanse przetrwania.

Żołnierze Bragiego wciąż tworzyli formację niewielkiego, zwartego czworokąta, który kiedy tylko było to możliwe, zmieniał pozycję, aby ogarnąć innych ludzi z oddziału.

Ragnarson nie przestawał krzyczeć:

–Atakujcie konie! Na ziemi łatwo ich wyrzniemy.

Człowiek ze zmierzwioną czupryną zapewne zgadzał się z jego oceną sytuacji. Zbyt wielu jego ludzi zostało zmuszonych do walki pieszej – ich szable i małe, okrągłe tarcze stanowiły słabą obronę przed uzbrojeniem ciężkiej piechoty. Widział, jak jego batalion przegrywa bój ze znacznie mniej licznym przeciwnikiem. Ład, który stopniowo coraz bardziej dominował w szyku Gildii, zwiastował dalsze bolesne straty po jego stronie.

W obecnej chwili nieprzyjacielski dowódca znajdował się na szczycie zbocza, niedaleko od pozycji Gildii. Zaczął zbierać jeźdźców do kolejnej szarży, która tym razem miała już naprawdę niechybnie rozbić formację Bragiego, by rozproszeni piechurzy ulegli nawale jeźdźców.

Bragi wykorzystał chwilę, kiedy natarcie nieco osłabło, aby włączyć kolejnych żołnierzy

do swojej falangi i przeprowadzić formację do miejsca, gdzie skalna odkrywka mogła posłużyć za rdzeń szyku.

–Zanieście rannych między skały – rozkazał. – Haaken, widzisz tych gości, o tam? Weź kilku ludzi i zobacz, czy nie da się ich tu przeprowadzić. Ty, z łukiem – osłaniaj ich.

Krążył wokół skał, zachowując się tak, jakby to była jego kompania; zbierał kolejnych ludzi, odzyskiwał porzuconą broń i tarcze, nie spuszczał z oka miejsca, gdzie jeźdźcy gotowali się, by przypuścić szarżę po zboczu.

Zanim szarża ruszyła, Bragiemu udało się włączyć do swojej formacji jakichś czterdziestu ludzi zdolnych do walki oraz kilkunastu rannych. Mimo że cały czas zajęta bojem, reszta kompanii zdołała okrzepnąć w silnych węzłach oporu. Większość zajęła pozycję po przeciwnych niż poprzednio stronach okopu.

–I oto są – powiedział Smokbójca.

–W porządku, Reskird, będziesz dowodził na lewym skrzydle. Haaken, weź prawe. Ja zostanę tutaj. Żołnierze, nie dajcie się im oszukać. Nie mają dość jaj, żeby przejechać przez nas prosto na te skały.

Szarża odniosła dokładnie taki skutek, jakiego pragnął dowódca wroga, aczkolwiek znowu przyszło mu zapłacić za to straszliwą cenę. Rozbiła wszystkie zgrupowania Gildii, prócz tego, które przeciwstawił jej Bragi. Na wzgórzu toczyło się mnóstwo indywidualnych pojedynków.

Szansę przetrwania kompanii były nikłe.

Jeźdźcy krążyli wokół oddziału Bragiego, próbując wciąć się w jego flanki.

–Trzeba dostać ich konie! – krzyczał wciąż. – Niech jakiś łucznik spróbuje zdjąć tego siwego sukinsyna! – Nikt jakoś się do tego nie palił, więc sam porwał porzucony łuk i spróbował. Jemu również się nie powiodło.

Ale chwilę później, kiedy tamten, przeklinając, podjechał bliżej, aby zmusić swoich jeźdźców do kolejnej próby przełamania formacji, Bragi powalił jego konia ciosem włóczni.

Zwierzę przysiadło rozpaczliwie na tylnych nogach, zrzucając jeźdźca przez zad.

–Haaken! Łap drania!

Mimo wściekle śmigającego oręża i powodzi końskich kopyt Haaken jakoś zdołał się wymknąć, schwycił starego za siwe włosy i powrócił do formacji. Cisnął oszołomionego dowódcę wroga do stóp Bragiego.

Ragnarson również nie miał zamiaru postępować z tamtym delikatnie. Uniósł jeńca nad głowę, aby jego ludzie mogli zobaczyć, że został schwytany.

Żołnierze Gildii zaczęli wiwatować.

Wrogowie zareagowali jednak inaczej niż Bragi oczekiwał. Nie mieli zamiaru się poddawać. Ale wielu z nich wycofało się, by omówić sytuację, dając tym samym Gildii szansę na ponowne sformowanie szyku.

Reskird powiedział:

–Ci chłopcy nie zamierzają podwinąć pod siebie ogonów tylko dlatego, że złapaliśmy ich „numer jeden”.

–Warto było spróbować. Chociaż może nie powinienem. Wykorzystają czas na opamiętanie się i zastanowienie, jak sobie z nami poradzić. – Bragi spojrział w dół na siwowłosego człowieka. Zachowywał się nad podziw spokojnie. Jego usta poruszały się,

ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. – Patrz. On się modli.

–A co ty byś robił na jego miejscu? Do diabła, sam też bym się zaczął modlić, gdybym znał jakiegoś boga, któremu mógłbym zaufać.

–Sądziłem, że wierzysz w Szarego Wędrownice, ponieważ uratował twój zadek, kiedy drakar się rozbił.

–Tak? I zobacz, w co mnie wpakował.

–Bragi! – zawołał Haaken. – Chodź tutaj. Ragnarson przepchnął się do brata.

–Co?

–Tam. Przybyli kolejni. – Haaken wskazał podbródkiem.

Jeźdźcy byli ledwie widoczni. Nie przyjechali drogą, na której zdradziłby ich tuman kurzu. Jechali pojedynczą kolumną, rozdzielającą się następnie na dwie. Najwyraźniej byli zdecydowani okrążyć wzgórze.

–Cholera! A mielibyśmy już całą sprawę za sobą, gdyby ci tchórze, rojaliści, nam pomogli. Mogli nie dopuścić, by ta banda zaatakowała nas od tyłu.

–Oto nadchodzą znowu! – krzyknął Smokbójca.

Bragi westchnął i zmusił swe umęczone mięśnie do jeszcze jednego wysiłku. Ujął miecz i tarczę. To było to. Koniec. I nie wiedział nawet, za co właściwie umiera, chyba że chodziło tylko o proste poczucie braterstwa broni i honor Gildii.

No cóż, Ragnar zawsze mawiał, że ze swojej śmierci winno się uczynić pamiętną chwilę. A jeśli tak się złoży, że nie będą cię mogli zapamiętać twoi przyjaciele, niech choć wrogowie zostaną z opowieściami, które potem przekażą swoim dzieciom w długi, zimowy wieczór.

Szarża runęła na nich z całą siłą. I zaiste powinna oznaczać koniec kompanii Sanguineta. Ale nieomal natychmiast jej pęd zaczął słabnąć. Wciąż zachęcający swoich ludzi, by trafiali konie wroga, Bragi wyraźnie wyczuwał w ataku brak zdecydowania. Nie minęło parę chwil, a jeźdźcy pustyni stracili serce do walki. Wkrótce już mogli oglądać ich plecy.

–Co, u diabła? – zapytał Bragi, kierując swe słowa w przestrzeń. – Haaken. Uciekają. Uciekają jak jasna cholera. Co się stało?

Reskird zasugerował:

–Ci goście, tam na dole, muszą być po naszej stronie.

Słyszając to, większość żołnierzy Gildii pozwoliła, by wreszcie ogarnęło ich wyczerpanie; ciężko wsparli się na swoich tarczach. Nawet nie czekali na potwierdzenie przypuszczeń Smokbójcy. Bragi jednak dowlókł się jakoś na szczyt skalnej odkrywki.

–Hej, Reskird! Choć raz w swoim żalonym życiu odgadłeś słusznie. Hejho! Patrzcie jak bękarty zmykają!

Wokół podstawy wzgórza zatętniły kopyta i poniosło się wycie jeżącego włosy na głowie bitewnego zawołania rojalistów.

–Jakiego boga wybrałeś sobie tym razem, Reskird? – triumfalnie zapytał Bragi. – Jesteśmy mu winni całe stado owiec. Hura! Nie sądzę, by któremuś udało się uciec. – Zszedł ze skałki i wsparty o tarczę oglądał dalszy przebieg bitwy. – Ach. To zaiste miły widok.

A Haaken, który osunął się na ziemię obok niego, ściskając swoje ramię, dodał:

–Udało nam się. Nie wierzyłem. Udało się. – Trząsł się tak, że nie był w stanie nic więcej zrobić, jak tylko trwać w ten sposób.

–Nic nie rób, leż sobie i oglądaj niebo – nakazał mu Bragi. – Popatrz na te chmury. Czy nie jest to najpiękniejszy obrazek, jaki w życiu widziałeś?

Haaken zrobił, co mu kazano.

–Tak.

Bragi pozwolił wszystkim, przez kilka chwil cieszyć się niespodzianie zwróconym życiem. Potem powstał z wysiłkiem i powiedział:

–W porządku, wszyscy, którzy nie są ranni, niech się biorą do porządków. Mnóstwo naszych jeszcze żyje i leży gdzieś w tym piekle. Spróbujcie zebrać wszystkich w tym miejscu. Ja pójdę poszukać kapitana i dowiedzieć się, jakie są rozkazy. Haaken, zbierz kilku chłopców o mocnych żołądkach i dobijcie tamtych.

Kapitana odnalazł kilka minut później. Wciąż jeszcze klęczał nad jego zmaltretowanym ciałem, kiedy Reskird krzyknął:

–Hej! Bragi! Chodź tutaj!

Ragnarson powstał, podniósł oczy i zobaczył Reskirda stojącego naprzeciwko oddziału rojalistycznych kawalerzystów. Ujął miecz, tarczę i powłókł się z powrotem.

–Sanguinet nie żyje – powiedział po trolledyngjańsku. – Podobnie jak Tomas i Klaus. Kto obejmie dowodzenie? – Przyjrzał się jeźdźcom. – O, niech mnie cholera!

–Przynajmniej raz ci odpłaciłem, Bragi. – Haroun wyszczerzył zęby.

Reskird wyszeptał:

–Czy to nie jest ten Haroun z czasów, gdy wykonywaliśmy robotę w el Aswad?

–No, ten sam – odparł Bragi. – Poradziliśmy sobie z nimi, Haroun.

–Co ty tu robisz?

–Wysoka Iglica wysłała nas do Altei, abyśmy dodali ducha tutejszym mieszkańcom.

Starszy rojalista zapytał:

–Wasi ludzie tego dokonali? – Gestem dłoni objął panoramę rzezi.

–Za nic nie chcieli nas zostawić w spokoju – odpowiedział Bragi, siląc się na gorzki żart.

–Wykończylibyśmy wszystkich, gdyby wasi chłopcy nie stchórzyli.

Haroun zapytał:

–Słucham?

Bragi wyjaśnił, że oddział rojalistów zostawił kompanię własnemu losowi. Twarz Harouna pociemniała.

–Spotkaliśmy kilku z nich. Sądziliśmy, że to posłańcy. Znajdę ich dowódcę. Pokażę mu ten widok. A potem go powieszę.

Z dala dobiegło ich pytanie Haakena:

–Staruszka też mam zabić, Bragi?

–Nie. Przekaż go tym chłopcom. Może coś z niego wydobędą.

Haaken wywlókł jeńca spomiędzy skał, gdzie przedtem go ukrył.

–Wahla! – zawołało kilku jeźdźców.

–Karim! – wydarło się z ust Harouna. – Ach! – Zaczął się śmiać. Jego żołnierze przyłączyli się do niego, wymieniając kuksańce niczym rozbawione dzieci.

–Co jest? – zapytał Bragi.

–Złapałeś Karima. Wielkiego Karima, który jest drugi po samym Biczu Bożym. Ależ będzie

radość, gdy świat się o tym dowie. I wiele łez popłynie w komnatach rady uzurpatora. Och, jakże się wścieknie Bicz Boży! Mój przyjacielu, podarowałeś nam pierwsze wielkie zwycięstwo. Przepelnia mnie uniesienie! Czuję, jak przeznaczenie się odwraca! Losy już nie spiskują przeciwko nam. Ale co się stało ze zdrajcami z północy, którzy mu towarzyszyli?

–Nie mam pojęcia. A żałuję. Chętnie dostałbym ich w swoje ręce. To oni są za wszystko odpowiedzialni. Karim wcale nie miał ochoty atakować.

–Rozpoznałeś ich?

–Tak. Z początku myśleliśmy, że to twoi ludzie. Potem Karim zabił porucznika.

–Nic chcieli pozostawić przy życiu żadnych świadków ich zdrady. Jechali na spotkanie z Nassefem, aby knuć zagładę północnej armii. Ścigamy ich już od ponad tygodnia.

–Złapałeś Karima. Zrób z nim, co chcesz. Mogę cię teraz przeprosić? Wielu braci jest poranionych.

Haroun uśmiechnął się do Karima.

–Beloul. Coś szczególnego chodzi ci po głowie?

–Panie, wiesz że tak. Jak zawsze stają mi przed oczami wszystkie męki rzesz, które umarły pod Sebil el Selib.

Nagle Karim skoczył na Haakena, wyrwał mu z ręki swój miecz. Przebił się ostrzem, zanim go powstrzymali.

–Dzielny człowiek, jak na byłego bandytę – zauważył Haroun.

Ponieważ żaden z ocalałych podoficerów nie wydawał się skłonny nic przedsięwziąć, Bragi sam zabrał się za doprowadzanie kompanii do porządku. Przeżyło stu dwunastu żołnierzy Gildii. Z tego pięćdziesięciu trzech, cudownym sposobem, wyszło z boju bez jednego draśnięcia.

–Tamtych przez całe lata jeszcze będziemy opłakiwać – powiedział Bragi do Haakena. On i młody król stali przed długim szeregiem grobów, które pomogli wykopać rojaliści. – Byli wśród nich naprawdę wielcy ludzie.

Haroun skinął głową. Wiedział, co to znaczy tracić starych towarzyszy.

Rozdział 11

Owoce zwycięstwa Udając kupca solnego rozpaczliwie poszukującego dostawcy, El Murid wraz z oddziałem opuścił Sahel w Kasr Helal. Wojna groziła ruiną człowiekowi jego rzekomej profesji. W miarę jak import na pustynię malał, ceny szły niebotycznie w górę.

To właśnie w Kasr Helal, nie rozpoznany przez dowódcę garnizonu, El Murid dowiedział się, że aby zdobyć sól, kupcy zmuszeni są handlować z Mustaphem el-Kaderem, wujem tego el-Kadera, który był generałem Nassefa. Starszy el-Kader dysponował rezerwami z zajętych kopalni daimielańskich.

El Murid słyszał już wcześniej o Mustaphie el-Kaderze. Cieszył się wątpliwą sławą stręczyciela i dostawcy zakazanego przez religię wina. Cóż taki człowiek robił jako kontroler transportów soli?

–Przestań mi tu jęczeć! – warknął dowódca garnizonu, kiedy Adept zaczął protestować.

–Ale... Zakazane jest przecie robić interesy z alfonsami i złodziejami, na dodatek po lichwiarskich cenach...

–Chcesz soli? Dobrze. Kupisz ją od tego, kogo ci wskażemy. Jeśli ci się nie podoba, wracaj do domu.

El Murid odwrócił się do Haliego, który występował w roli jego księgowego.

–Mowaffak?

Hali nie stracił panowania nad sobą.

–Skoro nie ma innego wyjścia, spróbujemy jakoś wliczyć to w koszty. Ale nikt nie będzie nas za to kochał. Zastanawiam się tylko, kapitanie, coż Adept pomyślałby sobie o twoich sposobach zarobkowania.

–To, o czym nie wie, z pewnością go nie martwi. Ale możesz się poskarżyć, jeśli taka twoja wola. Powie ci, żebyś poszedł i nabrał sobie piasku. To są interesy jego szwagra. Przecież nie zwróci się przeciwko własnym krewnym, no nie?

To nie mieściłoby się w ramach obyczajowości pustyni. Rodzina była czymś konkretnym, podczas gdy prawda, sprawiedliwość, a czasami nawet prawo Boże miały charakter abstrakcyjny.

–Któż wie, co drzemie w sercu Adepta? – zapytał Hali. – Z pewnością nie bandyta przebrany za oficera Zastępów Światłości.

–Prawdziwie wierzący, co? Wynoście się stąd. Marnujecie mój czas. Wy, chłopcy, naprawdę jesteście iście królewską zadrą na dupie, zdajecie sobie z tego sprawę?

Kiedy odeszli dość daleko, by kapitan nie mógł ich usłyszeć, El Murid wymruczał:

–Nassef znowu to robi, Mowaffak. Jedna rzecz się skończy, zaraz zawsze wyskakuje następna. Zaczyna mnie to już męczyć.

–Coś należy przedsięwziąć, panie.

–Oczywiście. Jak to możliwe, że takie rzeczy w ogóle się zdarzają? Dlaczego nikt się nie poskarżył?

–Może pokrzywdzeni protestowali, ale ich skarg nie przekazano. Może nie dano im nawet takiej szansy. Nasi najbardziej godni zaufania ludzie trafiają tam, gdzie walki są najcięższe. Nassef dysponuje własnoręcznie przez ciebie pieczętowanym rozkazem, przekazującym mu dowództwo nad Niezwycięzonymi. Wykorzystuje go w całej pełni, zapewne również po to, by trwali w nieświadomości takiego zła, jakiego właśnie byliśmy świadkami.

–Mowaffak, posłuchaj mnie, albowiem przemawiam w imieniu Pana. Wybierzesz setkę ludzi o nieskazitelnej reputacji. Ludzi niepodatnych na wpływy i przekupstwo. Odbierz im białe szaty i każ wrócić do pierwotnego zawodu. Mają podróżować wzdłuż i wszerz Królestwa Pokoju, włączywszy w to tak Hammad al Nakir, jak wszystkie nowe prowincje, demaskując zło takie jak to. Nie wolno im przedkładać skarg wiernych nad skargi pogan, nie wolno im czynić różnicy między urodzonymi na pustyni a obcymi, między możnymi a słabymi. Wszyscy ludzie będą równi przed ich trybunałem. Wyposażę ich w listy uwierzytelniające, dające im absolutną władzę osądzania spraw, które zechcą osądzić, i będę popierał ich bez zastrzeżeń, nawet przeciwko własnej rodzinie. Nawet gdybym nie zgadzał się z ich wyrokami. Temu wyzyskowi należy położyć kres.

–A kto będzie pilnował pilnujących? – wymamrotał pod nosem Hali.

–Ja, Mowaffak. I będę najstraszliwszym sędzią ze wszystkich sędziów. I... Mowaffak. Wstąp po tego barbarzyńskiego kapitana, kiedy będziemy odjeżdżać. Ukarzemy go i puścimy wolno, aby roznosił wieść, że El Murid wędruje pomiędzy Wybranymi, przebrany za jednego z nich, ścigając ich krzywdzicieli.

–Jak długo jeszcze będziesz tolerował Bicza Bożego, panie? – zapytał Hali, podejmując temat drogi jego sercu.

–Jak długo potrwają walki. W dniu, w którym zaczniemy przekuwać miecze na lemiesze, nie będzie już pożytku z dowódców wojsk.

W Kasr Helal Esmat powiadomił go również, że kolejny kurier z Ipopotam nie przybył na miejsce. To już dawało trzech zaginionych; dwóch kurierów regularnych i jednego specjalnego, wysłanego po zaginięciu pierwszego.

–Oto materializują się nasze najgorsze lęki, Esmat. Trzech zaginionych ludzi to już zbyt wiele jak na zwykły przypadek. Wybierz sześciu wojowników z mojej straży przybocznej. Wyślij ich. A potem ewentualnie kolejnych, żeby się przekonali, co się z tamtymi stało. Zrób to zaraz i każ im nie oszczędzać koni. Na jak długo nam wystarczy?

–Przypuszczalnie na czterdzieści dni, panie. Jeśli będziemy mieli szczęście.

Miał ochotę skarcić Esmata za pogańską w treści uwagę, ale nie potrafił się zdobyć, by przywołać imię Pana. Oznaczałoby to branie Boga na współnika we własnej sekretnej hańbie.

Z Kasr Helad El Murid pojechał na północny zachód, w kierunku Dunno Scuttari – miejsca obiecanego przez Nassefa spektaklu. On i jego towarzysze często robili przerwy w podróży, by w zdumieniu podziwiać rzeczy, które zdawały im się wielkimi cudami. El Murid zatrzymywał się przy budowlach stanowiących dar inżynierów Imperium dla teraźniejszości. Wówczas płomień jutrzejszego Imperium gorzał w jego oczach, a Hali musiał mu przypominać, że podróżują incognito. Od czasu Disharhun niewiele miał okazji, aby się modlić. Nie wypowiedziane słowa przepelniały jego duszę.

Nawet wioski i miasteczka były wspaniałe, mimo gwałtów, jakich dopuszczał się na nich Nassef. Ale nigdy nie wyobrażał sobie takich cudów, jakie zobaczył, gdy po raz pierwszy objął wzrokiem Dunno Scuttari.

–Och, tato! – zawołała Yasmid. – Jest wspaniałe! Takie wielkie i... takie wspaniałe!

–Twój wuj powiada, że chce zeń uczynić podarunek dla mnie. Cóż miałbym zrobić z miastem? Sądzisz, że jest piękne? Dam ci je. Zakładając, że Nassef je zdobędzie.

–Poradzi sobie, tato. Wiem, że da sobie radę.

–A co ze mną? – domagał się nadąsany Sidi.

–Są jeszcze inne miasta. Które z nich chcesz? Hellin Daimiel?

–Nie chcę innego miasta. Chcę...

–Chętnie zrezygnuję z Dunno Scuttari, tato. Jest piękne, ale ja wolałabym raczej Hellin Daimiel. To tam przecież wszystkie interesujące rzeczy...

–Ojciec powiedział, że ja mogę dostać Hellin Daimiel, Yasmid.

–To, co ty dostaniesz, Sidi, to parę razy dyscypliną. Zachowuj się jak na twój wiek przystało. Nie masz już czterech lat.

–Jak to się dzieje, że ona zawsze dostaje to, czego chce? Kiedy wreszcie zobaczymy ocean? Ja chcę zobaczyć ocean.

Dłoń El Murida strzeliła niczym bicz.

–Są chwile, Sidi, kiedy budzisz we mnie niesmak – powiedział, gdy chłopak rozcierał policzek. Potem zerknął na Mowaffaka Halięgo, który udawał, że nagle bez reszty zainteresował go widok rzeki Scarlotti. – Są chwilę, kiedy mam ochotę oddać cię na

wychowanie ludziom z najuboższego plemienia Sahel, abyś nauczył się doceniać to, co masz, i przestał marudzić, że czegoś ci brak.

Przerwał. Chłopak go nie słuchał.

–Mowaffak, każ komuś znaleźć Bicza Bożego i zawiadomić go, że już jesteśmy.

Nassef we własnej osobie pojawił się wkrótce, by ich powitać. Cały był uosobieniem młodzieńczych, niekontrolowanych emocji. Dla każdego miał i uśmiech, i żywiołowy uścisk.

El Murid bez trudu zidentyfikował nieusuwalne ślady samotności, które skrzępiły w grymas

na twarzy Nassef a. Widywał je na własnym obliczu za każdym razem, gdy patrzył w lustro.

–Cieszę się, że przyjechałeś – entuzjazmował się Nassef. – Przygotowania pochłonęły tyle pracy. To byłby grzech, gdybyś stracił całe widowisko.

El Murid zauważył, z jak wielką uwagą Nassef odnosił się do Yasmid, zarejestrował jego dowcipy, droczenie się z nią, żartobliwy flirt. Zagłębił się w stare spekulacje. Czy Nassef miał jakieś zamiary wobec dziewczyny? Zbliżała się do wieku odpowiedniego na zamążpójście. Gdyby udało mu się ją poślubić, stanowiłoby to prawdziwą ostrogę dla ambitnego Nassefa, który niekiedy wystawiał głowę z mroku spowijającego kilkunastu co najmniej Nassefów znanych Adeptowi.

Oczywiście znajdą się tacy, którzy będą kręcić nosem na ślub Bicza Bożego z własną siostrzenicą, ale nie byłaby to rzecz bez precedensu. Wielu imperatorów Ilkazaru pojmowało za żony nawet swoje siostry.

Kilka miesięcy wcześniej Hali dostarczył El Muridowi kartę sukcesji, znaną w apartamentach Megelina Radetica w el Aswad, fortecy, którą wali el Aswad opuścił krótko przed atakiem na Al Rhemish. Wizja, jaką El Murid odczytał z tego dokumentu, zdumiała go. I równocześnie ożywiła wszystkie widma, które nawiedzały go przez cały czas trwania przymierza ze szwagrem.

Jeśli Radetic odgadł trafnie, Nassef miał naprawdę silną motywację, aby starać się o rękę Yasmid. Wedle karty sukcesji tylko Haroun bin Yousif stał między Nassefem a tronem. Małżeństwo mogło doprowadzić do unifikacji korony i władzy kapłańskiej.

Podczas podróży na zachód El Murid odwiedził ojca swej żony. Starzec, który dawno temu wydziedziczył dwójkę swych dzieci, spoczywał na łożu śmierci. El Murid przedstawił staremu wodzowi wnuki. Natychmiast zdobyły jego serce. Odwołał dawną decyzję. Potem były łzy przebaczenia i ponownego pojednania.

–Nassef.

–Panie?

–Po drodze wstąpiłem do El Aquila.

Na twarzy Nassefa pojawił się wyraz tęsknoty.

–Tak, widziałem się z nim. I ci dwoje zdobyli jego serce. Powiedział, że tacy sami byliście ty i Meryem w ich wieku. Wszystko nam wybaczył. Chciał, żebym ci to powiedział.

Łza zakręciła się w oku Nassefa.

–A więc mogę wrócić do domu? Mogę się z nim zobaczyć?

–Nie. Wiesz dobrze, że losy nie bywają tak łaskawe. Kiedy przyjechaliśmy, spoczywał na łożu śmierci. Zostaliśmy, póki nie przyszła poń Mroczna Pani. Miał łagodną, spokojną

śmierć.

–A matka?

–Wciąż się trzyma, ale nie sądzę, aby miała wiele go przeżyć.

–Odwiedzę ją, gdy tylko wrócimy na zimę do kraju. Powiedział coś na mój temat?

–Módl się za jego duszę, Nassef. Nigdy nie przyjął Wiary. Umarł jako niewierny. Ale pod koniec życia dumny był ze swego syna i córki. Nieprzerwanie mówił o wszystkim, co udało wam się osiągnąć. Powiedział też, że zawsze przewidywał, iż zajdziesz daleko.

Grymas smutku na twarzy Nassefa zastąpił wyraz radości.

Mowaffak Hali przyglądał się całej scenie zimnymi oczyma drapieńczy.

„Jak na człowieka, który gardzi polityką – pomyślał Adept – Mowaffak bardzo zręcznie rozgrywa nas przeciwko sobie”.

Nassef nie marnował już dłużej czasu i do razu wziął się na powrót do przygotowania wydarzenia, któremu Adept zawdzięczał swą obecność w Dunno Scuttari. Następnego dnia przewiózł swą rodzinę promem na drugi brzeg rzeki, a potem powiódł do namiotu rozstawionego na szczycie wzgórza.

–Tak naprawdę nie będzie wiele do oglądania – powiedział. – Ale wszystko, co da się zobaczyć, najlepiej zobaczysz stąd. Rankiem.

–O co chodzi, Nassef? – zapytała Yasmid.

–Niespodzianka, gołąbeczko. Wstań wcześniej rano, a sama zobaczysz.

–Daj spokój, Nassef – westchnęła. Powoli, nieświadomie, zaczynała stosować te sztuczki, do jakich ucieka się kobieta, aby podporządkować mężczyznę swej woli.

–Nie, nie powiem. Nawet tobie. Poczekasz razem ze wszystkimi. – Gestem objął dolny bieg rzeki, wskazując na wschód w stronę wyspy, na której wznosiła się forteca. – A najbardziej zaskoczeni będą oni.

Wszystkie perswazje i zalotność Yasmid spełzły na niczym. To, poinformował ich Nassef, choć nie ubrał rzeczy w słowa, będzie największe ze wszystkich zwycięstw. To była jego gra. Zostanie rozegrana tak, jak on sobie zażyczy, wedle jego reguł.

El Murid natomiast ze zdumieniem obserwował nieśmiałego libertyna, uganiającego się za dziewczyną, która odrzuciła awanse niezliczonych adoratorów mających znacznie więcej do zaoferowania. Libertyna, który bynajmniej nie skrywał zamiarów wykorzystania jej i przekazania dalej – który jednak równocześnie zaryzykował swój los i poczucie własnej wartości dla – w każdym innym przypadku – zupełnie nieistotnej przygody.

I oto Adept zdobył kolejny wgląd w duszę tego człowieka, który był jego najstarszym towarzyszem. Najwyraźniej nigdy nie będzie mu dane poznać wszystkich twarzy Nassefa.

Tej nocy El Murid stał przed namiotem i napawał się liczebnością Zastępów Światłości. Światła ognisk jaśniały po obu brzegach rzeki. Wydawało się, jakby gwiazdy całym mrowiem spłynęły w dół, osiadając na wzgórzach i równinach.

–Tak wielu... – wymruczał. – A wszystkich ściągnął tu mój sen.

Nassef wcześniej poinformował go o zwerbowaniu prawie dwudziestu tysięcy żołnierzy zachodu. Przesłanie Adepta, a przynajmniej niektóre jego treści, znalazło zrozumienie w wielu sercach. Nowe Imperium rodziło się w bólach. Już dobrze przed świtem Yasmid zaczęła go męczyć.

–Tato. Chodź już. Chodź, zobacz, co Nassef zrobił. Nie uwierzysz, nawet jeśli zobaczysz

na własne oczy.

Jeszcze co najmniej kilka godzin dzieliło go od pory, o jakiej zazwyczaj wstawał. Osobiście preferował pracę do późna i późne wstawanie. Opierał się namowom Yasmid, póki nie zrozumiał, że determinacja córki i tak przewycięży jego opór. W ponurym nastroju, akceptując nieuniknione, wstał w końcu. Ubrał się i podążył za nią ku wyjściu z namiotu.

–W porządku, paskudny bachorze. Pokaż mi ten cud i niech to mam za sobą. Muszę się wyspać.

–Nie widzisz jeszcze, tato? To tam. Spójrz na rzekę, tato.

Spojrzał w dół na wody Scarlotti.

Rzeki nie było.

Szeroki nurt skurczył się do kilku żalonych oczek, połączonych błotnistym strumieniem szerokim na kilkanaście jardów. Szerokie łachy gliny wystawiały swe lica na wiatry i promienie wschodzącego słońca. Zdjęty przemożną wręcz trwogą, Adept ledwie zauważył, że wiatr zmienił kierunek. W nozdrzach zakręciło go od paskudnego smrodu.

–Jak, na niebiosa...?

W kierunku namiotu zmierzał Nassef. Ledwie powłóczył nogami ze zmęczenia, ale kiedy dostrzegł, że patrzą w dół, jego krok zmienił się w chłopiące niemalże podskoki. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

–Co myślicie?! – krzyknął.

Libertyn wreszcie przełamał opór ukochanej dziewczyny, pomyślał El Murid. A teraz przyszedł, aby się chełpić, aby dać się podziwiać, aby się przechwalać...

Parsknął cicho.

–Cóżes zrobić? – zapytał. – Jak można w ciągu jednej nocy osuszyć rzekę?

–Nie można. Ale można zmusić kilkaset tysięcy ludzi, żeby wykopali dla niej nowe koryto. Zacząłem od razu, gdy tutaj dotarliśmy. Pomysł zaczerpnąłem z Czarodziejów Ilkazaru. Wszystko jest opisane w miejscu, gdzie poeta opowiada o tym, jak Varthlokkur wywołał trzęsienie ziemi, aby zwalić mury obronne, a potem pisze, że budowle zapadły się w nurty rzeki Aeos, przegradzając ją i powodując zalanie części miasta. Pomyślałem sobie więc: dlaczego więc nie przegradzić nurtu w górze rzeki? Ale wówczas mogliby przepuścić nadmiar wody przez śluzę. Wobec tego pomyślałem: dlaczego nie zawrócić biegu rzeki? Wtedy po prostu przeleje się ponad zaporą.

Nassef dalej mówił w tym stylu. Ten genialny manewr najwyraźniej był dla niego czymś więcej niż wybiegiem mającym na celu dodanie kolejnego klejnotu do naszyjnika błyskotliwych podbojów. Zaangażował się w tę operację bez reszty, niczym chłopiec podejmujący bardzo ambitne przedsięwzięcie tylko po to, aby zasłużyć na aprobatę rodziców.

El Murid przypomniał sobie, jak Nassef wspominał mu niegdyś o kłopotach w komunikacji z innymi dziećmi. Zrozumiał teraz, że dzięki tym wszystkim znakomitym kampaniom, a zwłaszcza podbojowi zachodu, jego szwagier chciał zaistnieć w oczach świata.

O co tu chodziło? O prosty sygnał: „Istnieję! Zauważcie mnie!”, czy o coś bardziej skomplikowanego?

Z pewnością musiało to być coś bardziej skomplikowanego. Nic, co dotyczyło Nassefa,

nie było proste.

–Część moich ludzi już jest w mieście – poinformował go Nassef. – Nocą podpłynęli łodziami i czekali, aż woda opadnie na tyle, by mogli przedostać się pod kratami śluzy. Już zajęli teren za murami. W miarę jak poziom wody opadał, inni moi ludzie kładli drewniane podkłady na błocie. Już powinni skończyć. Zastęp z pewnością właśnie wkracza do miasta. Przed zmierzchem obrońcy ulegną.

Rokowania Nassefa okazały się jednak nadmiernie optymistyczne. Dowodzeni, zwodzeni i zastraszeni przez upartych żołnierzy Gildii obrońcy walczyli jeszcze dziewięć dni, opuszczając kolejne wewnętrzne warownie miasta dopiero wtedy, gdy przewaga liczebna wroga miażdżyła ich. Piątego dnia Nassef zaczął szaleć. Przegradzająca Scarlotti tama z ziemi i kamienia powoli słabła, a on nie zdobył jeszcze ani jednej z ufortyfikowanych grobli, łączących wewnętrzne i zewnętrzne wyspy z brzegami rzeki.

Zmusił swoich przymusowych robotników do dokazania cudów i tama przetrwała. Siódmego dnia Niezwyciężeni zdobyli pierwszą groblę. To przypieczętowało los miasta. Nassef zdobył swobodny dostęp do jego wnętrza.

Ósmego dnia z Pomniejszych Królestw przybył posłaniec.

Kiedy po spotkaniu z nim Nassef zobaczył się z El Muridem, na jego twarzy nie było śladu koloru i cały się trząsał.

–Micah... Mój lordzie Adepcie. Zabili Karima. Bandyci bin Yousifa i jacyś ludzie Gildii. Dostali go w Altei. Karim... Był dla mnie jak ojciec. Wysłałem go w tajnej misji o decydującym znaczeniu. Właśnie wracał. Niewykluczone, że mu się powiodło. Jeśli tak, istniałaby szansa zakończenia wojny jeszcze przed nadejściem zimy.

Na czoło El Murida powoli wypełzał mars. Nassef zdawał się być zupełnie zagubiony w chaosie swych myśli, z których tylko nieliczne wyrażał w sposób artykułowany. Nigdy jeszcze nie widział szwagra tak zdruzgotanego, tak niezdolnego do podjęcia decyzji, tak bardzo oszołomionego biegiem wydarzeń. Śmierć Karima najwyraźniej nie mieściła się w jego planach. Padł ofiarą nawyku planowania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Los odkrył jego

czuły punkt. Nassef nie wziął pod uwagę śmiertelności, ani własnej, ani swoich najbliższych współpracowników.

–Ludzie giną na wojnie, Nassef. I nie wszyscy są nieznanymi nam żołnierzami, oplakiwanymi tylko w jakiś odległych lepiankach z gliny. Odejście Meryem powinno być cię tego nauczyć.

–Najwidoczniej nie nauczyło. Jedna nieczysta sztuczka... A teraz cała kampania może zdać się psu na budę. Karim był jedynym, który rozumiał, czego chcę. Jedynym, który znał całość planu. Zastanawiam się, czy zdołali coś z niego wydobyć? Jaki rodzaj porozumienia zawarł...? Będę musiał sam tam pojechać. Jestem jedynym, który może sprawić, że wszystko potoczy się dalej wyznaczonym torem. Jedynym, który może dostać tego sukinsyna bin Yousifa. Zostawię tutaj el-Kadera. On jest zorientowany w strategii. Może dokończyć dzieło za mnie.

Zanim El Murid zdążył skomentować wieść albo chociaż zadać pytanie, jego szwagier już się oddalił. Godzinę później Mowaffak doniósł, że Nassef odjechał na wschód, biorąc ze sobą silny oddział Niezwyciężonych.

El-Kader bez większego trudu wszedł w rolę Nassefa. Następnego dnia zmusił Dunno Scuttari do kapitulacji. Tama Nassefa runęła kolejnego dnia. Fala powodzi poważnie uszkodziła tamy chroniące zewnętrzną wyspę miasta. Mieszkańcy mruclili coś o złych znakach.

Ostatnimi czasy zbyt dużo jest gadania o złych znakach, pomyślał El Murid. I ja jestem temu równie winny jak inni. Najwyższy czas na wzywające do opamiętania kazanie. Staczamy się.

Właśnie zajęty był przygotowaniem mowy, kiedy Esmat przekazał mu raport od obserwatora wysłanego do Ipopotam.

–Co do jednego? Wszystkich sześciu zabitych? – zapytał El Murid. – W to naprawdę trudno uwierzyć, Esmat. Nasi najlepsi ludzie.

–A jednak, panie. Nasz człowiek na nieszczęście nie dowiedział się, kto ich zabił ani w jaki sposób. Po prostu znalazł ich martwych na drodze. Tubylcy nie mieli zamiaru powiedzieć mu, co się stało. Wrócił, zanim i jego spotkał ten sam los.

–Dobrze. Jest już za późno, by uratować następnego regularnego kuriera. Jak wygląda stan naszych zapasów? Powinno być jeszcze nieźle. Ostatnimi czasy nieczęsto cię wzywałem.

–Prawda, panie. Sądzę, że zostało jeszcze na jakieś szesnaście dni. Dłużej, jeśli będziemy oszczędnie gospodarowali.

–Ach. Jest gorzej niż myślałem. W rzeczy samej jest źle. – Poczul, jak odzywają w nim stare lęki. – Znajdź el-Kadera.

Dyskusja z el-Kaderem zamieniła się w zapalczywą kłótnię. Zupełnie wytrącony z równowagi propozycją Adepta generał zapytał:

–Po prostu opuścić linię frontu, panie? Mimo iż armia wroga właśnie na nas maszeruje? Dlaczego? Jaki to ma sens?

El Murid nie czuł się zbyt mądrze, odpowiadając:

–Bóg tak chce.

–Co? – El-Kader zauważył sarkastycznie: – Wobec tego w ciągu jednej nocy Nasz Pan stracił chyba zdrowy rozsądek. A na to nie mogę przystać. Panie, mamy przecież traktaty z Ipopotam. Jaką możemy mieć nadzieję na skuszenie naszych wrogów, jeśli nie potrafimy dochować wiary sojusznikom?

–Trzeba to zrobić – nalegał El Murid. Ale nie potrafił wykrzesać z siebie żywiołowego przekonania, jakie zazwyczaj towarzyszyło tego rodzaju deklaracjom. El-Kader zawziął się w swym uporze. Jasne było, że z żądaniami El Murida wola Pana niewiele ma wspólnego. – Generale, jest rzeczą absolutnie konieczną, żeby moja domena objęła ziemie należące do Ipopotam.

–Aha. – wymruczał el-Kader. – Twoja domena? – A głośniejszym głosem rzekł: – Myślę, że rozumiem, mój panie. I proponuję poszukanie rozwiązania dyplomatycznego. Itaskiańska armia maszeruje na nas. Stanowi ona siłę, z jaką jeszcze nie mieliśmy do czynienia. Będę potrzebował każdego człowieka do walki z nimi. Przyszłość Królestwa Pokoju rozstrzygnie się nad Scarlotti, nie w Ipopotam.

–Nie starczy czasu... Odmawiasz zastosowania się do moich rozkazów?

–Przykro mi, panie. Tak właśnie jest. Muszę. Moje sumienie nie pozwala mi przedkładać

przywar jednego człowieka nad dobro Zastępów Światłości.

El Murid wreszcie eksplodował:

–Jakimż podziwu godnym człowiekiem musisz być, el-Kader! Przyklasnąłbym ci tylko, gdybym nie wiedział, że jesteś złodziejem i łapownikiem. Jak rozumiem, twoje sumienie milczy, gdy twoi krewni bezwzględnie łupią swoich rodaków?

Rysy twarzy el-Kadera ściągnęły się. Ale zignorował tę uwagę.

–Panie, jeśli Itaskianie nas pokonają...

–Rozkazuję ci wyruszyć przeciwko Ipopotam! – Z każdą sekundą zwłoki w dostawach stawał się coraz bardziej przerażony.

–A ja odmawiam, panie. Z całym należnym szacunkiem. Wszelako, jeśli potrafisz nakłonić Bicza Bożego do wydania mi innego rozkazu...

–Nie ma na to czasu! – El Murid popatrzył ze wściekłością na bogato zdobione ściany wnętrza, które jeszcze kilka dni wcześniej stanowiło prywatną komnatę audiencyjną króla Dunno Scuttari. Odwrócił się i pomaszerował w stronę wysokich, masywnych, drewnianych drzwi. Szarpnął skrzydło, krzyknął: – Mowaffak!

El-Kader zeszywniał. Nie było żadną tajemnicą, że Hali był łącznikiem El Murida z Harish.

Hali wszedł do środka. W jego oczach lśnił lód. Twarz była całkowicie bez wyrazu.

–Zastanowisz się jeszcze raz nad moją propozycją, generale? – zapytał El Murid.

–Dam ci zachodnich sprzymierzeńców i dziesięć tysięcy naszych ludzi. Ani jednego żołnierza więcej. Nie będę również dowodził. Muszę bronić frontu na Scarlotti.

El Murid poczuł, jak zaciskają się jego szczęki. El-Kader naprawdę był uparty. Nawet groźba ze strony Harish nie zmusi go do porzucenia obowiązków.

Był wartościowym człowiekiem. Nie wolno było pozbyć się go w gniewie.

–Mowaffak, czynię cię głównodowodzącym właśnie utworzonej armii. Będziemy okupować Ipopotam.

Prawa brew Halięgo niemal niezauważalnie uniosła się.

–Jak rozkażesz, panie. Kiedy zaczynamy? – El Murid uciekł spojrzeniem. El-Kader spokojnie wytrzymał jego wzrok. Hali natomiast wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A cóż ja mogę zrobić?”

–Natychmiast, Mowaffak. I będę ci towarzyszył. – Poczuł wzbierającą w duszy bezrozumną panikę. Jakby ściany wszechświata, dławiąc, zamykały się wokół niego. – To wszystko. Możecie obaj odejść. Wynoście się stąd. Wydajcie stosowne rozkazy. Nie zostało wiele czasu.

Dwa dni po wyjeździe Adepta na południe do Dunno Scuttari dotarli dwaj wycieńczeni i zupełnie zbici z tropu itaskiańscy emisariusze ocalali z alteańskiej katastrofy Karima. Ich konsternacja i zamęt w głowach pogłębiły się, kiedy na miejscu nie potrafili znaleźć nikogo, kto wiedziałby cokolwiek na temat negocjacji, jakie sprowadziły ich na południe. El-Kader kazał ich wtrącić do lochu.

Generał wciąż przygotowywał się na nadejście armii z północy, nieświadom, że jej dowódca i jego przełożony byli współnikami w spisku.

Sidi i Yasmid, których ojciec zostawił na miejscu, kłótniami doprowadzali do szaleństwa swoich opiekunów, rekrutujących się z szeregów Niezwycięzonych. Zawsze się kłócili, kiedy

ojca nie było w pobliżu.

Sidi był młody, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że pozbawiono go ojcowizny. W głębi serca żywił coraz większą, nieustępliwą niczym powierzchnia diamentu nienawiść do siostry.

Rozdział 12

Koniec legendy Śmierć Karima nie położyła kresu inwazji na Alteę. Zastęp Światłości dalej parł naprzód, jednak jego ruchy stały się niepewne, gorączkowe, jakby nie wytyczył sobie wyraźnego kierunku. Uzbrojone oddziały zajmowały się najczęściej nękaniami okolicznych mieszkańców, zabijaniem, gwałceniem i niszczeniem. Wojownicy nie mieli pojęcia, jakie są strategiczne cele.

–Jestem wykończony, Beloul – powiedział Haroun. – Ich jest najzwyczajniej zbyt wielu. – Wyciągnięty na wznak na trawiastym wzgórzu patrzył w niebo zwiastujące deszcz. – Te ciągle wycieczki, tu, żeby powstrzymać jedną bandę, tam, żeby...

Beloul opadł na ziemię tuż przy nim, skrzyżował nogi.

–To już nam wszystkim dojadło, panie. – Zerwał źdźbło trawy i zwijał je w palcach, wyciskając zielony sok. – Nie poradzimy sobie sami.

–Musimy. Jeśli przebiją się w tym miejscu... Jeśli podbiją Alteę i Kavelin, a potem pomyślnie przeprowadzą swe zdradzieckie dzieło przy udziale itaskiańskiego księcia... Cóż jeszcze zostanie? Wojna się skończy.

–Wątpię, panie. Żołnierze Gildii nie poddadzą się. My będziemy dalej walczyć. A w takiej sytuacji złodzieje zaczną się kłócić między sobą. Czy potrafisz sobie wyobrazić, aby El Murid był zadowolony z połowicznego zwycięstwa, skoro chce mieć imperium rozciągające się w historycznych granicach Ilkazaru?

–Po prostu rozpacz przeze mnie przemawia, Beloul. Nie wydaje mi się, aby można go było powstrzymać. Już dokonał niemożliwego.

–Nie można mówić o końcu wojny, póki nie została stoczona ostatnia bitwa, panie.

–Zaczynasz mówić jak Radetic.

Beloul wzruszył ramionami.

–Mądrość przychodzi z wiekiem. A Radetic był zarówno wiekowy, jak mądry. Jak na obcego. Rachujmy lepiej nasze zwycięstwa niż porażki. Karima już nie ma. Zdradę Księcia uprzedzono.

–Kto to jest, tam?

–Co?

–Ktoś tu jedzie.

–Wygląda jak Shadek. Przygalopował el Senoussi.

–Są wieści z Dunno Scuttari, panie.

–Nareszcie. Wyglądasz ponuro, Shadek. Jest aż tak źle?

–Jest gorzej, panie. Jest tak źle, że żaden wyraz twarzy nie odda temu sprawiedliwości.

Haroun obrzucił Beloula spojrzeniem znaczącym: „A nie mówiłem?”

–Więc?

–Bicz Boży dotrzymał obietnicy. Zdobył miasto. Haroun podniósł się gwałtownie.

–Co? Nie żartuj, Shadek. To niemożliwe.

–A jednak, panie.

–Ale jak? Skąd wzięli łodzie i wiosłarzy? Jak pokonał wewnętrzne umocnienia?

–Bicz Boży widzi rzeczy ukryte przed wzrokiem nas, zwykłych śmiertelników, panie. Dokonał rzeczy, która nikomu innemu nie przyszlaby do głowy. On i Adept zwyczajnie wjechali do miasta, panie.

–Tamci poddali się bez walki? Nie zmusisz mnie, żebym w to uwierzył, Shadek.

–Nie. Walczyli. Dzielnie. Ale Bicz Boży zawrócił bieg rzeki i zaatakował ich przez śluzę miasta. A ten wielki most, który budował od północnego brzegu? Ten, o którym inżynierowie mówili, że nigdy nie spełni swych funkcji? To było tylko dla odwrócenia uwagi.

Haroun cicho zapytał:

–I co teraz powiesz, Beloul? Zdajesz sobie sprawę, jakie to wywrze wrażenie na tych z północnego brzegu? Poddadzą się bez walki. Teraz już nie da się go powstrzymać.

–Ostatnia bitwa nie została jeszcze ani wygrana, ani przegrana, panie.

–Tak, tak, wiem. Megelin junior. Ale teraz to już jest tylko kwestia czasu. Shadek... Jesteś zupełnie szary. Przypuszczam, że to nie wszystko.

–W rzeczy samej, panie. Nie wszystko. Bicz Boże zdecydował się osobiście zastąpić Karima. Prawdopodobnie już tu jest.

–Spodziewałem się tego. Potraktował porażkę jako osobistą zniewagę. Co jeszcze?

–El Murid dał swojemu ulubionemu Niezwyciężonemu, Mowaffakowi Haliemu, własną armię. I rozkazał przystąpić do okupacji Ipopotam.

Haroun wyszczerzył zęby.

–Ha! Więc jednak! Słyszysz, Beloul? Grubas i jego przyjaciel wykonali swoją robotę. Adept jest zdesperowany. To zupełnie zrujnuje wiarygodność jego dyplomacji. Nikt już mu nie uwierzy. Gdyby tylko północna armia mogła uderzyć w chwili, gdy jego nie ma, a Nassef przebywa tutaj...

–Wątpię, by to mogło wiele pomóc, panie – zaopiniował el Senoussi. – Zastępem dowodzi el-Kader. Nie jest idiotą. W najgorszym razie utrzyma się do chwili, gdy Bicz Boży go wykupi.

Haroun zmarszczył czoło.

–Koniecznie musisz zdusić ostatnią iskierkę nadziei, co, Shadek?

–Przykro mi, panie. Ale przekazuję ci prawdę, tak jak ją widzę.

–Tak. Wiem. Cóż więc... Bicz Boży pojawił się na naszej części planszy. Co możemy zrobić, aby jego pobyt tutaj uczynić jak najbardziej nieprzyjemnym?

Smutna sprawa, ale Haroun musiał przyznać, że tak naprawdę niewiele mogli zrobić. Jego armii brakowało siły i zdolności dłuższego stawiania oporu. Zbrodnie, jakich dopuszczały się

oddziały uzbrojonych maruderów, zupełnie zdruzgotały alteańską wolę oporu. Armia księcia Korony Raithela stanowiła jedyną rodzimą siłę zbrojną wciąż w miarę istotną i godną zaufania. Ale ludzie księcia również byli wyczerpani.

–Co z tymi żołnierzami Gildii? – zapytał el Senoussi.

–Wciąż liżą rany w Bergwold – odparł Beloul. – Byłem u nich któregoś dnia. Chłopak próbuje odbudować stan liczebny, rekrutując alteańskich maruderów. Ma trochę ponad dwustu ludzi. Może nawet trzystu.

–A więc nie przydadzą się na wiele.

–Jedynie w charakterze punktu koncentracji. Ta bitwa na wzgórzu w niczym nie nadwątlila ich reputacji.

Haroun zauważył:

–Wszyscy możemy skończyć, ukrywając się w Bergwold. Shadek, ustal miejsce pobytu Bicza Bożego. Nie spuszcza go z oka.

Jednak to Nassef pierwszy odnalazł księcia Raithela, nie dalej jak piętnaście mil na zachód od Colbergu. A następnie rozbił w proch alteańską armię. Księżę ledwie uszedł z życiem. Dwie trzecie jego żołnierzy nie miało tego szczęścia.

Potem Nassef zwrócił się przeciwko Harounowi. Zaczął przypierać rojalistów do muru.

Wydawało się, że oto Altea wydaje swe ostatnie tchnienie wolności. Tylko Bergwold i garstka ufortyfikowanych miasteczek nie zostały jeszcze zdobyte.

Grubas obudził się nagle. Każdy najdrobniejszy nerw w jego ciele krzyczał, że coś jest nie w porządku. Zupełnie zmartwiały ze strachu, odważył się jedynie poruszyć powiekami.

Ognisko dogasało, ale wciąż jeszcze tliło się czerwonym żarem. Zerknął w głąb zalegających wokół cieni. Nic.

Co to było?

Noc pogrążona była w zatrważającym bezruchu. Odwracał się powoli, póki nie zobaczył wielkiego, owiniętego w koc kształtu Goucha.

Po obnażonej gałce ocznej olbrzyma wędrowała mucha. Jej skrzydełka lśniły w przytłumionym żarze węgla, nadając oku niesamowite złudzenie życia.

Szyderca rzucił się do wielkoluda.

–Gouch! Wstawaj. – Schwycił dłonią ramię. Już zimne. – Hai! Gouch! Przestań. Przestań mnie straszyć swoimi gierkami.

Wiedział, że to nie są żadne gierki. Mucha zdradziła całą prawdę.

Podczas ostatniej walki Gouch odniósł straszliwe rany. Ale zarznęli sześciu Niezwycięzonych! Pół tuzina najbardziej walecznych żołnierzy świata. Jednak zadanie okazało się prawie ponad siły.

To cud, że gigant przeżył tak długo.

–Biada! Gouch! Proszę! Nie zostawiaj mnie samego!

W trakcie wspólnych walk zbliżyli się do siebie. Szyderca, choć przecież oczekiwał najgorszego, teraz nie potrafił pogodzić się z losem.

–Przeklętym – wymamrotał. – Jam zwiastun śmierci, jak jaki rozsadnik zarazy. Zetrzeć mnie tylko z oblicza ziemi.

Przez czas jakiś siedział obok ciała przyjaciela, przeklinając swój los, oplakując tamtego i zastanawiając, co teraz począć. Wreszcie powstał i zaczął znosić kamienie. Kurhan, który postawił, nie był szczególnie okazały, stanowił jednak dowód troski. Dla nikogo innego na świecie nie zdobyłby się na taki wysiłek.

Pracując, mruczał pod nosem:

–Sam na siebie zdany, nijak nie poradzę zadaniu swemu. Wróg przecie się połapie. Jako że istny inteligentny jest przecie, następnym razem wyśle większy oddział. Którego nie da się już powstrzymać. Trzeba więc inną drogą odtąd podążyć, jeśli chce się przeszkodzić religijnym tępakom.

Aż do wschodu słońca krzątał się przy obozowisku. Potem obładował osiołka i skierował

się na północ, ku ziemiom, gdzie mógł prowadzić swą prywatną wojnę bardziej efektywnie. Ledwie udało mu się uniknąć spotkania z maszerującą na południe armią inwazyjną El Murida.

Książę Szarego Płaskowyzu, który powoli wędrował ze swym wojskiem na południe, oczekując potwierdzenia negocjacji z Karimem, wreszcie poznał prawdę. Dowiedziawszy się o śmierci Karima, wpadł w szal. Potem jednak dotarła do niego wieść, że sam Nassef zajął miejsce swego podkomendnego w Pomniejszych Królestwach.

Altea stanowiła odległy teatr działań wojennych. Tam nikt go nie zauważy.

W przebraniu, pod ochroną swych najbardziej zaufanych zwolenników, pojechał na południe renegecować zdradę, która miała mu przynieść Koronę Itaskiańską oraz udział we władzy nad zachodem.

Jego zastępca w łańcuchu dowodzenia, zresztą zawzięty wróg, pozwolił mu się oddalić na pewną odległość, a potem pognał co sił w nogach zachodnią armię na Dunno Scuttari.

Z el-Kaderem i Zastępem Światłości starła się na równinie w pobliżu miasteczka Pirchean, dwadzieścia dwie mile na północ od brzegów Scarlotti. Armie wadziły się ze sobą przez cały piękny jesienny dzionek. Żaden z dowódców nie był gotów przystąpić z całą siłą do bitwy. Potyczki następnego dnia były już bardziej zażarte, ale one również nie dały żadnego wyniku. Obie strony przypisywały sobie zwycięstwo.

Nocą el-Kader wycofał się. Ale Itaskianie nie ruszyli za nim na Dunno Scuttari. Skręcili na wschód, mając nadzieję wymusić przejście przez rzekę Scarlotti gdzieś na uboczu, z dala od

najsilniej bronionych przepraw.

El-Kader ponownie pokonał rzekę, a potem prowadził swą armię równolegle do itaskiańskich wojsk.

–Miejsce jest dosyć paskudne – poinformował Beloul swego króla. Trzymał w dłoniach nieporządnie wyrysowaną mapę terenów leżących na zachód od Bergwold. – Zamknął nas tutaj. Jego żołnierze są tu, tu i tu... – Po kolei pokazywał pozycje ośmiu lotnych oddziałów wroga, z których każdy dorównywał siłą całej armii Harouna. Rojaliści zostali otoczeni ze wszystkich stron, wyjąwszy Bergwold.

–Da radę się przebić?

–Może. Ale wygląda to kiepsko.

Haroun westchnął. Rozejrzył się po okolicy. W zasięgu wzroku jeszcze nie było wroga, ale drzwi pułapki zostały zatrzaśnięte na głucho. Spojrzył na swe dłonie. Drżały. Obawiał się, że więcej już nie zniesie. Rozpaczliwie potrzebował odpoczynku.

–Z którym oddziałem jedzie on sam?

–Z tym. Na południe od Bergwold.

–W porządku. Tam właśnie spróbujemy się przebić.

–Panie, chcesz zaatakować samego Bicza Bożego?

–Tak. Po prostu czeka nas cięższy bój. Ale dzięki temu jest nadzieja. Beloul?

–Panie?

–Powiedz ludziom, że naszą jedyną nadzieją jest śmierć Bicza Bożego. Że do tego sprowadza się sens całego manewru.

–Jak rozkażesz, panie.

Pograżony w smutku i niepewności, Haroun obserwował, jak jego niewielka armia przygotowuje się do boju, który mógł okazać się jej ostatnim. Czym tu się przejmować? Wychodziło na to, że każde kolejne zażegnane niebezpieczeństwo rodziło jeszcze gorszy plon.

–Ruszamy! – Obrócił się w siodle.

–Może nam się udać! – zakrzyknął godzinę później.

Zaskoczone siły wroga wspierane garstką Niezwycięzonych nie były w stanie odpowiednio się zorganizować. Haroun wymachiwał rękami, wydając zawołania bitewne rojalistów. Jego ludzie, czując już zwycięstwo, rzucili się na nieprzyjaciela z większym zapamiętaniem, niżli początkowo oczekiwał. Kilku z nich znalazło się w odległości dosłownie kilku jardów od Bicza Bożego.

Powietrze aż zaiskrzyło od nienawiści, kiedy on i Nassef spojrzeli sobie w oczy. Nienawiść ciągnęła ich do siebie niczym dwa przeciwne bieguny magnesu. Ale bezpośrednie spotkanie nie był im jeszcze sążone. Zgubili się w wirze bitwy.

Po jakimś czasie Haroun wystękał, zwracając się do Beloula:

–Zareagowali, cholera, zbyt szybko. – Wróg powoli zdobywał przewagę. A zwiadowca przyniósł wiadomość, że zbliża się następny oddział.

–Jednak Bicz Boży wciąż jeszcze nie jest bezpieczny, panie. Popatrz. Niezwycięzeni gubią szyk, próbując go chronić.

–Nie rozśmieszaj mnie, Beloul. Mam oczy.

Bitwa powoli przenosiła się w okolice Colbergu. Cała odwaga i poświęcenie rojalistycznych rycerzy zdawały się iść na marne. Niezwycięzeni zdołali jakoś poderwać do boju swoje bardziej opieszale oddziały i teraz zaciskali wokół nich pierścień okrążenia. Poproszony o sugestie taktyczne, el Senoussi zdobył się na jedną radę:

–Może powinniśmy wycofać się między ruiny, panie.

–Może. Gdzie jest ta cholerna Gildia? Nie posłałeś do nich gońca?

–Beloul posłał, panie. Ja nie mam pojęcia, gdzie oni stacjonują. Może próbują wyrównać z nami rachunki.

–Nie Ragnarson... Patrz. Oto nadchodzą.

Zza ruin Colbergu wyłaniała się poruszająca się marszobiegim kompania piechoty.

–Miałeś rację, panie. I akurat na czas.

–Oni splecają swoje długi.

Ragnarson otworzył rojalistom drogę ucieczki.

–Dlaczego ich nie ścigasz? – dopytywał się bin Yousif, kiedy Bragi zaganiał ich w kierunku Colbergu. – Mogliśmy dopaść Bicza Bożego.

–Zawsze tylko te narzekania. Skąd, u diabła, miałem wiedzieć? Z twojej wiadomości wynikało tylko to, że mam wkroczyć, aby cię wydostać, jeśli zaczniesz potykać się o własne nogi. Ledwie zdążyłem na czas. Haaken, ustaw tych alteańskich błaznów w szyku. Proszę spojrzeć, wasza królewska mość, właśnie uratowałem twoją dupę. Po raz kolejny. Chcesz, żebym ciągle o tym ci przypominał? Czy może wciąż się o nią martwił? To nie jest jedyna banda tych chłopców w okolicy. Następni znajdują się nie dalej jak cztery mile stąd.

Beloul poczuł się zobowiązany zaprotestować:

–Panie, te bezańskie kundły najwyraźniej potrzebują lekcji dobrych manier.

–Obejrzyj się za siebie, Beloul.

Sam nie miał najmniejszej ochoty oglądać się za siebie. Ta część sił, jaka mu została, nie była większa od kompanii dowodzonej przez młodego żołnierza Gildii. Większość rezerwowych oddziałów poszła w rozsypkę. Wiele dni minie, zanim ocalali zdołają wrócić do swych jednostek.

–Hej, Bragi! – krzyknął któryś z żołnierzy Gildii. – Lepiej wracajmy do lasu. Za chwilę będą gotowi się nami zająć.

Haroun obejrzał się przez ramię. Przybył drugi lotny oddział.

–Twój człowiek ma rację. Lepiej uciekajmy.

W samą porę udało im się zniknąć w gęstwie Bergwold. Jeźdźcy Nassefa nie zdradzali najmniejszej ochoty udania się tam w ślad za nimi. Ragnarson zaśmiał się.

–Już wcześniej tego próbowali i otrzymali srogą nauczkę. Jeśli mają zamiar nas ścigać, będą musieli zleźć z koni. A to im zupełnie nie w smak. Każ swoim ludziom ruszać przodem. Ja będę ich osłaniał.

–Bragi. Najwyraźniej mimo wszystko mają zamiar spróbować.

Haroun przysłuchiwał się przekleństwom ludzi, których Nassef posłał w głąb lasu.

–Miałeś rację. Zupełnie im to nie w smak.

–Za chwilę jeszcze mniej im się to spodoba. Haaken.Reskird. Zastawimy zasadzkę w głębokim jarze.

Wkrótce doszło do niewielkiej potyczki. Ludzie Nassefa szybko wycofali się na skraj lasu. Następnego ranka wszakże przybyli znowu, tym razem większą grupą. Bicz Boży wysłał na operację pacyfikacyjną wszystkich swoich żołnierzy.

–Jest ich stanowczo zbyt wielu – poinformował Harouna Ragnarson. – Będą w stanie opanować cały Bergwold. Nie możemy w nieskończoność bawić się z nimi w chowanego.

Haroun kiwał głową potakująco, równocześnie wpatrując się w mapy Bergwoldu sporządzone przez Gildię.

–Są naprawdę dobre. – Megelin byłby urzeczony ich jakością. – Umiesz czytać? – zapytał.

–Jedynie w takim stopniu, aby móc skorzystać z map. Jest to część szkolenia, jednak wojna wybuchła, zanim zdążyliśmy przystąpić do nauki czytania i pisania. Te mapy wzięli kapitan Sanguinet i porucznik Trubacik. Nauczyli wszystkich podoficerów, jak się nimi posługiwać.

–Mój przyjacielu, znaleźliśmy się w klasycznej sytuacji. Cokolwiek zrobimy, będzie źle. Nie możemy uciec, a nie jesteśmy gotowi do walki.

–Między Scyllą a Charybdą, jak to powiadamy w domu.

–Dla Nassefa głowa i twoja, i moja są równie pożądane. Karim był jego przyjacielem. Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

Ragnarson wzruszył ramionami.

–Ciebie szkolono na wodza. Nadeszła najlepsza chwila, abyś wykorzystał tę wiedzę. Mnie przypadła ta robota, ponieważ nikt inny jej nie chciał. Wszystko, na co mnie stać, to wymyślenie, co zrobić z tymi ochotnikami, którzy nam się dostali.

–Wielu ich masz?

–Mnóstwo. Twój przyjaciel Nassef w całym kraju rozbija głowy. Większość z tych, którzy

tu przybyli, nie ma dokąd pójść.

Światło poranka przesączało się przez sklepienia drzew do wnętrza wilgotnego, mglistego lasu, kiedy pojawił się brat Ragnarsona.

–Ruszyli się, Bragi. Dwoma głębokimi szeregami. Nie będziemy mieli szans, jeśli nawiążą kontakt bojowy.

–Damy radę się przebić? – zapytał Haroun.

–Myślę, że tego właśnie chcą. Wobec ich liczebnej przewagi musielibyśmy ulec.

–A jeśli się wycofamy, będą na nas czekać po drugiej stronie lasu.

–Tak właśnie sam bym to rozwiązał.

–W każdym razie spróbujmy. Zlokalizujemy ich pozycje, a potem ja uderzę swoją konnicą. Kiedy zaczną mnie ścigać, ty uciekniesz w stronę Alperin. Znajduje się nie dalej jak dwanaście mil stąd. Mury obronne ma mocne i dysponuje własnym garnizonem. Ja mogę okrążyć ich siły i dołączyć do ciebie na miejscu.

–Nie podoba mi się to – powiedział Ragnarson. – Jaka stąd korzyść? Dalej będziemy otoczeni.

–Ale osłonią nas mury i przybędzie ludzi do pomocy.

–Jak dotąd Bicza Bożego żadne mury obronne nie onieśmiały. – Ragnarson nie protestował szczególnie gorąco. Nie potrafił zaproponować żadnego lepszego planu. – W porządku – mruknął. – Wiesz, że w pewnym sensie spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Miałem początkowo nadzieję, że uda mi się pokazać co nieco, zanim Wysoka Iglica przyśle kogoś w zastępstwie Sanguineta. Myślałem, że oto dostałem od losu wielką szansę.

Haroun uśmiechnął się słabo.

–Pomyśl, ile ja mam do stracenia. Całe królestwo. Jest tak ogromne. Rozciąga się tak daleko, jak daleko potrafię dorzucić kamieniem.

–No tak. Haaken! Reskird! Ruszajcie.

Po tym wszystkim Haroun zaczął jeszcze bardziej szanować żołnierzy Gildii. Przemarsz przez las zajął im dzień, noc i większą część następnego dnia. Towarzysze broni rzadko odpoczywali, starali się natomiast wspomagać co słabszych spośród swych sprzymierzeńców. A przecież wielu z nich niosło rannych. Pytał Ragnarsona o źródło tej niezwyklej wytrzymałości i solidarności, młodzieniec jednak nie potrafił tego wyjaśnić. Po prostu tak się sprawy miały w jego bractwie.

Jednak Haroun doskonale zdawał sobie sprawę, że żołnierze Gildii wcale nie byli mniej zmęczeni od pozostałych. Najwyraźniej po prostu mieli silniejszą wolę. A ci tutaj, myślał, to przecież dzieci Gildii. Nic dziwnego, że starzy generałowie, tacy jak Hawkwind i Lauder, wraz ze swymi doborowymi oddziałami budzili taką grozę.

Słońce przesunęło się już dobrze na zachód, kiedy dotarli do przeciwległego skraju lasu. Haroun zastanawiał się, jak wykorzystać te porę dnia.

–Po zmroku będziemy mieli większe szanse.

Ragnarson zgodził się.

–Przyda nam się odpoczynek. Wyślij kilku swoich ludzi na zwiady. Są w tym znacznie lepsi od moich. Moi nikogo tam nie widzą, a to jest zbyt dobre, by mogło być prawdziwe.

–Masz rację. Beloul! – zawołał Haroun. – Mam dla ciebie robotę. – Wyjaśnił tamtemu, o

co mu chodzi.

Słońce już zaszło, gdy Beloul powrócił i doniósł:

–Panie, on tu jest. Bicz Boży we własnej osobie, wraz z Niezwycięzonymi. Ukrywają się w parowie obok drogi do Alperin. Nie wiedzą jeszcze, że tu jesteśmy. A z tego, co udało mi się podsłuchać, wynika, że są zupełnie wyczerpani jazdą wokół lasu.

Haroun przetłumaczył Ragnarsonowi jego słowa. Dodał od siebie:

–Dajmy im jeszcze godzinę. Potem spróbuję odciągnąć ich na południe.

–Niech to będą dwie godziny, a wówczas będzie nam sprzyjać światło księżyca.

Czas mijał szybko. Księżyc powoli wypełzał na niebo. I oto w jednej chwili Haroun już był w siodle, a ziemia alteańska umykała mu spod stóp. Musiał mocno wbijać stopy w boki swej klaczy, ponieważ zwierzę nie chciało biec przy tak słabym świetle. Jadący po jego lewej stronie towarzysz broni przewrócił się, kiedy koń się pod nim potknął.

Nassef nie był gotowy na spotkanie z nim. A przynajmniej na szarżę kawalerii, którą poprzedziła ulewa strzał. Przez kilka decydujących minut, których Haroun potrzebował, aby przebić się ze swym oddziałem i umknąć w noc, Niezwycięzeni byli zupełnie dezorientowani.

Potem pognali za nim.

Spoglądając na północ, wiele nie potrafił dostrzec, niemniej słyszał tętent kopyt i triumfalne zawołania bitewne.

Niezwycięzeni, podobnie jak ich przeciwnicy z Gildii, byli niezmordowani. Haroun nie potrafił się od nich uwolnić. Wszystko, na co było go stać, to zachowywanie pierwotnego dystansu. Powoli jednak skręcał na północ, kierując się w stronę Alperin.

–Dlaczego to robimy, panie? – koniecznie chciał wiedzieć el Senoussi. – Dlaczego po prostu nie uciekniemy? Miasta to pułapki.

Przez czas jakiś Haroun nie odpowiadał. Nie wiedział, jak ująć rzecz całą w słowa.

–To nasz obowiązek, Shadek. Odpowiedzialność. Jak mam ci to wyjaśnić?

Przedstawiasz całą kwestię tak, jakby mogła być przedmiotem dyskusji, ale ona jest bezsporna. Radetic byłby z ciebie zadowolony. Dla mnie jest to jednak sprawa czysto emocjonalna. Być może kieruje mną dłoń przeznaczenia. Ale mam przeczucie, że osoba Ragnarsona jest decydująca dla mojej przyszłości. Dla przyszłości nas wszystkich.

–Ty jesteś królem, panie.

Haroun roześmiał się. To był słaby, wynikający z całkowitego wyczerpania gest.

–Podoba mi się twój entuzjazm, Shadek. Jesteś niczym widok oazy po sześciu dniach drogi przez pustynię. Ochraniasz mnie przed piaskowymi burzami, jakie niesie jutro.

El Senoussi zachichotał.

–Dziękuję, panie.

Kilka chwil później Beloul powiedział:

–Coś jest nie w porządku, panie. Nie ścigają nas tak zdecydowanie, jak powinni.

–Zauważyłem. Musimy robić dokładnie to, czego od nas chcą.

–Mówiłem ci, panie – zauważył el Senoussi.

Zaczynało robić się jasno. I wreszcie Haroun zrozumiał, dlaczego Niezwycięzeni zrezygnowali. Zawrócił więc ku Alperin.

–Cholera! Znowu nas przechytrzył. – U bram miasta trwał zawzięty bój. – Pozwolił

przejsć wojskom Gildii, żeby dopaść miasto z otwartymi bramami.

–Szkoda, że nie mamy nikogo równie przebiegłego w naszych szeregach, panie – powiedział el Senoussi.

–Cierpliwości, Shadek. Uczę się od niego.

–Zaiste, panie. Co teraz?

–Co z naszymi przyjaciółmi z tyłu? Nie spieszą się, co? Może spróbujemy się od nich oderwać? Postarajmy się przedostać na tamto wzgórze i popatrzeć przez chwilę. Może naszych przyjaciół do tego stopnia pochłonie widok zdobywanego miasta, że będziemy mieli szansę ucieczki.

Mówił tonem lekkim, jakby go to zupełnie nie obchodziło – pogodził już się z myślą, że oto nastał ostatni dzień jego życia.

Niezwycięzeni pozwolili im dotrzeć na wzgórze i nie od razu wydali bitwę. Bicz Boży zdawał się być zadowolony z tej zwłoki, odkładając rozprawę z nimi do czasu, aż poradzi sobie z Gildią.

–I taki był koniec kilku odważnych chłopców – oznajmił cicho Beloul.

Haroun zerknął w kierunku bram miasta. Fanatycy w bieli wlewali się do środka.

–Tak. Szkoda.

–Ten Nassef to naprawdę zręczny bękart – powiedział do Bragiego Haaken, kiedy alteańskie szeregi broniące bramy załamały się. Naprawdę dzielnie dotrzymywali pola. I choć ich wysiłki były skazane na klęskę, jednak wytrwali dosyć długo.

–Myślał w biegu – odparł Bragi. – Okazał się mądrzejszy od nas. Musimy zapłacić swoją cenę. Miejmy tylko nadzieję, że ta sztuczka jest czymś, czego nie przewidział. Ruszamy, Reskird! – krzyknął. – Przestańcie się tam lenić. Już tu idą. – Z miejsca, w którym się znajdował, mógł dostrzec większą część ulicy zakręcającej za bramą. Jeźdźcy mknęli ku nim jak nagła lala wiosennej powodzi, gnani napierającą na nich z tyłu masą towarzyszy.

Alperin było typowym miastem, które przez stulecia trwało w granicach murów obronnych.

Zamiast więc rozlewać się po otaczającej okolicy, musiało rozrastać się w górę i ścieśniać. Jego ulice były wąskie i kręte. Budynek wznosiły się w górę na trzy, cztery, a niekiedy nawet i pięć pięter, często sięgając wykuszami ponad brukowane ulice.

Nie były to najlepsze warunki dla ataku kawalerii na wrogich łuczników usytuowanych na dachach.

Na Niezwycięzonych i ich wierzchowce poleciała ulewa strzał. Pustynni jeźdźcy próbowali strzelać ze swoich krótkich łuków, ale trudno im było bodaj wypatrzeć cele. Strzelcy Gildii odslaniali się tylko na tyle, by móc wypuścić drzewce. Niezwycięzeni, wciąż pracy do wnętrza miasta, wypychali swoich towarzyszy na ulice śmierci.

–Dalej! Dalej! – krzyczał Bragi. Biegał w tę i we w tę po pokrytym łupkiem dachu. – Uda nam się, Haaken! Uda nam się! Nie wiedzą, co się dzieje.

Miał rację. Niezwycięzeni, absolutnie już pewni zwycięstwa i z racji krętych ulic niezdolni zdać sobie sprawy, że rzeź nie ogranicza się do jednego miejsca, wciąż parli pod śmiercionośny deszcz.

–Haaken, pójdę poszukać tego alteańskiego kapitana. Jak on miał na imię?

–Karathel.

–Właśnie. Może uda mu się poderwać swoich ludzi i z powrotem zdobyć bramę. Wtedy złapiemy ich w pułapkę i wybijemy do nogi.

–Bragi.

–Co?

–Nie kuś losu. Wszystko jeszcze może się zmienić. Wciąż mają nad nami olbrzymią przewagę liczebną. Powinniśmy się przede wszystkim martwić, jak wyjść stąd żywi. Wystarczy, jeśli ich odeprzemy.

–No tak. Dobra. – Ale Bragi nie słuchał brata. Był zbyt podniecony, by dopuścić do siebie myśl o katastrofie. On również myślał w biegu. Pułapkę Nassefa wykorzystał dla swoich celów. Przepelniało go uniesienie. – Wracam za kilka minut.

Gramolił się z dachu na dach, zmierzając konsekwentnie w stronę równoległego do ulicy muru obronnego. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby wypuścić strzałę. Swoim ludziom nakazał skoncentrować się przede wszystkim na dowódcach. Z ich oszołomionymi podkomendnymi poradzą sobie później.

Nigdzie wokół nie dostrzegając nic, co mogłoby stanowić potwierdzenie pesymizmu Haakena. Ulice zaścieniały ciała poległych. Przypominało to ćwiczenia na strzelnicy.

Jego wycieczka okazała się zupełnie niepotrzebna. Karathel myślał podobnie jak on. Kiedy Bragi przybył na miejsce, kontratak właśnie się rozwijał. Niezwycięzeni przy bramie przeżywali ciężkie chwile.

Potem jednak kolejni zaatakowali od zewnątrz. Bez trudu rozbili alteańskie szeregi, a Bragi

mógł tylko patrzeć w milczeniu, całkowicie bezradny.

–Cholera! – warknął. – Cholera! Cholera! Cholera! Mieliśmy już zwycięstwo w kieszeni.

Wspomniał ostrzeżenie Haakena. Nassef miał w Altei tysiące ludzi. Jeśli ściągnie wszystkich na miejsce, nic nie odbierze mu zwycięstwa.

Z miejsca, w którym się znajdował, mógł dostrzec stojących na wzgórzu żołnierzy Harouna, obserwujących bój, niezdolnych przyjść z pomocą. Westchnął.

–Po prostu mamy za mało ludzi.

Poniżej kolejna fala Niezwycięzonych wlewała się w śmiertelną pułapkę ulic miasta. Czas wracać do Haakena. Jeśli to ma być koniec, powinni stawić mu czoło razem.

Przekonał się, że nie da się wrócić tą samą drogą. Jakiś niezbyt bystry Niezwycięzony podpalił budynek w nadziei wykurzenia żołnierzy Gildii z dachu. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że ogień okaże się równie groźny dla jego pobratymców na wąskiej ulicy. Bragi postanowił więc zejść i okrążyć płonący dom.

Opuścił się na ziemię w wąskiej uliczce biegnącej na tyłach rzędu sklepów i domów. Nie przeszedł więcej jak kilkanaście kroków, kiedy otoczyli go jeźdźcy.

Odwrócił się błyskawicznie, wypuścił strzałę. Któryś z przeciwników jęknął. Bragi zdążył jeszcze posłać drugie drzewce. Wbiło się w szyję następnego jeźdźcy, a jego koń przewalił się przez łeb. Bragi niezgrabnie sięgnął po trzecią strzałę, upuścił ją; jego dłoń rozpaczliwie chwyciła rękojeść miecza. Bliskość śmierciomalże go nie sparaliżowała.

Tymczasem trzeci jeździec wydał z siebie zduszone wycie i uciekł, chociaż znajdował się w idealnej pozycji, by bez trudu rozłupać Bragiemu głowę.

–Co, do cholery? – Spojrzał na tych, których powalił. Jeden Niezwycięzony wciąż żył,

jęczał cicho. Drugi był martwy.

–Co, do cholery? – powtórzył Bragi. Potem wzruszył ramionami. – Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. – Uciekł, póki miał okazję.

–Coś się stało – poinformował go Haaken, kiedy Bragi wreszcie do niego dotarł. – Patrz, jak wyją i uciekają. I prawie nie próbują już walczyć.

Ragnarson zerknął na ulicę. Wypuścił strzałę.

–Wygląda, jakby naraz oszaleli. Nic z tego nie rozumiem. Ale nie przestawajcie strzelać.

–Długo to nie potrwa. Kończą nam się strzały.

–Wykorzystajcie wszystkie. Będziemy się martwić, co robić dalej, kiedy przyjdzie na to czas.

Ostatecznie okazało się, że brak strzał nie miał wielkiego znaczenia. Nie minęło parę chwil, a wszyscy Niezwyciężeni, którzy byli do tego zdolni, uciekali przez bramę, za którą żołnierze Harouna, korzystając z zamieszania i rozpacz, jakie tamtych ogarnęły, dodatkowo dawali im się we znaki.

Godzinę później Haroun wjechał w bramy świętującego już zwycięstwo miasta.

–Spójrz na jego twarz – wyszeptał Bragi do Smokbójcy. – Aż promienieje. Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś, kto by tak wyglądał.

–Nie mam pojęcia, jak udało ci się tego dokonać, przyjacielu – powiedział Haroun cicho, jakby zdjęty nabożną trwogą. – I nawet o to nie dbam. Ale dzień dzisiejszy przetrwa w wiecznej pamięci.

–Co? Daj spokój. Nic nie zrobiliśmy... Przeżyliśmy, to wszystko.

–Nie. Dokonaliście znacznie więcej. Znacznie więcej. Dzisiaj El Murid przegrał swoją wojnę. Niezwyciężeni zostali pokonani. Teraz jest już tylko kwestią czasu, kiedy potęga Adepta zostanie złamana.

–O czym ty, do diabła, gadasz? W końcu udało nam się tylko wygrać jedną niewielką bitwę. A to nie znaczy wiele. Pozostali wsiądą nam na karki za dzień lub dwa.

Bin Yousif przyglądał mu się przez chwilę badawczo.

–Naprawdę nie wiesz? Zapomniałem, że nie mówisz dobrze w moim języku. Posłuchaj, mój przyjacielu. Tam, na zewnątrz. Niezwyciężeni śpiewają pieśń żałobną. A w mieście moi ludzie intonują hymn zwycięstwa. I nie chodzi im o dzisiejszą bitwę, ale o całą wojnę.

Dokonałeś dwu rzeczy. Zniszczyłeś największy oddział Niezwyciężonych, jaki wystawił El Murid. I zabiłeś Bicza Bożego. Sam. Własnymi rękoma.

–Ten człowiek w alejce...? – mruknął do siebie Bragi. – Ale... – Usiadł na kamiennej cembrowinie otaczającej fontannę. – Naprawdę?

–Naprawdę. A to zmieni losy całej wojny.

Rozdział 13

BłazenGruby młodzieniec przykucnął w gęstwie kolczastych krzewów i obserwował obóz wroga. Pięćdziesięciu Niezwyciężonych strzegących dwójki dzieci? Cóż czyniło je tak ważnymi? O mały włos nie wpadł prosto na nich. W ostatniej chwili znalazł miejsce na kryjówkę. Ale jego ciekawość została pobudzona. Dwoje dzieci!

Wcześniej chciał skierować się na północ, ominąwszy kraniec Sahel, i spróbować wrócić do Altei, gdzie miał nadzieję ponownie spotkać bin Yousifa. Ale teraz obraz północy zbladł w jego umyśle. Oto może być szansa, by zadać prawdziwie dotkliwy cios w imię pamięci

Sparena i Goucha.

Pokręcił głową.

–Grubasie, o mój słaby przyjacielu, żadnym przecie sposobem nie przemożesz pięćdziesięciu wrażeń mieczy, nieubłaganych niczym Pani Śmierć we własnej osobie. Tylko głupiec marzyłby o czymś takim.

–O tchórzliwy aspirancie – odpowiedział sam sobie. – Oto przed tobą potencjalna okazja niezrównanej wagi. Przynajmniej trzeba rzecz całą sprawdzić. Ustalić tożsamość chronionych dzieci. One mogą wartość mieć ogromną. Ich wyeliminowanie może stanowić mocarny cios zadany imperium zła szaleńca El Murida.

Szydercę łatwo było wystraszyć. Zajac przez lata utrzymywał go w strachu. Ale ciągnęła presja, pod którą żył, nauczyła go, jak kontrolować ten lęk.

Wszelako prowadząc osiołka do obozu wroga, przerażony był nie na żarty, dlatego też postanowił symulować znacznie słabszą znajomość języka pustyni, niżli ta, którą naprawdę posiadał.

–Odejdź stąd, włóczęgo – nakazał mu strażnik.

Szyderca tylko popatrzył na niego z konsternacją, a potem – jeszcze bardziej koślawym językiem niżli zazwyczaj – upomniał się o zwyczajowe prawo skorzystania ze źródła. Zaproponował, że w zamian za kolację wystąpi przed całym oddziałem.

Pewną znajomość języka pustyni zdobył podczas na poły już zatartej w pamięci podróży wzdłuż wybrzeża morza Kotsum, a potem nauczył się jeszcze paru zwrotów, podróżując z Harounem. Rozumiał większość tego, co mówiono w jego obecności.

Takim też sposobem, wkrótce po tym, jak dowódca oddziału Niezwycięzonych pozwolił mu rozłożyć derkę w obozie, dowiedział się, kim są dzieci.

Mściwa radośćomalże nie ogarnęła go bez reszty.

A więc to był pomiot samego Adepta! Ach, czyż Losy nie rozgrywały interesującej partii? Generał dowodzący w Dunno Scuttari, niejaki el-Kader, nakazał im powrót na bezpieczne tereny

Sahel. Bał się o ich życie, gdyż z północy nadciągała potężna armia.

Cóż za doskonała sposobność! Dzieci samego El Murida! Prawie zapomniał już o swoim strachu. W jego diabelskim umyśle pomysły zaroily się niczym muchy nad ścierwem. W jaki sposób najlepiej wykorzystać to przypadkowe spotkanie?

Najpierw jednak należy zdobyć życzliwość dzieci i tym sposobem zapewnić sobie miejsce przy oddziale.

Ale jak to zrobić? Niezwyciężeni pieczołowicie ich strzegli.

Kiedy zmrok już zapadł, rozpakował swój dobytek. Przyłączył się do grupki młodszych Niezwycięzonych siedzących przy ognisku. Przymknął powieki i rozpoczął prezentację zręcznościowych sztuczek, za które tak często przeklinał Sparena, kiedy ten go zmuszał do ćwiczeń. Wiele zresztą nie umiał, prócz zdolności sprawiania, by jakiś drobiazg codziennego użytku – w tym przypadku miedziana moneta – zniknął i pojawiał się w jego palcach.

–Czary! – wymruczał któryś. Szyderca usłyszał lęk w jego głosie.

Otworzył oczy, uśmiechnął się łagodnie.

–Och, nie, mój przyjacielu. Żadnych czarów. To zwykła sztuczka magika. Widzisz? Moneta jest po zewnętrznej stronie dłoni. To po prostu zręczność palców. Patrz. –

Wyciągnął krótki patyk z drzewa zgromadzonego przy ognisku, a potem kazał mu zniknąć i pojawiać się, powoli i specjalnie niezgrabnie, aby wojownicy byli w stanie dokładnie zaobserwować wszystkie manewry.

Występujący na scenie magicy nie byli zjawiskiem zupełnie obcym na pustyni, ale od czasu wyniesienia El Murida pałali nieszczególną ochotą do występów. Wyznawcy Adepta zbyt chętnie nawet w zupełnie niewinnych popisach węszyli czary.

–Hej! Chyba widziałem, jak to zostało zrobione – powiedział jeden z wojowników. – Mógłbyś to zrobić jeszcze raz? – Przykucnął, żeby lepiej widzieć.

–Jam ci jest najskromniejszym z błaznów – odparł Szyderca. – Srodze poturbowały mnie wichry wojny.

–Mam cię – powiedział wojownik. – To naprawdę chytre. Mógłbyś mnie też nauczyć, jak to robić? Mam małego braciszka, któremu na pewno się to spodoba.

Szyderca wzruszył ramionami.

–Jasne, mogę spróbować. Ale muszę cię ostrzec. Znacznie trudniej tego dokonać, niżli wygląda to na pierwszy rzut oka. Potrzeba dużo ćwiczeń. Jam zawodowiec, jednak i tak ćwiczę co najmniej dwie godziny dziennie.

–W porządku, nie szkodzi. Tylko tę sztuczkę z monetą. Proszę. – Wojownik, zresztą niewiele starszy od samego Szydercy, wyciągnął własną monetę. Kilku innych skupiło się wokół nich, równie zainteresowanych.

Nie minęło dwadzieścia minut, a gruby młodzieniec miał wokół siebie trzech uczniów oraz co najmniej kilkunastoosobową widownię. Obserwatorzy kpili sobie z ćwiczących, ilekroć zawiodły ich palce. Wraz z instrukcjami, jakich udzielał, Szyderca karmił ich gawędami z wymyślonej historii własnego życia. Jego konfabulowana biografia zmieniała się w epicką opowieść o tym, jak wojna, pod postacią maruderów Gildii, pozbawiła go posady błazna na dworze pomniejszego libiannińskiego szlachcica. Żołnierze Gildii, opowiadał, błędnie doszli do wniosku, że rycerz kolaborował z Biczem Bożym. Powiesili więc go na miejscu, zaś dwór spalili. Sam Szyderca natomiast, wedle słów własnej opowieści, tylko cudownym sposobem uniknął identycznego losu.

–Jakże niecywilizowany jest ten zachód! Rozumiem, że wojna stanowi nieusuwalny wymiar kondycji ludzkiej. Studiowałem przecie u wiodących filozofów i tyleż na własną rękę pojmuję. Ale barbarzyńskie czyny, jakich dopuszczają się tamtejsi kombatanci... Cóż, straciłem wszelkie złudzenia na tym krańcu świata. I postanowiłem wracać na wschód, do krainy dzieciństwa, gdzie przecie nic nie zakłóca władzy zdrowego rozsądku.

Niezwycześni nie obrazili się. Z tego co mówił, wynikało, że wrogów potępia bardziej niż ich.

Ich dowódca również wysłuchał większej części opowieści. Szyderca, chociaż zręcznie to ukrywał, ani na chwilę nie spuszczał tamtego z oka, jednak nie potrafił wyczuć, jaką reakcję wzbudzają jego słowa. Towarzysze przy ognisku zdawali się całkowicie usatysfakcjonowani wyjaśnieniami, wszelako ich opinia nie miała decydującego znaczenia. Natomiast zdanie kapitana tak.

Potem dostrzegł mignięcie oblicza wśród ciemności otaczających ogień. Twarz dziewczynki. Od jak dawna mu się przyglądała? I słuchała?

–Na razie dosyć tej nauki. To pewnie nudne dla żołnierzy dzikich pustkowi, prawda?

Teraz pokażę coś od siebie. Jeśli uda mi się publiczność szanowną rozbawić, niewykluczone, że nie poskąpi ona miedziaka czy dwóch, które pozwolą przeżyć jakoś trudy podróży na wschód, prawda? – Zebrał resztę swoich instrumentów i dobytku.

Z początku postanowił oprzeć swój występ głównie na magicznych sztuczkach, szybko jednak przeszedł do przedstawienia z udziałem Tubala i Polo. Jednak publiczność nie reagowała. Synom Hammad al Nakir brakowało kontekstu kulturowego, by w pełni rozumieć przedstawienia oparte na konflikcie wsi i miasta, nadto byli zbyt konserwatywni, aby śmieszyły ich obsceniczne aluzje.

–W ogóle nie ma zabawy z tymi ludźmi – mamrotał pod nosem Szyderca. – Żadnej wyobraźni. Ludzie przyjaciela Harouna boki zrywali, słysząc te same historie.

Ale z mroku obserwowały go teraz już dwie twarzyczki. Wrócił do prestidigitatorskich sztuczek, grając głównie dla tej dwuosobowej publiczności.

Przypatrywał się dzieciom, na ile mógł, nie zwracając niczyjej uwagi, próbując wyczuć, w jaki sposób można do nich dotrzeć. W końcu stwierdził, że to dziewczynkę przede wszystkim winien sobie zjednać. Chłopak wydawał się ponury, smutny i nieżyczliwie nastawiony wobec wszystkich wysiłków mających na celu wywarcie na nim wrażenia.

Osądził źle. To właśnie chłopak odważnie zlekceważył ostrzegawcze spojrzenie dowódcy i podszedł do ogniska.

–Nauczysz mnie tych sztuczek? – zażądał.

Szyderca przyjrzał się obliczom Niezwycięzonych. Nie odnalazł na nich żadnych wskazówek tyczących dalszego postępowania. Rozłożył ręce, wzruszył ramionami.

–Czemu nie. Jeśli ma się wiarę, wszystko jest możliwe. Pokaż mi ręce.

–Co?

–Ręce. Ja muszę pierwszej dłonie zobaczyć, żeby stwierdzić, czy nadają się do osiągnięcia prawdziwej zręczności.

Sidi wyciągnął dłonie. Szyderca ujął je, przypatrzył się uważnie najpierw ich wierzchom, potem wnętrzom.

–Możesz przystąpić do ćwiczeń – oznajmił. – Masz dostatecznie szczupłe palce. Ale nie są zbyt długie. Co będzie stanowić problem. Będzie wymagało większych ilości wytrwałej praktyki. Weź monetę. Możemy zaczynać...

–Innym razem – wtrącił kapitan. – On teraz musi się wyspać. Już zbyt dużo czasu zmarnowaliśmy przy tych zabawach.

Szyderca wzruszył ramionami.

–Przykro mi, młody panie.

Sidi z wściekłością popatrzył na dowódcę. Nagle odwrócił się i pomaszerował w kierunku, gdzie czekała siostra. Szydercy zdało się, że słyszał, jak tamten mrucał:

–Nigdy nie dostaję tego, czego chcę.

Szyderca zajął miejsce spoczynku wśród wojowników, ale długo jeszcze nie mógł zasnąć. Co poszło źle? Czy było już za późno, żeby coś jeszcze zrobić? Rankiem wyruszą w dalszą drogę, a on zostanie tutaj, obserwując, jak sposobność rozplywa się niczym miraż na pustyni... Czy może powinien jeszcze dzisiejszej nocy czegoś spróbować? Nie. To byłoby samobójcze przedsięwzięcie. Ten przeklęty kapitan jest w stanie posiekać go, zanim wstanie z legowiska.

Kapitan obudził go następnego ranka. Grubas od pewnego czasu leżał pogrążony w półśnie, próbując ignorować zamieszanie, jakie robili wstający wojownicy.

–Pakuj swoje rzeczy, błaznie – zarządził. – Jedziesz z nami.

–Co? Hai! Przecie nie na pustynię. Zmierzam do...

Kapitan spojrział na niego ze wściekłością.

–A więc pojedziesz okrężną drogą. Na czym ci zresztą zależało. Przecież taki był cel tego przedstawienia wczoraj wieczorem, no nie? A więc przestań udawać. Pakuj swoje rzeczy.

Znalazłeś sobie nowego patrona.

Szyderca wbił wzrok w ziemię. Tłumił w sobie strach. Ten człowiek był niebezpiecznie spostrzegawczy. Kapitan nachylił się ku niemu.

–Lord Sidi i lady Yasmid nalegali, abym cię zabrał. Nie mogłem im odmówić. Ale będę cię obserwował, grubasie. Jeden niewłaściwy krok i koniec z tobą.

Szyderca nie potrafił już powstrzymać ogarniającego całe ciało drżenia. Już wcześniej pozbył się resztek złudzeń, jednak teraz, kiedy kapitan otwarcie wyraził swoje podejrzenia, owładnęło nim przerażenie. Pospieszył do swego osiołka.

Jeszcze bardziej zirytował kapitana później, kiedy oddział wyruszył w drogę. Był jedynym, który szedł pieszo. Sidi jednak wziął go pod swoje skrzydła, chroniąc przed Niezwyciężonym, jak dziecko ulubione zwierzątko.

Szyderca uśmiechał się nieszczercze i mamrotał pod nosem:

–Mam zamiar odplącić ci stosownym zainteresowaniem za twoją łaskawą uwagę, panie.

Sahel spodobało mu się jeszcze mniej niżli towarzystwo Sidiego.

Między właściwym Hammad al Nakir i terytoriami państw wybrzeża rozciągał się pas ziemi, w porównaniu z którym wewnętrzna pustynia wydawała się atrakcyjnym miejscem. Było to dziedzictwo Upadku, strefa śmierci, której szerokość wahała się od czterdziestu do

stu mil. Praktycznie pozbawiona wody i życia, składała się głównie z niskich gór o ostrych grzbietach i niedostępnych, skalistych wąwozów. Nie było na świecie okrutniejszej ziemi. Nieliczni zamieszkujący ją ludzie zaliczali się od najbiedniejszych i najbardziej prymitywnych z żyjących ludów. Nienawidzili obcych.

Całkowicie natomiast zawierzili El Muridowi, sercem i duszą. Większość Niezwycięzonych wywodziła się z Sahel. Synowie Sahel potrafili bowiem dostrzec w snach El Murida większą obietnicę niżli dzieci właściwego Hammad al Nakir.

Szyderca wędrował przez ogromne, osłonięte przestrzenie i rozczulał się nad sobą. W jaki niby sposób ma znaleźć wyjście z tego labiryntu martwych wzgórz i niewidzialnych wrogów? Dzikusy Sahel były wszędzie. Wychudzeni, obszarpani, śmiertelnie go przerażali za każdym razem, gdy przychodzili w odwiedziny do swych pobratymców ze straży przybocznej.

Próbował się nimi nie przejmować. Nie będą stanowili kłopotu przynajmniej do dnia, w którym zrealizuje swój plan.

Po trzech dniach namyślenia wybrał dziewczynę na swój pierwotny cel. Kult El Murida bardziej ucierpi na śmierci Yasmid niż Sidiego. Ruch nie załamie się, jeśli to ona stanie na jego czele, gdy wybije ostatnia godzina Adepta. Chłopak był bezużytecznym, małym smarkiem. Gdyby to on stanął u steru, ruch stworzony przez jego ojca rychło znalazłby się na śmietniku historii.

Grubas potrafił niekiedy myśleć politycznie. To Haroun bin Yousif zmusił go do postawienia

pierwszego kroku na tej ścieżce.

Chciał zadać swoim wrogom tak wiele cierpienia, ile tylko będzie w stanie. Usunięcie ich przyszłej pororokini stanowiło najpewniejszy sposób.

Nie mógł jednak uzyskać dostępu do dziewczynki. Sposoby, którymi zazwyczaj zdobywał ludzkie zaufanie, w jej przypadku zawodziły. Chociaż często przyglądała się jego występom, a czasami nawet uczestniczyła w prywatnych lekcjach Sidiego, nigdy nie zdradziła śladu rozbawienia ani choćby zadowolenia. Już kapitan Niezwycięzonych żywiej reagował. Musiała być nieludzkim potworem. Dziecko, w którego duszy nie było ani śladu dziecka. Nawet w przypadku dorosłego byłoby to przerażające. U dziecka zdawało się chorobliwie nienaturalne.

Poświęcił więc całą swoją uwagę Sidiemu. Chłopak nie miał bodaj iskry talentu, za to pod dostatkiem niecierpliwości. Trzeba było go ciągle chwalić, by nie stracił zainteresowania lekcjami. Sidi stanowił wszakże jedyny łącznik z Yasmid.

–Zdecydowałem się – oznajmił grubas pewnego ranka, gdy Niezwycięzeni, pokonawszy Sahel, rozbili w miarę stały obóz. – Zdradzę memu ulubionemu uczniowi sekret mesmeryzmu. – Postanowił wcielić w życie swój ostateczny, najbardziej desperacki, najbardziej ryzykowny plan.

Oczywiście od samego początku przygotowywał się do wcielenia go w życie, tak na wszelki wypadek; wspominając o hipnozie, a potem wstydliwie omijając temat. Wymówkę dla porzucenia tematu miał zawsze tę samą, najlepszą: Niezwycięzeni mogli oskarżyć go o uprawianie czarów. I rzecz jasna, był problem ze znalezieniem godnego zaufania, nie gadatliwego człowieka, na którym można by ćwiczyć.

Niemalże od samego początku, kiedy Szyderca zaczął go kusić, Sidi zgłaszał kandydaturę swej siostry.

–Zaraz? – zapytał Sidi. Był podniecony. Szyderca widział, jak radość rozpala mu oczy. Zdał sobie sprawę, że Damo Sparen był wnikliwym badaczem ludzkiej natury. Synkiem Adepta powodował dokładnie wedle jego recept, pozwalając, by chłopak sam wykonał całą robotę. Teraz był już gotów. Rozpalała go żądza władzy nad ludźmi.

–Wkrótce, panie. Jeśli da się rzecz całą przeprowadzić w sposób niezauważalny dla biało odzianych dzikusów. A ponieważ rzecz jest prostą umiejętnością, której każdy może się nauczyć, a równocześnie przedmiotem srogich nieporozumień powstałych z winy przesądnych ludzi, ja muszę przecie siebie chronić...

–Dziś wieczorem. Przyjdź wieczorem do mego namiotu. Moja siostra też tam będzie. Obiecuję.

Szyderca pokiwał głową. Trzymał język za zębami, pozwalając chłopcu samemu decydować.

Sidi był głupcem, tak chciwym i skupionym na sobie, że właściwie nie miał szans powzięcia jakichkolwiek podejrzeń. Szydercy aż wstyd było. Czuł się, jakby obrabował niewidomego. Jak wielka jednak była stawka, o którą toczyła się gra!

Przez cały dzień zamartwiał się kapitanem. Ten człowiek był uosobieniem czujności. Będzie musiał zginąć jako pierwszy... Nie ośmieli się pozostawić przy życiu kogoś takiego jak dowódca oddziału, kogoś, kto mógłby go ścigać. Kapitan był tak samo uparty jak jeden z ludzi Harouna, Beloul. Nie spocznie, póki się nie zemści.

Nie wszyscy Niezwyciężeni byli równie chłodni i obojętni. Kilku uczniów Szydercy odnosiło się doń całkiem przyjacielsko. Żartował z nimi i przekomarzał się, karmiąc ich nieustannie śliskimi kłamstwami o swoich nieszczęsnych przygodach na wschodzie. Oni z kolei rewanżowali się własnymi kłamstwami.

Mrok w końcu zapadł. Szyderca odczekał jeszcze kilka godzin. W końcu, czując łomotanie serca, podkraść się do namiotu Sidiego. Nikt mu nie przeszkodził.

Noc była bezksiężycowa, jednak wiedział, że wartownicy jedynie udawali, że go nie dostrzegają. Cóż się stanie, jeśli któryś poczuje wyrzuty sumienia i doniesie swojemu dowódcy?

–Panie? – wyszeptał cicho Szyderca, chociaż w środku aż cały się skręcał. – Jam przybył. Wejść mogę?

–Chodź! Najwyższy czas. Gdzie się podziewałeś?

Szyderca wślizgnął się do namiotu.

–Czekałem, aż wszyscy w obozie zasną. – Uśmiechnął się. Zobaczył Yasmid.

Przyprowadziła jedną ze swoich służących. Była to komplikacja, której nie przewidział.

Czy uda mu się zahipnotyzować równocześnie całą trójkę? Nigdy tego nie próbował. A sytuacja, w której ważyło się jego życie lub śmierć, z pewnością nie stanowiła najlepszego momentu na rozpoczęcie nauki. Dla uspokojenia nerwów zaczął przekładać monetę między pulchnymi palcami, sprawiając, że zniknęła i pojawiała się na powrót.

–Wszystko gotowe? – zapytał. – Umowa stoi? Pani? Przecie nie podejmę się zadania, jeśli miałoby obrażać...

–Daj spokój. – Yasmid uśmiechnęła się słabo. – Błażnie, jestem tutaj, ponieważ mnie to

interesuje. Ale musimy się z tym uporać przed zmianą wart.

–Nie jest to równie proste, jak obdarcie ze skóry kozy, pani. Najpierw trzeba przygotować scenę.

–A więc zajmij się tym.

Nie było najmniejszych wątpliwości, kto tutaj rządzi. Na pewno nie Sidi. Szyderca uśmiechnął się nieznacznie. Czy dziewczyna przez cały czas manipulowała swym bratem?

Usiadł w pozycji lotosu.

–Czy dama mogłaby usiąść naprzeciw mej skromnej osoby? Dobrze. Panie, spoczniesz tutaj? – Lewą dłonią poklepał przykryte dywanem udeptane klepisko. Skinął na służącą. – A ty, proszę, usiądź tutaj. – Wykonał identyczny gest prawą ręką. – Lordzie Sidi i ty panienko, musicie z bliska obserwować me poczynania. Wszystko, co będę robił. Nie da się tego wyjaśnić słowami,

ale pokazać łatwo. Lady Yasmid, skupisz spojrzenie na tej tutaj monecie. Postaraj się nie myśleć o niczym innym. I nie spuszczaaj oka z mej osoby. Widzisz, jak migocze płomień świecy? Jasny, ciemny, jasny, niczym dzień, niczym noc... – Jego głos stał się niski i monotony. Wytężała słuch, by go słyszeć. Patrzył prosto w jej oczy, wciąż monotony mówiąc o monecie, a w duchu modląc się, by pozostała dwójka również wpadła w tę pułapkę.

–A teraz przyjdzie sen. Błogosławiony sen. Wytchnienie od wszystkich kłopotów dnia. Spij. – Ciągnął całą rzecz znacznie dłużej, niż Sparen uważał za konieczne. Chciał mieć pewność. Stawka była wysoka. – Powieki stają się ciężkie, jakby zrobione z ołowiu. Nie potrafisz otworzyć oczu. – Powoli zaczynało go to wciągać.

Wreszcie odważył się zerknąć na Sidiego i służącą.

Miał ich!

Poczuł, jak jego tętno przyspiesza. Ach, o cudzie! Zaczął mówić szybko, najpierw do służącej, potem do Sidiego, układając historie, które zapamiętają, na wypadek, gdyby ktoś z zewnątrz im przeszkodził. Yasmid kazał o wszystkim zapomnieć. Potem zwrócił się do niej:

–Zaczniesz teraz dostrzegać dobrą stronę korpulentnego przyjaciela braciszka Sidiego. Będiesz chciała nieba mu przychylić... Czekaj.

Pod nosem tymczasem wymamrotał:

–Oto osławiony przykład stawiania sprawy na głowie. Zbyt żem się chyba lękał. Trzeba korzystać z okazji, postępować właściwie. Najpierw odkryć prawdziwe uczucia i słabe punkty skryte w kobiecym umyśle, z nich dopiero uczynić kamienie węgielne, na których pobuduję swój gmach. – Zaczął wypytywać Yasmid o jej uczucia. Dotyczące wszystkiego i wszystkich.

–Bardzo ciekawe – wymruczał jakieś pół godziny później, odkrywszy, że choć darzy ona prawdziwą czcią swego ojca i ideę Królestwa Pokoju, w skrytości serca gardzi wojną, którą Adept toczy. Wojna kosztowała bowiem życie jej matki, a w jej oczach była to zbyt wysoka cena za marzenie.

Wojownicy jej ojca, a w szczególności Nassef, napełniali ją grozą i podziwem, jednak ostatecznie postrzegala w nich narzędzia niecierpliwości. Była przekonana, że ideały ojca same w sobie pozostają niezwyknięte, że są w stanie podbić świat dzięki swej

doskonałości. Czy ludzie z zachodu nie ciągnęli pod sztandary Zastępów Światłości? Czy Wiara nie znalazła wyznawców nawet w Throyes? El Murid powinien tylko dać czas swym ideałom, by zdążyły zapuścić korzenie.

Ale bynajmniej nie była pacyfistką. W jej duszy żyły dzikie, mściwe uczucia. Pragnęła, aby rojalistów wytropiono i wyrżnięto do ostatniego. Byli przecież zatwardziałymi zwolennikami Złego i jako tacy zasłużyli sobie wyłącznie na natychmiastową podróż w ramiona ich mrocznego władcy.

Szyderca próbował wzmocnić w niej antywojenne przekonania. Potem zabrał się znowu do

pracy nad jej nastawieniem wobec własnej osoby. Chciał ją przekonać, że jest dobrym i godnym najwyższego zaufania przyjacielem, że może ufać mu w sprawach, z którymi nie odważyłaby się pójść do nikogo innego.

Na zewnątrz namiotu coś się poruszyło.

–Panie? Już czas na zmianę warty.

–Jeszcze chwilę – odparł Szyderca, wiarygodnie naśladowując nadąsany ton Sidiego.

Uwijając się szybko, powtórzył wszystkim trojgu to, co chciałby, żeby zapamiętali. Potem zwykłym pstryknięciem palców obudził Yasmid i jej służącą.

–Co się stało Sidiemu? – dopytywała się Yasmid. Chłopak chrapał.

–Biada – powiedział Szyderca. – Zasnął jakiś czas temu. Jam się obawiał go budzić potrząsaniem za ramię, by nie zostało to uznane za jaką obrazę majestatu. W ojczyźnie mej dotknięcie osoby królewskiej uznawane jest za zbrodnię. Ponieważ żem z natury ostrożny, osądziłem, że zostawienie go w tym stanie rozważniejszym będzie postępowaniem.

–Nie jesteśmy z królewskiej krwi, błaznie. Nigdy nie twierdziłś inaczej. Po prostu nasze usta przemawiają w imieniu Pana. Ten szczeniak może nawet chciałby być księciem... Nikt jednak nie zwróciłby uwagi na jego skargi.

Szyderca uważnie się jej przyglądał. Poprzednia rezerwa w stosunku do niego chyba gdzieś zniknęła. Być może udało mu się odnieść sukces.

–Może i tak. Dalej jednak wolę ciebie, moja pani, poprosić o obudzenie go. Byłbym spokojniejszy. W każdym razie, i tak muszę już zniknąć. Nadchodzi czas zmiany wart. Kapitan zeżliłby się, gdyby mnie przyłapał na składaniu nocnych wizyt damie pozostającej pod jego opieką.

Kiedy już zbierał się do wyjścia, kątem oka dostrzegł, że Yasmid się zarumieniła. Opuszczając namiot, grubas wyszczerzył się w ciemność. Nie stracił swych zdolności.

Nie minęły dwa dni, a już gawędzili z Yasmid niczym starzy przyjaciele. Chodziła za nim wszędzie; jej przywiązanie wystawiało na próbę pobłażliwość kapitana. Szyderca usłyszał opowieść o całym jej życiu i poznał większość jej lęków oraz marzeń.

W miarę jak Yasmid zbliżała się do niego, postawę Sidiego zaczynała cechować coraz większa rezerwa. Chłopak był zazdrosnym egoistą i wcale nie próbował tego ukrywać.

Szyderca obawiał się, że spróbuje się zemścić za względy okazywane siostrze.

Trzeciego ranka Yasmid przyszła do niego z twarzą niczym popiół, zupełnie zdruzgotana.

–Co się stało, pani? – zapytał cicho. – Zdarzyło się coś złego? Widziałem na własne oczy posłańca, który godzinę temu przybył.

–Bicz Boży nie żyje.

–Co? Ten sam osławiony Nassef, największy generał ojca panienki?

–Tak. Mój wuj Nassef. Człowiek, którego planowałam poślubić.

–To smutne. Bardzo smutne. Ale zrobię co w mej mocy, by ulżyć panience w bólu.

–Dziękuję ci. Jesteś uprzejmym człowiekiem, błaznie. – Poczowała potrzebę przywołania raz jeszcze wszystkich szczegółów. – To się zdarzyło w jakimś małym miasteczku w Altei. Zrobił to ten sam żołnierz Gildii, który zabił Karima. Powiadają, że tamtych było tylko trzystu. Zabili mojego wuja i ponad tysiąc Niezwycięzonych oraz nie wiadomo ilu jeszcze prostych żołnierzy. Niezwyciężeni nie zostali tak upokorzeni od czasu bitwy pod Wadi el Kuf. Jak to się mogło stać, błaznie?

Ujął jej blade, zimne dłonie.

–Nie jestem ci żaden military geniusz, zgoda. Ale wiem, że dziwne rzeczy potrafią się dziać, gdy mężczyźni zewrą się w boju. Czasami...

Nie słuchała go. Zagłębiła się we własnych myślach. Zamęt panujący w jej duszy objawił się skrzywieniem ust.

–To jest bezlitosna wojna, gruby człowieku. W zeszłym roku zabrała mi matkę. Pod Wadi el Kuf omal nie straciłam ojca. A teraz nie ma już wśród żywych mego wuja. Kto będzie następny? Ja? Mój ojciec? Sidi? Musi istnieć jakiś sposób, żeby położyć temu kres. Pomóż mi go wymyślić. Proszę.

–Muszę zauważyć, choćby tylko w celu ustanowienia odpowiedniej perspektywy filozoficznej, że wojna wywarła tenże sam efekt na wielu tysiącach innych rodzin. Włączywszy w to rodzinę wroga.

–Nie dbam o...

–Jestem ci tylko najpokorniejszym wędrownym mimem, pani. Zwykłym przynoszącym rozrywkę błaznem. Jednak tyle potrafię powiedzieć z całą pewnością. Całość losów tej wojny tak naprawdę spoczywa w rękach dwu ludzi, z których jeden jest ojcem twym, i onże wojnę rozpoczął, drugi zaś to arcywrog, Haroun bin Yousif, który nie pozwoli, by wojna znalazła swój kres. – Rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, czy ktoś przypadkiem nie podsłuchuje. Potem, zniżywszy głos, dodał: – Gdyby między nimi dwoma zapanował pokój, onże znalazłby drogę do reszty świata, pewne to jak to, że dzień przychodzi po nocy.

Nachmurzyła się. Po chwili jednak zmieszanie wzięło górę.

–To niemożliwe. Zbyt wiele przelali już krwi.

–Nieprawda to. Zgoda, nie jestem znajomym bin Yousifa. Ale widział go kilka miesięcy temu, gdy na krótko zatrzymał się w zamku byłego mego pana, gdzie też pomocy szukał. Nie wiedział, że go zdołał podsłuchać. Lamentował nad konsekwencjami wojny, wypłakując się na ramieniu kapitana swego imieniem Bellous...

–Beloul?

–Hai! Właśnie. Beloul. Stary, posiwiały facet o paskudnym usposobieniu. Lamentował, że niezdolny jest pokój zaprowadzić, nie tracąc równocześnie twarzy w oczach własnych, czy to El

Murida. Tymczasem najlepsi synowie pustyni giną w bratobójczych walkach i wkrótce żaden już nie zostanie.

–Słyszałam, jak mój ojciec mówił podobne słowa. I płakał. O ileż stałby się potężniejszy,

gdyby rojaliści również weszli w skład Królestwa Pokoju.

Szyderca znowu rozejrzał się czujnie dookoła. Wciąż byli sami. Wyszeptał:

–Zajac Mądry.

Oczy Yasmid zaszkliły się. Gruby młodzieniec wykrzywił usta w uśmiechu.

–Sparen, byłeś mi twardym panem. Ale w końcu pozostaje mi tylko cię błogosławić.

Lady Yasmid. Posłuchaj. Istnieje szansa na zakończenie wojny, ale trzeba spotkać się z Harounem. Jak najszybciej, za jakąś godzinę lub dwie, wezwij mnie i przedstaw mi pomysł, że winienem cię eskortować na spotkanie z nim. Onże zapewne w Altei przebywa.

Wymkniemy się cicho, pośród nocy, aby strażnicy oddani ojcu i wojnie nie mogli nam przeszkodzić. – Jeszcze kilka kończących muśnięć mentalnego pędzla. Potem powiedział: – Teraz zaśniesz, pani. Obudzisz się, kiedy zapytam cię, co się stało, i nie będziesz pamiętać nic prócz bólu wywołanego śmiercią wuja.

Odczekał dwadzieścia sekund, potem dramatycznie pochylił się nad nią.

–Pani! Powiedz coś! Co się stało? Yasmid otworzyła pełne łez oczy.

–Co?

–Litości! – zaklął Szyderca. – Zdjął mnie już strach... Wydawało mi się, że moja pani zemdlą.

–Ja? – zapytała. A potem ze zmieszaniem rzekła: – Nassef... Myślałam o moim wuju.

–To zaiste największa z wielkich hańb wielkiej wojny. Człowiek ten był niekwestionowanym geniuszem. Jego odejście będzie strasliwym ciosem dla samego Adepta, bez wątpienia. – Rozmościł się wygodniej na swym kamiennym siedzisku, czując przepełniające go samozadowolenie.

Potem zauważył, że kapitan przygląda mu się ze swego konnego posterunku. Wyraz jego twarzy pozostawał całkowicie nieprzenikniony, jednak na jego widok Szyderca czuł, jak po krzyżu wędrują mu monstra z lodowatymi pazurami. Ten sposób, w jaki Niezwyciężony przewiercał go oczyma!

–Pani ma przeżyła wielką zaiste tragedię. Ze swej strony zaproponowałbym spędzenie nieco czasu w samotności, w namiocie, aby tam oddawać się żałobie. – Przeniósł się na inne miejsce i obserwował, jak Niezwyciężeni ćwiczą szermierkę szablami. Gapił się na nich w taki sposób, jakby błysk stali i szczęk broni stanowiły dlań całkowitą nowość.

Niezwyciężeni ćwiczyli codziennie, zarówno na koniach, jak i pieszo, pojedynczo i w szyku. Byli naprawdę zdeterminowaną gromadką. A Szyderca stale ich obserwował.

Damo Sparen był naprawdę wymagającym nauczycielem. Lekcje, których udzielił Szydercy, przetrwały mistrza. A jedna z nich dotyczyła konieczności poznania wszystkich słabych i silnych stron wroga.

Szyderca zdążył już nawiązać kontakt ze wszystkimi w obozie – z wyjątkiem tego przekłętą kapitana. Wiedział, że każdego jest w stanie pokonać w pojedynku, wyjąwszy, znowu być może, właśnie jego. Ale nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z nim w walce wręcz. Przeznaczył mu los Goucha. Śmierć w ciemnościach nocy.

Yasmid wezwała go tegoż popołudnia. Zawahał się, nagle niepewny, czy naprawdę chce zebrać to, co zasiał.

–Błaźnie, jesteś moim przyjacielem? – zapytała.

–Niezawodnie, pani. – Próbował udawać zmieszanie, ale z największym trudem tłumił oznaki wyraźnego zadowolenia. Nie miał pojęcia, czy wszystko zadziało po jego myśli.

–Wobec tego ośmielę się o coś cię prosić. Ale to poważna sprawa.

–Wszystko, czego zapragniesz, pani. Ja żyję po to, by ci służyć.

–Rozmawialiśmy o perspektywach pokoju. Wspomniałeś bin Yousifa... Wpadłam na zupełnie szalony pomysł. Naprawdę zupełnie zwariowany, niemożliwy pomysł, który mógłby położyć kres tej odrażającej wojnie. Ale będę potrzebować twojej pomocy.

–Mej pomocy? W skończeniu wojny? Jestem błaznem z zawodu i badaczem filozofii z zamiłowania, pani, nie dyplomata. Żadnym sposobem nie jestem w stanie...

–Chcę tylko, abyś pojechał ze mną. Jako mój obrońca.

–Obrońca, pani? Kiedy pięćdziesięciu dzielnych synów pustyni...

–Ci odważni ludzie są całkowicie oddani memu ojcu. Nigdy nie zgodzą się na to, co sobie umyśliłam.

–A cóż to mianowicie?

–Chcę jeszcze dzisiejszej nocy wyślizgnąć się z obozu. Pojechać ostrym tempem na północ, przez pustynię i Kapenrungi do Altei, aby znaleźć Króla Bez Tronu i doprowadzić do zawarcia pokoju.

To było dokładnie to, co chciał od niej usłyszeć. Trudno było udawać szok, kiedy naprawdę czuł bezbrzeżne uniesienie.

–Pani!

–Wiem, że to szaleństwo. Dlatego właśnie uważam, że może się udać. Sam mówiłeś, że Haroun chce pokoju równie mocno jak ja.

–Prawdę rzekłaś. Ale...

–Dość. Znam ryzyko, jednak postanowiłam spróbować. Pozostaje tylko jedno pytanie, czy pojedziesz ze mną? Czy mi pomożesz? Czy też będę musiała spróbować sama?

–Sama? Pani? W tym szalonym świecie? To byłaby zbrodnia z mej strony, gdybym ci na to pozwolił, zwłaszcza że najwyraźniej szukasz śmierci. Boję się. Muszę przyznać, że jestem wręcz przerażony. Jest ze mnie bowiem urodzony tchórz. Ale pojedę z tobą. Przez wzgląd na ciebie,

pani, nie zaś na pokój. – Pomyślał, że to jest niezłe posunięcie.

–A więc przyjdź do mego namiotu po pierwszej zmianie wart. Znam strażnika. Zrobi, co mu każę, jeśli nie będzie wiedział, co się naprawdę dzieje. Być może będziesz go musiał uderzyć. Ale zrób to delikatnie. To dobry człowiek.

–Ja? Mam zaatakować Niezwyciężonego? Biada! Pani, mogę być wszystkim, ale nie wojownikiem.

–Wiem. Nie powiedziałam, że będziesz musiał z nim walczyć. Po prostu uderzysz go w głowę, kiedy nie będzie patrzył.

Oczywiście, rzecz wcale nie okazała się równie prosta, jak oboje mieli nadzieję.

Pierwszym posunięciem Szyderycy poprzedzającym udanie się do namiotu Yasmid było przygotowanie gruntu pod w miarę możliwości swobodną ucieczkę. Zaczął od kapitana, ponieważ – kiedy przyjdzie do organizowania pościgu – wolał nie mieć przeciw sobie nikogo o trzeźwym umyśle.

Poszło mu nieomal nazbyt łatwo. Całej sprawie zabrakło dramatyzmu. To było jak

zerwanie dojrzałej śliwki. Kapitan pogrążył się w głębokim śnie. Umarł, nie wydając jednego dźwięku, nie wspominając już o oporze.

Obozu strzegło sześciu ludzi rozstawionych wokół niego. Szyderca wyeliminował ich po kolei, cichym sposobem, którego nauczył się do Sparena. Do każdego podchodził jako przyjaciel, skarżąc się na kłopoty z zaśnięciem, a potem zniecka mordował. Uporawszy się ze swym krwawym dziełem, zajął się wartownikami przy namiotach Sidiego i Yasmid. Na koniec wybrał dwa konie spośród nieco niespokojnych zwierząt należących do wartowników, okulbaczył je, załadował wszystkie zapasy, jakie zdołał zgromadzić do juków, i poszedł odebrać swą nagrodę.

W zdenerwowaniu zapomniał zupełnie o osiołku i dobytku.

Jego nerwy drżały niczym napięte struny instrumentu weselnego skrzypka. Każdy krok wymagał czasu. Z każdą mijającą chwilą rosło ryzyko, że zostanie zdemaskowany.

Był tak przerażony, że omalże nie potrafił myśleć. Poruszał się właściwie odruchowo, realizując tylokrotnie powtarzany w myślach scenariusz.

Zaskrobał w płótno namiotu Yasmid.

–Pani?

Jej głowa wychynęła na zewnątrz. Aż pisnął z zaskoczenia.

–Gotów? – zapytała ona. Pokiwał głową.

–Konie są gotowe do drogi. Chodź. Cicho.

–Cały drżysz.

–Jestem przerażony, muszę wyznać. Chodź, zanim ktoś podniesie alarm.

–Gdzie strażnik?

–Walnąłem go w garnek i zaciągnąłem za namiot Sidiego. Chodźmy. Trzeba się spieszyć. –

Nie wolno dać jej czasu do namysłu ani na zadawanie pytań.

Yasmid wyszła z namiotu. Szyderca zagapił się na nią. Ubrała się w męskie rzeczy. Mogłaby uchodzić za chłopca.

Od strony namiotu jej brata dobiegł jęk. Strach ścisnął okrutną dłonią trzewia Szydercy. Jedna z jego ofiar przeżyła.

–Pośpiesz się, pani! – Pociągnął ją w kierunku koni.

–Kapitanie! – krzyknął Sidi; jego płaczący głos rozdarł ciszę nocy. – Kapitanie!

Zaspany Niezwyciężony zmaterializował się na drodze Szydercy. Grubas powalił go, wyrwał mu szablę i pchnął. Równocześnie ani na moment nie puścił dziewczyny.

–Dlaczego to zrobiłeś? – jęknęła Yasmid.

Szyderca pociągnął ją w kierunku koni.

–Wsiadaj! – warknął. – Porozmawiamy później! – Odwrócił się, skrzyżował ostrza z najbliższym z trzech ścigających go ludzi. W mgnieniu oka położył i tego, i jeszcze jednego.

Trzeci, zdumiony, aż się cofnął. Szyderca wgramolił się na grzbiet konia. Wyjął niczym potępieniec, próbował rozproszyć pozostałe. Zwierzęta jednak nie odbiegły daleko – były dobrze ułożone. Widząc nadbiegających ławą Niezwyciężonych, grubas wbił pięty w boki swego rumaka... Po drodze smagnął również wierzchowca Yasmid.

Przez dłuższy czas dziewczyna była zbyt zajęta wysiłkami utrzymania się w siodle, aby zadawać pytania. Ale nie zapomniała. Kiedy pościg zniknął w oddali, przed nimi zaś

zamajaczyła iskierka nadziei, zapytała:

–Dlaczego to zrobiłeś? Nikomu nie miała stać się krzywda. Zerknął przez ramię, w każdej chwili spodziewając się pojawienia za plecami hordy żądnych krwi Niezwycięzonych.

–Cóż, zastanawiałem się, czy strażnicy będą grać wedle tych samych reguł. Pani, strasznie mi wstyd. Jestem tchórzem, przyznaję. Spanikowałem. Wszelako co spojrzę za siebie, wydaje mi się to całkowicie usprawiedliwione. Gdybym tego nie zrobił, nie udałoby nam się uciec. Czyż nie? I Niezwyciężeni porąbaliby mnie niczym nędznego psa. Czyż nie?

Yasmid próbowała się klócić, ale bez przekonania. Musiała przyznać, że gdyby zostali schwytani, czekałby go okrutny los.

Podróż stała się niezwykle trudna. Zapasów, które zabrał grubas nie starczyło na długo. Yasmid wprawdzie miała pieniądze, jednak robienie zakupów po drodze wiązało się z określonymi niebezpieczeństwami. W ten sposób zostawialiby bowiem po sobie ślad.

Nadał ostre tempo, nie oszczędzając ani siebie, ani dziewczyny. Czuł na karku oddech śmierci. Niezwyciężeni nie przebaczą i nie zrezygnują.

Męczące dni wstawały i mijały. Pustynia ustąpiła miejsca górcom. Szczyty wzniosły się ku niebu, a potem przeszły w uprawne tereny Tamerice. Yasmid, całkowicie wyczerpana, jechała w milczeniu, poświęcając całą swą energię temu, aby się nie zgubić. Szyderca utrzymywał

początkowe tempo, pielęgnując w niej taki stan ducha. Powoli jednak co nieco docierało do jej zmęczonego umysłu. Nie chciał więc, by odnalazła w sobie dość sił na ucieczkę.

Ukradł gdzieś tubylczy ubiór i kazał go jej włożyć; dzięki temu mniej rzucali się w oczy. Przyodział ją w damski strój, mając nadzieję, że strach przed wzięciem za lokalną pannicę każe jej unikać rodaków. Ich upodobanie do gwałtu stało się już legendarne.

Kiedy pokonywali pierwsze w miarę strome zbocze już na terytorium Altei, przypadkowo obejrzał się za siebie. Na południu w niebo wznosiła się wielka chmura kurzu. Jeźdźcy, których konie wzbijały ją kopytami, znajdowali się zbyt daleko, by ich zobaczyć, ale nie miał większych wątpliwości, kim są.

Zaczął rozpytywać okolicznych mieszkańców, czy nie wiedzą przypadkiem, gdzie znaleźć kryjówkę bin Yousifa. Większość w ogóle nie chciała z nim rozmawiać. Czuł, jak ogarnia go panika. Musiał szybko znaleźć Harouna. Niewielka przewaga, jaką dysponował, szybko się skurczy. Jakiś gadatliwy chłop wreszcie poinformował go, że bin Yousif znajduje się w Bergwold i próbuje odbudować siły rojalistów, które Nassef rozproszył jeszcze przed śmiercią.

Ani w Tamerice, ani w Altei nie natrafili na choćby jeden patrol wroga. Nie potrafił tego pojąć. Powinny przecież krążyć po okolicy, utrzymując spokój wśród podbitej ludności. Oczekiwał diametralnie odmiennej sytuacji, która będzie go zmuszała do nieustannych uników i ucieczek.

Było to kolejne z jego licznych zmartwień.

–Jesteśmy już prawie na miejscu, pani – oznajmił pewnego ranka. – Widzisz to wzgórze z ruinami na szczycie? To osławiony Colberg, starożytny zamek Altei. Las zwany Bergwold znajduje się tuż przy nim.

–Sama nie wiem, błażnie, czy mam się cieszyć, czy nie. Ale jednego jestem pewna. Będę szczęśliwa, mogąc zsiąść z tej chabety.

–Jako żywo. Ze mnie również żaden jeździec. Przywykłem do chadźania na własnych nogach. Następne dwa tygodnie mam zamiar spędzić, wylegując się na obfitej poduszce brzuszyska. – Zerknął znowu za siebie. – Hai!

Przez płaski, trawiasty teren pełzła biała fala. Ich prześladowcy znajdowali się nie dalej niż pół mili za nimi.

Płazem szabli uderzył wierzchowca Yasmid, spiął własnego. Zaczął się wyścig.

Niezwyciężeni, dosiadający bardziej wypoczętych rumaków, zbliżali się szybko, jednak grubas zdołał dotrzeć do linii drzew, mając kilkaset jardów przewagi... Tam zeskoczył z konia, ściągnął Yasmid z jej wierzchowca, chwycił dziewczynę za rękę i zaciągnął w gęste poszycie.

Rozdział 14

Koniec lataMowaffak Hali całkiem sprytnie poradził sobie z armią Ipopotam. Zdobył pola makowe, zanim zostały zniszczone. Ale w chwili obecnej w całym kraju roiło się od oddziałów partyzanckich.

–Oni mają sztywne karki, panie – przyznał. – Nie zaakceptują amnestii.

–Nie potrzebuję żadnych wymówek, Mowaffak. Chcę, żebyś zrobił z nimi porządek.

–Stosują tę samą taktykę, dzięki której my zdobyliśmy władzę, panie.

–Niezupełnie. Istnieje poważna różnica, Mowaffak. Ludzie Abouda nie mieli pojęcia, kim są ich przyjaciele. My wiemy. Póki nie zaprzestaną oporu, zabijaj każdego człowieka, jakiego napotkasz. Pal ich wioski. Niszcz ich pola. Zapędź ich w lasy. Równaj z ziemią ich pogańskie świątynie. Eksterminuj kastę kapłańską, tych czcicieli diabła. A nakarm i życzliwie traktuj tych, którzy złożą broń.

–To nie są dzikie psy, panie.

–Starzeję się, Mowaffak. Nie pozostało we mnie ani krzty miłosierdzia.

–Przyszły wieści z północy, panie. Północne zastępy ruszyły przeciwko nam.

El Murid poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Zdradził go wyraz twarzy.

–Wieści same w sobie nie są jeszcze takie złe, panie. El-Kader odparł ich atak. A Bicz Boży zniszczył armię alteańską. Okupacja Kavelin i połączenie się z el Nadimem to tylko kwestia czasu.

–El-Kaderowi powiodło się bez Nassefa? Tegoroczna kampania zakończyła się sukcesem?

–Na to wychodzi. Bicz Boży zajmuje się obecnie bin Yousifem i tymi żołnierzami Gildii, którzy zabili Karima. Zamierza zemścić się na nich. Również w twoim imieniu, panie.

El Murid pogrążył się w myślach. Mowaffak znowu politykował.

–Mam swoje urazy wobec bin Yousifa. Ale ostatecznie stanowi on tylko pomniejszy kłopot. Nassef pozwala, by rozpraszały go uboczne problemy. Jego wojownicy potrzebni są do walki z północną armią. Nie ma czasu, by folgować osobistym pragnieniom.

–Dokładnie tak samo uważam, panie.

Jednak wyraz twarzy Haliego zdradził jego myśli. Ipopotam było największym z ubocznych problemów, objawem iście skrajnego pobłażania sobie. Pacyfikacja kraju zajmowała tysiące żołnierzy potrzebnych gdzie indziej.

–Zostaw mnie teraz samego, Mowaffak. Dopiecz ludziom. Zrób z nimi porządek.

–Jak rozkażesz, panie.

El Murid z wściekłością popatrzył na wycofującego się Haliego. Po raz kolejny Mowaffak sprawił, że czekała go walka z własnym sumieniem. Mowaffak miał bowiem rację. Ale teraz, gdy

wojna absorbowwała całą jego uwagę, po prostu nie potrafił wejść na moralny i duchowy ring, by tam stoczyć bój z własnym uzależnieniem. Wojna ciała z duszą, kiedy nadejdzie jej czas, pochłonie go całkowicie. Będzie to bowiem wojna totalna i bezpardonowa.

Jakby sprowokowana tymi myślami, stara rana zaczęła znowu doskwierać.

Świta Adepta martwiła się nie na żarty. Ich pan zdawał się zupełnie tracić ducha, wolę życia, energię. Nazbyt często wycofywał się w głąb siebie, nie dbając o kryzysy nękające Królestwo Pokoju. Niektórzy, jak Hali, błagali Esmata o pomoc. Ten jednak rozkładał bezradnie ręce. Brakowało mu cywilnej i moralnej odwagi, by odrzucić nikczemną rolę dealera.

I ze względu na tę słabość nawet on sam miał siebie w pogardzie.

Altaf el-Kader nie cieszył się opinią człowieka łatwo ulegającego emocjom.

Podkomendni uważali go za kogoś, kim nic nie potrafi wstrząsnąć.

Niemniej jednak wybuchnął, kiedy z Altei przybyły czarnoskrzydłe zwiastuny katastrofy. Nawet najbardziej odważni nie odważyli się doń zbliżyć. Kiedy jednak bu za ucichła, el-Kader stał się jeszcze chłodniejszy niż zazwyczaj. Można by rzec, że odrodził się na nowo.

Przemówił do zebranych dowódców Zastępów Światłości.

–Panowie, słyszeliście wieści. Bicz Boży został wezwany przed oblicze Pana, który kierował dłońmi tych samych gildyjskich kundli, którzy wcześniej odebrali nam pieśni Karima. Śmierć tego człowieka, którego wszyscy czciliśmy i szanowaliśmy...

Wśród słuchających powoli nabrzmiewał gniewny pomruk.

–Cisza! – warknął. – Nie dam się zwabić w tę samą pułapkę. Mamy ludzi w Altei. Niech oni zajmą się rozwiązaniem tej kwestii. Wy i ja musimy dowieść, że na jednym Biczu Bożym nie opiera się potęga Zastępów. Musimy pokazać, że potrafimy wygrywać bez niego. Szybko i dobitnie, bowiem obserwować będą nas zarówno oczy wrogów, jak przyjaciół. Szeregi naszych wrogów łamią się. A Słowo Adepta przysparza nam z każdym dniem tysiące nowych wyznawców. Nie możemy pozwolić, by ci pierwsi nabrali ducha, ci drudzy zaś przelękli się.

Przerwał, by jego słowa zapadły im w dusze. Potem zakończył:

–Przygotujcie się do wymarszu. Dowiedzimy naszej siły, rozbijając północną armię.

Błady strach musnął skrzydłami karki ludzi, którzy nie znali lęku, póki Nassef był z nimi. El-Kader wiedział, co się dzieje w ich sercach. Wiedział, że przede wszystkim musi dowieść własnej wartości w oczach swych kapitanów.

–Słyszeliście moje słowa – zakończył. – Teraz idźcie. Przygotujcie się. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, dowiedziecie się więcej.

Całkowicie świadomie naśladował Nassefa, nie zdradzając nikomu swych planów. Najwyraźniej to ich uspokajało. Przywykli do ślepego posłuszeństwa. Postanowił stawić czoło stojącemu przed nim zadaniu. Do jego realizacji przystąpił z zapalem i determinacją, jakiej nigdy

dotąd nie okazywał. Ale też nigdy jeszcze cała odpowiedzialność nie spoczywała na Altafie el-Kaderze. Teraz nie odpowiadał już przed nikim, tylko przed sobą – a więc

wymagał od el-Kadera więcej, niżli kiedykolwiek ośmielał się żądać Nassef.

Wbrew temu, co zapowiadał, pomaszerowali na wschód. To powinno zasugerować wrogom, że zamierza zemścić się na zabójcach Nassefa. Taki był styl Bicza Bożego – mówić jedno, a potem robić coś całkiem innego. Niech najbliżsi mu ludzie wierzą, że nagle zmienił zdanie. W to, w co wierzyli jego akolici, uwierzą również wrogowie.

Po drodze wcielał do Zastępów Światłości wszystkie garnizony, a nawet załogi strzegące brodów. Korzystając ze sposobności, północna armia natychmiast pokonała rzekę. Przeprawa zajęła jej kilka dni. El-Kader uśmiechnął się, kiedy dotarła do niego wiadomość o tym.

Odizolował się od wszystkich na cały dzień i pieczołowicie zaplanował każdy swój ruch. Potrzebny był tylko łut szczęścia...

Otrzymał znacznie więcej. Losy, które już wystarczająco długo sprzyjały sprawie wroga, wreszcie przeszły na stronę Zastępów Światłości. Książę Szarego Płaskowyżu, dowiedziawszy się o śmierci Nassefa, zrezygnował z pościgu za nim. Wrócił do swego oddziału, zanim ten zdołał pokonać rzekę. Wynikające stąd zamieszanie w kwaterze głównej przeciwnika pozwoliło el-Kaderowi pozbyć się północnych zwiadowców.

Natychmiast zawrócił na zachód. Wyteżonym marszem okrążył północną armię i skręcił w kierunku rzeki. Tam stanął; Książę Szarego Płaskowyżu maszerował tymczasem na Dunno Scuttari.

El-Kader uderzył na jego armię z flanki, wybierając do walki teren pokryty niskimi wzgórzami. Nie dał wrogowi szansy nawet na sformowanie szyku. Siła północnego rycerstwa nie zdała się na nic. Śmiertelnie groźni itaskiańscy łucznicy zostali rozproszeni, zanim zdążyli sięgnąć po broń. Jedynie formacje upartych pikinierów z Iwa Skołowda i Dvaru wytrzymały furię pierwszej szarży. One też stanowiły jedyne, ulotne zresztą, wyspy stabilności w oceanie śmierci.

Północni rycerze zastosowali zwyczajową praktykę szlachty w sytuacjach porażki – zostawili swych pieszych towarzyszy na łasce el-Kadera i uciekli w kierunku przeprawy przez rzekę. Ale wróg przewidział ten manewr. Jeźdźcy pustyni już tam czekali. Nawet czwarta część uciekinierów nie przedostała się na północny brzeg.

Prości żołnierze, których porzucili na pastwę losu, mieli więcej szczęścia.

Nie mając innego wyboru, piechota walczyła. Jej szeregi, rozerwane na liczne małe oddziały, ścigane bez śladu litości, rozproszyły się po obszarze kilku Pomniejszych Królestw. Ich straty również były ogromne. Tylko jeden żołnierz na trzech doczekał nadejścia zimy.

Dziesięć dni później el-Kader odwołał grupy pościgowe. Przed nadejściem zimy chciał wycofać się na kwatery i pozwolić przynajmniej części żołnierzy spotkać się z rodzinami.

Wtedy nadeszły wieści o zniknięciu Yasmid.

Przez cały ranek Hali bił się z myślami. Jak miał to przekazać prorokowi? Czasami sprawiał, że niektóre raporty nie docierały do Adepta. Starał się chronić jego spokój, tym razem jednak nie miał wyboru. Wieści były zbyt ważne. Wreszcie poprosił o audiencję.

–Panie – skłonił się.

El Murid doskonale zdawał sobie sprawę, że Mowaffak przynosi złe wieści.

–Co jest? – warknął.

–Zły wiatr powiał z zachodu, panie.

–Wiedziałem o tym już w chwili, gdy zobaczyłem cię wchodzącego tutaj. Dlaczego po prostu nie powiesz, o co chodzi?

–Jak rozkażesz, panie. Nadszedł czas ciężkiej próby dla Królestwa Pokoju, panie. Najcięższej.

–Wykrztuś to wreszcie z siebie, człowieku. Nie próbuj na mnie tych gierek.

Hali, posłuszny wyznawca, nie mógł już dłużej zwlekać.

–Dobrze więc, panie. Dwie sprawy. Bicz Boży zginął. A twoja córka została porwana. El Murid nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Jego twarz tak pobladła, że przez chwilę Hali obawiał się, że porazi go atak serca. Wreszcie odezwał się cichym, miękkim głosem:

–Wiem, że ostatnimi czasy nie miałem dla ciebie cierpliwości, Mowaffak. Czasami traktowałem cię niesprawiedliwie. Ale to nie powód, by żartować sobie tak okrutnie.

–Bardzo mi przykro, panie, ale autorem tych żartów jest wyłącznie Zły.

–Więc to prawda?

–Niestety, panie. A konieczność poinformowania cię o tym boli mnie niczym śmiertelna rana.

–Nassef zabity. To nie wydaje się możliwe. Yasmid uwięziona. Jak to możliwe? Przecież do tego trzeba by było armii, nieprawdaż?

–W pierwszym przypadku, panie, chodzi o żołnierzy Gildii. Tych samych, którzy przedtem zabili Karima. Jego los podzieliło ponad tysiąc Niezwycięzonych. To było ciężkie lato dla naszego zakonu. Niewielu już nas zostało.

–A Yasmid?

–Sprawa nie jest jasna. Jeździec przyniósł wieści. Dojechał w stanie bliskim śmierci, tak że nie dowiedzieliśmy się odeń wiele. Zbyt daleką drogę miał do pokonania, a jego rany były od początku omalże śmiertelne. El-Kader odesłał twoje dzieci w głąb Hammad al Nakir, na wypadek gdyby jego spotkanie z siłami północy przybrało zły obrót. Strzegli ich Niezwyciężeni. Dlaczego zawiedli, nie wiem. Ktoś dotarł do twojej córki. Ścigają ich moi bracia, którzy przeżyli atak.

–Nie jest to wszystko szczególnie jasne, Mowaffak.

–Wiem, panie. Jednak tak przedstawia się stan mojej wiedzy na chwilę obecną.

–Czy tych niewiernych już spacyfikowałeś? Hali uśmiechnął się słabo.

–Ci, którzy przeżyli, zachowują się poprawnie, panie.

–Wobec tego, nie będę dłużej siedział ci na głowie. Wracam na północ. Zostawiam cię sam na sam z Ipopotam. Zastanów się, ilu ludzi będziesz tu potrzebował. Niech to będzie naprawdę niezbędne minimum. El-Kaderowi przyda się każde wsparcie, jakie mogę mu ofiarować. Mowaffak?

–Panie?

–Zostaw mnie teraz samego. Muszę zebrać myśli.

–Jak rozkażesz, panie.

Hali zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, odwrócił i przyjrzał człowiekowi, którego kochał nad życie. El Murid siedział skurczony, jakby zdjęty śmiertelnym cierpieniem, wpatrzony w delikatną poświatę amuletu na nadgarstku. W jego oczach lśniły łzy, jednak wyraz twarzy

pozostawał nieodgadniony. Mowaffak w końcu doszedł do wniosku, że tamten zastanawia się, czy gra była warta świeczki.

Ze smutkiem pokręcił głową. Jego prorok poświęcił nieomal wszystko, co posiadał, na rzecz świętej sprawy. Cóż jeszcze mógł ofiarować? Tylko siebie samego i swego potomka, Sidiego, który tak czy siak tylko przyczyniał się do spotęgowania jego zmartwień.

Hali poczuł, jak w jego sercu wzbiera mściwość. Zniknięcie lady Yasmid spowoduje, że wiele głów spadnie z karków. Nie było żadnej wymówki dla tak groteskowego nadużycia zaufania.

Kilka chwil później wpadł na Esmata.

–Dzień dobry, doktorze. Mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Zaopiekuj się naszym panem.

Przeżył straszliwy szok.

Esmat przyglądał się odchodzącemu Niezwyciężonemu. Był zdumiony. Hali nigdy nie miał dlań miłego słowa... Musiało się stać coś naprawdę złego. Pobiegł do komnaty Adepta.

Dwa dni później El Murid opuścił Ipopotam. Pogalopował na północ tak szybko, jak tylko pozwalały jego rany.

Plotka głosiła, że alteańscy żołnierze Gildii zatknęli głowę Nassefa na pice w charakterze bitewnego godła. Na całym obszarze działań wojennych Gildia jakby unikała działań zaczepnych, tylko ten oddział na tyłach trwał, wciąż przypominając wszystkim, że jego bracia dalej prowadzą swoją prywatną wojnę.

Jakiż okrutny był koniec Nassefa... Czy jego siostrzenica podąży śladem wuja w objęcia Mrocznej Pani? Może już się to stało? Gdyby jednak jeszcze żyła, gotów był rzucić na szale całą potęgę Hammad al Nakir. Ale władza nad pustynią w obecnej sytuacji mogła już nic nie znaczyć. Odszedł jej spiritus movens. Któż mógłby zastąpić Bicza Bożego?

El Murid parsknął, drwiąc z samego siebie. Przynajmniej nie będzie musiał się już obawiać zdrady, wiarołomstwa i niewierności. Nie będzie się musiał zamartwiać tym, co zrobić z samym Nassefem, tylko tym, co zrobić bez niego.

Któż jednak będzie odnosił te nieprawdopodobne zwycięstwa? Któż rzuci mu pod nogi następne Al Rhemish i Dunno Scuttari? Kto zdobędzie prowincje na północ od Scarlotti?

–Panie! – zawołał jeden z jego poruczników. – Jeździec z północy! Mój Boże, lord el-Kader dokonał tego! Rozbił północną armię!

–To prawda? – zapytał El Murid.

–Szczera prawda, panie! Na wiadomości jest pieczęć samego el-Kadera.

–Znajdź bin Gamela. Powiedz mu, żeby zatrzymał armię. Wzniesiemy modlitwę dziękczynną do Pana Zastępów, który jest jedynym źródłem wszelkich zwycięstw.

Był zdumiony. El-Kader? Zwyciężył? Przecież był tylko cieniem Nassefa, współnikiem jego mactw, człowiekiem bez reszty skorumpowanym, zainteresowanym jedynie zyskami, jakie jego rodzina czerpała z chaosu wojny. Nie miał ani krzty wyobraźni... Ale przecież zatriumfował dawno temu w bitwie toczony na ruinach Ilkazaru... Niesamowite.

Wiały już chłodne jesienne wichry, kiedy El Murid spotkał się z el-Kaderem. Ci, którym na sercu leżała pogoda, przepowiadali wczesną i mroźną zimę. Pogoda zmieniała się gwałtownie, jakby głosiła koniec pierwszego lata bezwzględnej wojny. Obóz el-Kadera był nieomal zupełnie opustoszały.

–Gdzie są wszyscy nasi żołnierze? – dopytywał się El Murid. – Czy zwycięstwo okazało się aż tak kosztowne?

–Ach, nie, panie. Część uczestniczy w pościgu za tymi, którzy uprowadzili twoją córkę. Pozostali wrócili do domów, do rodzin. Myśliwi nie odkryli dotąd zbyt wiele, wiemy jednak tyle, że Yasmid wciąż żyje.

–Skąd wiemy?

–Nie było żadnych innych wieści. A martwa nie miałaby żadnej wartości dla bin Yousifa, nieprawdaż? Głęboko wierzymy, że będzie starał się ją utrzymać przy życiu, aby móc tym sposobem wykorzystać przeciwko nam. Jeśli tak się stanie, odzyskamy ją.

–On ją porwał?

–Tak sądzimy, panie. Prześledziliśmy wstecz trasę jej strażników, którzy ścigali ją na terytorium Altei, gdzie zostali zabici przez tych samych żołnierzy Gildii, z którymi pozostaje w kontakcie.

–Żołnierze Gildii? Znowu? Ci sami, którzy zabili Karima i Bicza Bożego?

–Ci sami, panie. Powoli stają się prawdziwą, przeklętą plagą.

–Chcę, żeby byli martwi, generale. Nie mam ochoty więcej o nich słyszeć. Przyjdź do mnie z wieścią o ich śmierci.

–Szanse ocalenia mają niewielkie, panie. Tysiące już ich szukają.

–Szukają? Nie wiesz, gdzie oni są?

–Nie, panie. Zniknęli. Początkowo przebywali w bazie położonej w jednym z lasów Altei, ale kiedy tam dotarliśmy, okazało się, że już ich nie ma. Podobnie wygląda sprawa z bin Yousifem, który działa razem z nimi. Uciekli mniej więcej w tym czasie, kiedy dotarli do nich porywacze twej córki.

–Ustal ich miejsce pobytu.

–Oczywiście, panie.

Pojawił się jeden z adiutantów el-Kadera i wyszeptał coś do ucha dowódcy.

–Jesteś pewien? – zapytał generał.

–Nie ma najmniejszych wątpliwości, sir.

–Ciekawe. – Spojrzał na El Murida. – Z północy zmierza do nas misja, poprosili o pozwolenie na przeprawę przez Scarlotti. Chcą otwartych negocjacji pokojowych.

–Negocjacji pokojowych? A cóż mogą nam zaoferować? Przecież zostali pokonani.

–Może i tak, panie. Ale nie zaszkodzi ich wysłuchać. Wszystko nabrało sensu, kiedy delegaci przybyli na miejsce. El Murid natychmiast zwęszył smród zdradzieckiej polityki.

Wśród emisariuszy znajdowali się przedstawiciele, praktycznie rzecz biorąc, wszystkich państw zachodu. Własnych ambasadorów nie wysłały tylko Trolledyngja, plemiona Sharan i królestwo Freylandii, które zresztą dotąd nie brały udziału w walkach. Gołym okiem widoczny był również głęboki podział wśród negocjatorów. Zwolennicy ugody wywodzili się z małych państw położonych między rzekami Scarlotti i Porthune, z królestw, które miały już przedsmak władzy Światłości. Stronnictwo prowojenne składało się głównie z reprezentantów Itaskii i jej północnych sojuszników.

El Murid powitał wszystkich ambasadorów życzliwym uśmiechem, zwolenników ugody zaś – na zachodnią modłę – uściskiem dłoni. Książę Szarego Płaskowyżu zdawał się być skonsternowany brakiem jakiegokolwiek reakcji na jego widok.

El Murid nie przedstawił gościom żadnego ze swoich ludzi. Rozmyślnie – miał to być jasny przekaz dla północnych polityków. Tylko on przemawia w imię Królestwa Pokoju.

Po spotkaniu przyjął el-Kadera.

–Generale, czy jest coś, czego szczególnie chcielibyśmy od tych ludzi? Coś, czego nie możemy sobie po prostu wziąć?

–Tak naprawdę to nie, panie. Powinniśmy tylko pogłębiać dzielące ich różnice. Aha. Mogą nam pomóc w rozwiązaniu kilku problemów politycznej natury.

–Na przykład?

–Gildia. Mogą wyrzucić określone naciski, żeby zwrócono nam lady Yasmid, jeśli pozostaje w rękach Gildii. Możesz też wspomnieć o swoim niezadowoleniu, wywołanym obecnością

obozów uchodźców na ich terenach. Póki będą istniały poza naszym zasięgiem, stanowiąc będą źródło nieustannych kłopotów.

–Rozumiem. Czy nie stworzymy w ten sposób wrażenia, że nie jesteśmy w stanie?

–Pokonamy ich. W swoim czasie. Ale teraz musimy przede wszystkim uspić ich czujność. Niech myślą, że bardzo zależy nam na pokoju. Jeśli kwestią przetargową uczynimy obozy uchodźców, być może doprowadzimy do tego, że nasi wrogowie sami powyrywają sobie zęby. Możesz też upierać się przy wydaniu bin Yousifa, jeśli wpadnie w ich ręce. Nie zaszkodzi zaprząć wrogów Pana do pracy przy jego dziele, nieprawdaż?

–Zaiste, nie zaszkodzi. – El Murid obdarzył el-Kadera jednym z rzadkich uśmiechów. – W porządku. Zagramy w ich grę. I pobijemy ich w niej.

Następnego ranka El Murid ugościł ambasadorów obfitym śniadaniem. Kazał swoim ludziom wzbić się na wyżyny kulinarnych umiejętności. Każda potrawa wywodziła się z rodzimej kuchni którejś z odzyskanych prowincji. A na polach ćwiczeń, na które wychodziły okna jadalni, oficerowie el-Kadera ostentacyjnie musztrowali konwertytów z zachodu.

El Murid spożywał śniadanie na zaimprovizowanym tronie górującym nad zgromadzeniem. Podczas posiłku wzywał do siebie indywidualnie emisariuszy i każdemu zadawał pytanie: „Dlaczego tutaj przybyłeś?” oraz „Czego chcesz?” Tłumacze przekładali jego słowa. Skrybowie zapisywali odpowiedzi tak szybko, jak potrafili.

Większość ambasadorów przyznawała, że wypełniają po prostu rozkazy swoich władz. Na rozmaite sposoby głosili swoje pragnienie położenia kresu rozlewowi krwi.

–Pokój? To jest najprostsze do osiągnięcia. Przyjmijcie Prawdę – informował każdego Adept. Potem uśmiechał się i proponował kolejnym ambasadorom przygotowany projekt traktatu pokojowego. Przez całą poprzednią noc nawet oka nie zmrużyli wszyscy jako tako wykształceni członkowie Zastępów. – Proszę bardzo, sir – mówił – albo się zgadzamy, albo nie. Jam jest ręką Pana na ziemi. Nie będę targował się niczym jakiś handlarzyna. Do jutrzejszego śniadania chcę poznać twoją odpowiedź.

Kilku emisariuszy, zwłaszcza wywodzących się z oddalonych królestw, próbowało polemizować. Niezwyciężeni zmusili ich do milczenia. Większość wróciła na swoje kwatery, aby zapoznać się z proponowanymi warunkami, i wielu czekała niespodzianka.

El Murid rozgrywał swoją grę i dostarczało mu to niepomiernej radości. Władza bywała taka zabawna... Zmarszczył brwi i w skrytości ducha upomniał samego siebie. Nie było to stosowne zachowanie dla ręki Pana.

W większości przypadków warunki, które zaproponował, były stosunkowo korzystne, ponieważ mógł sobie pozwolić na szafowanie rzeczami, których nie posiadał, i obietnicami, których dotrzymać nie miał zamiaru. Prawo wszakże nie obejmowało niewiernych. Jediną naprawdę znaczącą kwestią, przynajmniej w jego oczach, było uzyskanie pozwolenia, by misjonarze mogli swobodnie podróżować po nie okupowanych dotąd terytoriach.

–Przyglądałeś się? – zapytał później el-Kadera, niemalże roześmiany. – Niektórzy byli gotowi całować mnie po rękach.

–Tak, panie. Ale jeśli na chwilę odwrócisz wzrok, z pewnością zaczną je gryźć. Panie, jeden z wysłanników spotkał się ze mną prywatnie. Prosił mnie o umożliwienie audiencji u ciebie, również prywatnej. Myślę, że przyjęcie go może okazać się dla nas korzystne.

–Który?

–Książę Szarego Płaskowyżu.

–O co chodzi?

–Polityka. Twierdzi, że miał umowę z Karimem, działającym w charakterze rzecznika Nassefa. Twierdzi, że właśnie dlatego Karim został zabity. Niewykluczone, że mówi prawdę. Wszystko, co wiemy o polityce Szarego Płaskowyżu, jak również o posunięciach bin Yousifa i Karima, zdaje się potwierdzać jego wersję.

–Wobec tego przyprowadź go. To może okazać się interesujące.

Żałował, że zostawił Mowaffaka w Ipopotam. W chwili obecnej tamten mógłby się okazać godnym zaufania, dyskretnym i cennym doradcą.

A więc tak. Oto pokłosie kolejnych knowań Nassefa. Sam udział Księcia Szarego Płaskowyżu zdradzał możliwą ich naturę. Nic dziwnego, że Nassef tak bardzo chciał się udać do Altei po śmierci Karima. Trzeba było zatrzeć ślady. A poza tym był tam przecież bin Yousif, który jako jedyny stał między Nassefem a tronem...

–Nassef, Nassef – wymamrotał – nie żyjesz już, a wciąż mi to robisz.

Dlaczego el-Kader wyciągnął całą sprawę? Czyż nie był jednym z przyjaciół Nassefa? Z pewnością kusiło go, aby wykorzystać spisek dla własnych celów.

Książę Szarego Płaskowyżu okazał się szczupłym, twardym człowiekiem o rozbieganym spojrzeniu i przedwcześnie posiwiałych włosach. Otaczała go jakaś taka lisia aura. Wyglądał, jakby przez cały czas kręcił.

–Mój lordzie Adecie – powiedział, kłaniając się służalczo.

El Murid zwrócił się do tłumacza:

–Powiedz mu, żeby przeszedł od razu do rzeczy. Nie będę się zabawiał w gierki słowne. Jeśli spróbuje kluczyć, natychmiast zostanie wyrzucony.

Książę wysłuchał tej przemowy, przesadnie udając całkowitą niewinność. Kiedy tłumacz skończył, podszedł drobnymi kroczkami do drzwi, wyjrzał na zewnątrz.

–Muszę zachować ostrożność. Mam wielu wrogów.

–Dlaczego nie miałbym wydać cię w ich ręce? – chciał wiedzieć El Murid.

Książę przedstawił mu całą historię, którą Adept wcześniej poznał z ust el-Kadera, z tym że bardziej szczegółowo. Przyznał się, że najbardziej zależy mu na tronie Itaskii i zbudowaniu

własnego imperium.

El Murid poczuł niesmak. Jeśli kiedykolwiek śmiertelna kobieta powiła dziecię Złego,

była to matka tego człowieka.

–Wszystko to są dla mnie zupełnie nowe kwestie, książę. Mój szwagier, podobnie jak ty, miał swoje własne ambicje.

Twarz księcia pobladła.

El Murid uśmiechnął się. Sprytny Nassef! Nie był szczery z księciem.

–Dowodzę armią sprzymierzonych, panie. Ja decyduję, kiedy i gdzie będzie ona walczyć. – Książę Szarego Płaskowyżu mówił szybko, nerwowo, próbując jeszcze coś ocalić.

–Wobec tego niedawno podjąłeś kiepską decyzję. – El Murid musiał się bardzo starać, by nie wybuchnąć śmiechem.

–To nie była moja decyzja, ale klimat polityczny zmusił mnie do podporządkowania się jej.

–Nie masz już szczególnie okazałej armii.

–Da się ją zastąpić. Mogę wystawić tuzin takich. Plany właśnie wcielane są w życie. – Lekkie wahanie zastąpiło dotychczasową pewność siebie. – My, Itaskianie, nie popełniamy po raz drugi tych samych błędów.

–Może i nie – El Murid wykonał nieznaczny gest dłonią skrywającą amulet. Żywy kamień płonął jaskrawo. Jego ogień odbijał się blaskiem w oczach księcia. – Ale z pewnością możecie popełnić mnóstwo nowych. Nie potrafię dostrzec korzyści dla siebie w twojej propozycji. Jeśli później przyjdzie mi coś do głowy, skontaktuję się z tobą.

–Twoja korzyść to żywoty ludzi, których nie stracisz. – Książę był teraz jawnie rozdrażniony. – Będziesz miał czas, by wszystko uporządkować. Czas, by powiązać wszystkie luźne końce, takie jak Altea, Kavelin i Hellin Daimiel. I nie będziesz się musiał martwić o tych rojalistów, którzy uciekli na moje terytoria.

Ten człowiek wzbudzał w El Muridzie prawdziwą odrazę. Jego terytoria!

–Daj mi bin Yousifa. Przekażesz go żywego w me ręce, a dostaniesz wszystko, o co poprosisz – skłamał El Murid. Nie poczuł najmniejszych nawet wyrzutów sumienia z powodu oszukiwania tego ludzkiego narzędzia Pana Kłamstw. – Zapewnij mi to, czego pragnę najbardziej, a odniosę się życzliwie do twych słów. Póki co tylko marnujesz czas.

Książę Szarego Płaskowyżu zamarł, wpatrzony w Adepta i jego słynny amulet. Zdawał sobie sprawę, że perswazją niczego nie osiągnie. Skłonił głowę.

–Wobec tego wrócę do moich kwater, zanim zaczną mnie szukać. Dobranoc.

El Murid pozwolił, by dobra chwila upłynęła w milczeniu.

–El-Kader. Co sądzisz?

Generał wyszedł z ukrytego za sztukaterią schowka.

–Wygląda na to, że powiedział wszystko prosto z mostu.

–Czy może się nam na coś przydać?

–Wątpię. Zdradzi nas bez chwili namysłu.

–Niech twoi szpiegowie nie spuszczaają go z oka. Oficjalnie będziemy go ignorować. Na razie.

–Jak rozkażesz, panie.

W następnym tygodniu El Murid doprowadził do podpisania traktatów, które gwarantowały mu pokój ze wszystkimi wrogami prócz Itaskii, Iwa Skołowda, Dvaru i

Kamieńca Prost. Każdy traktat zawierał klauzulę, w myśl której żaden z sygnatariuszy nie miał prawa pozwolić na przemarsz przez swoje terytoria wojsk wrogich drugiej stronie. Armie północy nie będą w stanie dotrzeć do granic jego ziem bez wypowiedzenia wojny byłym sojusznikom. El Murid był pewien, że ta klauzula, podobnie zresztą jak kolejna, gwarantująca swobodę ruchów jego misjonarzom, zostanie pogwałcona wystarczająco wiele razy, by dostarczyć casus belli, kiedy jego wojska podejmą ofensywę.

Nie miał najmniejszego zamiaru doprowadzić do trwałego pokoju poza obszarem Królestwa. Negocjował tylko po to, by uspić czujność tych, których jutro zamierzał podbić. Zresztą nie miał większych złudzeń. Pozostali sygnatariusze również kupowali czas potrzebny im na wzmocnienie defensywy.

Prawdziwą zagadkę stanowiła natomiast jawna, zdecydowana wrogość Itaskian. Dlaczego tak bardzo dążyli do konfliktu, skoro nie istniało bezpośrednio zagrożenie dla ich terytoriów i ludności? Co mogli na tym zyskać?

Tak skończyło się krwawe lato, przez historyków nazwane później Pierwszą Wojną El Murida. Restauracja Imperium stało się nagle zupełnie realna.

Adept wrócił na Hammad al Nakir; najpierw odwiedził Al Rhemish, potem spędził jakiś czas w Sebil el Selib. Stosunkowo rzadko otrzymywał raporty od el-Kadera, który przygotowywał następną ofensywę, wedle dyrektyw, jakie zdołał zrekonstruować z dokumentów Nassefa. Posłańcy generała ani razu nie przywieźli jednak tych wieści, których El Murid najbardziej wyczekiwał. Ani słowa o Yasmid.

Nawet jego szpiedzy w obozie rojalistów nie potrafili odkryć nic prócz faktu, że dziewczyna naprawdę pojawiła się w obozie Gildii w alteańskim Bergwold.

Z początku Adept radził sobie jakoś; spędzał długie godziny na modlitwie. Później, po nadaniu Esmatowi władzy, którą przed nim posiadał Nassef, zamknął się w Najświętszej Świątyni Mrazkim, aby podjąć walkę ze swym uzależnieniem.

Rozdział 15

JeńcyCzterech żołnierzy Gildii zaprowadziło jeńców na posterunek wart. Nie byli szczególnie delikatni. Grubas próbował stawiać opór, toteż związali go, zakneblowali i wymierzili kilka razy, mimo iż na własne oczy widzieli, jak uciekał przed Niezwycięzonymi. Kobieta uparcie milczała, niezależnie od tego, jakim zwracano się do niej językiem.

Potem jeńców przejął Smokbójca, ale nie bardzo miał czas się nim zająć. Najpierw trzeba było pozbyć się Niezwycięzonych. Kiedy już się z tym uporał, wyznaczył dwóch ludzi, aby zaprowadzili grubasa i Yasmid do głównego obozu. Najpierw oczywiście wysłuchał opowieści tego pierwszego, nie miał jednak ochoty samemu dociekać jej sensu.

Grubas jechał przerzucony przez grzbiet osiołka. Ubranie i skórę szarpało mu poszycie lasu. Przeklinał bezustannie w kilkunastu językach.

–Och, zamknij się! – warknęła w końcu Yasmid. – Ty nas w to wpakowałeś. Znieś to jak mężczyzna.

–Niemożliwą jest ta propozycja do zrealizowania, kiedym przerzucony przez grzbiet zwierza niczym wór kukurydzy. Cóż za haniebny los dla...

–Dlaczego ktoś raz jeszcze go nie walnie? – zapytała Yasmid, zwracając się do żołnierza Gildii w języku Hellin Daimiel.

–Potrafi mówić – wymamrotał ten po itaskiańsku.

–Mam lepszy pomysł – odrzekł drugi w języku, który wybrała Yasmid. – Każemy mu iść pieszo. Gruby, nie gruby, pogna szybciej niż wiatr.

–Byłbyś zaskoczony, żołnierzu.

–Lepiej załóż mu arkan, Karl – zaproponował pierwszy żołnierz Gildii – żeby za szybko nie zniknął nam w lesie.

Tak więc Szyderca wkroczył do obozu swoich sojuszników niczym pies prowadzony na smyczy. O hańbo! Ta, którą schwytał, szła wyprostowana, wolna i dumna niczym jakaś królowa, podczas gdy on traktowany był jak niewolnik.

Wprowadzono ich za palisadę z bali, a potem powiedziano do miejsca, gdzie kilku rojalistów wspólnie z żołnierzami Gildii oddawało się jakiejś grze hazardowej.

–Kapitanie, sierżant Smokbójca przysłał jakichś jeńców.

Wielki młodzieniec o kudłatej czuprynie zmierzył ich wzrokiem. Któryś z rojalistów powiedział coś, a potem pomknął w stronę jednego z baraków. Kudłaty młodzieniec wzruszył ramionami.

–Im ich przekaż, Uthe. Beloul zechce, aby Haroun im się przyjrzał. – Powrócił do gry.

Yasmid zachnęła się, jej twarz pobladła. Nie mówiła po itaskiańsku, ale bez trudu wychwyciła imiona. Beloul! Najbardziej niebezpieczny z rojalistów. Człowiek, którym kierowała przemożna nienawiść i żądza zemsty. Ostatnia isierka nadziei zgasła. Zastąpił ją strach. Nie będzie pokoju. Beloul! Jak mogła być tak głupia?

Przez izbę przemknął młodzieniec w rozwianych czarnych szatach. Yasmid pamiętała jego twarz. Tamtej nocy na wzgórzu przy Al Rhemish... Postarzał się, dojrzał, stwardniał...

–Dlaczego nie rozetniesz mu więzów, Beloul? – zapytał Haroun. Nie czekając na odpowiedź, sam przytknął ostrze noża do sznurów pętających nadgarstki grubasa. Przeszedł na itaskiański i zwrócił się do Ragnarsona: – Ten człowiek jest moim agentem. Wysłałem go na dalekie południe. Był z nim może taki wielki facet?

–Tylko ten kociak – odpowiedział jeden z eskortujących. – Nie mieliśmy pojęcia, kim on jest, a sam tego nie wyjaśnił. Przynajmniej nie w taki sposób, żeby można go było zrozumieć.

–W porządku. W porządku. Wyjmijcie mu knebel.

Szyderca ledwie potrafił utrzymać się na nogach. Schwycił się za okazały brzuch, zachwiał na nogach i przez zupełnie wyschnięte gardło jęknął:

–Biada! Żeby mnie tak potraktowano po tysiącach mil wycinania sobie drogi walką, ryzykowania życia i całości mej osoby, nieustannie ściganej przez hordy pustynnych szaleńców...

–Zrobiłeś dobrą robotę w Ipopotam – poinformował go Haroun. Mówił językiem pustyni, ponieważ Szyderca pierwszy się tak odezwał. – Skończyło się na tym, że całą armię wycofano z głównego teatru wojny. To więcej niżli pragnałem. Co się stało z twoim przyjacielem waligóram?

–Nie przypominaj mi o nim. Onże spotkał jednego Niezwyciężonego za wiele. Leży teraz w ziemi pogrzebany, daleko od domu, nawet nie wiedząc dlaczego. Biedny, głupi Gouch. Dobry był przyjacielem. Sparen teraz spoczywa w spokoju, wiedząc, że ktoś go pomścił.

–Przykro mi. Dawał się lubić... na swój prymitywny sposób.

Yasmid wybuchnęła.

–Błaźnie! Znasz tego... Tego... Pracujesz dla niego?

Szyderca wyszczerzył zęby.

–W rzeczy samej, pani. Jest ze mnie podstępny złoczyńca, zręczny nie tylko w palcach.

Czasami dobrze sobie też i z dziewczynkami radzę, czy nie tak...

–O czym ona mówi? – zapytał Haroun.

Szyderca skłonił się, wciąż uśmiechnięty.

–Chwała ci, potężny królu. Oto przyjemność mam przedstawić tobie księżniczkę istną, pierworodną córę arcywroga El Murida, Yasmid, którą żem pochwylił, straszliwe pokonując niebezpieczeństwa, i którą przywiozłem z samego serca Pustyni Śmierci. W ramach drobnej rady proponowałbym, żeby potężny król wziął za nią wielki okup w żywej gotówce. Całe stopy złotych sztab, po jednej za każdą ranę, po jednej za każdą ścierpianą obrazę...

Oczy Harouna robiły się coraz większe. Po raz pierwszy przyjrzał się dokładnie Yasmid.

–To ty. Urosłaś.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, podobnie jak owej odległej nocy pod Al Rhemish.

Yasmid wybuchnęła wspaniałym, niemalże artystycznym wrzaskiem. Jej krzyki sprawiły, że baraki opustoszały. Nie minęła chwila, a stała pośrodku kręgu złożonego z dwustu ludzi.

Haroun odwrócił się do Ragnarsona.

–Grubas przyprowadził nam córkę Adepta. Nie mam pojęcia, jak... Potrafisz w to uwierzyć? To zupełnie niewiarygodne.

Bragi jednak nie podzielał jego zdumienia. Ale zdawał sobie sprawę z możliwości, jakie to otwiera.

–Losy chyba przestały lubić Adepta. Jeszcze miesiąc temu szybował wysoko. Teraz stracił większość swej rodziny.

Yasmid nie potrafiła przestać. Jej gniew ustąpił miejsca hysterii. Otaczało ją morze złych, łakomych twarzy. Legiony Złego zstąpiły, by ją pojmać. Co zrobi Haroun? Rzuci ją swoim ludziom?

–No, no! – powiedział Ragnarson. – Ona nie przestanie, nieprawdaż?

–Śmiertelna trwoga ją opanowała – zaopiniował Szyderca.

–Zamknij się, dziewczyno! – zagrzmał Ragnarson.

Nie zamknęła się. Oczywiście. Mówił po itaskiańsku. Zresztą nawet gdyby go zrozumiała, niewiele by to zmieniło. Bragi nie był w zbyt tolerancyjnym nastroju. Kiepsko mu szło w grze, w której wcześniej uczestniczył. Ale nie tylko gniew popchnął go do czynu – naprawdę trzeba było jakoś skończyć z tą histerią.

Schwycił Yasmid, przechylił, przełożył przez kolano, uniósł spódnice, a potem wymierzył kilka porządnych klapsów na obnażone pośladki. Przez chwilę jeszcze szarpała się i piszcziała, a potem zamilkła na dobre.

Ragnarson nigdy nie miał zrozumieć obrazę, jakiej się wobec niej dopuścił, nie wiedział też, czego zaznała wcześniej. W jego kulturze kobiety nie nosiły zasłon, a dziewczyny zazwyczaj podniecało, kiedy mężczyzna obnażył ich łono.

Grubas zmusił Yasmid do przebrania się w suknie noszone na zachodzie, spalił jej zasłonę. Przez wiele dni jechała pogrążona w hańbie. Teraz inny barbarzyńca obnażył jej kobiecość na oczach całego obozu. Jego towarzysze śmiali się, drwili i czynili nieprzystojne

uwagi odnośnie do znamienia w kształcie dłoni, jakie od dzieciństwa miała na pośladkach. Łzy strumieniem płynęły z jej oczu, ale nie dała im satysfakcji słuchania próśb o zmiłowanie lub głośnych lamentów.

Haroun jednak pochodził z pustyni. Aż posiniał. Odtrącił dłoń Ragnarsona, postawił dziewczynę na nogi, zasłonił swoim ciałem. Potem stanął przyczajony i gotów na wszystko. Yasmid skuliła się za jego plecami, trzęsąc się cała, zdruzgotana hańbą.

Śmiech zamarł. Oczy żołnierza Gildii stwardniały. Ragnarson podniósł się powoli, zaciskając pięści.

–Hai! – krzyknął Szyderca. Zakręcił się między żołnierzami, poły jego szaty załopotwały. Kręcąc się, krzyknął: – Ale ja nie mogę przestać się zastanawiać, kiedy przyjdzie czas na świętowanie. Przecie żem bohater. Pewnie czeka mnie wielki jubileusz, wino, śpiew, niestety pewnie żadnych kobiet, ale wspaniała zabawa dla wszystkich. – Spróbował wykonać gwiazdę i runął na zakurzoną ziemię.

Jego wygłupy sprawiły, że napięcie prysło.

–On chyba ma rację – powiedział Ragnarson, kiedy już rozebrał w głowie łamany daimieliański grubasa.

–Beloul – powiedział Haroun – zaprowadź lady Yasmid do moich kwater.

Brwi Beloula uniosły się. Ale powiedział tylko:

–Jak rozkażesz, panie.

Zmieniając język, Haroun rzekł do Ragnarsona:

–Powinieneś bardziej liczyć się z innymi ludźmi. Upokorzyłeś ją w sposób niewybaczalny. Przypuszczalnie będę musiał postawić przy niej strażnika, żeby nie odebrała sobie życia.

–Co? – zapytał Bragi z niedowierzaniem.

–To bez sensu – dodał jego brat.

–Być może. Dla was. Jesteście synami zupełnie innej ziemi. Inaczej życie. W oczach moich ludzi to wasze zwyczaje zdają się czasami zupełnie bez sensu.

–Chcesz powiedzieć, że ona jest prawdziwa – zapytał Bragi. – Że nie jest jakąś wędrowną dziewczyną, którą nasz przyjaciel poderwał na drodze?

–To ona.

–A więc musimy się teraz zastanowić nad sytuacją. Ona oznacza kłopoty.

–Na przykład jakie?

–Wydaje ci się może, że wcześniej mieliśmy na głowie ludzi El Murida? Jeszcze niczego nie widziałeś. Jeśli pozostawimy ją przy życiu... a jaki pożytek z martwej... ludzie przybędą jej szukać. Wszyscy naraz, z zakrzywionymi nosami, odziani w biel. A twój przyjaciel zostawił ślady, po których bez trudu trafi tu cała hałastra. Co oznacza, że musimy stąd zniknąć. Szybko.

–Przypuszczalnie masz rację. Pozwól mi się zastanowić. – Haroun odszedł śladem Beloula. Spotkał swego kapitana na zewnątrz własnego szałasu. – Co z nią?

–Zdruzgotana, panie.

–Hm. Beloul, znajdź jakieś ubranie. Cokolwiek, byle tylko mogła sobie z tego zrobić zasłonę i przyzwoite odzienie.

–Panie?

–Słyszałeś, com rzekł. – Haroun wszedł do szałasu, który służył mu za dom i kwaterę

główną.

Yasmid siedziała na brudnej podłodze. Głowę zwiesiła na piersi. Płakała bezgłośnie, a całym jej ciałem wstrząsały spazmy. Nie uniosła oczu.

–Przepraszam za moich przyjaciół. Pochodzą z naprawdę dalekich stron. Obyczaje są tam zupełnie inne. Nie próbowali cię poniżyć.

Yasmid nie odpowiedziała.

–Powiedziałem już Beloulowi, żeby znalazł tkaninę, z której będziesz mogła wykonać przyzwoite odzienie.

Nadal nie uniosła wzroku, jednak cichym głosem zapytała:

–Co masz zamiar ze mną zrobić?

–Ja? Nic. Ukryję cię gdzieś, aby twój ojciec się martwił.

–Nie zamierzasz mnie zabić? Rzucić mnie swoim ludziom albo tym barbarzyńcom, a potem poderżnąć mi gardło?

–Dlaczego miałbym coś takiego zrobić?

–Jestem twoim wrogiem. Mój wuj i mój ojciec wymordowali całą twoją rodzinę.

–Twój wuj był moim wrogiem. Twój ojciec jest moim wrogiem. Ale ty nie. Nie prowadzę wojny z kobietami. Przecież nie...

–Zabiłeś moją matkę. Haroun wzruszył ramionami.

–To było w bitwie. Nie bardzo wiedziałem, co robię. Yasmid podciągnęła kolana pod brodę, objęła je ramionami.

–On mnie oszukał, nieprawdaż?

–Kto?

–Grubas. – Wiedziała już, oczywiście, ale chciała się upewnić. Sądziła, że dzięki temu będzie w mniejszym stopniu czuła się współniczką w oszustwie. – Przekonał mnie, żebym tu przybyła... Sądziłam, że mogę doprowadzić do pokoju między tobą a moim ojcem.

–To byłoby naprawdę trudne. Tak. Oszukał cię. Na tym polega jego zawód. I jest w nim znacznie lepszy, niżli podejrzewałem. – Haroun usiadł przed nią na ziemi, zastanawiając się równocześnie, dlaczego zdaje mu się tak wyjątkowa.

Nie było w tym nic fizycznego. Była całkiem przeciętną dziewczyną, jej uroda nie uderzała. Aktywne życie, prowadzone w większej części na wolnym powietrzu, wyostrzyło jej rysy bardziej, niżli było to w guście mężczyzn z Hammad al Nakir. I była zdecydowanie nazbyt asertywna.

Yasmid patrzyła w przestrzeń. Po jakimś czasie wymruczała:

–To naprawdę interesujący dylemat.

–Mianowicie?

–Czy powinnam popełnić samobójstwo i tym samym uwolnić ruch mojego ojca od troski o mnie i niepewności, czy też zachować życie wbrew ewidentnej potrzebie.

Charakter kultury, w jakiej Haroun się wychował, pozbawił go szczególnie głębokiej wiedzy na temat kobiet. Wszystko, co o nich wiedział, pochodziło wyłącznie z tradycji i pokątnych plotek równie niezorientowanych towarzyszy. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał po kobiecie, była umiejętność myślenia, poświęcenia się, troski o jutro. Trwał więc w milczeniu, zdumiony.

–Sądzę, że powinnam poczekać na znak. Samobójstwo jest skrajnym rozwiązaniem. A

jeśli pozostanę przy życiu, zawsze będę miała szansę uciec albo zostać uratowana.

–Jak powiedziałby mój gruby przyjaciel, wszystko jest możliwe. – Ale niektóre możliwości są skrajnie nieprawdopodobne, dodał w myślach. – Proś Beloula o wszystko, co potrzebne ci będzie do szycia. – Wyszedł z namiotu i udał się na poszukiwanie Ragnarsona.

–Nie, nie i nie – mówił Bragi do Alteanina, który właśnie wypuścił strzałę do tarczy. – Nie pamiętasz, co ci mówiłem o łokciach.

–Trafiłem, czyż nie, proszę pana?

–No. Tym razem. Ale jeśli mnie posłuchasz, będziesz trafiał za każdym razem...

–Przepraszam – wtrącił się Haroun. – Przyszło mi właśnie na myśl, że najlepiej będzie, jeśli skierujemy się w Kapenrungi.

–Co?

–Powinniśmy przenieść się w góry. Stanowią teren znacznie bardziej sprzyjający charakterowi walki, jaką teraz będziemy prowadzić. Większa przestrzeń do manewrów i łatwiej oderwać się od pościgu. A równocześnie wystarczająco blisko Hammad al Nakir, żeby istniała możliwość uderzenia na południe. Z gór do Al Rhemish jest tylko kilka dni konnej jazdy.

–Dostaliśmy przydział do Altei.

–Dokładnie? I rozkazy nie przewidywały żadnej możliwości, by dowódca podejmował decyzję na polu bitwy?

–Pojęcia nie mam. Powiedzieli tylko, że płyniemy do Altei. Może Sanguinet wiedział więcej. Ale jego już nie ma wśród żywych.

–Wysłali cię tutaj i zapomnieli o tobie. Nie zauważyłeś jeszcze? Jakoś się nie spieszą, żeby przysłać zmiennika twojego kapitana. Nie dostałeś nawet żadnych rozkazów. Działasz całkowicie na własną rękę.

–W jaki sposób zamierzasz dostać się stąd tam, nie narażając naszych szeregów na wycięcie w pień? Oni mają wszędzie swoich ludzi.

–Weź pod uwagę osobę naszego jeńca. Oni doskonale wiedzą, kto ją ma i gdzie ostatnio przebywaliśmy. W każdym razie odejście stąd to był twój pomysł.

–No tak.

Ragnarson nie zastanawiał się długo. Wiedział, że nie ma co liczyć na kolejny cud w rodzaju Alperin. Pierwsze oddziały wyruszyły jeszcze tego wieczoru.

Haroun przekonał go do wysyłania ludzi w czteroosobowych grupach, wszystkimi możliwymi drogami. Podróżować mieli nocą, aby ściągać na siebie jak najmniej uwagi. Do każdego oddziału Gildii Haroun przydzielił jednego ze swoich ludzi, ci bowiem znali drogę do starego obozu dla uchodźców Beloula. Wraz z pierwszymi nocnymi podróżnikami Bragi wysłał swego brata, Smokbójcę zaś z drugą partią. Bin Yousif, Szyderca i Yasmid zniknęli tej samej nocy. Haroun nie powiedział nawet słowa odnośnie do swych zamiarów czy celu.

Ragnarson opuścił Bergwold ostatni, wraz z Beloulem i dwoma młodymi rojalistami. Nikt z tej trójki nie mówił zrozumiałym dla niego dialektem. Raz tylko obejrzał się za siebie. Bergwold zdawał się wyciągać w jego stronę niczym jęzor ciemnej fali przyływu, zamartej w ruchu. Poczł ukłucie żalu. Las zdążył stać się jego domem.

Od czasu ucieczki z Draukenbring przeżył nieliczne tylko szczęśliwe chwile. Ale on i Haaken wciąż byli razem, cali i zdrowi; w końcu nigdy nie prosił bogów o więcej.

Beloul był wytrawnym podróżnikiem. Prowadził ich nocą przez kolejne mile i ani razu nie zobaczyli ludzkiej istoty. Wydawał się jakimś szóstym zmysłem wyczuwać obecność innych podróżnych. Za każdym razem, gdy mijał ich inny nocny jeździec, już znajdowali się w ukryciu. Większość tamtych stanowili zresztą ludzie walczący po tej samej stronie.

Tę umiejętność dobrze byłoby zaszczerpić własnym ludziom. W jaki sposób El Murid miałby ich znaleźć, skoro nawet przyjaciele nie widzieli, kędy zmierzają?

Ludzie pustyni cechowali się wrodzoną chytrą. Kręactwa i oszustwo wysysali z mlekiem matki.

Żałował, że nie potrafi lepiej porozumieć się z Beloulem. Kapitan był naprawdę chytrym starcem.

Bragi już od dawna próbował przyswoić sobie język pustyni, ale jak dotąd mógł się poszczycić niewielkimi postępami. Reguły gramatyki były całkowicie odmienne od wszystkich, z jakimi miał dotąd do czynienia, a ponadto na pustyni mówiono w niezliczonych dialektach.

Dlatego też, kiedy Beloul złamał swoje zasady i zatrzymał nocą pędzącego jeźdźca, Ragnarson był z początku zaskoczony zachowaniem swoich towarzyszy. Opanował ich szal wściekłości i wzburzenia. Pół godziny zabrało im przekazanie mu, o co chodzi. El-Kader rozbił północną armię.

To również wyjaśniało nagły pośpiech Beloula. Już wkrótce na tym krańcu świata zaroi się od wojowników ścigających porywaczy córki proroka. Czas znaleźć jaką norę i przyciąć się w niej przynajmniej na chwilę. Był zadowolony, że Haroun namówił go jednak do opuszczenia Bergwold.

Cztery dni później już ściskali się z Haakenem, Bragi mówił:

–Cholera, dobrze cię znowu widzieć. Dobrze widzieć każdego, kogo mowa nie przypomina odgłosów dobiegających z klatki pełnej rozgdakanych kur.

–Słyszałeś o bitwie?

–No. Ale musisz jeszcze przekazać mi szczegóły. Większość detali mi umknęła.

–El Senoussi i ja zastanawialiśmy się nad tym. Wykombinowaliśmy sobie, że trzeba znaleźć ocalałych, abyśmy mogli zbudować własną armię.

–Rano mi wszystko opowiesz. Teraz chcę tylko spać. Jak sobie wyobrażasz namówienie chłopców, żeby się zaciągnęli, skoro nie mamy im czym płacić? Kiedy nie możemy nawet zagwarantować im wyżywienia?

Na to Haaken nie znalazł żadnej odpowiedzi.

Wreszcie jednak Ragnarson i Beloul wysłali swoich najodważniejszych żołnierzy, pojedynczo albo po dwóch, aby odszukali nie tylko ocalałych z bitwy, ale również wszystkich, którzy chcieli się zaciągnąć do podziemnej armii. W miarę jak jesień ustępowała zimie, liczebność ich wojska rosła. Rekruci błyskawicznie uczyli się zwyczajów panujących w Gildii, równocześnie uciekając i zastawiając zasadki na myśliwych el-Kadera.

Myśliwi ci nigdy nie dowiedzieli się, z kim przyszło im toczyć potyczki. Poszukiwania Yasmid skoncentrowały się na dalszej północy, bliżej Bergwoldu.

Alteę przewrócili właściwie do góry nogami.

Szyderca pokazał się po miesiącu, jednak Haroun ukrywał się nawet przed najbliższymi przyjaciółmi. Nie było go tak długo, że Beloul zaczął się już zastanawiać nad kwestią wyboru

nowego króla. Wówczas właśnie zdał sobie sprawę, że potomstwo El Murida jest – po kądzieli – najbliższej tronu. Uśmiechając się paskudnie, przygotował specjalną wiadomość, która powinna była wpaść w ręce wroga. Zawierała sfingowane plany uwolnienia Sidiego od ciężaru żywota, aby nie mógł zostać wysunięty przez ojca jako pretendent do tronu.

Celem Beloula było poinformowanie Sidiego o jego pozycji. Syn Adepta był jeszcze chłopcem, jednak z tego, co mówił grubas, wynikało, że posiadał rozliczne przywary, które rozwiną się w pełni, gdy tylko dojrzy szansę zdobycia władzy.

Zima na zniszczonych wojną ziemiach była mroźna i ciężka, nadto maruderzy obu stron rekwirowali chłopom resztki zapasów. Gniew unosił się nad zaśnieżoną krainą niczym jakiś głodny potwór z legend.

Zbliżała się wiosna i wszędzie jak świat długi i szeroki ludzie zaczęli wierzyć, że los wreszcie się do nich uśmiechnie lub że będą mogli nagiąć go do swej woli.

Rozdział 16

Środkowa Wojna Rozliczanie z win nie jest zadaniem historyka. Ale nie powinien on również na siłę doszukiwać się okoliczności łagodzących tam, gdzie odpowiedzialność pozostaje bezsporna. Ostatnimi czasy nawet najbardziej szowinistycznie nastawiony historyk nie mógł się nie zgodzić, że to północ, uosabiana przez Księcia Szarego Płaskowyzu, sprowokowała drugą wojnę El Murida.

Itaskiańscy apologetycy wskazywali na działania Gildii i rojalistów Harouna bin Yousifa, dowodząc, że pierwszego lata walk nie można traktować odrębnie, ponieważ jastrzębie nigdy nie zawarły pokoju. Ale Gildia i rojaliści prowadzili swoje prywatne wojny. Po prostu toczyły się one na tych samych polach bitewnych co walka ich aliantów. Ostatecznie Królestwo Pokoju podpisało traktaty tylko z tymi wrogami, którzy zgodzili się na warunki niewiele różniące się od bezpośredniej aneksji. Nawet najwyższe dowództwo Itaskii, mimo iż na ustach miało gotowość bojową, zaakceptowało nowy kształt mapy zachodu wykreślony przez El Murida. Wraz z nastaniem zimy pierwsza wojna El Murida dobiegła końca.

Było oczywiste, że prędzej czy później wybuchnie następna.

Jedynie sam Adept wiedział, jakie są jego zamiary odnośnie do tego drugiego lata podbojów. Po zimie spędzonej w domach wojownicy pustyni stawili się na wezwanie do broni liczniej niż kiedykolwiek. El Murid, zamknięty w sobie, rozkojarzony, pobłogosławił ich w święto Mashad, a potem wysłał na zachód, gdzie el-Kader wciąż trwał na swoim posterunku na linii Scarlotti. Tam dołączyli do tysięcy konwertytów i awanturników z ziem odzyskanych.

El-Kader czekał, co dnia spodziewając się z Al Rhemish rozkazu do ataku. Jednak żadne instrukcje nie nadchodziły. El Murid stracił zainteresowanie rekonkwistą. Jego sny o zielonej pustyni i walka z nałogiem zmieniły się w prawdziwą obsesję.

Wierni szeptali, że sam Zły pojawił się w Al Rhemish i Pan Wcielony walczy z nim za murami Najświętszych Świętyń Mrazkim.

El-Kader rozproszył swoje oddziały wzdłuż Scarlotti, stosując się do rozkazu bitewnego, o którym Bicz Boży napomknął dawno temu, na całe miesiące przed śmiercią. Pozycja bojowa Zastępów nabrała charakteru czysto defensywnego.

El-Kader przeczaił się. Czekał.

Emisariusze Księcia Szarego Płaskowyżu i aliantów Itaskii zastraszyli władców licznych małych państewek, które również podpisały traktaty z Adeptem. Pod groźbą miecza wymuszali lekceważenie litery tych traktatów, a uzbrojone formacje maszerowały przez królestwa, które zgodziły się nie dawać przejścia wojskom krajów dążących do wojny. Sprzyjali rewolucjom pałacowym i więzili niechętnych do kolaboracji lordów. Arogancka postawa Księcia Szarego

Płaskowyżu doprowadziła do całkowitej alienacji wielu słabszych krajów.

Do el-Kadera przybywali ambasadorowie, błagając, by pohamował swój gniew.

Niektórzy godzili się nawet przekazywać mu tajne informacje w nadziei powstrzymania furii Zastępów. Kilku wręcz wniosło petycje z prośbą o bezpośrednią interwencję, w której widzieli ochronę przed arogancją i chciwością Księcia...

Książę Szarego Płaskowyżu nie krył się specjalnie z pragnieniem wykrojenia sobie własnego imperium.

El-Kader grał na zwłokę, czekając, aż objawi się wola Adepta, a równocześnie pozwalał, by rosła nienawiść otaczająca osobę Księcia. Jego posłania do Al Rhemish przechodziły bez echa. Pograżony w swej walce ze Złym, El Murid nie potrafił nawet chwili poświęcić na to, by zająć się działalnością wroga na granicach Imperium.

Wreszcie el-Kader przejął inicjatywę. Wezwał swych kapitanów. Przekazał im rozkazy bitewne i poinformował, że jeśli nic się nie zmieni, za piętnaście dni mają być gotowi do przekroczenia Scarlotti. Aż do ostatniej minuty nie mieli z nikim rozmawiać o tych planach. W niektórych królestwach należy widzieć nie wrogów, ale sprzymierzeńców.

Czekał. Posunął się nawet do tego, że modlił się o słowo z Al Rhemish.

Odpowiedzialność zmieniała Altafa el-Kadera. Pozycja, którą obecnie zajmował, wiązała się ze zbyt dużą ilością obowiązków, aby pozostawiać czas na korupcję.

Wyznaczony dzień nadszedł, a wciąż nie było żadnego rozkazu z Al Rhemish. Pomodlił się raz jeszcze w intencji, by El Murid wybaczył mu samowolną decyzję. Potem opuścił swój namiot i pokonał rzekę.

Zastępy Światłości potoczyły się na północ niczym gigantyczne tsunami, niespodziewane, niepowstrzymane, zatapiające po drodze wszystkich wrogów. Książę Szarego Płaskowyżu, zupełnie nie przygotowany na taki obrót zdarzeń, przekonał się, że jego odbudowaną armię zewsząd otaczają wraże wojska. Lotne oddziały krążyły wokół niej, nękając najbardziej wysunięte przyczółki. Całą energię poświęcał próbom zachowania integralności swych sił i unikaniu walnej bitwy z Zastępami. Niemniej podczas odwrotu wykazał się zadziwiającą skutecznością.

Ponosząc zupełnie marginalne straty, el-Kader zajął całość obszarów na południe od rzeki Porthune. Choć Bicz Boży przewidywał, że operacja potrwa całe lato, el-Kader zakończył ją w Dniu Letniego Przesilenia.

Nie mają żadnych innych rozkazów, czując woń krwi słabnącego wroga, el-Kader przesuwał linię frontu, póki pęd armii i morale były mu sprzymierzeńcami. Niektóre z jego lotnych oddziałów dotarły aż do Srebrnej Wstążki płynącej głęboko na terytorium Itaskii. Silna formacja rozbiła obóz niedaleko od murów miasta i wycofała się dopiero wówczas, gdy cały garnizon wyszedł na zewnątrz, by wydać jej walkę. Północ ogarnęła panika. Wielki sojusz znajdował się

o włos od katastrofy.

Od południowej granicy Ipopotam aż po Porthune rozciągały się ziemie przywrócone Imperium. Pozostały tylko dwie maleńkie enklawy oporu. Uparci żołnierze Gildii pod wodzą Hawkwinda wciąż kierowali obroną Hellin Daimiel. El-Kader postanowił zignorować to miasto. Nic, co tamci mogą zrobić, nie jest w stanie odebrać ducha Zastępom.

Inaczej rzecz się miała z Wysoką Iglicę. Siedziba i serce Gildii musiały zostać zniszczone. Zakon wojowników stanowił trzon oporu na podbitych już terenach.

Jeszcze zanim pokonał Scarlotti, el-Kader wezwał z Ipopotam Mowaffaka Halięgo i powierzył Niezwyciężonym zadanie zdobycia Wysokiej Iglicy. Hali bez jednego słowa protestu przystąpił do jego realizacji, aczkolwiek wątpił, by leżało w zasięgu jego możliwości.

Mowaffak Hali był metodycznym i dokładnym przywódcą. Nie ciskał na ślepo resztek sił Niezwyciężonych przeciwko starożytnym murom Wysokiej Iglicy. Najpierw zgromadził wszystkie niezbędne informacje i zdolnych ludzi oraz tych wojowników, jakich mu przydzielono, a potem przystąpił do powolnego, systematycznego niszczenia fortecy. Zakupił wielkie maszyny oblężnicze. Zatrudnił górników. Zrobił wszystko, co należało zrobić, aby zminimalizować przewagę wroga.

Mogłoby mu się nawet udać, gdyby wydarzenia w zupełnie innej części świata nie położyły kresu oblężeniu.

El-Kader miał to nieszczęście, że daleko na północy dogonił wreszcie wycofujące się wojska Księcia Szarego Płaskowyżu. Nazwę swą bitwa wzięła od pobliskiego miasta Liston. Zaangażowane w nią siły były ogromne. Po raz pierwszy w historii Zastępów el-Kader wystawił ciężką kawalerię. Natomiast Książę Szarego Płaskowyżu zrezygnował z wykorzystania tradycyjnej siły zachodu, jaką stanowili rycerze. Kiedy el-Kader zamknął pierścień okrążenia i jasne było, że bitwa jest nieunikniona, książę kazał swoim rycerzom walczyć pieszo. Rozlokował swe wojska na zboczu kamienistego wzgórza z obu stron otoczonego lasem oraz u jego stóp; pikinierzy i rycerze zajęli miejsce między łucznikami. Łucznicy Itaskii cieszyli się zasłużoną sławą, a w tym starciu tylko ją potwierdzili. Podczas gdy pikinierzy, wspierani rozczarowanymi rycerzami, dzielnie odpierali szarżę za szarżą, niebo nad nimi coraz bardziej ciemniało od ulewy strzał.

Gdyby przebieg kampanii nie napełnił el-Kadera nadmiernym optymizmem, gdyby nie uwierzył zanadto we własne siły, gdyby posłuchał swoich doradców i poczekał kilka dni, aż na miejsce dotrą wszystkie siły Zastępów, wówczas z pewnością przemógłby północną potęgę. Liston byłoby bitwą pamiętaną jako kres oporu i dzień narodzin Drugiego Imperium El Murida.

Ale nie poczekał i nie próbował zająć wroga od tyłu. Mimo to nadal był o krok od zwycięstwa. W końcu odszedł, bowiem zabrakło mu po prostu ludzkich mas, które szłyby chętnie pod strzały przeciwnika, póki ten nie załamałby się wreszcie.

Książę Szarego Płaskowyżu miał tę przewagę, że jego żołnierze wiedzieli, iż nie ma dokąd uciekać. Zdawali sobie sprawę, że albo zwyciężą, albo zginą. I zaiste zwyciężyli – w tym sensie, że zmusili el-Kadera do wycofania się.

Doniosłość bitwy pod Liston powinna być oceniana wyłącznie w kategoriach wpływu, jaki wywarła na serca i umysły ludzkie. Liczba tych, którzy oddali życie na polu walki, była

całkowicie bez znaczenia. To, że książę po bitwie nie był w stanie robić nic innego, jak tylko lizać rany, również było bez znaczenia. To, że el-Kader nie wprowadził do bitwy wszystkich swoich sił, przeoczyli wszyscy.

Zastępy Światłości zostały odparte.

Okazało się więc, że zachodnie armie potrafią stawić czoło jeźdźcom pustyni. El Murida da się powstrzymać.

Efekt tego zwycięstwa był magiczny. Nagle jak spod ziemi wyrosli wrogowie. Niektórzy ze sprzymierzeńców el-Kadera znowu zmienili polityczne alianse. Wszędzie zaktywizował się ruch oporu.

Początkowo el-Kader próbował jakoś sobie radzić, wycofując się za Porthune, potem wezwał z południa wszystkich ludzi, których mógł wezwać. Rozkazał zarzucić swój ukochany projekt – oblężenie Wysokiej Iglicy. Oderwał część sił od Hellin Daimiel i wycofał kapitanów walczących z siłami partyzantki na południowych obszarach Pomniejszych Królestw.

Letnia kampania wydawała się skazana na porażkę. El-Kader musiał rozproszyć swe siły, przesuwając mniejsze armie tu i tam, aby dławiły niespodziewanie rozgorzałe ogniska oporu. Nie miał czasu na nabranie oddechu, na odświeżenie sił Zastępów i ciśnienie ich jedną wielką falą na północ, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że Itaskianie nie wytrzymałoby takiego ciosu.

Rojaliści bin Yousifa nie ułatwiali jego położenia. Walczyli wedle taktyki opracowanej przez samego Bicza Bożego w czasach, gdy Królestwo Pokoju było tylko snem. Teraz rojalistów były już tysiące. Przy udziale sprzymierzeńców z Gildii utrzymywali podbite prowincje w stanie ciągłego wrzenia. Ich niespodziewane rajdy stały się powszechną plagą, niepowstrzymaną niczym rozrost tkanki rakowej.

Jednak to lato przyniosło również weselsze wydarzenia. Dowodzący armiami wschodu El Nadim, także nie mający rozkazów z Al Rhemish, porzucił bezowocne oblężenie Przełęczy Savernake i skierował się na dawne prowincje Imperium rozciągające się poza górami M'Hand. Najpierw zdobył Throyes. Wymusił przysięgi lennej lojalności na wschodnich terytoriach powierniczych, takich jak Argon i Necremnos. Jego legaci ścigali całe karawany trybutów i werbowali bataliony najemników. Jego misjonarze nieśli Prawdę masom i spotykali się z życzliwym przyjęciem.

Sukcesy El Nadima zdumiewały Wiernych. Powszechnie uważano go za najslabszego z generałów, których stworzył Nassef. A teraz, zniecka, mając jedynie kilka tysięcy ludzi pochodzących z samego Hammad al Nakir, prawie bez walki zdobył terytoria bardziej rozległe niż cały zachód razem wzięty.

Niektórzy szeptali, że el Nadim odniósł takie sukcesy, ponieważ był prawdziwie wierzący, a w postępowaniu z wrogami stosował się do nauk El Murida. Byli też tacy, którzy powiadali, że kłopoty el-Kadera stanowiły karę boską za jego powiązania z grupami odpowiedzialnymi za korupcję.

El-Kader ignorował te szeptki. Sukcesy el Nadima sprawiały mu prawdziwą przyjemność. Trybutów ściąganych ze wschodu będzie można użyć na zachodzie. Dwa lata walki zostawiły po sobie moc zniszczeń. On również starał się stosować do recept El Murida – na tyle szczerze, że istotnie zapewnił sobie względy ludności podbitych prowincji.

Ostro pędził do pracy swoich wojowników i sprzymierzeńców, niszcząc wszelki opór, jaki tylko był w stanie zidentyfikować. Odzyskał kilka przyczółków na przeciwległym brzegu Porthune, jednak wróg również zdobył kilka w dole rzeki. Obie strony zachowywały izolowane punkty oporu na terytorium opanowanym przez przeciwnika. Pomniejsi sojusznicy nie wiedzieli, co to lojalność – wraz z każdą odmianą losu przysięgali wierność nowym panom.

Nadeszła wreszcie zima, pora pokoju. Stała się także czasem negocjacji, tajnych traktatów i nie tak tajnych wiarołomstw. Zawsze gdzieś w pobliżu był agent itaskiańskiego księcia, zawsze gotowy, by namawiać do podwójnej zdrady.

El-Kader wciąż nie miał żadnych rozkazów z Al Rhemish. W każdym razie żadnych, które mógłby uznać za autentyczne. Żadnych podpisanych ręką samego Adepta. Rozkazy wszakże przychodziły. Od kogoś. Ignorował je. Nie pochodziły od jego proroka.

Śmierć Nassefa stanowiła sygnał do tworzenia nowych koterii, znak zwiastujący początki instytucjonalizacji wiary. Największy, najbardziej podziwiany i heroiczny rewolucjonista zginął. Zasiedziali przyszli administratorzy dostrzegli powstałą w ten sposób próżnię – i próbowali ją wypełnić. Był to zwiastun nieuchronnego losu wszystkich rewolucji, aczkolwiek Altaf el-Kader nie potrafił tego pojąć. Widział tylko bandę dekowników, izolujących Adepta i roszczących sobie prawo do przemawiania w jego imieniu i zniekształcania czystości jego wizji. Sądził, że zna na to lekarstwo. Rozmówił się parokrotnie z Mowaffakiem Halim, człowiekiem, którego nie lubił, który jednak posiadał specyfik na tę chorobę. Hali zgodził się. Coś wszakże trzeba było zrobić.

Hali również nie darzył el-Kadera miłością, jednak w tej sprawie byli naturalnymi sojusznikami. Mowaffak zebrał kilku wytatuowanych ludzi w białych szatach i ruszył do stolicy.

To, co zastał na miejscu, przeraziło go. Adept był cieniem człowieka, wymizerowany, bez ducha. Bitwa z wewnętrznym wrogiem pożerała go żywcem.

Mowaffak spędził jedno popołudnie z mistrzem, którego kochał, potem odjechał na pustynię i zapłakał. Później przekazał Harish instrukcje i wrócił na zachód. Odtąd dwakroć częściej modlił się w intencji człowieka, którym Adept niegdyś był, w nadziei, że stanie się nim znowu.

Trzecie lato walk rozpoczęło się identycznie jak drugie, z tym że el-Kader za wszelką cenę starał się uniknąć popełnionych wcześniej błędów. Znowu zaczął od wielkich zdobyczy terytorialnych, ale jego ofensywa utknęła trzydzieści mil od Srebrnej Wstążki i miasta Itaskii. Przez cztery ponure miesiące manewrował, nawiązywał kontakt z wrogiem i odrywał się odeń. Manewrował i staczał potyczki na obszarze wielkości ledwie stu mil kwadratowych. Książę Szarego Płaskowyzu spędził zimę na przygotowaniach, ufortyfikował wszystkie trasy wiodące do Itaskii i Wielkiego Mostu niezliczonymi przeszkodami i reductami. El-Kader nie potrafił się przebić.

Był to czas najbardziej zażartych, najbardziej bezwzględnych, niszczących i pozbawionych odrobiny taktycznej wyobraźni walk w historii. Książę nie miał żadnego innego celu jak tylko opóźnienie pochodu el-Kadera. Pokonanie go stanowiłoby bowiem kres wszelkich marzeń o politycznych korzyściach, jakie mógłby wyciągnąć z zagrożenia wiszącego nad Itaskią. El-Kader natomiast starał się jak najbardziej osłabić północ.

Obaj generałowie mogli się poszczycić żywotami całkowicie niemoralnymi, wszelako książę był znacznie gorszy. Zmartwiony król rezydował w odległości mniej niż kilkunastu lig i chętnie ogłaszał kolejny pobór.

Słabą stroną el-Kadera okazała się nieumiejętność dostosowania strategii do odmienionej natury jego armii. Był pustynnym dowódcą, przyzwyczajonym do walk prowadzonych na dzikich pustkowiach. Ale Zastępy nie były już zwykłą hordą nomadnych jeźdźców, napadających jak wiatr, uderzających gdzie popadnie, a potem rozplywających się w powietrzu niczym dym. Ten sposób walki poniekąd nadal stanowił podstawowy element strategii, jednak trzeciego lata wojny ponad połowę jego oddziałów stanowili ludzie zachodu, których braku mobilności el-Kader nienawidził i których rozwiązań taktycznych nigdy nie potrafił do końca pojąć.

Rozważał nawet, czy nie cisnąć całej siły swych ziomków niczym garści plew na wiatr, który potem rozniesie ich, gdzie chce, poza pozycje Księcia Szarego Płaskowyżu, wzdłuż brzegów Srebrnej Wstążki. Ale nie zrobił tego. Nie ufał swoim sprzymierzeńcom i wciąż nawiedzało go widmo porażki pod Liston.

A więc przetrzymał jakoś te cztery miesiące wojny obliczonej na wyczerpanie przeciwnika, a jeśli sukces mierzyć kamieniami nagrobnymi, należało uznać, że wygrywał. Jednak Wielki Most zdawał się stanowić ujście bezdenne morza rezerwowych batalionów.

Niestety, utracił kontakt z siatką szpiegowską Nassefa. Wieści o sytuacji politycznej na północ od Srebrnej Wstążki ucieszyłyby jego serce. Itaskiańskie chłopstwo znajdowało się na krawędzi buntu. Szlachta domagała się odejścia Księcia Szarego Płaskowyżu. Bankierzy grozili wstrzymaniem pożyczek dla Korony. Kupcy jęczeli o przeszkodach w handlu drogą lądową. Mieszkańcy miasta byli wściekli z powodu podwyżek cen żywności spowodowanych eksportem do Hellin Daimiel i obniżoną jej podażą ze względu na pobór wieśniaków do oddziałów rezerwy.

Ojcowie i matki gorzko opłakiwali stratę synów.

Sytuacja w Itaskii była napięta niczym cięciwa łuku w chwili, gdy strzelec już ma ją zwolnić. El-Kader musiał tylko delikatnie ją trącić.

Strategia kampanii, którą ostatecznie przyjął, okazała się błędem. Pozwalając księciu narzucić styl walki, automatycznie stracił wszystkie swoje atuty i dał się wmanewrować w wojnę, której zasad nie rozumiał.

I wtedy objął go cień rzucany przez wyciągniętą lewą dłoń Losu.

Robił to, co trzeba było robić, kierował atak za atakiem na uparte wały ziemi i drewniane palisady, kiedy przypadkowa strzała trafiła jego konia w oko. Zwierzę zrzuciło go z siodła, stratowało i powlekło za sobą. Altaf el-Kader był człowiekiem upartym. Przez cztery dni leżał na łożu śmierci, póki wreszcie nie uległ urokowi Mrocznej Pani.

Jego odejście załamało ducha już i tak zrezygnowanej armii. Wszystko zaczęło się psuć. Najbardziej fanatycznych z Wiernych ogarnęło poczucie zagubienia.

Oto dotknął ich gniew Pana i ich serca przepelniła rozpacz.

Zastępy Światłości przestały być żądną krwi i podbojów hordą. Zamieniły się w wielką hałastrę zmęczonych wojną ludzi.

Po wyczerpującej podróży z samego al Rhemish dowodzenie przejął Mowaffak Hali.

Przywiózł ze sobą rozkaz mianowania podpisany ręką samego Adepta. Ale przybył na miejsce dopiero po trwającym miesiąc chaotycznym interregnum.

Zastępy zastał w nieładzie, w odwrocie, porażone brakiem dyscypliny. Kapitanowie kłócili się między sobą, miast walczyć z wrogiem.

Zwołał zebranie rady. Śmiercionośny sztylet Harish wbity w dębowy bal stanowił oneśmielający punkt centralny spotkania. Hali przemówił. Nie pozwolił na żadne pytania.

Powiedział im, że będzie srogim nadzorcą. Powiedział im, że mają zrobić wszystko, by odwrócić losy kampanii. Powiedział im, że nie będzie tolerował defetyzmu i niepowodzeń. Powiedział im, że Pan jest z nimi nawet w godzinie rozpacz, ponieważ zstąpił na Najświętszą Świątynię Mrazkim i Adepta i odnowił swe przymierze z Wiernymi. Powiedział im, żeby trzymali usta zamknięte na kłódkę, żeby słuchali i bez szemrania robili, co się im każe i dokładnie w wyznaczonej chwili. Podczas wygłaszania kolejnych instrukcji pięścił śmiercionośny sztylet i za każdym razem srebrna klinga rozbłyskiwała delikatnym błękitem.

Zdołał sprawić, by wzięli sobie jego słowa do serca.

Hali metodycznie zbadał sytuację, a potem wziął się do rozwiązywania kolejnych problemów. Systematycznie odcinał punkty północnego oporu i niszczył je. Nie był człowiekiem natchnienia jak Altaf el-Kader. Nie był geniuszem jak Nassefel Habib. Był zdecydowanym wykonać swą pracę robotnikiem. Znał swe narzędzia. Znał ich ograniczenia i własne słabe strony. Wydobył ze swoich ludzi wszystko, co mógł, a nawet więcej.

Ożywione jego wolą

Zastępy zatrzymały się, skonsolidowały i stawily wrogowi opór na linii rzeki Porthune.

Po raz kolejny nastala zima.

El Murid wreszcie odniósł zwycięstwo nad wewnętrznym demonem. To była długa, wyczerpująca walka. W sprawach świata Esmat był jego oczami i uszami. Chronił go przed nawet nieznacznie niepokojącymi wieściami.

Nawet kiedy El Murid doszedł już do siebie, Esmat wciąż przeprowadzał selekcję wieści i przekazywał jedynie informacje związane z wielkim projektem irygacyjnym, którego wcielanie w życie El Murid zarządził, zanim zamknął się w swym odosobnieniu.

Energia zupełnie opuściła Rękę Pana na Ziemi. Wiedział, że lekarz intryguje, ale nie protestował. Naprawdę miał już dosyć roli Adepta, a Esmat na dodatek pozbawił go jedynej drogi ucieczki...

Powtarzał sobie, że może przecież położyć kres ambicjom Esmata w każdej chwili, gdy tylko zechce.

Wiedział, że ruch wiele wycierpiał podczas jego nieobecności. Frakcje działające w Al Rhemish uwikłały się w tysiące intryg, próbując wcisnąć się w powstałą próżnię. Niewykluczone, że starały się nawet korumpować generałów na froncie...

Nie potrafił jednak zmusić się do okazania zainteresowania. Skoro Yasmid nie było i nie było też żadnych wieści o jej losie... Nie bardzo już miał po co żyć.

Jeden tylko człowiek wytrwał w Wierze. Jeden człowiek sprawił, że knowania i intrygi nie zniszczyły stworzonego przez niego Kościoła. Jeden człowiek zwalczał i kontrolował destrukcyjne siły. Mowaffak Hali, mistrz asasynów.

Hali nie lubił Esmata, ale ufał mu. Zapewne bardziej niż powinien. Kiedy Esmat twierdził, że Adept wciąż walczy ze swoim nałogiem, Hali brał jego słowa za dobrą monetę. Będzie

stał na straży Kościoła czekającego na powrót swego proroka.

Większość czasu spędzał w Al Rhemish, w wielkim białym namiocie, z którego często wychodzili mężczyźni o ponurych twarzach i płonącym spojrzeniu ze srebrnymi sztyletami na piersiach. Sztylety te jakoś zawsze znajdowały drogę do serc najbardziej niebezpiecznych konspiratorów.

Nawet najmniej znaczący z ludzi kulili się, gdy przypadkowo spotykali Niezwyciężonego na ulicy. Esmat zaś był skrajnie przerażony.

El Murid przebywał zamknięty w rozległych apartamentach, ukrytych głęboko w podziemiach Świątyni. Kazał Esmatowi złączyć kilkanaście stołów w komnacie, stanowiącej niegdyś refektarz. Stoły zasłane były mapami i niezgrabnymi modelami północnych terenów Hammad al Nakir. Na tej ogromnej planszy Adept symulował rekonstrukcję swego snu.

Potrafił godzinami wędrować wokół tych stołów, wpisując jakieś znaki, przedstawiając modele, budując swą wizję jutra pustyni. Gaje cytrusowe. Jeziora. Posadzone na nowo lasy.

Wszystko to stworzone dzięki wodzie, którą zachodni jeńcy sprowadzają kanałami ze śniegów Kapenrungów.

Był to właśnie ten dzień, w którym el-Kader miał wypadek. Amulet zaczął zniecka wibrować. Stał się gorący. El Murid krzyknął z bólu i zaskoczenia. Żar klejnotu tylko się wzmógł. Potem nastąpił błysk tak jasny, że Adept oślepił na czas jakiś.

W podziemiach Świątyni zagrzmiął głos:

–Micahu al Rhami, synu Sidiego, któryś został nazwany El Muridem przez mego anioła, gdzieżeś jest?

Adept padł na ziemię, chowając głowę w ramionach. Przez chwilę leżał tylko i trzął się; nie potrafił się zdobyć na nic więcej. Potem rzekł:

–Tutaj, o Panie Zastępów. – Jego głos był cichy niczym mysi pisk.

–Dlaczegoś mnie odstąpił, Wybrany przez Pana? Dlaczegoś mnie odstąpił w godzinie zwiastowania mego triumfu? Dlaczego pokładasz się tutaj w lenistwie, otaczając bogactwem narodów?

Strach przygniótł go do ziemi. Poniżał się i piszcząc niczym szczeniak u stóp okrutnego pana. Głos grzmiał dalej, rugając go za lenistwo, użalanie się nad sobą oraz pobłażanie własnym słabościom. El Murid nie potrafił wykrztusić nawet najnędrniejszego usprawiedliwienia.

–Powstań, Micahu al Rhami. Powstań i raz jeszcze stań się El Muridem. Zrzuć z siebie szatę bezbożności i raz jeszcze wygłoś kazanie do Wiernych. Oto Królestwo Pokoju znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie. Twój sługa el-Kader został zabity.

Pięć minut minęło, zanim El Murid odważył się zerknąć przez szczelinę w palcach dłoni, którymi zakrywał twarz.

Światło zniknęło. Głos zamilkł. Jego amulet powrócił do normalnego stanu. Nadgarstek wszakże dalej był wściekle czerwony. Piekł.

Powstał, rozejrzał się dookoła. Był wstrząśnięty. Kiedy zawołał po raz pierwszy, załamał mu się głos. To był znowu mysi pisk.

Potem jednak mysz zaryczała:

–Esmat!

Przerażony Esmat pojawił się w jednej chwili. Jego rozbiegane spojrzenie przeskakiwało z cienia w cień.

–Esmat, powiedz mi, jaka jest sytuacja w prowincjach.

–Panie...

–Czy widziałeś światło, Esmat? Czy słyszałeś głos?

–Słyszałem grzmot, panie. Widziałem błyskawicę.

–Słyszałeś głos Pana Grzmotów, który mówił mi, że go zawiodłem. Słyszałeś, jak powtórnie nakierował me stopy na Drogę. Powiedz mi o wszystkim, co powinienem wiedzieć, Esmat.

Lekarz zaczął mówić.

–Dziękuję – powiedział El Murid, kiedy tamten skończył. – Jest gorzej, niż sądziłem. Nic dziwnego, że Pan okazał gniew. Gdzie obecnie przebywa Mowaffak Hali?

–W tej chwili jest w mieście, panie.

–Przyprowadź go. Jest mi potrzebny, by objąć dowodzenie nad Zastępami.

Esmat był skonsternowany, jednak nie zadawał żadnych pytań. Poszedł poszukać Halię, a po drodze poinformował swych przyjaciół, co stało się w Świątyni. Niewielu było zadowolonych.

Wiść o śmierci el-Kadera dotarła do Al Rhemish jedenaście dni po wyjeździe Halię. Przedwiedza Adepta jeszcze bardziej zaalarmowała tych, którym na rękę było to, że się wycofał.

Trzy tygodnie później El Murid zmienił decyzję.

–Esmat, znajdź mi jakiegoś posłańca. Chcę, żeby przekazał el Nadimowi rozkazy udania się na zachód. Ze wschodem już skończył, a Hali mi będzie potrzebny na miejscu.

–Jak rozkażesz, panie. – Esmat wyszedł od niego blady jak śmierć. Wyglądało na to, że dni intryg i korupcji skończyły się bezpowrotnie.

El Murid jednak nie śpieszył się z odwołaniem Halię. Zagrożenie, jakie stanowiła sama perspektywa jego powrotu, wystarczyło, by zrobić czystkę wśród pasożytów Al Rhemish. Nie śpieszył się również z przeniesieniem el Nadima. Jego siły nie będą potrzebne aż do wiosny. Adept po prostu ogłosił jego nadejście. Chciał, żeby świat wiedział, iż znowu wzięł władzę w swoje ręce, że znowu jest El Muridem, że kryzys dobiegł końca.

Słowo rozchodziło się po całym obszarze Drugiego Imperium niczym zmarszczki wody na powierzchni stawu, do którego ktoś wrzucił kamień. Towarzyszył mu natychmiastowy wzrost morale. Niezliczeni wierni odnowili religijne śluby.

Okres stagnacji dobiegł końca. Ruch nabrał nowego życia. Mająca ponuro przyszłość rozwiła się niczym mgła w promieniach gorącego, młodego słońca.

Niemniej Adept nie potrafił do końca przegnać z serca widma ponurej przeszłości. Poniesione straty ciążyły mu na duszy brzemieniem, którego nie potrafił zrzucić.

Rozdział 17

PartyzanciW ciągu trzech lat Ragnarson i bin Yousif zdołali wspólnym wysiłkiem zwerbować siedem tysięcy ludzi. Oddziały pościgowe wroga nie zapuszczały się już w Kapenrungi. Wszyscy zmienili się w zahartowanych w boju weteranów, nie mających nic do stracenia.

Poprzez desygnowanych oficerów Haroun kierował operacjami polowymi na całym

obszarze Pomniejszych Królestw. Wielu z nich nigdy nawet nie widział na oczy; byli to ludzie, których do sojuszu z nim popchnęły sukcesy jego partyzantki.

Dobrze przyswoił sobie lekcję, jaką stanowiła kampania Nassefa na Hammad al Nakir. Teraz w Pomniejszych Królestwach noc należała do niego. Zaczynał wierzyć, że może jest zeń przynajmniej cień króla.

Wyznaczał cele i dobierał ludzi, którzy je zaatakują. Kierował siatką szpiegów i skrytobójców, którzy uprzykrzali życie wrogom. Kiedy szykowała się większa operacja, osobiście wyruszał w pole.

Jego partner, Ragnarson, szkolił rekrutów. Bynajmniej nie był zadowolony z przydziału. Od dwóch lat nie uczestniczył w żadnej akcji. Świat zapomniał, że on i jego jednostka Gildii w ogóle istnieją. Urabiał sobie ręce po łokcie, aby z głodnych, obszarpanych i pozbawionych ducha niedobitków przegranych bitew uczynić nieugiętych wojowników, których potem Haroun wysyłał na tereny okupowane, gdzie kryli się po lasach niczym zwykli bandyci.

–Po prostu nie czuję się już potrzebny – narzekał. – Moi ludzie również czują się bezużyteczni. Wszyscy ci, którzy się do czegoś nadają, od tak dawna nie trzymali ostrego miecza w dłoni, że chyba już zapomnieli, jak to się robi.

–Hm – chrząknął jego brat. – Żaden też cielesnego miecza nie zatopił w przeznaczonym dlań celu. – W górach kobiety były rzadsze niż złoto. Goszczące w obozie od czasu do czasu, dzięki góralce dbały o to, by złoto i srebro długo nie zagrzały miejsca w żołnierskiej kieszeni.

–Nie jesteśmy jeszcze gotowi do walnej bitwy – upierał się Haroun, podobnie jak to czynił do samego początku pobytu w górach. – Wciąż ci się wydaje, że powinniśmy walczyć niczym jeden wielki oddział. Któregoś dnia na pewno to nastąpi. Jeśli wojna potrwa dostatecznie długo. Ale jeszcze nie teraz, cholera! To byłaby nasza ostatnia bitwa.

–To ukrywanie się w krzakach i zadawanie zdradzieckich ciosów w plecy zaczyna działać mi na nerwy, zwłaszcza że nie mam okazji robić nawet tego. Donikąd nas to nie zaprowadzi. Za dziesięć lat wciąż będziemy się ukrywać w tych samych krzakach.

–W przypadku Nassefa ta taktyka się sprawdziła, powinna sprawdzić się i w naszym. Po prostu musisz zachować cierpliwość.

–Bragi urodził się niecierpliwym – rzekł Haaken. – Matka powiedziała mi, że urodził się miesiąc za wcześnie.

–Nietrudno mi to sobie wyobrazić. Cóż, zastanawiałem się nad tym problemem. Być może zobaczycie bój szybciej, niż byście pragnęli.

Ragnarson uniósł głowę.

–Tak? – Jego brat i Smokbójca również zdawali się być zainteresowani. Beloul i el Senoussi dalej wyglądali na znudzonych.

–Zebraliśmy się tutaj, ponieważ otrzymałem właśnie wieści z Al Rhemish. El Murida odwiedził jego anioł.

Ragnarson zadrzał. Stawał się niespokojny za każdym razem, kiedy tylko rysowała się możliwość, iż za religijnym bełkotem El Murida stoi coś więcej niż tylko czysta hochsztaplerka.

–I co dobrego miałoby stąd dla nas wynikać?

–Nic. Moi szpiedzy donoszą, że El Murid wyszedł ze swego odosobnienia, zionąc ogniem. Gotów jest dalej ciągnąć całą zabawę. Ma zamiar odwołać Haliego i zastąpić go el Nadimem, jak również pchnąć na zachód całą wschodnią armię.

–Brzmi ponuro.

–Gorzej niż ponuro. To oznacza zupełnie nową wojnę. Niektórzy z nas sądzili, że zawróciliśmy już falę przyływu. Ale oszukiwaliśmy samych siebie. Mój przyjaciel, itaskiański minister, jest przerażony nie na żarty. Książę Szarego Płaskowyzu nie złamał jeszcze ducha Zastępów. Po prostu roztrwonił ludzi i zasoby. Alianci Itaskii zaczynają przebąkiwać coś o separatystycznym pokoju. Każda większa porażka może oznaczać koniec sojuszu. A Itaskia sama sobie nie poradzi. Ragnarson zmarszczył brwi i pokręcił głową.

–Rzekomo już ich mieliśmy, kiedy załatwiliśmy Karima i Nassefa. A po śmierci el-Kadera rzecz miała być pewna. – Kwaśno popatrzył na Harouna. – Teraz ich miejsce zajęli inni koleżkowie, Mowaffak Hali i el Nadim, a...

–Wyliminuję ich.

–Wiedziałem, że to właśnie powiesz. A potem co?

–O co ci chodzi?

–Chodzi mi o to, że mamy do czynienia z jednym z tych smoków, którym głowy odrastają równie szybko, jak się je odrąbuje. Masz zamiar mi powiedzieć, że schwytam ich na dobre za karki, kiedy pozbędziemy się Haliego i el Nadima. A ja ci powiadam, że to jest kupa końskiego gówna. To będzie po prostu kolejny krok; jak było z el-Kaderem, tak będzie z Halim i el Nadimem.

–Przeceniasz ich. Nie są aż tak dobrzy. Mieli po prostu szczęście i kiepskiego przeciwnika.

–Ale Nassef sam ich wybrał. Z wyjątkiem Haliego. Kogo chcesz oszukać, Haroun? Znasz swoich własnych ludzi i znasz zachód. Zastępy zawsze miały gorszą broń i były słabiej wyszkolone, a wielokrotnie również słabsze liczebnie. Sprzyja im coś więcej niż tylko zwykłe

szczęście. Jedynym człowiekiem, który mógłby sobie z nimi poradzić, jest Hawkwind, a nikt nie da mu dość ludzi, by wyszło z tego coś konkretnego.

Haroun wzruszył ramionami.

–Może masz rację. Wciąż jednak... Zresztą nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Zostawiam ci dowództwo. Wysyłam Szydercę za el Nadimem. Shadek, Beloul i ja musimy zająć się własnymi sprawami.

–Co?

–Beloul i Shadek wymyślili pewien plan. W chwili obecnej nic więcej ci powiedzieć nie mogę. Proszę cię jedynie, byś nie wierzył we wszystko, co usłyszysz w ciągu kilku następnych miesięcy.

–A co ja mam tu niby robić? Przez całą zimę siedzieć i zbijać bąki?

–Ktoś musi się zajmować moją siatką szpiegowską. Ktoś musi kierować operacjami partyzanckimi. Ktoś musi dowodzić. Nie przejmuj się tak. Wierzę w ciebie. Poradzisz sobie. Haroun rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

–Nie dawaj wiary żadnym dziwnym opowieściom, jakie usłyszysz o mnie albo Beloulu

czy Shadeku.

Niedoszły król pograżył się w marzeniach o szczęśliwszych czasach, które miały kiedyś nadejść. Czasami musiał to robić. Czasami musiał przypominać sobie, że te ponure dni kiedyś się skończą. Niewiele szczęścia przyniosła mu ta walka.

Zniknął pewnej zimowej nocy, zabierając ze sobą Beloula, el Senoussiego i kilkunastu najwierniejszych zwolenników. Nikt nie miał pojęcia, jakie były jego zamiary.

Tak właśnie zwykł działać. Podobnie jak ongiś jego arcywróg Nassef, nie potrafił z nikim dzielić swoich planów. Zresztą Ragnarson obiecał, że na ile będzie to możliwe, sam poprowadzi jego wojnę.

Szyderca odszedł nieco później, jeszcze tego samego tygodnia, prowadząc parchatego osiołka obładowanego zupełnie bezsensownymi bagażami. Przez całe sześć miesięcy, jak Pomniejsze Królestwa długie i szerokie, ludzie Haroun ryzykowali życie, aby zgromadzić tę kolekcję śmieci.

–To jest jedyny facet, za którym naprawdę nie będę tęsknił – zauważył Smokbójca. – Zabiłbym go własnymi rękami, gdyby nie znajdował się pod ochroną Harouna. Zawsze musi oszukiwać i kraść.

–On ma swoje dobre strony – Ragnarson raczej lubił grubasa, który potrafił być zabawny. Trzeba było tylko mieć na tyle zdrowego rozsądku, żeby nawet przez moment mu nie ufać.

–Co teraz zrobimy? – zapytał Smokbójca. – Wszystko jest teraz nasze. Możemy spróbować własnych pomysłów.

–Siedzimy na dupie. Czekamy.

–Masz zamiar dalej prowadzić to w taki sposób jak on?

–Jak na razie. Ponieważ on ma rację. Jeśli spróbujemy czegoś innego, damy się pozabijać.

–Jasna cholera! Jesteśmy żołnierzami Gildii czy bandytami?

–Po trochu jednymi i drugimi. Nie przypominam sobie żadnego wpisu do regulaminu Gildii, który by mówił, że nie powinniśmy postępować w taki właśnie sposób, Reskird. Pamiętasz nasze główne zadanie?

–Utrzymać się przy życiu. W porządku.

Przez dwa miesiące Ragnarson kierował machiną organizacji Harouna, w której jego zbudowana na modłę Gildii piechota stanowiła tylko mało ważny element i której działania toczyły się siłą bezwładu. Różne oddziały partyzanckie dokonywały przypadkowych z pozoru wypadów na wysunięte posterunki wroga i terroryzowały mieszkańców sprzyjających El Muridowi. Wziąwszy sobie słowa Harouna do serca, Bragi próbował ignorować docierające doń pogłoski, wedle których bin Yousif i Beloul zostali zabici.

Historie te były zaiste straszliwe. Wedle niektórych el Senoussi zdradził swego króla i dobił targu z synem El Murida, Sidim.

–Coraz trudniej jest wymyślać coś do roboty tym chłopakom – powiedział Smokbójca, mając na myśli rojalistów. – Gotowi są w każdej chwili zrobić coś głupiego. Myślisz, że el Senoussi naprawdę rozgrywał podwójną grę?

–Nic, co ma związek z polityką, już nie potrafi mnie zaskoczyć. Ale nigdy nie uważałem Shadeka za na tyle sprytnego, by potrafił wypracować równie skomplikowany plan.

–Jak mamy przekonać żołnierzy?

–Nawet nie będziemy próbować. El Murid i Sidi również mają swoich szpiegów.

Chcemy, aby uwierzyli, że nasi towarzysze rzeczywiście zginęli.

Haaken wsadził głowę do pomieszczenia stanowiącego kwaterę główną brata.

–Hali się ruszył, Bragi. Posłaniec powiada, że dotarły do niego pogłoski o Harounie i postanowił wcześniej wracać do domu. Chyba zrozumiał, że to jest jakaś sztuczka.

–Cholera! Ale on jest głównym gwarantem, moralnego i politycznego bezpieczeństwa Adepta, nieprawdaż? Masz coś jeszcze? Wiesz na przykład, jaką drogą będzie wracał?

–Nie. Nie myślisz chyba, że powinniśmy spróbować go zatrzymać?

–Oczywiście, cholera, że tak myślę. To jest dokładnie to, czego nam trzeba.

Rozprostować trochę stare kości.

–Ale...

–To jest właśnie to, na co czekaliśmy. Nie rozumiesz? To jest szansa, żeby coś wreszcie zrobić.

–Jeśli masz zamiar coś zrobić, to lepiej wyruszaj jak najszybciej. Posłaniec tylko o kilka dni wyprzedza tamtych. Hali nie leni się, kiedy postanowi gdzieś się udać.

–Dajcie mapy. Zobaczymy, jaka jest najkrótsza droga do Hammad al Nakir. Reskird, idź i powiedz ludziom, żeby się przygotowali do wymarszu. Żelazne racje na dwa tygodnie, ale poza tym żadnego ciężkiego sprzętu.

Haaken rozłożył mapy. Bragi pochylił się nad nimi.

–Widzę tu tylko trzy trasy, które należy wziąć pod uwagę. Do dwu jesteśmy w stanie dotrzeć przed nim, ale to będzie prawdziwy wyścig.

–Wyślij chłopców Harouna na tę najszybszą trasę. Oni są przyzwyczajeni do długich, wyczerpujących pościgów.

–Mogą się nie zgodzić.

–Spróbuj. Rzekomo ty masz tu dowodzić.

–Kto ich poprowadzi? Komu ufasz?

–Gdybym ja miał decydować, powiedziałbym: Metillah Amin.

–W porządku. Powiedz mu, żeby jeszcze dzisiaj ruszali. My wymaszerujemy jutro.

–Dziś wieczorem pewnie spadnie śnieg.

–Nic na to nie poradzę. Mam zamiar Reskirdowi dać wschodnią drogę. Ty i ja zajmiemy się środkową.

–To jest od cholery maszerowania. Pozwól mi wziąć wschodnią trasę.

–Mowy nie ma. – Bragi uśmiechnął się.

Przez cały dzień marszu pojawiali się tubylcy i przyglądali im. Żołnierze Gildii chowali głowy i brnęli dalej. Żaden z obserwatorów nie odezwał się ani słowem. Bardzo niewiele się uśmiechało. Od czasu do czasu z młodzieńczej dłoni wylatywała śnieżna piguła.

–Haaken, Reskird, lepiej bądźmy mili dla tych ludzi.

–Nie są szczególnie przyjaźnie nastawieni, co? – zapytał Smokbójca. – Zgaduję, że zaraz powiesz, iż nie są po naszej stronie.

–Zgaduję, że można by tak rzec.

Kiedy rozstali się z oddziałem Smokbójcy i jego trzema setkami ludzi, zaczął lekko prószyć śnieg. Koło południa następnego dnia Bragi i jego trzystu żołnierzy musiało już

przedzierać się przez zadymkę.

–Prawie jak w domu – warknął Haaken.

–To jest ta część dzieciństwa, za którą wcale nie tęsknię – odparł Bragi. – Nigdy jeszcze w tej części świata nie widziałem tak ostrej zimy.

–Ani nikt inny. Nic więc dziwnego, że trafiliśmy w sam jej środek. Jesteśmy pozbawieni piątej klepki, wiesz o tym?

–Lepiej, żebyśmy jak najszybciej dotarli na miejsce.

–A potem co? Mamy siedzieć na dupie i czekać, po to tylko, żeby się przekonać, że Hali doznał przebłysku inteligencji i zaszył się w jakiejś dziurze przy ciepłym ogniu?

–Miło cię widzieć w optymistycznym nastroju, Haaken.

–Optymistycznym nastroju?

–Zawsze potrafię odgadnąć. Więcej gadasz. I nie przestajesz narzekać.

Nie trafiliby na swoją drogę, gdyby nie miasto i żołnierz, który je dobrze znał.

–To jest to Arno, kapitanie – powiedział. – Dokładnie to miejsce, gdzie powinniśmy być.

–Miejsce, gdzie staniemy się wrogiem publicznym numer jeden – powiedział Bragi. I zaiste tak się właśnie stało, już choćby dlatego, że zmusili mieszkańców do odstąpienia im kwater na czas oczekiwania. Arno liczyło niemalże tysiąc ludzi i ani jeden nie cieszył się z przybycia Gildii. To nie było miłe uczucie.

Bragi płacił za wszystko, za co mógł, i zmuszał swych ludzi, by przestrzegali protokołu Gildii. Nie na wiele się to zdało.

Minęły cztery dni. Mieszkańców miasteczka ogarniała coraz większa irytacja. Podobnie jak pospólstwo na całym świecie, chcieli tylko, żeby zostawiono ich w spokoju.

–Jeźdźcy się zbliżają – doniósł piątego popołudnia zmarznięty i wycieńczony zwiadowca.

– Cztery lub pięć setek. Wyglądają na Niezwycięzonych.

Haaken popatrzył groźnie na brata.

–Kolejna niezła kabała, w którą nas wpakowałem, co? – zapytał Bragi. – Przekaż słowo. I powiedz mieszkańcom, żeby się pochowali po piwnicach.

Arno nie dysponowało murami obronnymi. Cóż za miejsce na śmierć, myślał Bragi, śpiesząc do kościoła. Z jego dzwonnicy rozciągał się znakomity widok na okolicę.

Promienie popołudniowego słońca rozpały bielą śniegowe pola. Oślonił dłonią oczy. Niezwycięzonych nie było łatwo dojrzeć. Stapiali się z tłem. Szli pieszo, wiodąc za sobą zwierzęta.

Zobaczył człowieka odzianego w całości na czarno. Ciekawe. Czerń nie była szczególnie popularna wśród wyznawców El Murida.

–Jak mam to rozegrać? – zastanawiał się na głos. – Przecież nie pozwolą nam wciągnąć się w pułapkę kolejnego Alperin.

Któryś z jeźdźców wysforował się naprzód. Bragi pognał po schodach.

–Haaken! Wysłali kogoś na zwiady. Każ paru ludziom udawać mieszkańców miasta. Niech mu powiedzą, że wszystko jest cudownie.

Siedzący na dachu miasteczkowej gospody Haaken dał mu znak, że zrozumiał. Kilka chwil później dwaj ludzie wyszli na drogę.

Wtedy jednak Ragnarson był już znowu na dzwonnicy i zastanawiał się, czy przypadkiem nie powinien zrezygnować z walki. Czuł dziwną pustkę. Coś było nie tak. Cała sprawa nie

rokowała szczególnie pomyślnie.

Zerwał się północny wiatr. Bragi zadrżał. Ta zima stawała się naprawdę paskudna.

Ludzie

w tej części świata nie mieli pojęcia, jak radzić sobie z mrozem i śniegiem. Dotyczyło to większości jego ludzi.

Nie potrafił jakoś sobie wyobrazić, by przeżyli długi odwrót. Przynajmniej nie w sytuacji, gdyby byli ścigani przez wrogów i musieli nieść rannych. Ale Hali również nie nawykł do takiej pogody – przypomniał sobie. Jego ludziom zima da się we znaki jeszcze bardziej dotkliwie.

Walka będzie z pewnością zażarta. Posiadanie stosownego schronienia stanowiło poważną przewagę. Przegranego czekało śmiertelne zimno – w sensie dosłownym.

Obserwował, jak kilku Niezwycięzonych gromadzi się wokół powracającego zwiadowcy. Dołączył do nich człowiek w czerni, gestykulując żywiolowo.

Spotkanie skończyło się. Niezwyciężeni przygotowali broń i rozproszyli się, podchodząc do miasta.

–Tyle jeśli chodzi o świetny pomysł – warknął Bragi. Pomknął w dół po schodach. – Zbliżają się w pełnej gotowości, Haaken! – krzyknął. Rozejrzał się po obu stronach ulicy, gdzie jego ludzie czekali ze strzałami nasadzonymi na cięciwy. – Przeklęta pogoda. Może jednak nie zdecydują się na walkę.

Znowu wdrapał się po schodach dzwonnicy, sapiąc i dysząc.

–To się musi wreszcie skończyć – parsknął. Niezwyciężeni weszli w pierwsze zabudowania. Zachowywali dalece posuniętą ostrożność. Każdy dzierżył łuk lub kuszę.

–Może po zapadnięciu zmroku powinienem spróbować odwrotu – mamrotał Bragi.

Zaczął się. I od początku wyglądało źle. Niezwyciężeni byli ostrożni, zdeterminowani i systematyczni jak ich dowódca. Oczyszczali budynek po budynku.

Hali nie wdawał się w żadne poważniejsze starcia, chodziło mu tylko o zdobycie ciepłych kwater dla swych żołnierzy. Jego ludzie nie przeszkadzali żołnierzom Bragiemu w ucieczce z budynku, którego ci nie potrafili utrzymać.

Już trzecia część miasta była w rękach Halięgo, kiedy Haaken wdrapał się na dzwonnice.

–Wychodzi na to, że tę bitwę przegraliśmy.

–Czyżby?

–Mamy problem.

–Oprócz tego, że zanosi się na zimną noc?

–Używają czarów.

–Nie widziałem żadnego... Nie mogą. To są ludzie El Murida.

–Tak? No to idź im to powiedz. Ten w czarnym pokazuje się wszędzie tam, gdzie nam idzie w miarę dobrze.

–Hm. Cóż. Przygotuj rannych. Po zmroku wycofujemy się.

Buciorzy Haakena załomotały po schodach. Bragi spojrzął na drogę. Kilku Niezwycięzonych znajdowało się w zasięgu. Wypuścił kolejne strzały. Powstrzymały na jakiś czas ich atak.

Pojawił się człowiek w czerni. Bragi posłał mu strzałę, która jednak nie dosięgła celu.

Tamten obrócił się powoli. Jego spojrzenie wspięło się po dzwonnicy kościoła. Uniósł lewą dłoń, wyprostował palec. Otoczyła go błękitna poświata.

Wewnątrz dzwonnicy zahuczał głos potwora. Leżąc już płasko na podłodze, Bragi zakrył uszy dłońmi. Nie na wiele się to przydało.

Jednak po chwili głos ucichł.

Na linii wzroku człowieka w czerni ćwierćcalowa warstwa niebieskiej mgiełki pokrywała wszystkie przedmioty. Czary! Bragi pomyślał:

„Haaken, miałeś rację!”

Mgła rozwiała się. Przyjrzał się drewnu, na którym leżał. Przybrało dziwaczny szary kolor. Kiedy go dotknął, rozsypało się pod palcami.

Obejrzał dokładnie swój łuk. Wydawał się nienaruszony. Wyjrzał na zewnątrz. Czarodziej stał zwrócony twarzą w kierunku gospody, znowu wyciągał dłoń.

–Ty sukinsynu, sam się o to prosiłeś.

W momencie największego napięcia cięciwy łuk lekko zaskrzypiał. Strzała nie wyleciała, jak powinna. Jednak przebiła łokieć tamtego.

–Co tam, cholera z celnością! W życiu jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak wył i się ciskał.

Kilku Niezwycięzonych zawlekło człowieka do zdobytego domu. Jednak jego nieobecność nie wpłynęła na wynik starcia. Rugowanie żołnierzy Gildii trwało dalej.

Bragi o mały włos nie czekał zbyt długo. Musiał wywalczyć sobie drogę wyjścia z dzwonnicy. Jedyne komentarz Haakena brzmiał:

–Musimy przestać się tu wygłupiać, Bragi. Zbyt wielu ludzi będzie rannych, żebyśmy byli w stanie odprowadzić ich z powrotem do obozu.

–Wyszabruj wszystkie ciepłe rzeczy i koce, jakie tylko zdołasz. I narzędzia, którymi wykopujemy sobie schronienia. Znajdź też jakieś zwierzęta pociągowe i wozy...

–Już o wszystko zadbałem.

–Nie miałeś pozwolenia na plądrowanie.

Haaken wzruszył ramionami.

–Będę się o to martwił, gdy stanę przed sądem wojennym. Jaka różnica? Ci ludzie i tak będą nas nienawidzić, niezależnie od wszystkiego. O czym zresztą też musiałeś pomyśleć, w przeciwnym razie nie wydałbyś mi takiego rozkazu.

–Dostałem tego czarodzieja.

–Shaghuna.

–Co?

–Shaghuna. Tak nazywają tutaj żołnierzy-czarodziei.

–To tym ma niby być Haroun? W każdym razie co ten tutaj robi? Akurat właśnie z Halim?

Haaken wzruszył ramionami.

–Z pewnością niedługo cholernie się wścieknie. Kto jest w dobrej formie? Musimy przekazać Reskirdowi i Aminowi wiadomość o tym, co się tutaj dzieje.

–Zaraz po tym jak Hali się pokazał, wysłałem Chotty'ego i Uthe Haasa.

–Stajesz się, cholera, zbyt sprawny.

Podszedł do nich jakiś żołnierz.

–Kapitanie, przenoszą się do tego kwartału.

Ragnarson wycofał się zaraz po zachodzie słońca. Żołnierze Gildii maszerowali bez ducha, pogrążeni w ponurych nastrojach, słabi. Zimno nadżerało ich wolę. Bragi musiał im przypominać, że przecież są Gildią.

W nocy umarło kilku najciężej rannych. Rankiem kompania zatrzymała się, by ich pogrzebać. Posłaniec od Metillaha Amina dogonił ich, kiedy rąbali zamrażającą ziemię.

Amin dowiedział się, że Hali jedzie środkową trasą. Posłaniec niósł im spóźnione ostrzeżenie i wieści, że Amin jest w drodze, spiesząc z pomocą.

–Wracam do interesu – oznajmił Bragi. – Haaken, weź kilku ludzi do tego lasu i zacznij budować schrony.

–Nie mówisz poważnie. – Na twarzy Haakena zastygł grymas niedowierzania. – Jednak mówisz poważnie.

–Cholernie poważnie. I najpierw rozpal jakieś ogniska.

W towarzystwie paru ludzi Haaken odszedł, narzekając.

Rozczarowanie było jednomyślne. Przez moment Bragi obawiał się buntu.

Jednak wpojona dyscyplina Gildii wzięła górę. Dokończył rozmowę z posłańcem.

Dołączył do swych ludzi przy pospiesznie rozpalonych ogniskach. Tłoczyli się jak najbliżej płomieni, zmieniając przy budowie szałasów z gałęzi i ubitego śniegu. Gdy poczuł, że zdrowo przypiekał się z każdej strony, powstał i pobrnął przez śnieg w kierunku Arno, aby sprawdzić, co robi Hali.

Dwukrotnie musiał się chować przed patrolami Niezwycięzonych. Nie były szczególnie silne, zaś zlecone zadanie wyraźnie nie napełniało żołnierzy entuzjazmem. Pilnowany perymetr też nie był bardzo rozległy.

Hali nie robił nic innego, tylko próbował się rozgrzać. Wydawał się zdecydowany zaczekać, póki paroksyzm zimna nie minie. Ani jego ludzie, ani zwierzęta nie byli zdolni przez dłuższy czas do znoszenia takiej pogody.

Bragi znalazł sobie stóg siana, by przeczekać tę noc. Kiedy na koniec powrócił do obozu, zastał w nim Amina i jego żołnierzy skupionych wokół ognisk i wyglądających całkiem żałośnie. Zdecydował dać im dzień odpoczynku.

Tej nocy temperatura nie spadła, zaś następnego dnia zrobiło się nieco cieplej. Z każdą chwilą chłód ustępował, póki wreszcie śnieg nie zaczął topnieć. Podczas marszu na Arno buty zapadały się w rozmiękłą ziemię.

–Wychodzi na to, że mróz mamy już za sobą – zauważył Bragi.

–No – odparł Haaken. – Nasz kumpel, Hali, pewnie będzie gotów ruszać.

Hali właśnie się przygotowywał, ale nie do wyruszenia. Miał przecież swojego shaghuna, a shaghun potrafił patrzeć dalej, niż sięgał wzrok zwykłych śmiertelników. Niezwyciężeni gotowali im małą niespodziankę.

Bragi wmaszerował prosto w przygotowywaną właśnie zasadzkę. Bój rozgorzał straszny. Ludzie Amina byli w krwiożerczych nastrojach. Żołnierze Halięgo, wspierani przez shaghuna, wybili im z głowy chęć do walki. Do zmierzchu zdołali zdobyć tylko kilka domów, Ragnarson zaś musiał odesłać cały pochód rannych do obozu w lesie.

–To jest czysta głupota, Bragi – oznajmił Haaken. – Przypomina mi się, jak ojciec wplątał się w tę walkę z Olegiem Sorensonem.

–Co? – zapytał Amin.

–Mój ojciec i pewien człowiek wdali się pewnego razu w walkę – wyjaśnił Bragi. – Obaj byli zbyt dumni, aby zrezygnować, a żaden nie był dość silny, by powalić drugiego. Prawie zatłukli się na śmierć. Przez tydzień żaden nie mógł wstać z łóżka. A kiedy już to nastąpiło, wszystko potoczyło się po dawnemu. Natychmiast znowu wzięli się do bitki.

–Ten shaghun musi zginąć – oznajmił Amin. – W przeciwnym razie zjedzą nas żywcem. Jeśli jednak jego nie będzie, my ich zjemy. To takie proste.

–A więc idź i zrób z nim coś.

Amin uśmiechnął się.

–Szydzisz ze mnie. W porządku. Pożycz mi swoich trzech najlepszych łuczników.

Bragi spojrzał na niego.

–Zrób jak mówi, Haaken.

–Jesteś pewien?

–On jest. Daj mu szansę.

–Cokolwiek każesz. – Haaken poszedł szukać ludzi.

–Wciąż mnie sprawdzasz? – zapytał Amin.

–Zawsze. Sam wiesz.

Amin był jedną z tych osobliwości, jakie rodzi każda wojna – żołnierzem o schizofrenicznej lojalności i ideałach. Miał dwadzieścia siedem lat. Walczył od dziesięciu. Przez pierwsze siedem służył u El Murida. Był jednym z dowódców kohorty u Bicza Bożego.

Rozczarowała go postawa kolegów oficerów podczas wstępnej inwazji na zachód. Zdenerwowały kpiny, jakie sobie robili z prawa El Murida. Nie potrafił nadto dostrzec żadnych oznak, by samego El Murida choć trochę to obchodziło. Kiedy Nassef zginął i el-Kader objął

dowódzenie, Amin oczekiwał po nim wyłącznie bezwzględnego łupienia podbitych prowincji. Zdezercerował.

Czas pokazał, że się mylił, jednak wówczas było już za późno dla Metillaha Amina. Poszedł w góry i przysiągł wierność Królowi Bez Tronu. Jego imię trafiło na listy proskrypcyjne Harish.

Metillah Amin był nieszczęsnym człowiekiem, a czary goryczy dopełniał fakt, że nie znał innego życia prócz wojaczki. W historii Wojen El Murida nie odegrał żadnej szczególnie istotnej roli; jego los można by uznać za symbol żywotów tych wszystkich młodych ludzi, dla których ten konflikt był katem, nie zaś ojcem marzeń.

Bragi i jego brat obserwowali, jak oddział Amina znika w mroku.

–Ten człowiek szuka śmierci – zauważył Haaken.

–Dla niego jest to jedyna droga – odparł Bragi. – Ale ma również w sobie determinację wojownika. Po prostu jakoś nie potrafi ściągnąć na siebie tej śmierci. Musi sobie na nią zasłużyć. Nie spuszcza go z oka. Jeśli mu się powiedzie, uderzymy na nich wszystkimi siłami.

Godzinę później Haaken wrócił. Przykucnął i wyciągnął dłonie ku płomieniowi ogniska. Bragi usłyszał szcęk broni.

–I jak?

–Udało mu się znaleźć śmierć. Ale wykonał robotę. Shaghuna już nie ma.

–Martwy?

–Jak głaz. Cokolwiek miałyby z tego dobrego wyniknąć. Bezpośredni pożytek był niewielki. Ludzie Haliego byli uparci i zdesperowani.

Uthe Haas, posłaniec Haakena, wrócił do Smokbójcy następnego ranka. Doniósł, że Reskird jest już w drodze.

–Ha! – powiedział Bragi. – Teraz ich mamy. – Wysłał kolejnego człowieka, żeby kazał Smokbójcy stanąć w poprzek drogi w pobliżu leśnego obozu.

Potem stopniowo okrążał Arno, przesuwając swe siły na północ dostatecznie niezgrabnie, by mieć pewność, że manewr zostanie zauważony. Kiedy następnego ranka przeprowadził swój „zaskakujący” atak, Hali przebił się na południe, pędząc drogą w kierunku Hammad al Nakir i iluzorycznego bezpieczeństwa.

Było ciepło. Śnieg prawie zniknął z pól. Ziemia była grząska. Pościg poruszał się wolno. Ragnarson i jego piechurzy zatrzymywali się co kilka kroków, aby otrząsać błoto z butów. Za każdym razem, gdy któryś z żołnierzy uniósł nogę, rozlegało się ciche „kląsk!”, kiedy błoto zasklepiało otwór po bucie.

Rojaliści wymieniali z wrogami okazjonalne strzały, jednak walki było niewiele. Z góry droga wyglądała niczym pozbawiony ładu szlak mrówek. Kolumny rozciągnęły się jeszcze bardziej.

Po prawej stronie Bragi odkrył łąkę kamienistego gruntu. Poprowadził swoich ludzi w tamtą

stronę i zaczął doganiać Haliego. Potem jednak droga zaprowadziła go zniechęcająco do wąskiego, pokrytego lodem strumienia. Zanim zdążył go pokonać, Hali walczył już z Reskirdem i rojalistami. Jego ludzie pobiegli przez błoto i zamknęli pierścień okrążenia.

Teraz żołnierze Haliego znajdowali się w sytuacji niekorzystnej, jeśli wziąć pod uwagę łuki Gildii. Walka była krwawa, ale nie trwała długo. Tylko kilkunastu Niezwyciężonym udało się uciec.

Ragnarson brodził w towarzystwie rojalistów po polu bitwy, szukając ciała Haliego. Noc zapadła, a on wciąż nie potrafił określić, czy gra warta była świeczki. Przesłuchania jeńców następnego ranka również niczego nie wykazały.

–Ach, cholera, Haaken. Wszystko na nic.

–Może. A może zginął w miasteczku.

Przez wiele następnych miesięcy Bragi nie miał się dowiedzieć. Kiedy przyszły ostateczne wieści, znajdował się już z powrotem w Kapenrungach, zajęty zupełnie innymi sprawami, i los Haliego był mu całkowicie obojętny.

Rozdział 18

Skrytobójcy Haroun ukląkł na brzegu strumienia i napił się wody zaczerpniętej w dłonie. Drżał w chłodnym górskim wietrze. Beloul powiedział:

–Panie, nie podoba mi się ta sprawa.

–Jest ryzykowna – przyznał Haroun. – Beloul?

–Panie?

–Dobrze strzeż mych pleców.

–Sądziś, że Shadek mógłby...?

–Nie mam pojęcia.

–Ale...

–W polityce nigdy nie wiadomo. Przez cały czas karmi mnie kolejnymi informacjami, ale dalej nie jestem pewien. Pytanie brzmi, czy z Sidim nie postępuje tak samo?

Beloul uśmiechnął się słabo.

–Shadek jest moim przyjacielem, panie. Ale nawet ja nie potrafię nic powiedzieć na pewno. Któż może znać najtajniejsze ambicje drzemiące w sercu człowieka?

–Dokładnie. A w tym przypadku nic innego się nie liczy.

Shadek jest w takiej sytuacji, że może swobodnie wybierać stronę, po której się opowie. Dokładnie w ten sposób ja bym się zachował. Podziwiam go za to. Nie sądziłem, że starczy mu wyobraźni.

Beloul uśmiechnął się znowu.

–Teraz zastanawiam się, czy kiedykolwiek mu zaufam, zakładając oczywiście, że opowie się po naszej stronie. Nie powinniśmy marnować czasu na próżne rozważania, panie. Trzeba po prostu zachować czujność. Dowiemy się wszystkiego, kiedy nadejdzie chwila, gdy już nie będzie odwrotu.

–Może. Czy sądzisz, że może się okazać dość głupi, by zaufać wdzięczności Sidiego?

–Z pewnością zadbałby o jakiś rodzaj zabezpieczenia, panie.

–Mhm. Też tak sądzę.

Następnego dnia, kiedy znajdowali się jeszcze głębiej w górach, Haroun poinformował swego towarzysza:

–Przez kilka dni mnie nie będzie. Rozbij tutaj obóz. Poczekaś na mnie. – Ton jego głosu ucinął wszelkie pytania. Na stronie jednak rzekł do Beloula: – Uważaj, mój przyjacielu. Większość tych ludzi wybrał Shadek.

–Wiem, panie. Wiem.

Śnieg w Kapenrungach zalegał grubą warstwą. Haroun przekonał się, że przeprawa nie będzie łatwa. Przez większość czasu droga prowadziła pod górę, co w niczym nie ułatwiało sytuacji.

Chatę zlokalizował, kierując się głównie wonią dymu – wspomnienia czy rzeźba terenu nie na wiele mogły się zdać. Była równie biała jak reszta krajobrazu i praktycznie rzecz biorąc, niewidzialna. Pies zawył, zdenerwowany jego obecnością. Haroun ostrożnie podszedł bliżej.

Minęły miesiące, odkąd był tu po raz ostatni. Wszystko mogło się wydarzyć. Sięgnął poza siebie wyćwiczonymi zmysłami shaghuna, nie wyczuł żadnego zła. Ale Harish chyba nie mogliby sobie życzyć lepszego miejsca na zasadzkę.

Drzwi ze skrzypieniem otworzyły się do wewnątrz. Przez chwilę trwał wpatrzony w prostokąt ciemności, starając się wyczuć pułapkę.

–Wejdz wreszcie, do cholery! Pozwalasz, by całe ciepło uciekło na zewnątrz. – W drzwiach pojawiła się odsłonięta twarz starej, naprawdę starej kobiety. Natychmiast wszedł do środka, zatrzasnął drzwi. Dłoń jednak wciąż opierał na rękojeści miecza.

–Nic. Żadnego niebezpieczeństwa.

Przytupnęła parę razy, otrzepując śnieg z butów. Cienka warstwa wciąż do nich przylegała. Po chwili roztopiło ją ciepło.

Po szczypiącym mrozie wewnątrz chaty wydawało się przeraźliwie gorące. Szybko

zrzucał z siebie kolejne warstwy odzienia, czując ogarniającą go lekką słabość.

–Co z nią? – zapytał.

–Miewa się dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że musi tkwić tu uwięziona, sto mil od miejsca, o którym chyba tylko jeden Pan pamięta. – W ochryplym, starczym głosie kobiety nie było śladu szacunku. – Teraz śpi.

Haroun popatrzył na nią ze złością.

Była matką pierwszej żony jego stryja Ruada, najbliższą mu z osób, które wrogowie zostawili przy życiu. Wyglądała jak obraz Śmierci namalowany przez pesymistycznego artystę. Pomarszczona, koścista, bezzębna, odziana na czarno. I podła niczym wąż. Przyszło mu do głowy, że do złudzenia przypomina wiedźmy strzegące bram Piekła z kraju Bragięgo. Zaśmiał się cicho.

–Jesteś naprawdę uosobieniem słodczy, Fatim.

Cień uśmiechu zatańczył na jej bezkrwistych wargach.

–Skoroś już tu dotarł, może się na coś przydasz. Dorzuć trochę drew do ognia. Muszę dziś w nocy ugotować coś specjalnego.

–W taki sposób mówisz do swojego króla?

–Króla? Króla czego niby? – Parsknęła szyderczo. Na stryszku pisnął jakiś głos.

–Nikt. Tylko twój wuj, Haroun – odparła stara.

Obca, szczupła i smągła twarz zerknęła z zalegających ciemności. W świetle ognia wydawała się iście diaboliczna.

–Cześć, Seif – powiedział Haroun. Seif był synkiem bratanka Fatim i wszystkim, co tamtej zostało z rodziny. Pomagał przy drobnych pracach w domu.

Leniwy uśmiech rozciął na poły zeszywniałe mięśnie oblicza Seifa. W jednej chwili już gramolił się na dół po drabinie. Haroun nie pospieszył z pomocą. Seif upierał się, żeby wszystko robić o własnych siłach.

Kiedy zlął wreszcie na podłogę, odwrócił się i spojrzał na Harouna. Kulał na jedną nogę. Jedna sparaliżowana ręka, jakby skurczona, przylegała płasko do piersi. Jeszcze drżała od niedawnego wysiłku. Głowa przekrzywiła się na jedną stronę. Strużka śliny zastygła w kąciku ust.

Haroun stłumił odrzę i objął ramionami młodzieńca.

–Jak się miewasz, Seif?

–No i co? – warknęła starucha. – Masz zamiar się z nią zobaczyć czy nie? Czas jest w każdym razie jaki najbardziej odpowiedni.

Haroun wypuścił Seifa.

–Przypuszczam, że powinienem. Dlatego właśnie tu przyjechałem.

–I rychło w czas, można by rzec. Co z ciebie za mężczyzna? Minął niemalże rok.

–Miałem swoje kłopoty. Gdzie ona jest? Chowa się?

–Śpi, już ci mówiłam. Idź się z nią zobaczyć, głupcze. Młodzieniec coś powiedział.

Haroun jednak nie potrafił zrozumieć słów.

–A ty trzymaj buzię zamkniętą na kłódkę, Seif. Niech sam się przekona. To w końcu jego wina.

–O czym mam się przekonać?

–Ona sama do ciebie nie wyjdzie. A więc idź ty do niej.

Haroun ustąpił i odsunął zasłony, które przedzielały chatę na dwie części.

Leżała na wznak na prymitywnym łóżku, nad którego budową tak się z Seifem natrudzili. Spała, uśmiechając się, lewą rękę trzymając zagiętą ponad głową. Wyglądała tak słodko i bezbrinnie. Dziecko mające może miesiąc spoczywało w zagięciu jej prawego ramienia, z główką przy piersi. Wydawała się całkowicie spokojna.

–Niech mnie licho – wyszeptał. Ukląkł obok i spojrzał w twarz niemowlęcia. – Niech mnie licho. Chłopiec czy dziewczynka, Fatim?

–Syn, panie. Dziedzic. Dała mu na imię Megelin Micah.

–Jak pięknie. Jak mądrze. Jak całkowicie doskonale. – Wyciągnął dłoń i lekko dotknął policzka dziewczyny. – Kochanie?

Otworzyła oczy. Uśmiechnęła się.

W chwili obecnej mieli już za sobą pogórze i zbliżali się do pustyni. Gdzieś tam bieląły jeszcze łachy śniegu, zwłaszcza w miejscach, gdzie zalegał cień drzew.

–Panie? – zapytał cicho Beloul.

–Tak?

–Co się stało?

–Co? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

–Zmieniłeś się. Coś się zmieniło, kiedy cię nie było, stałeś się innym człowiekiem. Bardziej pełnym, myślę, że tak należałoby powiedzieć. Być może dojrzalszym.

–Rozumiem.

Beloul jednak czekał na coś więcej. Haroun nie miał zamiaru nic mu powiedzieć, więc zapytał:

–Mogę wiedzieć?

–Nie. Przykro mi, stary przyjacielu. Może innego dnia.

–Jak sobie życzysz, panie.

„Naprawdę się zmieniłem” – pomyślał Haroun. Narodziny syna sprawiły, że świat wyglądał dlań inaczej. Nieco bardziej przejmował się własnym bezpieczeństwem. Przez trzy dni zastanawiał się nawet nad rezygnacją z wyprawy.

–Panie – zawołał el Senoussi z czoła kolumny. – Jesteśmy na miejscu.

Haroun przyjrzał się dokładnie zboczom górskim i przestrzeni wąwozu. Nie zobaczył nic niezwykłego.

–Oto nadeszła ta chwila, Beloul. On musi zdecydować, komu dochowa wierności. Bądź gotów.

Beloul wskazał dłonią.

–Panie, tam w dole. Dym.

–Widzę.

Shadek poprowadził oddział w dół stromą ścieżką. Haroun wbijał spojrzenie w jego plecy, próbując z postawy odgadnąć myśli tamtego.

Niezależnie od żywionych zamiarów, Shadek doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia tej chwili. Będzie już za późno, by zmienić zdanie, kiedy przyprowdzi swego króla i Beloula do obozu Sidiego w przebraniu prostych wojowników.

Chyba że postanowił ich wystawić.

Haroun poczuł napinające się mięśnie. Ta możliwość jakoś wcześniej nie przyszła mu do

głowy.

El Senoussi machnął ręką, dając sygnał do zatrzymania. Dłoń Harouna opadła na rękojeść miecza. Shadek cofnął się wzdłuż kolumny.

–Panie, cała ta sprawa robi się ryzykowana. Nie mam pojęcia, co oni sobie zaplanowali. To może być pułapka.

–Może być. Weź na dół paru ludzi i sprawdź. Ja zaczekam tutaj.

–Jak rozkażesz, panie. – El Senoussi wybrał dwóch ludzi i odszedł. Zniknęli wśród drzew, znad których unosił się dym.

Haroun i Beloul czekali z mieczami na kolanach. Pozostali ludzie zsiadli z koni.

Dwie godziny później el Senoussi powrócił. Przeszedł całą drogę z powrotem, zamiast dać znak z dołu. Beloul wyszeptał:

–Powoli skłaniam się do przekonania, że można na niego liczyć, panie.

–Przekonamy się.

El Senoussi dotarł wreszcie na miejsce, gdzie przystanęli.

–Wygląda na to, że grają uczciwie. Jest ich tylko dziesięciu, nie licząc samego Sidiego.

–Ruszajmy więc. Upewnij się, żeby on pierwszy zginął, jeśli czegoś spróbują.

–To się rozumie samo przez się, panie. Słuchajcie, ludzie! Schodzimy na dół. I każdemu, który się zapomni i zdradzi naszego pana, własnoręcznie wyrwę serce. To jest zwyczajny wojownik, imieniem Abu bin Kahed. – Znowu ruszył ścieżką w dół.

Wśród stukotu kopyt wjechali do obozu Sidiego, podejrzliwie mierzając wzrokiem jego ludzi, którzy z kolei ich obserwowali spode łba. To będzie niełatwy sojusz, zdał sobie sprawę Haroun.

Syn El Murida już ich oczekiwał. Jego oblicze było niczym kamienna maska. Nie wykonał na powitanie najdrobniejszego nawet gestu. Wojna naprawdę niszczy młodych, pomyślał Haroun. Chłopak miał wygląd okrutnego, żalosego starucha.

Następnego ranka ostrym tempem wyruszyli do Al Rhemish. El Murid wyszedł ze swego odosobnienia. Wszystkiego doglądał. Nocni wędrowcy Harish byli bardziej zajęci niż kiedykolwiek dotąd. Sidi nie chciał, by jego przedłużająca się nieobecność wywołała niepożądane pytania.

Oba oddziały zachowywały oddzielny szyk. Niewiele ze sobą rozmawiano, wzajemnego zaufania było jeszcze mniej.

Haroun i Beloul wykonywali wszystkie obowiązki zwykłych wojowników. Kolejno zajmowali się gotowaniem, oporządzaniem zwierząt, staniem na warcie. Ludzie Sidiego nie zwracali na nich uwagi. Ludzie Shadeka nie okazywali żadnego szczególnego szacunku. Tamten wybrał bystrych, czujnych weteranów partyzanckiej walki.

Nastało południe ciepłego zimowego dnia, kiedy Haroun po raz kolejny zobaczył Święte Miasto, miasto jego snów, miasto królów Hammad al Nakir. Musiał się naprawdę starać, żeby nic z przepelniających duszę uczuć nie odbiło się na twarzy.

Wygląd wielkiej niecki zmienił się. Tam, gdzie kiedyś obozowali pielgrzymi podczas Disharhun, teraz rozciągało się szerokie, płytkie jezioro. Świątynia i miasto położone były obecnie na wyspie, do której prowadził chwiejny, drewniany most. Wzniesiono liczne nowe budowle. Kolejne były w trakcie konstrukcji, włączywszy w to gigantyczne przedsięwzięcia, godne stolicy Nowego Imperium. Obok drewnianej kładki wznosiły się już

kamienne filary przyszłego mostu.

Wewnętrzne zbocza niecki pokrywała zielona trawa. Wielbłądy i kozy, konie i bydło szczypały ją z ochotą. Dokładnie w punktach wskazywanych przez kompas odgraniczono cztery niewielkie obszary, otaczając je murem wzniesionym z gruzu pochodzącego z rozebranych ruin. W każdym obszarze znajdowały się rzędy prostych jak drut sadzonek. Wszechobecna wilgoć docierała na stoki z krętego kanału irygacyjnego. Haroun mógł tylko zgadywać, skąd wzięła się woda. Wymienił spojrzenia z Beloulem.

–Zmieniło się naprawdę wiele – powiedział Shadek do Sidiego.

–Hobby starego głupca – odpowiedział chłopiec. – Zazielenić pustynię. Cholerna strata pieniędzy i sił ludzkich.

–Cel jednak wydaje się tego wart, panie.

Sidi zmierzył Shadeka okrutnym spojrzeniem.

–Może. Ale pochłonie pracę i bogactwo kilkunastu pokoleń, generale.

Haroun znał liczby. Megelin podzielił się z nim wynikami swoich obliczeń dawno temu, kiedy przygotowywał plany dla jego ojca.

Wyczuwał, że Sidi tylko powtarza to, co gdzie indziej usłyszał. Po tonie jego głosu znać było recytowaną do znudzenia rotę.

Jakiż podły mistrz marionetek karmił go pogardą dla snów własnego ojca? I zdradzieckimi planami morderstwa?

Bez wątpienia Sidi wierzył, że jest panem samego siebie, że podejmuje własne decyzje i realizuje osobiste ambicje. Biedny, naiwny dzieciak.

Sidi był martwą marionetką i nie miał o tym pojęcia. Jak długo miał żyć, gdyby intrygantom udało się wyeliminować El Murida? Do pierwszego razu, kiedy sprzeciwi się ich woli.

Podczas gdy on korzystał z przywilejów władzy, oni coraz głębiej zatapiali szpony w swym narzędziu. Gdyby Sidi zdobył się na samodzielność myślenia, przekonałby się, że jest zupełnie sam.

Czy Niezwyciężeni poprą mordercę ich proroka? Ojcobójcę? Nigdy.

Nie było naprawdę nikogo, czyje życie Haroun rzuciłby zamiast Sidiego w paszczę losu. Tak negatywne tamten wywarł na nim wrażenie.

Kiedy jechali po chwiejnym moście, spojrzał w dół. Woda mogła posłużyć jako znakomita fosa. Były w niej nawet ryby. Wielkie. To prawdziwa hańba, że El Murid nie potrafił pozostać lojalnym poddanym.

Jechali przez Al Rhemish obok widoków trudnych do rozpoznania, ale niełatwych do zapomnienia. Tam... To miejsce, gdzie mając sześć lat, strącił Adepta z konia. Tam zginął jego stryj Fuad. A jego ojciec, brat Ali i król Aboud bronili się przyparci do tamtego muru.

–Panie! – ostrzegł cicho Beloul. – Ostrożnie. Wspomnienia odbijają się na twojej twarzy.

Haroun zdławił miotające nim uczucia, starał się gapić równie bezmyślnie jak jego towarzysze.

Nie wszystko, co widział, mu się podobało. Dokoła było zbyt wiele białych płaszczy. Wydostanie się może być trudne.

Sidi poprowadził ich do stajni, stanowiącej własność jednego z jego popleczników.

Powiedział el Senoussiemu, by siedzieli na miejscu, dopóki nie będą potrzebni, i nawet na krok nie wychodzili na ulicę.

Wdrapali się na stryszek ponad stajnię.

–Nie jest to miejsce, w którym szukałbyś gniazda skrytobójców, co? – wymruczał Haroun.

El Senoussi przyłożył palec do warg.

–W tym mieście ściany mają uszy. Czasy, gdy Adept przebywał w odosobnieniu, zrodziły zbyt wiele intryg.

–Kiedy zaczniemy działać? – zapytał Beloul.

Shadek wzruszył ramionami.

–On potrzebuje czasu, żeby wszystko zaaranżować. Z pewnością będzie chciał zagwarantować sobie żelazne alibi na czas akcji. I przypuszczalnie tak rzecz ułożyć, żeby nam się coś stało, niezależnie od wyniku. Stanowimy naprawdę niebezpiecznych świadków. Może mu to zająć nawet miesiąc.

–Jedna rzecz, Shadek – powiedział Haroun. – Zachowuj się służalczo. Płaszcz przed nim. Zmień się w pierwszego lizusa na całej pustyni, jeśli będziesz musiał. Ale za wszelką cenę przekonaj go, że to on nas zwerbował, że nie musi się nas obawiać.

–Na tym właśnie polega mój plan, panie. – El Senoussi wyglądał jak artysta obserwujący dojrzewanie bardzo osobistego dzieła, wykonanego z pełną miłości pieczołowitością, które tymczasem próbuje przerabiać inny artysta. – Mam zamiar doprowadzić do tego, by był mnie tak pewny, że kiedy dzień przyjdzie, sam osobiście przyjdzie mnie powiadomić. Zarżniemy szczeniaka, a potem skoczmy do gardła ojczulkowi. Ufam, że aprobujesz ten plan, panie?

–Wybacz mi, Shadek. Martwię się. Wszystko to jest dość grubymi nićmi szyte. Co z drogą ucieczki? Ten most przysporzy kłopotów, jeśli będą nas ścigać.

–To nieprzewidziana komplikacja, panie.

Haroun podał mu pewne imię i adres, potem kazał przyprowadzić mieszkającego po nim człowieka na stryszek.

Minęło dziewięć tygodni. Haroun i Beloul każdą chwilę z nich spędzili w stajni.

–Powoli zaczynam odchodzić od zmysłów – jęknął Haroun. – Zanim się stąd ruszymy, Adept zemrze ze starości.

Beloul już chciał coś powiedzieć. Przeszkodziło mu jakieś poruszenie poniżej. Shadek coś warknął. Mężczyźni pospieszyli do kryjówki.

–Sidi idzie – szepnął Beloul.

–Kolejny fałszywy alarm – przewidywał Haroun. – Tylko nas sprawdza.

Chłopiec przychodził przynajmniej raz na tydzień; za każdym razem był coraz bardziej śmiały. Teraz towarzyszyli mu tylko dwaj strażnicy ochrony osobistej. Shadek zszedł do nich na dół.

Z każdego cienia obserwowali ich ludzie. Sidi i el Senoussi mówili przyciszonymi głosami, Shadek najwyraźniej podniecony, Sidi zbity z tropu.

I tak to było za każdym razem, a Shadek jak zawsze zapalczywie gestykulował, kiedy się odzywał.

W środku zdania urwał, odchrząknął, zaczął skubać ucho paznokciem małego palca.

Potem runął na ziemię jak martwy.

Poleciały strzały. Ciała Sidiego i jego strażników zadygotały do rytmu uderzeń grotów w jakimś ponurym pijackim danse macabre. Shadek umknął na bok. Jego ludzie wyskoczyli z cienia, upewnili się, że ofiary nie żyją.

–Szybko, cicho i łatwo – powiedział Haroun do Beloula. – O nic więcej nie mogliśmy prosić. – Zgramolił się na dół i dołączył do el Senoussiego, który uderzeniami dłoni odgarniał słomę i ziemię.

–Wsadźcie ich pod ten stos siana – zarządził Shadek. – Ty i ty, osiodłajcie konie. – Odwrócił się do Harouna. – Panie, za godzinę oczekuj nas w Świątyni.

–Kim rzekomo mamy być?

–Delegacją kupców solnych, przedstawiającą petycję o naprawę krzywd. Adept ma w swym sercu ciepły kącik dla przedstawicieli tego zawodu. Mamy zrobić piekło odnośnie urzędników zarządzających urobkiem daimieliańskich kopalni soli. Sidi powiedział, że to jego ulubiona bolączka.

–Powinno wystarczyć. Wszystko, byle się tylko przedostać przez ochronę Niezwycięzonych. – Haroun przesunął kciukiem po ostrzu sztyletu.

Wszyscy upewnili się po raz kolejny, że łatwo im przyjdzie sięgnąć do ukrytych ostrzy. Bardziej widoczną broń zapewne będą musieli zdać, zanim staną przed Adeptem.

–Pozwól mi mówić – powiedział Shadek. – Wiem co nieco na temat handlu solą. Znowu podrapię się po uchu.

Co do jednego byli bladzi i zdenerwowani. Ten, któremu Shadek zlecił zadanie zajęcia się końmi, odczuwał wyraźną ulgę.

Haroun przyjrzał się pozostałym. Rysy twarzy zbyt ostre, aby mogli ujść za zwykłych poganiaczy wielbłądów. Nikt nie uwierzy w ich historię.

Ze ściśniętymi gardłami i żołądkami przeszli przez szereg posterunków straży przybocznej chroniącej Adepta. Haroun był zdumiony. Odziani w białe szaty żołnierze najwyraźniej niczego nie podejrzewali. Udało im się nawet przenieść ukryte ostrza, najwyraźniej dlatego, że chętnie zdali broń nieomal równie dobrze ukrytą, oraz być może dlatego, że nikomu nigdy nawet nie przyszłoby do głowy napaść Adepta w świętym miejscu.

Haroun miał nadzieję, że jego straż przyboczna nigdy nie stanie się równie niedbała. Ciosy Harish padały już zbyt blisko i zbyt często.

Został nieco z tyłu, kiedy weszli do sali tronowej El Munda, nie unosił nawet na moment głowy. Beloul ociągał się również. Pozostali zasłonili ich swoimi ciałami. El Murid znał Harouna i mógł rozpoznać Beloula.

Haroun nie potrafił się jednak powstrzymać przed rzuceniem głodnego spojrzenia na Pawi Tron. Oto było przeznaczone mu z własnego nadania miejsce...

Miano swe Pawi Tron zawdzięczał wysokiemu oparciu wyrzeźbionemu w kształt rozpostartego pawiego ogona. Dwunastostopowe pióra zostały wykonane z desek wyciętych z rzadkiego gatunku drewna. Przez wieki inkrustowano je złotem, srebrem, klejnotami, agatem, kością słoniową, perłami, turkusem i półszlachetnymi kamieniami w skomplikowane, jaskrawe wzory. Kolejne dynastie Imperatorów Ilkazaru i pokolenia królów Qesani wносиły swój wkład w tę krzykliwą mozaikę. Tron był sercem i symbolem władzy nad Hammad al Nakir, jako też wcześniej w Imperium.

A teraz ten uzurpator, ten szakał bez bodaj jednej kropli królewskiej krwi bezcześcił siedzisko królów. Haroun wysiłkiem woli stłumił gniew.

Ale w jego miejsce rozgorzał inny. Ta bestia wymordowała jego rodzinę. Ten potwór zniszczył wszystko, co było ważne i drogie, i spuścił psy, które kąsały go nawet teraz.

Uważnie policzył strażników ochrony.

Shadek zatrzymał się kilkanaście kroków przed Pawim Tronem. Uczyniwszy zadość dworskiemu ceremoniałowi, podszedł nieco bliżej. Zaczął mówić cichym głosem. Najwyraźniej coś perswadowało. El Murid nachylił się, by lepiej słyszeć. Od czasu do czasu kiwał głową.

Na co ten Shadek czeka? Niech to zrobi! Harouna skręcał wewnętrzny krzyk.

Shadek gestykulował żywo, podobnie jak wcześniej podczas spotkania z Sidim. Haroun próbował się rozluźnić, uciszyć swój strach. Przecież nie mógł dopuścić, by tamci domyślili się, jak bardzo jest spięty.

Drzwi rozwarły się gwałtownie. Wszedł przez nie zataczając się, obdarty człowiek. Podtrzymywali go dwaj Niezwyciężeni wyższej szarży. Łachmaniarz wyskrzeczwał:

–Nie, panie! Strzeż się!

Przez krótką chwilę powszechnej dezorientacji nikt się nie poruszał. Potem El Murid krzyknął:

–Mowaffak! Co ty tu robisz? Co się z tobą działo?

–Asasyni, panie – wyskrzeczwał Hali, wyciągając drżącą dłoń. – To są skrytobójcy.

Haroun sięgnął po swój sztylet.

–Hali! – wrzasnął Beloul i zaatakował.

Mężczyźni biegali we wszystkie strony. El Senoussi rzucił się na Adepta, sam został zaatakowany z boku. Haroun pobiegł w ślad za Shadekiem tylko po to, by się przekonać, że na jego drodze stoją Niezwyciężeni. Żołnierzy w białych szatach sytuacja zupełnie zaskoczyła. Padali jeden za drugim. Wkrótce ich przeciwnicy dysponowali przewagą liczebną.

Haroun powalił człowieka blokującego mu drogę. Przeskoczył przez ciało i ruszył w kierunku starego wroga. Ich spojrzenia spotkały się. W oczach El Murida nie dostrzegł strachu.

–Jesteś naprawdę odważny – powiedział Adept. – Nigdy bym się tu ciebie nie spodziewał.

Haroun uśmiechnął się. To był blady, okrutny i paskudny uśmiezek.

–Zasmuca mnie to, że nigdy nie zobaczysz, jak zasiądę na Pawim Tronie, uzurpatorze. Chyba że uda ci się zerknąć z Tamtego Świata.

–Twój ojciec i wuj znani byli z takiej gadaniny. I kto kogo teraz skąd ogląda? Haroun skoczył.

El Murid uniósł lewą dłoń. Blask amuletu odbił się w oczach Harouna. Adept wymówił jedno słowo.

Zahuczał grzmot. Jaskrawy rozbłysk wypełnił komnatę. Świątynia zadrżała aż po fundamenty.

Pod Harounem ugięły się kolana. Ogarnęła go ciemność. Próbował jeszcze krzyknąć, ale usta miał zupełnie odrętwiałe.

El Murid nawet się nie uśmiechnął i to dopełniło miary Harounowego rozwścieczenia. Adept był przecież arcyłotrem. A łotry powinni rechotać triumfalnie, kiedy zwyciężają.

Jakieś dłonie ujęły jego ramiona, podniesiono go. Odległy głos powiedział:

–Zabierzcie go stąd. – Haroun próbował okazać się pomocny. Nogi jednak nie chciały go słuchać. Podtrzymujący powlekli go niezgrabnie, jakby mknęli wzdłuż burzliwego brzegu, o który z towarzyszeniem metalicznego wycia i odległych krzyków biły grzywacze. Dwukrotnie musieli go puścić, żeby odeprzeć kolejne fale.

Powoli zaczynało mu się przejaśniać przed oczyma. Był nawet w stanie poruszać odrobinę nogami. Umysł odzyskał zdolność chwytania związków przyczynowych.

Ludzie Shadeka próbowali wyciąć sobie drogę ucieczki. To byli dobrzy, twardzi żołnierze, ale nie wykonali wyznaczonej misji. Nie zostawiali jednak za sobą rannych, których można było schwytać i na torturach zmusić do zdradzenia tych, którzy uciekli. Niewykluczone więc, że w bratobójczy sposób zginie kilku ludzi, aby pozostałym umożliwić ucieczkę, ale o tym wszyscy

wiedzieli z góry.

Po chaosie Świątyni miasto zdawało się nienaturalnie spokojne.

–Żadnego niepotrzebnego pośpiechu – ostrzegł el Senoussi, pomagając Beloulowi podsadzić Harouna na koński grzbiet. – Nie chcemy ściągać na siebie uwagi.

Beloul roześmiał się.

–Przecież musieli się domyśleć, że coś jest nie w porządku. – Wskazał dwu Niezwycięzonych wyjących w wejściu do Świątyni.

Haroun próbował powiedzieć Shadekowi, by ruszali, jednak plątał mu się język.

Shadek poprowadził ich ku mostowi ponad jeziorem, mówiąc:

–Nie mają w pobliżu żadnych koni. Zakładam, potrwa chwilę, zanim wieści się rozejdą. Kiedy to nastąpi, nas już tu dawno nie będzie.

Mylił się.

W Królestwie Pokoju panował teraz nowy ład. El Murid w tajemnicy odwołał swój zakaz uprawiania mrocznej sztuki. Kilku byłych shaghunów zaciągnęło się pod jego sztandary. Większość stacjonowała w stolicy, przydzielona do oddziałów Niezwycięzonych. Nie byli to już ci shaghuni co dawniej, niemniej coś niecoś potrafili.

Na przykład szybko przekazać rozkazy obrońcom mostu.

Asasyni dotarli do granic miasta i przekonali się, że przejścia strzeże liczna rzesza czujnych i wściekłych ludzi w białych płaszczach.

–Wracamy do Bassama – nakazał el Senoussiemu Haroun.

W chwili obecnej jednak miasto już wrzało. Pierwsze dzikie pogłoski, które zawsze poprzedzają wędrującą wolniej prawdę, przeskakiwały z domu do domu niczym płomienie dnem porośniętego suchymi krzewami wąwozu. Ludzie pędzili szybciej niż dotąd, mniej dbali o cel swej wędrówki, pewni, że coś jest złe, ale nie wiedząc co. Niezwyciężonych wszędzie było pełno, chociaż jeszcze nie zadawali pytań.

–Shadek, lepiej będzie, jeśli porzucimy zwierzęta. Przez nie bardziej rzucamy się w oczy.

–Tak jest, panie. – El Senoussi wrócił do stajni. Gdzie najlepiej ukryć konie?

Teraz trzeba dojść do miejsca przygotowanego przez jego agenta, Bassama... Ranni jednak stanowili problem. Będą się rzucać w oczy bardziej niż setka koni. Pragmatyczne rozwiązanie tej sprawy było oczywiste. Pozbyć się najciężej rannych. Ukryć ich ciała obok Sidiego i jego strażników. Było tylko dwóch ludzi, których losy w tej chwili się ważyły, dwóch, których Haroun za nic jednak nie chciał zmarnować. Zbyt wielu już oddało życie w tej okrutnej wojnie.

–Shadek, będziemy trędowatymi. Owiniemy się w łachmany i pójdziemy po dwóch, trzech. Ludzie będą zbyt zajęci umykaniem nam z drogie, żeby się dokładniej przyglądać.

–Wspaniały pomysł, panie.

Haroun szedł w towarzystwie człowieka imieniem Hassan, który otrzymał cios szablą w udo.

–Nieczyści! – jęczał. – Trędowaci! – Natomiast cichym głosem poinformował swego towarzysza: – Zaczyna mi się to podobać.

Nerwowy tłum rozstępował się przed nimi, zwierając szeregi, dopiero gdy przeszli. Ludzie przeklinali ich. Niektórzy mamrotali, że Adept zaiste zbyt daleko rozciąga swą tolerancję, że trędowatym nie powinno się pozwolić kłaść Miasta Bożego. Jeden szczególnie śmiały dzieciak cisnął grudą ziemi. Haroun pogroził mu poskręcany kosturem i zawył nieartykułowanie. Dzieciak umknął. Haroun zaśmiał się.

–Niezła zabawa.

–Znałeś kiedyś trędowatego, panie?

–Nie. Dlaczego?

–Dla nich to nie jest żadna zabawa. Gniją. Śmierdzą. Ciało kawałami odpada od kości. Nic nie czują. Jeśli nie uważają, mogą poważnie się poranić. To się zdarzyło mojej siostrze.

–Och. Przykro mi, Hassan. – Cóż innego mógł powiedzieć?

Bassam, agent rojalistów od niepamiętnych czasów, przygotował im kryjówkę w piwnicy pod swoim domem. Była to niejaka odmiana w nudnym życiu biednego sklepikarza – zaczął kopać już w dniu ich przyjazdu. Nie czynił żadnych poważniejszych wysiłków, by ukryć swe dzieło, posunął się nawet tak daleko, że chełpił się, iż będzie to najlepsza piwnica w mieście. Jej ściany wyłożył wypalaną na słońcu cegłą, potem jednak wznosił ściankę działową, która odgraniczała niewielki sektor piwnicy.

Ocaleli skrytobójcy wprowadzili się do środka. Agent Harouna od razu zaczął wypełniać dziurę, przez którą weszli.

–Zgromadziłem tu jedzenia i wody na miesiąc, panie. Żadnych smakołyków, ale utrzyma was przy życiu. Spodziewam się, że gorzej będzie ze smrodem. Ludzie zaczną się

zastanawiać, gdy będę grzebał zbyt wiele nocników w ziemi. Świeże powietrze dochodzić będzie przez tę drewnianą kratę. Przez nią możecie również obserwować ulicę. Postarajcie się, żeby nikt nie przyłapał was na wyglądaniu.

Bassam zostawił jedną luźną cegłę, którą można było wyjmować dla celów komunikacji. Przez następne cztery dni pozostawała na miejscu.

–Przeszukali dom – oznajmił wreszcie. – Wszystkie przeszukują po kolei. El Murid ogłosił, że nikt nie wjedzie ani nie wyjedzie z Al Rhemish, póki nie zostaniecie złapani. Mowaffak Hali umarł wczoraj, ale nie możecie zaliczyć go na swoje konto. Gangrena. Kiedy wracał do domu, został zaatakowany przez wojsko Gildii. Ten sam oddział, na którego konto trafili przed kilkoma laty Karim i Bicz Boży.

–Cholerny Bragi – mruknął Haroun. – Kto mu pozwolił opuścić obóz?

–Dopraszam się wybaczenia, panie – odparł Beloul. – Czy sądzisz, że możesz mówić żołnierzom Gildii, co mają robić? Weź pod uwagę ich punkt widzenia.

–Potrafię ich zrozumieć, Beloul. Ale nie musi mi się to podobać.

–To jeszcze nie wszystko, panie – ciągnął dalej Bassam. – El Murid uchylił zakaz uprawiania czarów. Przyznał, że próbował zwerbować shaghunów od czasu, gdy Bóg nawiedził Świątynię. Dzisiaj przez Al Rhemish przeszła pierwsza dywizja armii el Nadima. Wszystkich shaghunów wysłał razem z nią. Mamy szczęście.

–Przyślij na dół trochę wina – wymamrotał el Senoussi. – Będziemy świętować odejście Halięgo i opłakiwać wszystko inne.

–Wino jest zabronione – odparował Bassam. – Przestrzegam dokładnie litery praw Adepta.

–Ale brakuje ci poczucia humoru, co?

Bassam zignorował zaczepkę Shadeka.

–Być może zostaniecie tu przez czas dłuższy, panie. On się potwornie wściekł. Niezwycięzeni węszą dzień i noc. Nie da się ująć stu kroków, żeby nie zostać przesłuchanym.

Następną wizytę Bassam złożył im trzy dni później. Niezwycięzeni odkryli ciało Sidiego.

–Adept jest bardziej jeszcze poruszony niż dotąd, panie. Oszalał z żalu i wściekłości. Ktoś wyszeptał właściwe słowa do właściwych uszu. Wieści o spisku chłopca dotarły doń tego samego popołudnia, kiedy znaleźli ciała. Teraz przewraca miasto do góry nogami, szukając spiskowców. Złapali nawet grupkę takich, którzy próbowali uciec. Niezwycięzeni zmuszają ich do wyśpiewania wszystkiego. Adept sądzi, że ukrywają ciębie.

–Życzę mu szczęścia. Mam nadzieję, że wszyscy zawisną. – Haroun zaśmiał się paskudnie.

–Przez jakiś czas nie będę schodził na dół, chyba że dowiem się czegoś naprawdę ważnego. Muszę zajmować się sklepem. Połowa naszych szacownych obywateli zmieniła się w złodziei.

Minęło kolejnych dziewięć dni. W piwnicy zaczynało się robić ciasno. Trudno było utrzymać nerwy na wodzy. Do głosu dochodziły najdrobniejsze niezgodności charakterów. Wszystko wskazywało na to, że dalej będzie jeszcze gorzej. Haroun odebrał wszystkim broń i złożył na stosie w rogu pomieszczenia. On i Beloul na zmianę trzymali przy niej wartę. Bassam przyszedł w samym środku nocy.

–Nie jest ani trochę bezpieczniej, panie. Właściwie jest jeszcze gorzej. Nazywają to rządami terroru. Niezwyciężeni stali się jak stado wściekłych psów. Z każdym dniem zabójstwa przez nich dokonywane mają coraz mniej sensu. Nie mam pojęcia, jak długo to jeszcze potrwa. Ludziom powoli brakuje jedzenia. Będą zamieszki. A i moje dni może są policzone. Jeśli aresztują jednego z moich ludzi, a on wyśpiewa...

–Lepiej więc wydostań nas stąd.

–Nie przeżylibyście nawet tyle, ile trzeba na zmówienie modlitwy. Zabiją was, zanim sklep zniknie wam z oczu. Spacer ulicą w świetle dnia można przypłacić życiem, panie. Siedźcie cicho i pozwólcie, by sprawy toczyły się swoim torem. Albo żeby zamieszki wybuchły, zanim się do nas dobiorą. Być może sami wreszcie poczują obrzydzenie do siebie.

–A jeśli cię aresztują?

–Będę trzymał się tak długo, jak dam radę.

–A my będziemy siedzieć tu zagrzebani, nie wiedząc, że coś poszło źle – warknął el Senoussi. – Jak śpiące ptaszki wybrane prosto z gniazdka.

–Zajmę się tym. Zaraz. – Nie minęła godzina, a Bassam zainstalował dzwonek, który można było uruchomić, ciągnąc za jeden z wielu sznurków ukrytych na terenie sklepu. Wymagało to przewiercenia dziury w nowej i drogiej drewnianej podłodze sklepu. Przez cały czas wiercenia Bassam jęczał, skarżył się na dokonywany właśnie akt wandalizmu.

–Nie zadzwonię, póki nie będę pewny, że mnie zabierają – powiedział. – Nie mogę również zagwarantować, że wówczas mi się uda. Ma to sens tylko wtedy, kiedy nie okaże się równoznaczne ze zdradzeniem was. Jeśli dzwonek się odezwie, jesteście zdani sami na siebie. Nie mam pojęcia, jak długo uda mi się wytrzymać. Nigdy tak naprawdę nie stanąłem w obliczu prawdziwej próby odwagi.

–Oczywiście, że sobie poradzisz, Bassam. Żaden tchórz nie byłby w stanie tak długo ukrywać się w cieniu Adepta.

–Ostatnia rzecz, panie. Wojska el Nadima obozują pod miastem. Ostatnia dywizja armii wschód. To będzie ciężka wiosna dla wrogów Adepta na zachodzie.

–Na to wygląda.

–To jest dobry człowiek – powiedział Shadek chwilę po tym, jak Bassam wyszedł. – I mocno przestraszony. Pewien jest, że długo już nie wytrzyma.

–Jest znakomity – zgodził się Haroun. – Beloul? Sądzisz, że naszemu grubemu przyjacielowi się nie udało?

–Wygląda na to, że wyczerpał zapas swego szczęścia.

W piwnicy powoli robiło się gorzej niż w najobrzydliwszym więzieniu, jakie można było sobie wyobrazić. Więzień nie ma żadnej nadziei, tak naprawdę w ogóle nie wierzy w swoją egzystencję wolnego człowieka, wie, że nie może się wydostać. Dni ciągnęły się bez końca. Noce były jeszcze dłuższe. Smród zaś tak potworny, jak im obiecano. Haroun zaczynał obawiać się wybuchu choroby. Zmuszał wszystkich, by na zmianę ćwiczili.

Bassam z pozoru zupełnie zapomniał o ich istnieniu.

Dwukrotnie słyszeli mamrotania ludzi szukających za fałszywą ścianą fundamentu. Ściskali broń, wstrzymując oddech i gotując się na najgorsze.

Osiem dni po zainstalowaniu dzwonka usłyszeli jego cichy dźwięk. Tak cicho, że Haroun

nie był zrazu pewien, czy mu się tylko nie wydaje.

–Zabrali go! – warknął Shadek. – Cholera!

–Jak długo wytrzyma? – zapytał Beloul.

–Nie mam pojęcia – odparł Haroun. – W pewnym sensie miał rację. Dobre zamiary

niewiele

znaczą, kiedy rozpalone do czerwoności żelazo wżera ci się w ciało. Podsadźcie mnie do kraty.

Wyjrzał na zakurzoną ulicę. Obserwował, jak żołnierze w białych płaszczach odprowadzają Bassama. Związali go, żeby nie mógł walczyć i tym samym zmusić ich, aby go zabili.

–Naprawdę go wzięli. Cholera! Dzielny w sklepie, a dzielny w Świątyni, kiedy łamią mu palce u rąk i stóp, to są dwie różne rzeczy.

–Lepiej wynośmy się stąd.

–Dopiero po zmroku. Przedtem nawet nie zdążymy się pomodlić. Ćwiczcie dalej.

Zesztywnieliśmy tutaj.

–Przynajmniej wyjdźmy z tej piwnicy, abyśmy mogli walczyć z nimi, jeśli zechcą wrócić – zaproponował Shadek.

–W porządku. Rozwalcie ścianę. Ostrożnie! Róbcie to cicho. Potem złożymy ją z powrotem. Niech najpierw ją rozwałą, by się przekonać, że nikogo za nią nie ma.

Drażliwość i podupadłe morale wyparowały, ustępując miejsca niepokoju.

W napięciu siedzieli przez całe popołudnie, czekając na pojawienie się Niezwycięzonych. Nikt nie przyszedł. Beloul i Shadek na zmianę próbowali rozszyfrować trasy patroli na ulicy. Haroun i pozostali ćwiczyli.

Tego wieczoru miało nie być księżyca. Zimą pojawiał się na niebie dopiero przed świtem.

Opuścili sklep zaraz po zmianie wart. Shadek i Beloul ustalili, że oficerowie straży nie spotkają się przez najbliższą godzinę. Zdołali się zorientować, że będą mieli do czynienia zarówno ze stałymi posterunkami, jak i ruchomymi patrolami. Ostatnie stanowiły większe niebezpieczeństwo. Obchodziły miasto wedle zupełnie przypadkowego harmonogramu. Składały się z dwóch, trzech ludzi.

Shadek powiedział:

–Miejmy nadzieję, że przestali już tak bardzo uważać. Przez długi czas robili, co im się podobało. Nie mogą przecież wiecznie zachowywać czujności, nieprawdaż? Skoro każdy cywilny obywatel praktycznie całuje ich po stopach?

–Hm – mruknął Haroun. – Beloul, idź po swojego człowieka.

Beloul miał zabić najbliższego wartownika ze stałego posterunku i założyć jego szatę. Haroun miał podkraść się do drugiego i postąpić identycznie. Oni dwaj byli mistrzami cichego podkradania się. Następnie mieli razem podejść do kolejnych wartowników, udając lotny patrol. Oczyszczą w ten sposób drogę i dostarczą przebrania swym towarzyszom.

Gdyby księżyc świecił na niebie, nie udałoby im się. Warty rozstawiono w zasięgu wzroku.

Beloul był wolny, cierpliwy i śmiertelnie skuteczny niczym wąż. Doskonale wywiązał się ze swego zadania. Haroun miał trochę kłopotów, jednak udało mu się nie wywołać alarmu.

Tym sposobem zabili czternastu Niezwycięzonych. Oddział dotarł następnie do nowej obwodnicy, którą El Murid wybrukował dookoła wyspy. Pas ogrodów, szeroki na dwadzieścia do

pięćdziesięciu stóp, oddzielał ją od brzegu. Dalej żadnego alarmu.

Stali teraz, zastanawiając się, jak najlepiej splawić tych, którzy nie umieli pływać. Wtedy pojawiło się dwóch Niezwycięzonych:

–Co jest? – zapytał jeden.

Haroun zaczął odpowiadać wymijająco. Wtedy jeden z ludzi Shadeka spanikował, uderzył mieczem, chybił.

Oddział eksplodował ruchem.

Za późno. Jeden z białych płaszczy zdążył przyłożyć do ust gwizdek, zanim padł.

–Do wody – warknął Haroun. – Pomagajcie sobie nawzajem najlepiej jak potraficie. – A cicho do Beloula: – Wiedziałem, że za dobrze nam szło. Cholera! Myślałem, że starczy nam czasu, by ukraść konie.

Woda była zimna. Haroun przeklinał nieustannie, holując jednego z tych, którzy nie potrafili pływać, przez miejsca, gdzie nie mieli gruntu pod nogami.

Zapomniał o chłodzie, kiedy usłyszał odgłosy pościgu, a na brzegu wyspy zaczęły błyskać pochodnie.

Rozdział 19

CzarownikZ każdym dniem kolejne mile zdawały się coraz dłuższe, a zbocza wzgórz bardziej strome. Zmartwiony Szyderca zastanawiał się, jak przedostać się przez ziemie Kavelin, żeby nie zostać zapamiętanym, jednak tym razem losy najwyraźniej go przeoczyły.

Pogoda w wystarczającym już stopniu dawała się we znaki.

Tak naprawdę to wcale się nie spieszył. Najgorsze dni spędził, nie wyściubiając nosa z przydrożnych oberży. Haroun dał mu dosyć pieniędzy, ale tam gdzie mógł, płacił za nocleg i pożywienie występami. Przede wszystkim dlatego, że chciał odzyskać swoje wyczucie. Minęły lata, odkąd po raz ostatni występował przed obcymi.

Ani razu nie pozwolił się wciągnąć w grę hazardową.

Trzy lata spędzone w wiedzim kotle wojny dały mu dojrzałość. Była to pozytywna zmiana, znacznie istotniejsza niż wątpliwe korzyści, jakie wyniósł z trzech lat spędzonych z Damo Sparenem.

Niezależnie od tego jak powoli podróżował, pochód zimy był jeszcze wolniejszy. Łańcuch otaczających Kavelin od wschodu gór i Przełęcz Savernake osiągnął w najgorszym okresie roku. W ostatnim miasteczku położonym po tej stronie masywu ostrzegano go, aby nie szedł dalej. Ludzie zapewniali, że obecnie przełęcz jest całkowicie zasypana śniegiem oraz że tylko sami bogowie wiedzą, co go może czekać na terenach rozciągających się poza ostatnią placówką pozostającą pod władzą króla – fortecą Maisak.

Ale Szyderca nie zapomniał Baxendali i obawiał się, że Baxendalanie mogli i jego zapamiętać.

Kiedy wreszcie dotarł do Maisak, już przeklinał samego siebie za to, że nie został. W porównaniu z zimą panującą na Przełęczu zima w Kapenrungach wydawała się łagodna.

Żołnierze garnizonu Maisak nie chcieli wpuścić go do środka. Podczas niedawnych ataków el Nadim przyzwyczaił ich do tysięcy rozmaitych forteli. Nie mieli zamiaru ryzykować

wszystkiego dla jednego małego grubaska. Zgarbił więc ramiona i powlókł się na wschód; osiołek szedł za nim wiernie.

Na wschód od gór zima nie była tak straszna. Zanim dotarł do ruin Gog-Ahlan, śnieg zostawił już za sobą.

Najbliższe położone przy szlaku handlowym miasteczko było właściwie wioską widm, zamieszkiwaną przez kilka optymistycznych dusz, próbujących jakoś przetrwać do końca wojny. Grubas spotkał się tam z miłym przyjęciem – zaoferowano mu ciepłe schronienie i napitek.

Jak zapewniali mieszkańcy miasteczka, główna kwatera el Nadima znajdowała się w Throyes.

– Interesujące – zadumał się Szyderca znacznie później, kiedy jego stopy wydeptywały trakt wiodący do tegoż miasta. – Czas i chciwość czynią przyjaciół z tradycyjnych wrogów.

Wiara El Murida poraziła Throyes niczym zaraza. Wynikające stąd zmiany klimatu politycznego wprawiały grubasa w konsternację. Religii nie pojmował nawet na jotę. W najlepszym wypadku bogowie byli dlań wymówką, do której uciekał się czasami, by wytłumaczyć swą kolejną porażkę.

Throyes zastał w stanie najwyższego podniecenia, z rozdziawioną szeroko głodną paszczą, już gotowe wydawać bogactwa, jakie żołnierze el Nadima mieli przywieźć do domu. Był zdumiony. Oto Zastępy Światłości u szczytu swej pomyślności i w całej swej okazałości.

A on miał to wszystko powstrzymać? W pojedynkę?

W jego oczach przypominało to próbę opanowania trzęsienia ziemi gołymi rękami.

Niemniej zabrał się do pracy.

Znał już trochę Throyes z wcześniejszego pobytu. Być może w pamięci mieszkańców nie zatarty się jeszcze wspomnienia o nim. Zmienił więc swe powołanie – zamiast naciągaczem, złodziejem i ulicznym brzuchomówcą, stał się uzdrowicielem przez wiarę.

Wschodnie prowincje imperium El Murida były znacznie bardziej tolerancyjne wobec takich praktyk niżli ludzie z innych obszarów. El Nadim nie podjął żadnego wysiłku eksterminacji licznych tam czarodziejów i okultystów. W rzeczy samej utrzymywał własnego doradcę – astrologa.

Kiedy grubas o tym usłyszał, zaświeciły się jego małe, diabelskie oczka. Oto szczelina w murze otaczającym władzę! Wręcz otwarta brama zapraszająca do wejścia. Gdyby dało się wyeliminować astrologa, a potem znaleźć się we właściwym momencie na właściwym miejscu...

Jednak wyszedł trochę z wprawy. A wschodnia astrologia różniła się od zachodniej.

Wyszukał kobietę, która gotowa była go uczyć w zamian za lekcje sztuczek z leczeniem wiarą.

Opanowanie żargonu i zdobycie przekonującej sprawności zabrało mu trzy tygodnie. Zaczynał się już obawiać, że nie dotrze na czas w pobliże el Nadima. Szereg jednostek wschodniej armii już znajdowało się w drodze na zachód przez Hammad al Nakir.

Pozostawał jeszcze problem nawiązania kontaktu. Żaden badacz gwiazd z ulicznego zaułka nie miał szans przedostania się przez strażę el Nadima.

Wyeliminowanie astrologa generała okazało się niemożliwe. To był doprawdy bardzo

tajemniczy człowiek. Nikt nie wiedział, kim jest ani nawet jak wygląda. Samo jego istnienie potwierdzały jedynie niejasne plotki. Niektórzy ludzie uznawali je za wymysł wrogów el Nadima mający na celu zdyskredytowanie go w oczach El Murida.

Niezależnie od tego jak było, szybkie znalezienie się w pobliżu generała stanowiło bezwzględny priorytet.

Szyderca w końcu postanowił wydać część pieniędzy otrzymanych od Harouna, mimo że rozstanie się z nimi było nieomal bolesne. Krawiec skroił mu ubiór będący wyśmienitą imitacją szaty ucznia czarnoksiężnika. Inny dżentelmen, mniej już dostojnej profesji, sfałszował dlań listy polecające po necremneńsku, sygnowane wzbudzającym przerażenie godłem Aristithorna.

Aristithron był czarodziejem z Necremnos. Jego reputacja nie była bynajmniej szczególnie zachęcająca. El Nadim musiałby nabrać naprawdę nie byle jakich podejrzeń, aby kłopotać go żądaniami autentyfikacji.

Wszystko było związane na ostatni guzik. Wymówki pozwalające zwlekać z przystąpieniem do realizacji planu – na wyczerpaniu. Musiał zacząć działać albo zasłużyć we własnym mniemaniu na miano beznadziejnego tchórza. Albo pomaszeruje zaraz na posterunek straży przed kwaterą główną el Nadima, albo zapomni raz na zawsze o Damo, Gouchu i swoich obietnicach złożonych Harounowi.

Nie podwinął pod siebie ogona i nie uciekł. Pomaszerował.

W kostiumie czarnoksiężnika jego tusza wywierała naprawdę nie byle jakie wrażenie. Wyprostowany dumnie i arogancki, wydawał się górować ponad wyższymi odeń ludźmi. Odprowadzały go zaciekawione spojrzenia, w których można było wyczytać pytanie: „Kim też jest ten młodzieniec?”

Przynajmniej taką grubas miał nadzieję.

Przedstawił się i okazał swe listy uwierzytelniające. Wartownikom powiedział:

–Zwą mnie Nebud. Jestem czeladnikiem znakomitym lorda Aristithorna, Maga Pierwszego Kręgu, Księcia Mrocznej Ścieżki, Pana Paskudnych Wzgórz i Mistrza Dziewięciu Diabolizmów. Onże przysłał mnie do lorda el Nadima, abym pomagał mu w wielkim dziele.

Przemawiał z całą arogancją, na jaką go było stać, obawiając się równocześnie, że żołnierze roześmieją się w głos. Drżały mu nawet palce u stóp.

Nie śmiali się. Imię Aristithorna nie nastrajało do wesołości. Ale nie wywarł na nich odpowiedniego wrażenia. Dowódca warty na chwilę gdzieś zniknął. Wrócił w towarzystwie oficera, który zadawał mnóstwo pytań. Szyderca wcześniej przygotował sobie cały repertuar wszelkich możliwych odpowiedzi.

Rozmowa ciągnęła się tak długo, że wreszcie grubas zapomniał o swoim strachu, całkowicie zaprzątnięty takim dobieraniem kłamstw, aby nie dało się wychwycić sprzeczności między nimi.

Uważał, że jest całkowicie pozbawiony przesądów odnośnie el Nadima, jednak nie był przygotowany na widok człowieka, który udzielił mu audiencji. Zobaczył niemalże karła. El Nadim nie był stary, ale tak odseparowany od świata, że starość zdawała się zeń promieniować. Trząsł się nieomal bez przerwy. Nie patrzył rozmówcy w oczy. Mówiąc jąkał się.

To miał być potężny generał? Geniusz, który podbił wschód? Ten mały człowieczek lękał się własnego cienia!

Ale ten mały człowieczek dysponował wielkim rozumem. Bicz Boży w to nie wątpił. Ten umysł potrafił dokonać cudu – zjednoczyć bliski wschód praktycznie rzecz biorąc bez rozlewu krwi.

El Nadima należało traktować poważnie i nie dać się zwieść jego powierzchowności. W końcu zrobił, co zrobił.

–Jak rozumiem, zostałeś tu przysłany przez niesławnego Necremneńczyka, Aristithorna. Nie do końca pewny, czy jest to przesłuchanie, Szyderca milczał.

–Nie otrzymałem żadnych zapowiedzi twojego przybycia. Nie żądałem twojej obecności. Czarodziej nie liczy się w poczet mych sprzymierzeńców. A więc czemu zawdzięczam twą obecność? – El Nadim mówił tonem omalże przepraszającym.

–Ja sam sobie podobne zadawał pytanie, od momentu gdy lord Aristithron poinformował mnie, że mam udać się do Throyes. Czarodziej to mistrz milczenia. Ale jego rozkazy były całkowicie jasne. Pomagać el Nadimowi na wszelkie dostępne sposoby, jakby ten był prawdziwym panem moim, przez okres jednego roku, potem wracać do Necremnos. W mojej opinii: mistrz dobrze jest znany ze swego zainteresowania sprawami międzynarodowymi. Jak również ze swej dezaprobaty dla problemów rodzonych przez niepotrzebne konflikty. Także jest fanem Starego Imperium. Podejrzywałbym, iż pan mój zada mi stosowne pytania, by zdecydować, czy El Murid i jegoż ruch stanowią godnych spadkobierców płaszca Ilkazaru.

–Rozumiem. Niektórzy z moich braci w wierze uznaliby te słowa za obrazę naszego Pana. Necremneński czarownik ma osądzić jego prawo do założenia Nowego Imperium. Co więcej, Adept zakazał uprawiania działalności tobie podobnym.

–Cóż, myślę, że nadszedł czas, aby onże zdał sobie sprawę z otaczającej rzeczywistości. Będzie bezwzględnie potrzebował pomocy taumaturgicznej natury, aby cele doczesne osiągnąć. Taka jest prawda. Od lat już zachodni królowie i dowódcy proszą o pomoc zachodnich czarowników. Ci ostatni zaczynają powoli dostrzegać w El Muridzie niekłamane zagrożenie, jako że ten niezłomnym jest wrogiem magii. Niektórzy głosowali nawet, by sprzymierzyć się z wrogami Adepta nadchodzącego lata, by Zastępy Światłości nie odniosły zbyt wczesnie sukcesu. El Nadim uśmiechnął się tajemniczo, potem zmarszczył brwi, patrząc gdzieś za plecy Szydercy. Wydawał się równocześnie rozbawiony i nieco skonsternowany. Szydercy zaś zdziwiły poniekąd jego dalsze słowa:

–Do naszych uszu również doszły takie pogłoski. Mówiąc szczerze, martwi mnie to. Ale Adepta bynajmniej. Jednak źródła informacji, którymi wy dysponujecie, z pewnością są lepsze od naszych.

Szydercę zatkało. Udało mu się sklecić prawdę z zupełnie przypadkowych plotek?

–Ale coż możesz zrobić dla mnie takiego – zapytał el Nadim – czego nie mogą moi kapitanowie i astrolog?

–Jestem jedynie czeladnikiem, zgoda. Nie zapominajmy jednak, że jestem wyszkolony dobrze w pewnych pomniejszych czarach oraz ekspert rozmaitych wróżb. Mogę służyć radą.

Oczy el Nadima zwęziły się.

–Kłamca! – powiedział ktoś cienkim głosem za plecami Szydercy.

Zaczął się odwracać. Za późno. Silny cios przytrzymał jego unoszącą się dłoń do skroni. Zawirowało mu w głowie, opadł na kolana, potem osunął się na posadzkę wprost pod stopy el Nadima.

Nic nie widział. Nie potrafił się poruszyć. Ledwie słyszał wypowiedane słowa. Nie potrafił nawet przeklinać złośliwego zbiegu okoliczności, któremu zawdzięczał swoje nieprawdopodobne położenie.

–Dosyć, Feager! – krzyknął el Nadim. – Wytłumacz się.

–On jest oszustem – oznajmił niegdysiejszy kompan Szydercy, Zajac, bo nim właśnie okazał się na poły ślepy astrolog generała. – Kompletnym oszustem.

To nie może się dziać naprawdę, myślał Szyderca. Stary nie mógł przecież przeżyć upadku. A jednak mu się udało. Dlaczego więc nie skończył z nim od razu?

Szyderca rozumiałby przecież konieczność takiego czynu. Sam był dzieckiem owej konieczności. Wypełnawszy z nurtów Ro, potłuczony i niezdolny zmusić nikogo, by o niego zadbał, Zajac musiał się przystosować, aby przeżyć. Miało to na niego zdumiewająco odmładzający i regenerujący wpływ.

–Wyjaśnij – zażądał el Nadim.

Szyderca nie potrafił ani się poruszyć, ani bodaj przemówić, jednak ogłupienie i ból nie stłumiły nagłego rozbawienia, jakie go przepełniło. Zrozumiał, że Zajac go nie wyda, czyniąc to bowiem, zdradziłby samego siebie.

–Hm... – zaczął Zajac. – Był kiedyś moim asystentem. Próbował mnie zamordować.

Szyderca dochodził powoli do siebie. Wyskrzecztał:

–To tylko częściowa prawda, panie. Dawno temu podróżowaliśmy trochę razem.

Bardziej był ze mnie niewolnik, po prawdzie.

Jego słowa zainicjowały bitwę na spryt i półprawdy. Ale i uczeń, i nauczyciel zręcznie omijali każdą uwagę, która mogłaby ich zdradzić. I Szyderca stopniowo uzyskiwał przewagę w tej wymianie zdań.

Znał prawo El Murida. Wiele uwagi poświęcono w nim ochronie dzieci. Wciąż więc powracał do złego traktowania, jakiego zaznał od Zajaca. Stary mógł się bronić przed jego zarzutami, tylko kłamiąc. El Nadim wyczuwał to.

–Dość! – warknął wreszcie i po raz pierwszy jego głos naprawdę brzmiał jak głos legendarnego dowódcy. – Obaj macie po części rację. I żaden z was nie mówi całej prawdy. Feager, nie odważę się bez potrzeby rozgniewać Aristithorna.

Szyderca westchnął i uśmiechnął się. Wygrał rundę.

–Wdzięcznym jest za zaufanie, panie. Chętnie zrewanżuję się za nie usługami najwyższej jakości.

El Nadim wezwał lokaja. Ten zaprowadził Szydercę do najwspanialszego wnętrza, jakie grubas miał dotąd okazję podziwiać. Zamknięty w nim, nieustannie powracał myślami do podstawowej kwestii, próbując wykombinować, jak Zajac mógł przeżyć. I w jaki sposób on sam miałby skończyć, co zaczął, i nie trafić sześć stóp pod powierzchnię ziemi.

Będzie musiał myśleć szybko, zawsze być o krok przed starym.

A trzeba było już dawno powiedzieć: do diabła z tym. Zrobił już swoje w Ipopotam i w tej sprawie z Yasmid. A tak w ogóle, co się stało z dziewczyną? Haroun zabrał ją gdzieś... Przed oczyma wyobraźni stanął mu obraz ludzkich kości rozrzuconych wśród drzew, gdzieś

w górnych partiach Kapenrungów.

Następnego ranka el Nadim wezwał go do siebie.

–Potrzebuję przepowiedni – poinformował go generał.

Szyderca był zbity z tropu.

–Przepowiedni, panie? Jakiego rodzaju? Cóż, kiepskom wyszkolony w pracy nekromanty, czytelnika wnętrzości i tak dalej. Najlepiej radzę sobie z gwiazdami, tarotem i pałeczkami ching.

–Feager już odczytał dla mnie układ gwiazd. Przyświecający mojemu przedsięwzięciu na zachodzie. Potrzebuję konsultacji. Oczywiście, jeśli zechcesz użyć więcej niż jednej metody, każda kolejna opinia będzie dla mnie cenna.

–Będę potrzebował więcej czasu, aby zdobyć szczegóły pozwalające na właściwe odczytanie układu gwiazd – powiedział Szyderca. – Wolałbym nie być zmuszony ufać koledze na słowo. Rozumiemy się? A więc na razie spróbujmy skorzystać z kart, które w tych okolicznościach są z pewnością najszybszym i najłatwiejszym sposobem.

Wyciągnął spod szaty talię zdobnych obrazków, podsunął el Nadimowi.

–Proszę dotknąć, panie. Przełożyć. Dobrze potasować, myśląc równocześnie o pytaniach, jakie chcesz zadać.

El Nadim zerknął na niewzruszonych wartowników rozstawionych pod ścianami komnaty. Tego, który był Ręką Prawa, nie powinno się przyłapać na tym, jak je łamie.

Strażnicy patrzyli w przestrzeń, jak to zawsze czynili.

El Nadim wziął talię. Dotknął. Potasował. Oddał karty. Szyderca przysiadł na piętach i zaczął rozkładać je tuż pod stopami generała.

Rozłożył już pięć kart. Czuł, jak serce mu wali. Z położeniem szóstej długo zwlekał.

Kolejna zła karta. Zerknął w górę. Czy ośmieli się zacząć jeszcze raz?

Kolejne karty uczyniły rysujący się obraz jeszcze bardziej ponurym.

Nie mógł przecież kłamać w żywe oczy. Niewykluczone, że El Nadim był trochę zorientowany w symbolice tarota.

–Źle, co?

–Nie jest dobrze, panie. Przed tobą wielkie niebezpieczeństwo. W mej opinii może nie całkowicie nie do pokonania, ale bardzo nieprzewidywalne. Wolałbym teraz raczej odczytać horoskop, gwiazdy powinny być bardziej dokładne.

–Aż tak źle? W porządku. Zadawaj swoje pytania.

Układ gwiazd ukazał przyszłość w równie ciemnych barwach. Szyderca miał już pewność, że Zajac uzyskał także mroczną wróżbę; el Nadim wyczuł to i pozostało mu tylko żywić nadzieję, że alternatywna wyrocznia okaże się bardziej obiecująca.

–Mimo to... – zadumał się el Nadim po tym, jak grubas poinformował go o swoich ustaleniach. – Mimo to wyruszamy. Jutro. Sam El Murid wydał taki rozkaz.

Wydawał się tak zasmucony i zrezygnowany, że Szyderca natychmiast pożałował, iż przyjdzie mu własnoręcznie zmienić swe proroctwa w rzeczywistość.

W szeregach wroga zawsze można było spotkać dobrych ludzi, a el Nadim był jednym z najlepszych spośród aktualnych nieprzyjaciół. Był człowiekiem naprawdę pełnym ciepła, troski i poczucia sprawiedliwości. To właśnie jego człowieczeństwo, nie zaś bitewny geniusz, stopiło prowincje środkowego wschodu w istny wizerunek Nowego Imperium.

Naprawdę wierzył, na swój delikatny sposób, w Prawo El Murida... a nadto posiadał wolę i możliwości, aby wcielić je w życie.

Plaga nacjonalizmu jeszcze nie zaraziła wschodu. Wizja Imperium, jaką proponował el Nadim, wychodziła naprzeciw potrzebom, które na podzielonym zachodzie wygasły już dawno temu.

Szyderca potrafił to zrozumieć. Być może el Nadim również rozumiał. Ale w Al Rhemish nie mieli o tym zielonego pojęcia. El Murid oczekiwał od swych generałów, że skoczą w odmęt obcej cywilizacji składającej się z dziesiątek rozmaitych kultur i królestw i powtórzą sukces, który on osiągnął na obszarze, gdzie istniały tylko trzy znaczące ugrupowania etniczne.

–Zgubiony – wymamrotał pod nosem Szyderca, wędrując w ślad za el Nadimem przez zachodnią bramę Throyes. Na obszarach za łańcuchami Kapenrungów el Nadim przekona się, że perswazja i sprawiedliwość mają niewielką wartość. Lordowie zachodu rozumieli i mówili tylko jednym językiem, znali tylko jedną rzeczywistość, jedno prawo, a symbolem tych wszystkich rzeczy był miecz.

Z każdym dniem grubas stawał się coraz bardziej nerwowy. Gdzieś w cieniu zawsze majaczyła sylwetka Zajaca, ciągle napomnienie, że przeszłość zawsze znajdzie sposób, by dosięgnąć go karzącą dłonią. Zaś na zachód od miejsca, z którego patrzył, ciągnęły się szeregi Niezwyciężonych, którzy mogli go pamiętać i którzy mieli mniej do stracenia niż stary.

Po tygodniu usypiającego czujność spokoju Zajac wykonał swój ruch.

Szyderca odprowadził konia na bok kolumny, zsiadł z niego, uniósł szatę i przykucnął. I w tej to właśnie nieeleganckiej pozycji Mroczna Pani poklepała go delikatnie po ramieniu.

Usłyszał zgrzyt żwiru pod stopą. Potem kątem oka dostrzegł poruszający się szybko cień; nic, co żyło na pustyni, nie poruszało się tak szybko. Grubas jednak poruszał się jeszcze szybciej, rzucił naprzód, przetoczył i skoczył na równe nogi, dzierżąc miecz w dłoni.

Asasyn, młody throyeński żołnierz, zagapił się na niego. Żadna istota ludzka nie miała prawa poruszać się tak szybko, a co dopiero taki tłuścioch.

Szyderca ruszył do natarcia. Jego klinga zatańczyła w słońcu, ciskając bryzgi odbitego światła. Stal zaśpiewała swą pieśń, spotykając się ze stalą. Nie minęła chwila, a żołnierz patrzył z przerażeniem na swoją pustą dłoń.

–Zaiste jestem ci zdumiony – powiedział Szyderca, najpierw zmusiwszy tamtego, by usiadł na skale. – Jestem pochwycony w epicki istic dylemat. Wedle wszelkiego prawa powinienem zarżnąć napastnika, jako przykład dla urągliwego starca, który przysłał rzeczonoego. No nie? Natychmiast przerazić chciwca? Ale cierpię na poważne ataki choroby zwanej miłosierdziem. Cofnę się nawet przed przekleństwem zemsty... – Paskudny uśmiech zatańczył na jego okrągłej twarzy. – Nie! Jednak się nie cofnę.

Zaczął śpiewać, krzyczeć i tańczyć, niemniej czubek jego ostrza wciąż niezmiennie tkwił na grdyce żołnierza. Na cały głos zawył kilka skocznych, obscenicznych karczemnych przyśpiewek gardłowym, urywanym głosem, po alteańsku, równocześnie gestykulując tak zapalczywie, jakby wzywał samych Władców Ciemności.

–Jest. Powinno działać. Rzuciłem na ciebie klątwę trądu, mój przyjacielu, zresztą bardzo szczególnego rodzaju.

Twarz żołnierza poczerwieniała – nie potrafił sobie wyobrazić gorszego losu.

–Bardzo szczególną – powtórzył Szyderca. – Zaczyna działać dopiero wtedy, gdy człowiek wypowie pierwsze kłamstwo. – Zaśmiał się. – Zrozumiałeś? Jedno kłamstwo i kłątwa zaczyna działać. W ciągu kilku godzin skóra żółknie. Za kilka dni ciało zaczyna odpadać od kości. Smród jest gorszy niż woń starego trupa. Słuchaj! Jeśli lord generał wezwie do siebie niedoszedłego asasyna, przedstaw całą sytuację dokładnie tak jak wyglądała. W przeciwnym razie...

Grubas zakręcił się, schował klingę do pochwy, schwytał na powrót wierzchowca, dokończył wstydliwą czynność, a potem zajął swoje poprzednie miejsce w kolumnie. Przez cały czas nie mógł powstrzymać chichotu. Tamten głupi żołnierz najwyraźniej mu uwierzył.

Grubas coraz częściej mamrotał i przeklinał w miarę jak kolumna zbliżała się do Al Rhemish. Jego towarzysze spierali się i zamartwiali. Chętnie odwiedziliby Święte Miasto i Świątynię. Szyderca nie potrafił przestać się pocić. To był decydujący okres. To tutaj miał największe szanse spotkania kogoś, kto go rozpozna. To tutaj obecnie rezydował Sidi. To tutaj

Zając najpewniej mógł oczekiwać najlepszej sposobności.

Armia el Nadima zajęła pozycje na krawędzi doliny, mając pod stopami Al Rhemish.

–Gdzie są dywizje, które wysłałem przodem? – rzucił w przestrzeń el Nadim. W zasięgu wzroku nie było po nich śladu. A przecież miały tu nań czekać.

Dostrzegli samotną sylwetkę Niezwyciężonego – przegalopował po moście, a potem pokonał stok.

–Odmawia się wam prawa wjazdu do Al Rhemish – wykrzyknął. – Nasz pan nakazał mi powiedzieć, że macie ruszać na zachód.

–Ale...

–To jest rozkaz Adepta. – Posłaniec najwyraźniej nie był zadowolony z roli, jaka mu przypadła w udziale. Musiał przekazać rozkazy, które i jemu nie bardzo były w smak.

–Mamy za sobą długą drogę. Chcieliśmy pokłonić się w Świątyni.

–Może kiedy będziecie wracać.

–Co się tu dzieje? Coś się stało? – dopytywał się el Nadim. – Stało się, nieprawdaż?

Posłaniec nieznacznie skinął głową, ale powiedział tylko:

–Adept zakazał wstępu do miasta. – Gestem objął południową krawędź niecki. – Nawet pielgrzymom, którzy po większej części są starymi ludźmi, nawet kobietom i dzieciom.

–Nawet swoim generałom? Może mnie przyjmie?

–Nie. Mam ci przekazać wyrazy ubolewania i powiedzieć, że w swoim czasie wszystko zrozumiesz. Nakazał też, byście nieugięte trwali w Wierze. Powiedział, że będzie się za was modlić. – Potem posłaniec zawrócił konia i zjechał na dno doliny.

El Nadim odczekał dłuższą chwilę, zanim powiedział:

–Rozbijemy tutaj obóz na dzisiejszą noc. Może zmieni zdanie.

Decyzja pozostała w mocy. Al Rhemish zignorowało obecność armii.

Szyderca dołączył do kolumny, gdy ta po raz kolejny podjęła swą wędrówkę przez pustynię. Był bezpieczny. Mógł całą swą uwagę poświęcić Zajacowi.

Starzec jednak był ostrożny. Argon okazało się przekonującą lekcją.

Szyderca wytrząsał z butów skorpiony. Raz znalazł na swym posłaniu jadowitego węża.

Cięnięty kamień ledwie minął jego wierzchowca, kiedy pokonywał szczególnie niebezpieczny odcinek górskiego szlaku. W manierce zniecka odkrywał zaprawioną jakimś specyfikiem wodę, z pewnością musiałyby obawiać się też trucizny w jedzeniu, gdyby przestał korzystać ze wspólnej kuchni polowej.

Zajac miał swoich zbirów. Dbali o to, by Szyderca nawet się doń nie zbliżył.

Kłopot powoli zmienił się w wyzwanie. Trucizna doskonale odpowiadała wyczuciu stylu Szydercy. Jakiś środek, który spowodowałby zatrzymanie akcji serca...

Atak serca. Zajac był stary. Niewykluczone, że ma słabe serce. Przestraszyć go na śmierć?

Wykorzystując sympatyczną magię voodoo, której demonstracje on i Gouch widzieli w Ipopotam?

Pomysły i plany przelatywały mu przez głowę niczym pijane motyle. Jest w końcu czarownikiem, czy nie? Dlaczego dotąd nie skorzystał z czarów i nie sprawił, że stary łajdak zaczął uważać się za martwego? W końcu Zajac nie mógł być pewny, czy Grubas naprawdę nie był uczniem Aristithorna.

Nie minęło wiele czasu i Szyderca już mówił do żołnierza:

–Zmęczonym już przecie tymi nieustannymi próbami skrytobójstwa. – Zamachy Zajaca stały się tymczasem tajemnicą poliszynela. – Patrz! – Uniósł w górę obrzydliwą, jadowitą jaszczurkę, która bardziej przypominała fragment prymitywnej paciorkowatej ornamentyki niżli żywe zwierzę. – Znalazłem bestię drzemącą w jukach osiołka. Cierpliwość ma powoli się wyczerpuje. Mam zamiar rzucić klątwę, której wyuczył mnie mistrz Aristithorn. Wyżre serce staremu, śliskiemu wężowi. To klątwa o niespiesznym działaniu. Czasami ofiara umiera po długich miesiącach. Całe piękno jest w torturze oczekiwania. Czy koniec nadejdzie od razu? Jutro? Czy załatwianie na gwałt swoich spraw przybliży cios? He, he. Skrajnych mi trudności przysporzyło jej wyuczenie, ale dzisiaj nie żałuję. Jeszcze piękniejsze jest, że owej klątwy działanie może być za każdym razem przyśpieszone poprzez odpowiednie procedury kabalistyczne. Przyjacielu, nie jest ze mnie żaden okrutnik. Nawet potworów, jako ten jadowity, niegodziwy jaszczur, nie lubię krzywdzić. Ale, i przyznać to muszę ze wstydem, mam zamiar wielką uciechę czerpać, obserwując agonię oczekującą wstrętnego, starego skrytobójcę.

Żwawo okrążał kolumnę wojsk, na lewo i prawo składając podobne deklaracje. Popuścił wodze swej wyobraźni, póki wizerunek klątwy nie stał się tak paskudny, że nie było wątpliwości, iż Zajac dowie się o niej z kilkunastu przynajmniej źródeł i ze strachu gotów będzie narobić w portki.

A jednak... Pogróżki mogły nie wywrzeć odpowiedniego wrażenia. Staruch był równie cyniczny i pozbawiony wiary jak on.

Kiedy podniecenie zaczęło powoli mijać, doszedł do wniosku, że wybrał najgłupsze z możliwych narzędzi zemsty.

Jednak Zajac obserwował każdy jego krok, mrużąc swe krótkowzroczne, małe oczka. Szyderca śmiał się często, zastanawiając na głos, kiedy wreszcie nastąpi koniec, organizując zakłady, w których całą pulę miał zgarnąć ten, kto odgadnie właściwy dzień, a czasami nawet udając, że zdenerwował się już dostatecznie, by brać pod uwagę przyspieszenie działania klątwy. Zajac powoli tracił ze strachu kontenans, stawał się

drażliwy i podenerwowany. Jego przepowiednie dla el Nadima traciły swą siłę przekonywania.

–Widzicie? – rozgłaszał Szyderca po całym obozie. – Klątwa powoli pożera starego łajdaka.

El Nadim coraz bardziej krytycznie odnosił się do pracy Zajaca. Przy każdej inwokacji wyroczni prosił również o opinię Szydercy, co tylko pogłębiało nerwowość starego.

Skończyły się zamachy na życie Szydercy. Zajac zastąpił je próbami negocjacji i przekupstwa. Wszystkie te usiłowania z szyderczym śmiechem grubas odrzucał.

Znienacka Zajac całkowicie stracił wzrok. Szyderca zbliżył się doń i zaczął dręczyć kąśliwymi słowy. obrońcy starego gdzieś zniknęli, wyczuwając odmianę losu.

Kapenrungi majaczyły już przed ich oczyma. Kiedy wezwał go el Nadim, Szyderca musiał z całej siły tłumić pełenzadowolenia uśmieszek i zaczął zbierać się na odwagę, by powoli nadawać poczynaniom generała błędny kurs. Ślepy Zajac, nie mógł już dłużej kwestionować jego przepowiedni.

Generał jednak pragnął pomówić o czym innym. Powiedział:

–Chciałbym, abyś zarzucił pomysł karania starego. Już dosyć go udręczyłeś, nie sądzisz? El

Murid naucza nas, byśmy nie odpowiadali okrucieństwem na okrucieństwo ani nie znęcali się

nad starszymi tylko dlatego, że są od nas słabsi. Być może to, co uczyniłeś w Argon, było

usprawiedliwione. Poczuleś bowiem, że wpadłeś w pułapkę. Ale to wytłumaczenie już dłużej nie

pozostaje w mocy.

Szyderca zaczął gwałtownie protestować.

–Odejdź. I przestań dręczyć tego żalosego starca.

Szyderca odszedł. I mimo całej swej złości zastanawiał się nad tym, co powiedział el Nadim. Przyjrzał się z boku swoim poczynaniom. I bynajmniej nie poczuł się dobrze.

Zobaczył siebie jako okrutną istotę, w niczym nie lepszą od Zajaca, jakiego znał w dawnych czasach, karmiącą swoje pozbawione poczucia bezpieczeństwa ego zdolnością krzywdzenia osoby słabszej.

Ale grubas nie był bynajmniej stworzony do dogłębnej introspekcji. Nie potrafił długo wpatrywać się w odmęty własnej duszy. Zwyczajnie postanowił, że odtąd będzie udawał, iż Zajac po prostu zginął podczas upadku z murów Argon.

Poczuł na twarzy chłodny powiew wiatru od gór, uśmiechnął się i poszedł podręczyć jednego z kapitanów el Nadima.

Kiedy następnym razem stawił się u generała, by wygłosić przepowiednię, miał ze sobą niezdarnie wykreśloną mapę.

–Mój panie – powiedział – cały czas pracowałem, bez chwili wytchnienia. I oto mam plan ominięcia konsekwencji okropnych przepowiedni z przeszłości. Plan opiera się na pozytywnych

aspektach ukształtowania terenu Hammad al Nakir, dzięki którym może udać się osaczyć Losy.

Umykał mi ten pomysł, wyslizgiwał z rąkomalże zbyt szybko, abym za nim nadażył.

Potem

dogoniłem go, i voila! Oto jest nowy generał na tylnych pastwiskach wroga. – Dziko wymachiwał mapą. – Hai! Zwycięskie jest Nowe Imperium! Koniec z męczącą wojną. Ja, którym

okazał się tak genialny, by zaproponować ten plan, otrzymuję wielką nagrodę i w końcu zdolny

jestem porzucić zajęcie ubogiego czarownika i zająć się własnymi interesami.

–Zobaczmy tę mapę. I dowiedzmy się czegoś o twoich propozycjach, a nie tylko o tym, jakie są wspaniałe.

Szyderca rozwinął mapę.

–Widzisz, w jaki sposób Kapenrungi wcinają się na zachód, tworząc naturalną barierę. Założmy, że dałoby się przez nie drogę jaką odnaleźć? Schodzący z gór w Tamerice i pokonujący Alteę Zastęp mógłby znaleźć się na drugim brzegu Scarlotti i dużo dalej na północ, zanim szpiedzy wroga zdadzą sobie sprawę, że onże nadchodzi. Oniż szpiedzy będą daleko na zachodzie, obserwując tradycyjne trasy z Sahel. Nie tak? A więc...

–Nie istnieją żaden przejścia przez Kapenrungi. A nawet gdyby były, i tak nie dysponuję tutaj całą armią. – Siły el Nadima, czwarta część jego armii, liczyły dwadzieścia tysięcy ludzi.

–To ostatnie jest bez znaczenia – powiedział Szyderca. – Szpiedzy mogą wykryć siły idące przodem, sądząc, że to one stanowią całą armię, sądząc, że nowy generał jest z nimi. Jeśli zaś chodzi o przejście, nie przyszedłem nie przygotowany, by jego istnienie ujawnić. – Pulchnym palcem naszkicował poszarpaną linię. – Tak więc. – Trasa była identyczna z tą, którą wcześniej podróżował w towarzystwie Yasmid. I przebiegała w odległości piętnastu mil od aktualnego głównego obozu Harouna.

–Ostatniej nocy, kiedy cała armia spała, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. A potem biegał po niej jak głupi pies, tłukąc się i warcząc. Wreszcie zdecydowałem się poznać rzecz z pierwszej ręki. Hai! Opuszczenie ciała nie było łatwym osiągnięciem. Tak dużo ciała do opuszczenia. Jednak dałem mu jakoś radę i poleciałem, aby przyjrzeć się górą, i odkryłem tę trasę, którą tu wyrysowałem. Przejście będzie z pewnością trudne, ale nie niemożliwe.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że nigdy mu się nie uda samemu wyeliminować el Nadima. A przynajmniej nie w taki sposób, by mógł mieć nadzieję ujścia z życiem. Postanowił więc wmanewrować tamtego w taką sytuację, w której Haroun sam będzie mógł go zabić. Obecność armii zostanie z pewnością odkryta wkrótce po tym, jak wejdzie w góry.

–Zasadniczo pomysł mi się podoba. A co do możliwości jego realizacji... Pozwól mi to przemyśleć.

Czy generał wiedział, że to są góry Harouna? Szyderca miał nadzieję że nie. Ale el Nadim nigdy nawet słowem nie wspomniał o bin Yousifie. Było to nieomal tak, jakby udawał, że Haroun w ogóle nie istnieje.

A co z tymi pogłoskami, które docierały do ich uszu, że Haroun i Beloul są martwi, że zostali zdradzeni przez Shadeka el Senoussiego? Gdyby miały być prawdą, okazałoby się, że prowadzi el Nadima do leża bezzębnego tygrysa, naprawdę ofiarowując mu na tacy

obiecany manewr przez zaskoczenie.

–Nie wolno marnować czasu, panie. Miejsce, gdzie należałoby wejść w góry, znajduje się niedaleko.

–Potrafię czytać mapy. Odejdź i daj mi pomyśleć.

Następnego dnia awangarda kolumny skręciła na północ.

A Szyderca znienacka znalazł się w jej szpicy, obarczony zadaniem wskazywania drogi i wykorzystywania swych rzekomych mocy taumaturgicznych dla przewidywania niebezpieczeństwa.

Dni wlokły się. Góry stawały z każdą chwilą coraz wyższe. W powietrzu wyczuwało się chłodne tchnienia zimowego północnego wiatru, przeciskającego między turniami. Od czasu do czasu padał śnieg. Nerwy grubasa z każdą chwilą stawały się coraz bardziej rozedrgane.

Tamci byli na miejscu, obserwowali. Prawie namacalnie czuł na skórze ich spojrzenia. Dostrzegał znaki, których nikt poza nim by nie rozpoznał.

Cóż miał zrobić, kiedy spadnie topór? Jedna lub druga strona, w najgorszym przypadku obie, napiętnują go jako zdrajcę.

Ale nawet on był zaskoczony, kiedy po ścianach wąwozu zaczęły się z łoskotem toczyć głazy.

Żołnierze krzyczeli. Konie rżały i przysiadały na zadach.

Głazy roztrącały ludzkie sylwetki. Z jasnego nieba mknęły strzały. Szyderca zeskoczył ze swego wierzchowca i pobiegł w kierunku schronienia pod skalnym nawisem. Tam na moment skulił się, próbując zorientować w otoczeniu. Potem zaczął się wspinać po ścianie wąwozu. Chciał zniknąć, zanim ktokolwiek zauważy jego nieobecność.

Po przybyciu trzystu jardów zerknął za siebie.

Dno wąwozu stanowiło jeden wielki chaos, który z każdą chwilą coraz bardziej się pogłębiał. Jednak ludzie el Nadima kontratakowali. Właśnie zmierzali w górę zbocza, przeskakując od jednego dającego osłonę drzewa do następnego. Sam el Nadim był z nimi i jakby nieświadom kamieni oraz strzał popędzał swoich żołnierzy.

Wśród skał na górze dostrzegł Szydercę. Natychmiast zrozumiał, co się stało.

Wyciągnął przed siebie ramię. Wskazał palcem. Widać było poruszające się usta.

Kilkunastu żołnierzy ruszyło w stronę grubasa.

Ten podwinął poły swej szaty i pobiegł.

Rozdział 20

Koniec legendy Załóżmy, że jednak uda im się przedrzeć przez oddział Reskird? – zaczął Haaken.

–Załóżmy. Załóżmy. Stale tylko ciągłe założenia – warknął Ragnarson. – Jeśli się przedrą, to marnujemy czas.

Drżał na całym ciele i nie potrafił opanować zdenerwowania. Przyjrzał się dokładnie armii el Nadima i wątpił, czy pułapka zadziałała jak powinna.

Smokbójca na czele sił rojalistycznych miał zaatakować awangardę wojsk el Nadima w przewężeniu znajdującym się w odległości dziesięciu mil na północ, nękać tamtego głazami i strzałami, póki nie dojdzie do wniosku, iż nie zdoła się przebić. Kiedy zawróci i dojdzie do tego miejsca, przekona się, że droga ucieczki na Hammad al Nakir jest odcięta. Ragnarson

zgrupował tu sześć tysięcy ludzi – najpierw przegnał ich przez góry, a potem rozlokował w kryjówkach, zresztą ledwie na czas, by mijające ich wojska el Nadima niczego nie zauważyły. Dopiero teraz zajmowali się przygotowaniem stanowisk bojowych.

–Sprawdźmy, jak wygląda stan robót – zaproponował. Nie potrafił spokojnie ustać w miejscu. Zbyt mocno martwił się losem oddziału Smokbójcy.

–Na pozycje Smokbójcy powinni dojść wczoraj – powiedział Haaken, idąc za bratem. – Powinniśmy już coś usłyszeć.

–Wiem. – Ragnarson zgarbił się, zaglądając do wąskiego okopu.

W tym miejscu wąwóz był szeroki na jakieś dwieście jardów, a jego dno względnie płaskie. Ściany stanowiły strome, niebotycznie wysokie granitowe urwiska. Dnem płynął wąski, lodowaty strumień, a porastały je gęste sosnowe zagajniki. Przednie stanowiska wojsk Ragnarsona przecinały łączkę przed jednym z takich lasków.

Tam na dole zgromadził swoją piechotę i wsparł kilkoma setkami rojalistycznej kawalerii. Pozostali rojaliści byli albo ze Smokbójcą, albo ukryci w bocznym odgałęzieniu wąwozu, nieco na północ.

–„Złoty most” – wymamrotał Haaken. – Nie wspominając już o tym, że tamci mają przewagę liczebną.

–Wiem. – Ragnarson zamartwiał się dalej. „Złoty most” był koncepcją Hawkwinda. Polegała ona na tym, by zawsze odsłaniać przed przeciwnikiem pozorną drogę odwrotu. Żołnierze, którzy nie widzieli wyjścia z beznadziejnej sytuacji bitewnej, zawsze bardziej uparcie dotrzymywali pola.

Rozkazy rozlokowania sił, jakie wydał Ragnarson, nie pozostawiały el Nadimowi żadnej łatwej drogi ucieczki. A generał miał za sobą liczny zastęp.

–Oto nadjeżdża łącznik od Reskirda.

Kurier doniósł, że Smokbójcą się trzyma. Ale, oznajmił po chwili, el Nadim wyczuł pułapkę. Czwarta część jego sił kieruje się na południe, by zabezpieczyć trasę odwrotu.

–Być może to właśnie jest przełom – zadumał się Bragi. – Jeśli uda nam się wyciąć ten oddział, zanim pojawi się główna banda...

–Po prostu zdradzimy za wcześnie swoją obecność – zareplikował Haaken.

–Nie. Wyślij kogoś, żeby powiedział rojalistom, aby nie pokazywali się na oczy, chyba że ta pierwsza grupa zacznie nas wykańczać.

Łącznik Haakena zniknął w odgałęzieniu wąwozu akurat na czas. Jeźdźcy el Nadima pojawili się dosłownie kilka chwil później.

Ludzie Bragiego pognali na wszystkie strony, zajmując wyznaczone pozycje. Żołnierze el Nadima zatrzymali się. Wysłali naprzód harcowników. Po tym, jak to pierwsze rozpoznanie zostało odparte, przez czas jakiś nie działo się nic.

–Posłali po rozkazy – zgadywał Ragnarson. – Wyglądają na zawodowców.

Oddziały wschodu rozbiły obóz na modłę imperialną, otaczając go rowem i palisadą. Ich poranny atak przebiegał w równie profesjonalny sposób.

Zachodni żołnierze odparli go z łatwością. Tamci wrócili do swego obozu, zdecydowani pozostać w nim, póki nie dołączy do nich reszta sił el Nadima.

–Przypuszczam, że dowiedzieli się tego, czego chcieli – oznajmił Bragi, kiedy stało się jasne, że żaden kolejny atak nie nastąpi.

Ci cholerni ludzie wschodu skakali ze skały na skałę niczym górskie kozice.

„Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką nadrabiają dystans” – myślał Szyderca – „równie dobrze mógłbym usiąść i oszczędzać siły na czas, kiedy mnie dopadną”.

Skoczył między dwa poszczerbione zręby granitu i ruszył w kierunku najbliższej kępy górskich krzewów. Tam się na nich zasadzi. Przedarł się do wnętrza krzewów z gracją przerażonego niedźwiedziątka... I przekonał, że oto stoi twarzą w twarz z rojalistycznym wojownikiem.

Tamten kopnięciem wybił mu miecz z dłoni. Pełen rozkoszy uśmiech przeciął pomarszczoną twarz.

–To ty! – Schwycił szatę Szydercy i cisnął go twarzą na ziemię. Skoczył mu na plecy. Grubas protestował, ale głosem stosownie stłumionym.

–Oszukałeś mnie o jeden raz za dużo, tłuściochu. Pojawili się ścigający el Nadima. Nie widząc swej zwierzyny, zatrzymali się, by porozmawiać.

Gardło Szydercy popieściło ostrze.

–Pi śniesz chód raz, grubasku, i koniec z tobą.

Szyderca leżał nieruchomo jak martwy. Żołnierze zaczęli ostrzem mieczy badać ewentualne kryjówki.

Ze zbocza smugą sfrunęła strzała. Potem następna, i jeszcze jedna. Napastnicy uciekli tam, skąd przyszli.

–Wydostać ich stąd – rozkazał ktoś. Jego akcent był zaiste odrażający.

Szyderca poczuł, jak ten, który go pochwycił, tężeje, rozdarty między posłuszeństwem a żądzą użycia noża. Jego życie wisiało na włosku. Włosek ten wymagał wzmocnienia.

–Hai! – jęknął. – Juzem myślał, że po mnie. Myślałem, że noże wrażej zarazy z pewnością napiją się mej krwi. Miesiące pracy, żeby zwabić ich w pułapkę zmarnowane krwi zapłata. Byłby to smutny koniec jednego z wielkich bohaterów wojny przeciw szaleńcom z pustyni.

Ten ktoś, kto przed chwilą wydał rozkaz w łamanym narzeczu, przeciskał się przez krzaki. Wiążący Szydercę uścisk zelżał. Potem grubas poczuł but wbijający się w jego bok; przewrócił się na plecy. Spojrzał w nieprzyjazne oblicze Reskirda Smokbójcy.

–Hai! Zaiste pojawiłeś się w samą porę, stary przyjacielu. Nie byli już ze mnie zadowoleni, ci ludzie el Nadima. Z jakiegoś dziwnego powodu doszli do wniosku, że ich mistrz magii wprowadził ich w zdradziecką pułapkę. – Zmusił się do śmiechu.

–Nie jestem twoim przyjacielem, grubasie. Wstawaj.

Szyderca wstał. Smokbójca pochylił się i znalazł jego miecz. Szyderca wyciągnął dłoń. Trolledyngjanin odmówił jednak zwrotu broni.

–Przykro mi. Dziękuj niebiosom, że postąpię wbrew temu, co mi podpowiada rozum, i pozwolę ci żyć. Idziemy. Zanim twoi koledzy wrócą z pomocą.

–To mądra decyzja – zapewnił go Szyderca – jako żem bliski przyjaciel wodza rojalistów, Harouna. Przysięgam. – Uniósł w górę dwa pulchne palce. – Ówże byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że starego przyjaciela i głównego agenta spotkało nieszczęście z ręki rzekomego sprzymierzeńca.

–Gdybym był tobą, nie polegałbym zanadto na jego opiece – poinformował go

Smokbójca, popychając w górę zbocza niezbyt delikatnie dłonią. – Wedle ostatnich wieści, jakie do nas doszły, nie żyje. A minęły już całe miesiące i nikt nie ma do powiedzenia nic nowego.

Grubas zadrżał mimo gorąca, jakie ogarnęło go na skutek niedawnych wysiłków. Będzie musiał bardzo zwracać uwagę na swoje zachowanie. Wielu z tych ludzi chętnie skorzysta z pierwszej okazji, żeby mu sprawić lanie.

To po prostu nie było w porządku. Wszędzie, dokądkolwiek się udawał, ktoś miał do niego jakieś żale. Cały cholerny świat chyba się na niego wziął.

Smokbójca pognął go w górę i skroś górskiego zbocza; nie minęło dużo czasu, gdy Szyderca uznał, że tamten próbuje go zagonić na śmierć.

–Siadaj tutaj – oznajmił w pewnej chwili żołnierz Gildii, popychając go w stronę jakiegoś głazu. – I nie ruszaj się z miejsca.

Nie ruszał się z miejsca przez następne cztery dni.

Ze zbocza góry rozpościerał się znakomity widok na dno wąwozu. Obserwował więc, jak el Nadim podejmuje kolejne gwałtowne a próżne wysiłki przerwania blokady. Generał doszedł w końcu do całkiem rozsądnego wniosku, że takie działania nie przyniosą mu żadnych korzyści. Brak przyzwoitego przejścia przez Kapenrungi był faktem dobrze znanym w okolicy. Dlaczego więc miał wierzyć zapewnieniu człowieka, który pod każdym innym względem okazał się wiarołomcą?

Szyderca próbował rozeznaczyć się w losie Zajaca – przyglądał się ciałom, które el Nadim zostawił wycofując się. Nie znalazł zwłok starego. Jeńcy również nie potrafili mu nic powiedzieć. Rojalistyczni towarzysze zaś nie mieli zamiaru zniżać się do tego, by odpowiadać na jego pytania.

Musiał wiedzieć. Nie miał najmniejszej ochoty mieć tego paskudnego starucha za plecami.

–Biada! – zamruczał, gdy el Nadim odstąpił pola. – Znowu ten sam kierat. To powoli zmienia się w skrajnie nudną rutynę. W tę i we w tę przez góry. Przecież nie tak ograniczony los sobiem zamarzył, rozleglejsza wzywa mnie przygoda, nowe chcę zobaczyć kraje. Takie właśnie przede wszystkim gnały mnie na zachód podniety.

Zanim jeszcze zaczął na dobre, już zabrakło mu publiczności. Jaki pożytek z deklamacji, których nikt nie miał zamiaru słuchać?

Siły Smokbójcy poszły za ariergardą el Nadima bez większego entuzjazmu lub bodaj ochoty. Cztery dni ciężkich walk zdawały się żołnierzom aż nadto wystarczającym wkładem w sprawę.

Czterej dosiadali potykających się koni. Haroun i Beloul szli pieszo. Na zmianę padali i pomagali sobie powstać.

Tylko oni przeżyli, a żaden z nich nie wyszedł całkiem bez szwanku. Wszyscy byli skrajnie wyczerpani. Niezwyciężeni byli wytrwałymi i zręcznymi myśliwymi; nadal ich ścigali, jednak udało im się ich na jakiś czas zniechęcić. Niezwyciężeni potrzebowali dnia lub dwóch, aby zdecydować się na wtargnięcie we wrogie góry.

–Słyszałem głos trąbki – wymamrotał el Senoussi. – Bardzo daleki.

–Może to trąby anielskie – odparł Beloul. – Jesteśmy przecież w połowie drogi stąd donikąd. Nikt tu nigdy nie słyszał o trąbkach.

El Senoussi miał jednak rację. Godzinę później wszyscy już słyszeli wycia trąb oraz odgłosy zdające się być odległym szczękiem bitwy. W nieruchomym, chłodnym powietrzu wąwozów dźwięk niósł się daleko.

–To jakaś wielka bitwa – osądził Haroun. – Tu, w górach? Jak to możliwe?

–Od kiedy weszliśmy do tego wąwozu, widziałem mnóstwo końskich odchodów – powiedział Beloul. – Zbyt wiele, by mogły je pozostawić tylko wierzchowce naszych.

Pozostali również to zauważyli. Nikt jednak nie chciał jako pierwszy zwrócić uwagi na zły znak.

–Zbliżamy się – stwierdził chwilę później el Senoussi. – Ktoś powinien się temu przyjrzeć, zanim wleziemy prosto na nich.

–Ma rację. Beloul, weź konia Hassana.

Beloul jęknął, ale zrobił, co mu kazano. Wrócił szybko.

–Gildia i nasi wojownicy złapali w pułapkę część sił el Nadima – doniósł. – Wygląda to paskudnie.

–Kto zwycięża?

–Nie pytałem.

Haroun jęknął, powstając. Bolał go każdy mięsień.

–To, czego mi potrzeba, to tydzień nieprzerwanego snu, ale przypuszczam, że lepiej będzie, jak się pokażę. Niebiosa tylko wiedzą, co sobie myśleli, odkąd zniknęliśmy.

Jego towarzysze wydali z siebie chóralne westchnienie i powoli wgramolili się na siodła.

Chwilę im zajęło, zanim zrozumieli, czego dokonał Ragnarson. Przeciągnął strefę śmierci wzdłuż szlaku wschodniej armii i teraz próbował wyciąć ją w pień.

–Nie funkcjonuje to w ten sposób, jak sobie umyśliłem – przyznał Ragnarson, kiedy zapadający zmierzch dał szansę na spotkanie.

–Dlaczego? – zwolennicy Harouna wpadli w prawdziwą ekstazę na jego widok.

Spotkanie z Ragnarsonem posłużyło mu za wymówkę, by uciec przed ich uprzejmościami.

–Ta szarża z tyłów. Nie mam pojęcia, czy sam pomysł był niedobry, czy też wyprowadziłem ją zbyt wcześnie. Wyglądało na to, że może się udać, a potem el Nadim przypuścił kontratak. Teraz złapał twoich ludzi w pułapkę tego bocznego wąwozu. I nic z tym nie mogę zrobić. Haroun odparł:

–Mogą zostawić swoje zwierzęta i wspiać się po ścianach wąwozu. Jeśli tego nie zrobią, to znaczy, że są tak głupi, iż zasługują na wszystko, co ich spotka. Rankiem sam do nich pójdę.

–Nie mam pojęcia, czy utrzymamy się tutaj.

–Myśl pozytywnie. Odniosłeś dla nas kolejne zwycięstwo. Być może najważniejsze od czasów Alperin. Sam el Nadim wpadł tutaj w pułapkę. Wyobraź sobie, jakie to może mieć konsekwencje. Jest ostatnim z wielkich generałów El Murida. Bohaterem wschodu. To oznacza koniec dziedzictwa Bicza Bożego. Historia życia Mowaffaka Haliego również dobiegła końca. Dotarł jakoś do Al Rhemish, ale potem wykończyła go gangrena. Adept się wściekł.

Ragnarson wyszczerzył zęby.

–Zastanawialiśmy się, co się stało ze sukinsynem. Poszarpaliśmy jego bandę całkiem nieźle, ale po wszystkim nie mogliśmy znaleźć ciała. A więc opowiedz mi o swojej

pielgrzymce do Świętego Miasta. Jak rozumiem, twoja intryga nie przyniosła pożądanych rezultatów.

–Byliśmy tak blisko. – Haroun wyciągnął dłoń z wysuniętym kciukiem i wskazującym palcem, które dzieliła odległość cala. – I wtedy Adept użył swojego amuletu. O mało nas wszystkich nie pozabijał. – Opowiedział całą historię. Słuchacze byli uważani i skupieni, choć momentami wyczuwał ich niedowierzenie.

–Prześpij się trochę – doradził Ragnarson, kiedy opowieść dobiegła końca. – Każę cię obudzić, jeśli będziemy musieli uciekać.

–To miło z twojej strony.

Haroun i jego towarzysze podróży przespali większość następnego dnia walk.

W rojalistów wstąpił nowy duch. Ich król powrócił. Los był po ich stronie.

Ludzie el Nadima również walczyli dzielnie. Ale na nic im się to nie zdało. Nie potrafili się przebić. Ragnarson zaczął już mówić o wysłaniu do el Nadima parlamentariuszy z propozycją kapitulacji.

Odświeżony Haroun pozbawił go złudzeń.

–Niektórzy z jego żołnierzy mogą się wyślizgnąć z obozu i poddać. Ale nie licz, że on sam się zdecyduje. To prawdziwy wierzący. Będzie walczył, póki go nie zabijemy. Albo póki nie zwycięży.

–Nadal nie wiem, czy uda nam się ich wszystkich pozabijać – powiedział Bragi. – Jeśli spróbujemy, może się to skończyć znacznie większymi stratami po naszej stronie.

Haroun wzruszył ramionami.

–Od ciebie zależy, czy pozwolisz mu z powrotem wrócić na pustynię.

El Nadim przypuścił najbardziej zażarty ze wszystkich dotychczasowych ataków. Szeregi Gildii gięły się i chwiały, aż wreszcie pewnie pękłyby na dobre, gdyby nie atak od tyłów, przypuszczony w jak najbardziej stosownym momencie przez Smokbójcę.

Żołnierze wschodniej armii wyczerpani wycofali się do swego obozu. Przez wiele dni żaden nawet nie wyściubił zeń nosa.

–Wygląda na to, że zaczyna się zabawa w to, kto pierwszy zgłódnieje – powiedział Ragnarson. – Ja tam na pewno po nich nie pójdę. Wszystkie głupie dzieci mojej mamy zmarły młodo.

Pięć dni później przybył z białą flagą oficer throyeńskich wojsk. Poprosił o spotkanie z bin Yousifem.

–Wieści się rozchodzą, co? – mruknął Haroun.

–Na to wychodzi – odparł Bragi. On i brat patrzyli bin Yousifowi przez ramię.

–Jesteśmy gotowi omówić warunki kapitulacji – poinformował Harouna Throyanin.

–Dlaczego? Przybyliście tutaj, szukając walki. Znaleźliście ją i naraz chcecie się poddać?

–Nie ma powodu walczyć, jeśli nic na tym nie można zyskać. Gdybyśmy zwyciężyli, wy po prostu zniknęlibyście w górach. Gdybyście wy zwyciężyli, stracilibyście większość waszych

ludzi. Dla wszystkich byłoby najlepiej, gdybyśmy zrezygnowali z dalszej walki.

Haroun przetłumaczył słowa parlamentariusza Bragiemu, który nie zrozumiał throyeńskiego dialektu. Ragnarson powiedział:

–Ten facet jest niebezpieczny. Ma niekonwencjonalny sposób widzenia spraw. Każ mu mówić dalej.

Haroun zadawał kolejne pytania. Tłumaczył odpowiedzi.

–Powtórzył dokładnie to, co powiedział za pierwszym razem. Kończymy walkę i rozchodzimy się w dwie strony świata.

–A jaka z tego korzyść? Musimy mieć naprawdę dobre powody, żeby tak postąpić. Na przykład śmierć albo rany el Nadim. Naciskaj go dalej.

–Nie bądź taki żądny krwi. Wciąż mają przewagę liczebną. – Niemniej Haroun negocjował dalej.

Throyanin odpowiedział:

–Za tydzień przyjadę znowu, żeby zobaczyć, jak się czujecie.

Haroun przetłumaczył.

–Naciskałem go za mocno. Myślałem, że zechcą złożyć broń, jeśli pozwolimy im odejść.

–Co innego moglibyśmy zrobić, żeby ich powstrzymać przed okrążeniem Kapenrungów i dołączeniem do reszty bandy?

–A co ciebie powstrzyma przed wycięciem ich w pień, jeśli złożą broń?

–Jesteśmy żołnierzami Gildii. Nie działamy w ten sposób.

–Może oni również wiedzą, czym jest honor. Patrz, mają zamiar tam siedzieć i próbować nas przeczekać. Racja?

–Na to wygląda. No i rzeczywiście, bardziej byśmy się przydali gdzie indziej.

–Niech dadzą słowo honoru. Mnie to wystarczy. – Haroun już wcześniej zaplanował sobie aktywną kampanię letnią. Ujrzawszy chaos rządzący w Al Rhemish, uwierzył, że fala przyływowa wojny została zawrócona. Miał zamiar znaleźć się w samym ogniu walki, by zachodni sprzymierzeńcy musieli uwzględnić jego roszczenia.

–W porządku – powiedział Bragi.

Haroun podjął na nowo targi z wschodnimi żołnierzami.

Następnego ranka siły el Nadima wydostały się z pułapki, zostawiając broń w obozie. Ragnarson i bin Yousif przyglądali się temu uważnie, gotowi zareagować na najmniejsze podejrzenie zdrady.

Ragnarson był przygnębiony.

–Kolejny bój bez rozstrzygnięcia, mój przyjacielu. Kiedy wreszcie dokonamy jakichś prawdziwych postępów?

Haroun nalegał:

–Dołożyliśmy kolejny kamień do kurhanu El Murida. Bądź cierpliwy. Tego lata, lub w ostateczności następnego, zawali się jego domek z kart. Nic nie trzyma go w kupie. – Paplał radośnie dalej.

–Czy Drugie Imperium może przetrwać długo po tym, jak padł jego ostatni bohater?

Ragnarson uważał, że jak najbardziej.

–To nie jest takie proste, jak chcesz sobie wmówić, Haroun. Wciąż ci powtarzam, że tu nie chodzi tylko o paru ludzi. Poza tym bardzo mi się nie podoba to, co się z nami stało przez ten cały czas, gdy martwiliśmy się tylko o to, jak ich powstrzymać.

–Co się z nami stało? Nic się z nami nie stało.

–Jeśli wierzysz w to, co mówisz, to jesteś bardziej ślepy niż sądziłem.

–Co?

–Nie znam cię na tyle dobrze, by wszystko o tobie wiedzieć. Jesteś człowiekiem skrytym i całe swoje życie w taki sposób przeżyłeś. Ale widzę jasno, co stało się z moim bratem. Haaken zaś stanowi znakomite lustro, ukazujące to, co się stało ze mną. Mam dwadzieścia lat i już jestem starym człowiekiem. Interesuje mnie tylko następna bitwa i o nic więcej się nie troszczę. Po prostu chcę zostać przy życiu. A na tym świecie jest wiele innych rzeczy. Pamiętam czasy, kiedy nadejście lata zwiastowało mi małżeństwo. Teraz nie potrafię sobie nawet przypomnieć twarzy tej dziewczyny. Zapomniałem wszystkie marzenia, które się z nią wiązały. Żyję z dnia na dzień. Nie widzę żadnego celu. Nie dostrzegam, by sprawy szły ku lepszemu. Wiesz, tak naprawdę nie dbam o to, kto zasiada na Pawim Tronie albo czyj bóg został ogłoszony głównym szefem wszystkich bożków.

Haroun przyjrzał się uważnie Ragnarsonowi. Obawiał się, że Bragi może mieć rację. Megelin z pewnością by się z nim zgodził. Jego ojciec natomiast nie. A to właśnie ich cienie często nawiedzały jego duszę.

Z pewnością stracili złudzenia, myślał. A może i coś więcej, coś, o czego stracie nie mieli pojęcia. W jednej sprawie Bragi z pewnością miał rację. Po prostu starali się przeżyć, próbując powiększyć szeregi ocalałych.

Czego jednak Bragi nie rozumiał, to faktu, że wojna nie skończy się, póki El Murid nie zostanie zdetronizowany. Potwór nigdy nie zaprzestanie walki. Zrobi wszystko, by jego misja się powiodła. Wszystko.

Ragnarson pomaszerował do Hellin Daimiel. Na ziemiach, które przemierzał, wrzała gorączka wiosennych zasiewów. Wojna stanowiła groźbę dawno minioną lub przynajmniej odległą. Nieliczne tylko oznaki świadczyły, że kraj pozostawał pod okupacją El Murida.

Każde miasto miało swojego misjonarza, a każdy okręg swego imama próbującego nawrócić niewiernych. W dziele tym dopisywało im nawet szczęście. Bragi widział wiele nowych miejsc

kultu, pobudowanych w pustynnym stylu.

Okupacja wywarła największy wpływ na administrację publiczną. Wyznawcy Adepta na pustyni rozpoczynali od zera i przynieśli ze sobą zupełnie nowe koncepcje, całkowicie ignorujące tradycyjne formy. Chociaż struktura feudalna przetrwała, stara szlachta powoli traciła grunt pod nogami.

Niewiele życzliwości zaznały po drodze jego wojska. Wysiłki propagandy Adepta przynosiły pierwsze żniwo. Ludzie dobrze się czuli w Królestwie Pokoju El Murida albo przynajmniej było im ono w miarę obojętne.

Ragnarson doszedł do granic dawniejszych domen Hellin Daimiel, kiedy powrócił jeździec, którego wcześniej wysłał naprzód. Udało mu się jakoś przedostać. Sir Tury Hawkwind przystał na strategię Ragnarsona.

Haroun i rojaliści znajdowali się gdzieś na południu i poruszali szybko. Oni zadadzą pierwszy cios oblegającym Hellin Daimiel. Oskrzydliwszy ich od północy, Ragnarson uderzy, potęgując efekt wstępnego ataku. Kiedy oblegający zawrócą front, by stawić im czoło, Hawkwind wspomocze operację, wyprowadzając wycieczkę siłami garnizonu miasta.

Siły El Murida pod Hellin Daimiel nie były wielkie, w ich skład nie wchodził także najlepszy wojownik pustyni. Rodzimi najemnicy, starcy, wojownicy, którzy gdzie indziej odnieśli

rany... Ich obecność miała wartość wyłącznie psychologiczną. Haroun wyobrażał sobie, że ewentualna klęska będzie miała reperkusje dalece wykraczające poza liczbę poległych.

Ragnarson napotkał pierwszych pustynnych uciekinierów, kiedy od miasta dzielił go jeszcze dzień marszu. Cios Harouna okazał się całkowicie wystarczający. On i Hawkwind przerwali oblężenie.

–Niech mnie cholera! – przeklinał Ragnarson. – Nogi nam od tyłków odpadają, a jeszcze jesteście, cholera, za późno. Jaka, do diabła, w tym sprawiedliwość?

Haaken zerknął na brata. Na jego twarzy zastygł grymas tłumionego śmiechu.

–Dziękuj za uśmiech losu, głupku.

–W taki sposób mówisz do swojego kapitana, chłopcze?

Haaken wyszczerzył się.

–Kapitana? Jak długo jeszcze? Kiedy wejdziemy do miasta odbiorą ci gwiazdkę, albo nawet cztery. Wracam do prawdziwej Gildii. I prawdziwych oficerów Gildii. Koniec z tą zabawą w pułkownika Ragnarsona.

Ragnarson zatrzymał się jak wryty. Jego żołnierze wlekli się obok. O tym nie pomyślał. Nie był pewien, jak zniesie degradację do stopnia kaprała. Zbyt długo nie podlegał niczyjej komendzie i sam podejmował decyzje. Obserwował, jak jego ludzie maszerują obok. Nie byli prawdziwymi żołnierzami Gildii, mimo sztandaru powiewającego na czele kolumny. Nawet jeden na pięćdziesięciu nie widział Wysokiej Iglicy. Przeżyło tylko sześćdziesięciu siedmiu ludzi

z pierwotnego składu kompanii. Służyli teraz jako oficerowie i sierżanci, szkielet, ale już nie ciało jego małej armii.

–Planujesz zrobić karierę dzięki blokowaniu drogi? – zapytał Haaken.

–Właśnie myślałem o tym, ile się zdarzyło od czasu opuszczenia Wysokiej Iglicy.

–Mnóstwo rzeczy – zgodził się Haaken. I nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl. – Nie odbieraliśmy żołdu przez trzy lata. Człowieku, ale się będziemy mogli zabawić.

–Jeśli nam zapłacą. – Bragięgo zniecka opadły ponure myśli.

Ale okazało się, że nikt nie chce mu odbierać jego armii. Kiedy dotarł do Hellin Daimiel, Hawkwind i bin Yousif już maszerowali na południe z zamiarem wyzwolenia Libiannin, Simballawein oraz Ipopotam.

–Sądzę, że próbują odciągnąć siły od terenów głównych walk na północy – zaryzykował przypuszczenie.

Haakena nie interesował obraz globalny. Całą jego uwagę przykuwało miasto.

Oblężenie było długie i mieszkańcy dotkliwie odczuli jego skutki. Wyglądało to tak, jakby jakiś wszechmocny bóg-potwór zlikwidował wszystkich szczęśliwych, zgodnie żyjących i dobrze odżywionych obywateli czasów minionych i zastąpił ich hordą wychudzonych żebraków o twardym spojrzeniu. Bogaci kupcy, dumni uczeni, bankierzy i rzemieślnicy starego Hellin Daimiel odeszli do widmowej ziemi obiecanej. Miasto nie płynęło już mlekiem i miodem, ale było wyspą nędzy, niedożywienia i rozpacz.

–Co się stało? – dopytywał się Ragnarson dziewczyny jeszcze nie na tyle przerażonej, by nie otwierać ust do obcych. Musiał kilkakrotnie wyjaśniać, żeby zrozumiała wreszcie, iż chce wiedzieć, dlaczego miasto znajduje się w tak opłakanym stanie, skoro itaskiańska marynarka wojenna i handlowa przez cały czas zaopatrywały je w towary.

–Skończyły się nam pieniądze – wyjaśniła dziewczyna. – Chcieli więc naszych skarbów muzealnych. Zapomnieli, z kim mają do czynienia – dodała dumnie. Daimielianie już dawno temu przyznali sobie rolę konserwatorów i odnowicieli zachodniej sztuki oraz kultury. – A więc wysyłali tyle, by ledwie utrzymać nas przy życiu.

–Dziękuję. Wyczuwam tu politykę, Haaken.

–Hm?

–Itaskianie zniszczyli Hellin Daimiel bardziej niżliby Zastępy Światłości zdobywające miasto. Zrobili to, przywdziewając maskę dobroczynności. To okrutne i przebiegłe.

–Co masz na myśli?

–Pamiętasz, co Haroun mówił nam o itaskiańskim ministrze wojny? Dostał, czego chciał. Pozwolił, by oblężenie zrujnowało Hellin Daimiel. I prawdopodobnie przez cały czas przypominał jego ambasadorom, jakież to wielkie przysługi Itaskia im wyświadcza. Może właśnie dlatego Książę Szarego Płaskowyżu tak się ociągał.

–Politycy – powiedział Haaken. I włożył w to słowo całe swoje obrzydzenie.

–Właśnie. – Bragi był nieomal w tym samym stopniu zgorszony. – Zobaczmy, czy nie znajdziemy jakiegoś miejsca, gdzie będzie można zaszaleć. Po trzech latach spędzonych w lesie aż wychodzę z siebie.

Wakacje trwały tylko dwa dni. Jeden z ludzi Ragnarsona przyniósł złe wieści.

–El Murid opuścił pustynię, pułkownik. Nie mają pojęcia dokąd zmierza. Daimielianie się burzą. Wymyślili sobie, że ruszy prosto na nich.

–Do diabła! Cóż, zobaczymy, czy uda się nam przygotować mu odpowiednio ciepłe przyjęcie.

Rozdział 21

Fala powodziAl Murid twardym wzrokiem spoglądał na monumenty, na których upamiętniono imiona poległych w imię Wiary. Było ich zbyt wielu. Dalece zbyt wielu. Obeliski tworzyły już prawdziwy kamienny las na szczycie południowej krawędzi doliny, w której wznosiło się Al Rhemish. Obecność kamieni nagrobnych członków jego rodziny dodatkowo pogarszała jego nastrój.

Wielkiego wysiłku woli wymagało odeń pochowanie Sidiego przy matce. Kusiło go, by cisnąć jego zdradzieckie ścierwo szakalom.

–Esmat.

–Mój panie? – Lekarza ewidentnie trawił niepokój, odkąd jego pan podjął na nowo systematyczne pielgrzymki do rodzinnych grobów.

–Pan obarczył mnie brzemieniem przekazania Prawdy narodom świata. Dotąd zadanie to zlecałem innym. Dlatego też tak wielu umarło. W ten sposób Pan przypomina mi o moim powołaniu.

–Nie nadążam za tobą, panie.

–Sam byłem u początków mej drogi, Esmat. Byłem umierającym na pustyni dzieckiem, kiedy otrzymałem wezwanie. Przyniosłem prawdę z pustkowi. Serca otworzyły się na dobrą nowinę. Wykorzystałem ich. Zmarnowałem ich. Znowu jestem sam. Samotny i zagubiony. Jeśli tego lata znowu zostanę na miejscu, stracę Zastępy Światłości. Kolejne, coraz śmielsze za każdym razem bandy skrytobójców przypomną mi, że czas przeznaczony na wykonanie mego dzieła jest zarówno pożyczony, jak i ograniczony. Tego lata, Esmat, Adept

stanie się wojownikiem sprawy Pańskiej, towarzyszem broni Zastępów.

–Panie, wszak przysięgałeś nigdy więcej nie ruszać na wojnę.

–Nieprawda, Esmat. Przysięgałem nigdy więcej nie narzucać swej strategii Zastępom. Obiecałem, że zostawię prowadzenie wojny mym generałom. Przygotuj mi eskortę, wracamy na zachód.

–Jak rozkażesz, mój panie.

–Jeśli Pan wezwie mnie do siebie, Esmat, chcę spocząć obok Meryem. A jeśli Yasmid kiedykolwiek się znajdzie, złóżcie ją u mego drugiego boku.

–Tak się też i stanie, panie. Czy kiedykolwiek mogłeś w to wątpić?

–Dziękuję ci, Esmat. Chodźmy. Przygotujmy się, albowiem godzina naszej próby wybiła.

–A Pan, Bóg nasz, który jest Władcą Zastępów, zdepcze twych wrogów, o Wybrany, i będą pić kwaśne wino swej niewiary, i będą unicestwieni.

–Esmat! Zdumiewasz mnie. Sądziłem, że obojętne są ci Nauki. Nie wiedziałem, że potrafisz

spojrzeć poza zasięg swoich małych ambicji.

Lekarz zadrżał. Jak subtelny był Adept, skoro potrafił napominać go w tak delikatny sposób! Jego wykroczenia były mu wszak dobrze znane! Zostały wybaczone, ale nie zapomniane.

–Nikt dokładnie nie wie, co kryje się w mym sercu, panie, a ja chyba najmniej. Jestem tak głupi, że próbuję być kimś, kim nie jestem.

–To powszechne przekleństwo dotykające ludzkość, Esmat. Mądry człowiek potrafi okiełznać te skłonności, zanim zaprowadzą go w cień, gdzie wszelkie pretensje są na nic.

–Czuję się dzieckiem w świetle twej wiedzy, panie.

El Murid spojrzał na niego ostro. Czy to był cytat, czy też delikatne szyderstwo?

Nie wyruszył od razu na zachód, tak jak zamierzał – wyjazd opóźniły wieści o zagładzie el Nadima.

–Oto Pan dopisał ostatni akapit swego przesłania, Esmat – powiedział. – Sam zostałem na polu bitwy, nagi pod spojrzeniem Złego. Teraz muszę pokonać jego pacholków, jak pokonałem samego Diabła w Świątyni.

–Nie jesteś całkiem sam, panie. Zastępy Światłości liczniejsze są niż kiedykolwiek.

–Ale któż będzie nimi dowodził, Esmat?

–Powołaj radę przywódców, panie. Każ jej stworzyć listę kandydatów.

–Tak. Dobry pomysł. Zbierz właściwych ludzi, Esmat.

Dowódcą uczynił w końcu Syeda Abder-Rahmana, człowieka najmniej popularnego wśród funkcjonariuszy, którzy najchętniej widzieliby na tym stanowisku, kogoś, kim będą mogli manipulować. El Murid nie pamiętał, by kiedykolwiek spotkał tego człowieka lub bodaj o nim słyszał. Ale cieszył się on zaufaniem wojskowych.

Na zachód wyruszył dwa dni po podpisaniu nominacji.

Wieści o jego podróży mknęły jak na skrzydłach wiatru, wyprzedzając go. Wrogowie ze strachem chowali się w najciemniejsze kąty. Przyjaciele odważnie wychodzili na światło dnia. Tłumy wiwatowały na trasie jego przejazdu. W każdym mijanym mieście zwalniał, aby móc ścisnąć dłonie Wiernych, błogosławić ich i ich potomstwo, wyświęcać nowe miejsca kultu.

–Zignorujemy ich – oznajmił, kiedy Esmat przyniósł wieści o załamaniu oblężenia Hellin Daimiel. – Niech bin Yousif miota się jak wściekły pies, próbując odwrócić mą uwagę od wyznaczonego celu. Jego małe triumfy nie znaczą nic. Nie przysporzą mu żadnych nowych popleczników. Zetrzemy na proch jego bandytów, gdy tylko poradzimy sobie z północnymi pachołkami Złego.

Syed Abder-Rahman był człowiekiem pełnym energii. Nie marnował ani chwili i od razu przystąpił do wcielania w życie swej strategii. Wschodnia armia el Nadima podążała odmienną trasą niżli zachodnia część sił, marszrutą wzdłuż linii brzegowej Dunno Scuttari. Celem tamtej drugiej armii było bezpośrednie uderzenie na Itaskię z punktu zgrupowania w Pomniejszych

Królestwach. Kilkanaście niedużych dywizji działało samodzielnie na obszarze między dwoma wielkimi ugrupowaniami – ich zadaniem było niepostrzeżenie przeniknąć na północ. Zanim el Murid doń dołączył, Syed Abder-Rahman zdołał już stoczyć swoją pierwszą bitwę.

Podobnie jak tylokrotnie wcześniej, jej wynik pozostał nie rozstrzygnięty. Książę Szarego Płaskowyżu odparł atak zachodnich Zastępów, nie chciał ich jednak rozbić. Wciąż nie potrafił porzucić myśli o korzystnej dla siebie zdradzie. Abder-Rahman oparł swoją strategię właśnie na tych ograniczeniach wizji politycznej księcia.

Ledwie udało się Księżciu Szarego Płaskowyżu odeprzeć atak skierowany wprost na interior, a już musiał gnać całą armię na zachód, by bronić wybrzeża. Podczas jego nieobecności Rahman przygotował zachodnie Zastępy do nowych działań zaczepnych.

Wtedy właśnie dołączył doń El Murid. Pojawiał się na wszystkich naradach. Przysłuchiwał się wszystkim dyskusjom i przyglądał wszystkim mapom, jednak swoje zdanie zatrzymywał dla siebie. Wciąż nawiedzało go widmo Wadi el Kuf.

Nadeszły wieści, że Libiannin poddało się Hawkwindowi i bin Yousifowi. Walki ponoć były niezwykle zażarte. El Murid postanowił to zignorować.

–Odnieśli poważne straty. Pozwólmy im tracić siły. Jeśli wyślemy kolejnych ludzi, tamci po prostu uciekną w góry. Martwmy się przede wszystkim o to, by jak najszybciej skończyć z Itaskią.

Książę Szarego Płaskowyżu zatrzymał armię na wybrzeżu. Aby dotrzeć doń na czas, musiał bardzo rozciągnąć swe siły. Armia wschodu była mniej liczna, ale nie zmęczona wojną. Oficerowie aż palili się do bitewnej sławy.

Abder-Rahman znowu ruszył na północ.

Książę Szarego Płaskowyżu zrozumiał wreszcie, w jaką wpadł pułapkę. Dwie armie najwyraźniej miały zamiar odbijać go między sobą jak piłeczkę, podczas gdy mniejsze dywizje Rahmana, prześlizgnęły się na jego tyły, szerząc chaos. Jeśli się wycofa i zajmie pozycje obronne przy trasach wiodących do Itaskii, jedna albo druga armia zdoła wyminąć jego pozycje i pokonać Srebrną Wstążkę. Natomiast w przypadku zagrożenia samego miasta z pewnością straci stanowisko głównodowodzącego, a wraz z nim wszelkie szanse na wyciągnięcie zeń jakichkolwiek korzyści.

Jego pozycja już była zagrożona; stąpał po cienkim lodzie. Nie ośmiewał się nawet odwiedzać miasta. Tłumy witały go wyzwiskami i gradem kamieni. Wieści z południa o partyzantach i Gildii wyzwalających nabrzeżne miasta tylko pogarszały jego wizerunek. Ludzie chcieli wiedzieć, dlaczego Hawkwind i bin Yousif mogą zdobywać wielkie miasta, a

on niczego nie potrafi dokonać. Cierpliwość sprzymierzeńców Itaskii powoli się wyczerpywała.

Musiał odnieść zwycięstwo i to naprawdę w wielkim stylu.

Esmat ukradkowo rozglądał się to tu, to tam, zbliżając do swego pana. Nie dostrzegł żadnych niepożądanych świadków ich spotkania.

–Panie – wyszeptał. – Przybyło poselstwo od wroga i pragnie się z tobą spotkać.

El Murid był zaskoczony.

–Ze mną?

–Tak, panie. To ci sami, którzy skontaktowali się z tobą kilka lat temu.

–Ten książę?

–Jego ludzie.

–Wprowadź ich. – Być może w ten sposób uda się coś osiągnąć. Gdyby można było jakoś zneutralizować upór Itaskii... Niekończąca się wojna nikomu na dobre nie wyjdzie. Jego marzenie o zazielenieniu pustyni nigdy się nie spełni, jeśli wszystkie siły imperium wciąż będą pochłaniać próby osłabienia bezkompromisowego wroga.

Propozycje Księcia Szarego Płaskowyżu pozostały identyczne, natomiast stanowisko El Murida uległo zmianie. Jego zgoda na ponowne wcielenie shaghunów do armii stanowiła tylko jeden ze znaków.

–Oto co mam zamiar zrobić – oznajmił emisariuszom. – Nominuję księcia wicekrólem wszystkich północnych terytoriów. Nie tylko Itaskii, ale Dvaru, Iwa Skołowda, Kamieńca Prost i Shary. Będzie też dysponował identycznymi plenipotencjami na terenie całego Imperium i na terenach zdominowanych przez Wiarę. W zamian musi uznać suwerenność Imperium, zgodzić się na swobodny napływ misjonarzy na swe terytoria i wносить skromny doroczny wkład w dzieło odbudowy wielkich dokonań Ilkazaru. W czasie wojny lub niepokoju będzie musiał ogłaszać pobór na potrzeby obrony Imperium.

Emisariusze najwyraźniej byli pełni wątpliwości, chociaż El Murid praktycznie rzecz biorąc proponował księciu własne imperium w ramach jego Imperium. Powiedzieli jednak, że przekażą jego stanowisko.

W oczach księcia znalazło ono większe uznanie, niż z początku oczekiwali. Właśnie układał list przyjmujący propozycję, kiedy przeszkodziły mu nieoczekiwane wydarzenia.

Abder-Rahman dogonił itaskiańską armię przy Pięciu Kręgach.

Pięć Kręgów stanowiło pozostałość ogromnego zabytku prehistorii. Ułożone były w krzyż pośrodku trawiastej równiny, nieco na uboczu od głównej drogi łączącej Itaskię z Pomniejszymi Królestwami. Równinę ze wszystkich stron otaczała dębowa puszcza. Rodzimi mieszkańcy tych terenów unikali megalitów. Moc pulsowała tutaj silnie. Stanowiły miejsce, gdzie sabaty czarownic zbierały się, by odprawiać swe osobliwe nocne rytuały.

Ani Książę Szarego Płaskowyżu, ani El Murid nie mogli już odmienić biegu wydarzeń po tym, jak armie znalazły się w zasięgu wzroku. Abder-Rahman za wszelką cenę próbował zmusić

poszarpane wojska itaskiańskie do bitwy. Wiedział, że jedna spektakularna porażka odbierze im sojuszników. Sam wybrał równinę na miejsce bitwy, mimo iż zdawał sobie sprawę, że w przypadku załamania jego formacji kręgi posłużą wrogowi za bastiony.

Uderzył zdecydowanie, całą siłą, wysyłając przodem huragan lekkiej kawalerii, za nimi

zaś od razu ciężką konnicę. Szeregi północnych rycerzy poszły w rozsypkę. Jeźdźcy Rahmana klinem wbili się w formacje itaskiańskiej piechoty. Gdyby nie kręgi megalitów, wszyscy daliby głowę.

Walki trwały do zmierzchu. Itaskianie nie mieli dokąd się wycofać. Ludzie Rahmana nie potrafili pokonać fortyfikacji zewnętrznych kręgów. Gdy pojawiało się takie zagrożenie, oddziały stacjonujące w większym, centralnym kręgu udzielały wsparcia towarzyszom.

El Murid porzucił wszelkie pomysły odnośnie do dalszych negocjacji. Podczas wieczornej narady ogłosił:

–Jutro zrezygnujemy z ziemskiej potęgi. Przywołam moc Pana Zastępów i przypieczętuję zagładę zachodu.

Poczuł na sobie setkę zaciekawionych spojrzeń. Odpowiedział im nieugiętym wzrokiem. Ci ludzie w pierwszym rzędzie byli wojownikami, dopiero później wyznawcami. Ich wiara nie miała większego znaczenia dla sposobu, w jaki rozwiązywali problemy swej profesji. Duch Pana nie stanowił zasadniczej pobudki ich czynów.

Ożywi na nowo ich zapał.

–Jutro rzucę wyzwanie niewiernym. Pokażę im, czym jest gniew Pana. Wysmagam ich ogniem i sprawię, że zapłaczą pod osłoną skrzydeł ich mrocznego władcy. Sprawię, że będą uciekać jak zbite psy. Shaghuni, wspomóżecie mnie.

W skład sił Syeda Abder-Rahmana wchodziła nie więcej niż garstka zaprawionych w czarach towarzyszy. Było ich tak niewielu, ich magia zaś tak często okazywała się żalosna, że Rahman rzadko korzystał z ich usług. El Murid spędził z nimi całą godzinę sam na sam.

Nadszedł ranek. Zastępy zajęły wyjściowe pozycje. El Murid szedł na ich czele, ubrany w nieskazitelną biel. Towarzyszyło mu dwóch Niezwyciężonych – nieśli chorągiew Pana i sztandar Drugiego Imperium. Odziani na czarno shaghuni postępowali w ślad za nimi. El Murid zatrzymał się na wzgórzu oddalonym na strzał z łuku od najdalej na południe wysuniętego kręgu. Shaghuni utworzyli płytki półksiężyc za plecami jego i chorążych.

Nad barykadą bezładnie zwalonych głazów ukazały się liczne twarze wrogów. Nocą Itaskianie zwalili większość kamienia budulcowego megalitów. Adept niemalże namacalnie czuł cały ciężar zdenerwowania i strachu tamtych.

Opadł na jedno kolano, skłonił głowę, wzniósł do niebios modlitwę. Potem powstał, ogarnął wzrokiem swych wrogów, wyrzucił w górę ręce i spojrzał w niebo.

–Usłysz mnie, o Panie Zastępów! Oto błaga cię twój sługa: opróżnij czarę swego gniewu na

tych, którzy łajnem obrzucali Prawdę. Ześlij swemu słudze Twoją niezmierną moc, by pokarał ich za grzechy. Usłysz mnie, o Panie Zastępów!

Tylko nieliczni z jego wrogów wiedzieli, kogo mają przed sobą lub rozumieli, co krzyczał. Ale niepotrzebna była im ta wiedza, by pojmować, że oto nadciąga zagłada.

Amulet El Murida rozbłysnął, spowijając jego postać oślepiającą jasnością. Wewnątrz kręgu podniosły się krzyki rozpacz. W panice wypuszczane strzały pomknęły w stronę ognistego człowieka. Shaghuni Adepta odtrącili drzewca.

El Murid opuścił ręce. Grzmot przetoczył się po niebie. Ziemia zadrżała. Kamienie zatrzeszczały, zaczęły pękać, toczyć się, zderzać ze sobą; ciężkie głazy wylały w powietrze, a potem całą swą masą wbijały się w ziemię. Błyskawica rozcięła niebo nad

równiną. Ludzie krzyczeli.

El Murid znowu uniósł dłonie i na powrót je opuścił. I jak wcześniej, niebo przemówiło, nękając ziemię swymi grotami. I znowu potężne głązy zatrzeszczały, popękały, poleciały na wszystkie strony i zwały się stosem kamienia. Ocaleli Itaskianie krzyczeli w trwodze i łkali, szukając drogi ucieczki.

El Murid dał znak Abder-Rahmanowi.

Regiment lekkiej konnicy wysunął się naprzód. Wkrótce zdołał oczyścić krąg megalitów. Żołnierze kulący się w innych szańcach byli zbyt przerażeni, aby przyjść towarzyszom z pomocą.

El Murid wraz ze swą eskortą przeniósł się na pagórek na wprost zachodniego kręgu.

Tym razem jednak zanim Adept zdołał zaintonować modlitwę, niebo pociemniało od strzał. Shaghuni mieli spore kłopoty z odchyleniem toru wszystkich pocisków. Jeden drasnął chorążego, kiedy El Murid wznosił swe ogniste dłonie ku niebieskiemu sklepieniu świata.

Zastęp oczyścił i ten krąg. A potem również i krąg wschodni. I nieprzerwanie wznosił wiwaty na cześć Pana. W końcu uparty wróg zostanie zmiażdżony.

Niektórzy spośród obrońców północnego kręgu próbowali uciekać. Rahman wysłał za nimi swoją kawalerię. Zginęli wszyscy, nim zdążyli choćby dotrzeć do lasu, na oczach towarzyszy, którzy nic nie mogli zrobić, aby przyjść im z pomocą.

Równinę spowiła aura ostatecznego przerażenia. Zastęp nikomu nie okazywał litości – nawet rycerzy i lordów nie brano dla ewentualnego okupu.

Zastęp powoli zamilkł. Adept zwrócił spojrzenie ku centralnemu kręgowi, gdzie połowa północnej armii oczekiwała swego przeznaczenia. Zajął pozycję na szczycie stosu kamiennych gruzów, nieco na lewo od trwającej jeszcze bitwy o południowy krąg. Zastęp skupił się za nim, żądny krwi i łupów.

Książę i jego dowódcy czekali. Kiedy strzały zaćmiły niebo, a Adepta spowiło światło, kilkunastu śmiałych rycerzy przypuściło szarżę. Rahman wysłał ludzi na ich spotkanie. Ale za późno. Shaghuni El Murida zmuszeni zostali do skoncentrowania uwagi na powstrzymaniu szarży. Ostatni rycerz padł dwadzieścia stóp przed El Muridem.

Podczas gdy czarownicy zajęci byli czymś innym, strzały sypały się z nieba niczym grad. Runęły oba sztandary. Padli dwaj shaghuni. Deszcz strzał stał się jeszcze gęstszy. Pozostali shaghuni nie potrafili wszystkich odepchnąć.

Pałająca moc El Murida nie chroniła jego samego.

Pogrążony był w skupieniu tak głębokim, że uderzenie pierwszego grotu odczuł nie mocniej niż ukąszenie pszczoły. Cisnął w ziemię błyskawicą. Wewnątrz kręgu stu ludzi oddało życie.

Druga strzała przeszła uniesioną w górę dłoń Adepta. Jednak i teraz skłonił niebo, by plunęło ogniem. Głązy poleciały na wszystkie strony. Zewsząd dobiegły wrzaski ludzi i kwiczenie koni. Ludzie Rahmana podjechali tak blisko, że mogli razić obrońców z krótkich łuków kawaleryjskich.

Trzecia strzała wbiła się w piersi El Murida, po lewej stronie. Chociaż jej grot minął serce i płuco, samą siłą bezwładności szarpnęła jego ciało, ciskając na ziemię w tej samej chwili, gdy z nieba spłynęła błyskawica, niszcząc resztki megalitów chroniące armię Księcia Szarego Płaskowyżu.

Abder-Rahman zaatakował natychmiast, mając nadzieję, że skończy z wrogiem, zanim wieść o losie proroka rozejdzie się wśród jego ludzi. Zastęp skupił się wokół centralnego kręgu. Esmat dotarł do swego pana, zanim jeszcze blask amuletu przygasł. Ostonił dłońmi oczy.

–Panie?

El Murid jęknął. Powinien już nie żyć. Przerazająca witalność, która w młodości pozwoliła mu pokonać pustynię, a później piekielne chwile po porażce pod Wadi el Kuf, wciąż go nie opuściła. Być może była to także kwestia mocy amuletu. Esmat pochwyił drzewce obalonego sztandaru. Warknął na shaghunów:

–Pomóżcie mi zrobić nosze. – Wiedźmini patrzyli nań ogłupiali. – Zedrzyjcie szaty z któregoś z poległych, idioci! – Spojrzał gniewnie w stronę centralnego kręgu.

Trwała tam walka wręcz, zacięta i krwawa. Żołnierze Zastępu wciąż wlewali się do środka. Jakiś bystry wróg darł się w niebogłosy:

–Adept padł!

Niestety zbyt wielu wojowników widziało, jak Esmat i shaghuni biegli z noszami. Uwierzyli okrzykom.

Lekarz nawoływał, próbując zgromadzić straż przyboczną El Murida. Tylko garstka Niezwycięzonych pamiętała o lojalności.

Szaleńcza panika ogarnęła Zastępy tuż na progu ostatecznego triumfu. Zwycięstwo wymknęło im się z rąk.

Esmat zainstalował siebie i swego pana w chatce drwali, dziesięć mil na południe od Pięciu

Kręgów. Towarzyszyło mu kilkunastu Niezwycięzonych. Większość z nich ukryła się w lesie i śledziła patrole wroga. Dwóch zatrzymał przy sobie.

Wszędzie indziej Zastępy uciekały bezładnie w zapadającym zmierzchu; niewielkie oddziały wojowników ciskały się we wszystkie strony, próbując umknąć Itaskianom, których pomyślny obrót wydarzeń zaskoczył do tego stopnia, że nie podejmowali żadnych poważniejszych wysiłków, aby ich ścigać.

–Trzymajcie go! – warknął Esmat. – Zapomnijcie, z kim macie do czynienia. Próbujemy ratować człowieka, nie legendę. – Odziani na biało ludzie pozostawali nie przekonani.

Esmat dowodził więc: – Jeśli go nie uratujemy, kto będzie przemawiał głosem Pana?

Ten argument trafił Niezwycięzonym do przekonania. Esmat zaczął od najmniej groźnej rany.

El Murid jęknął, a potem krzyknął w głos.

Do wnętrza wpadł wartownik.

–Nie możecie go jakoś uciszyć?

Esmat westchnął.

–Niech się dzieje wola Pana. – Wyciągnął ze swej torby narkotyki. Za wszelką cenę chciał uniknąć ich stosowania. Adeptowi z najwyższym trudem udało się przezwyciężyć swe uzależnienie.

El Murid krwawił obficie, ale najwyraźniej był zbyt uparty, by umrzeć. Esmat wyciągnął z jego ciała cztery haczykowate groty.

–Kiedy będzie zdolny do jazdy? – zapytał dowódca straży przybocznej.

–Nieprędko. Trudno go zabić, ale też niełatwo zdrowieje. Możemy zostać tu uwięzieni na całe tygodnie.

Człowiek w białym płaszczu skrzywił się.

–Niech się dzieje wola Boża – wyszeptał.

Przez cały miesiąc przyszło im mieszkać w chacie. Dwukrotnie Niezwyciężeni wycinali w pień małe itaskiańskie patrole. Trwali. Adept kolejne napady rozpaczy maskował symulowanymi atakami bólu. Ze strachu przed Niezwyciężonymi Esmat dawał mu narkotyki. Po raz kolejny jego pan popadł w uzależnienie.

Zastępy poszły w rozsypkę. Ocaleni uciekali tak szybko, że wrogowie nie byli w stanie ich dogonić. Abder-Rahman nie potrafił poderwać ich do walki. Wszelako tylko jedną formację spotkał ten los.

Tam, gdzie byli dowódcy cechujący się energią i siłą, Wierni trzymali się razem. Dwie z małych dywizji wkroczyły na tereny Kamieńca Prost. Kolejna przekroczyła Srebrną Wstążkę, pustosząc ogniem i mieczem niestrzeżone obszary środkowej Itaskii. Armia na wybrzeżu, po jednym zażartym boju z pozostałościami sił Księcia Szarego Płaskowyżu, zdezorientowała

Itaskian, ruszając na północ i zajmując ich wielki port Portsmouth, w którym podjęła przygotowania do odparcia oblężenia. Pozostałe dywizje czaiły się w pobliżu sił północy, atakując ich aprowizację.

W ten sposób została osiągnięta swego rodzaju równowaga.

Księżę Szarego Płaskowyżu nie był w stanie ruszyć na południe, póki silne formacje zagrażały jego ojczyźnie. Wierni nie mieli jednak sił, by wznowić ofensywę.

Na południu Haroun i Hawkwind wciąż brali na cel kolejne miasta i zamki, strasząc wroga i eksterminując zwolenników Adepta. Zdobyli Simballawein i wkroczyli na ziemie Ipopotam.

Wojskowy gubernator okupowanych prowincji pozwalał im wydatkować zapał i ludzi. Kiedy znajdowali się daleko, zebrał rozbite formacje i na nowo podjął okupację Libiannin, wycinając wszystkich niewiernych.

Haroun, którego rozpierała pewność siebie, namawiał Hawkwinda, by ruszać na północ i odbić miasto.

Pułapka zatrzasnęła się w pewnej wąskiej dolinie, dzień marszu od Libiannin. Hawkwind i bin Yousif zostawili na polu osiem tysięcy poległych. Zostało im tylko dwanaście tysięcy ludzi. Ocaleni zdążyli dotrzeć do wnętrza niebronionego Libiannin. Nie witano ich jednak jako wyzwolicieli. Wrogowie zdążyli nastawić całe miasto przeciwko nim.

–Otrzymałem wieści o wielkim zwycięstwie, panie – oznajmił Esmat, usłyszawszy o wydarzeniach na południu, w wiosce, przez którą akurat przejeżdżali. Zmierzali na południe krótkimi etapami. – Siły rojalistów i Gildii niemal całkowicie prawie zniszczone podczas bitwy w pobliżu Libiannin. Ocaleni schronili się za murami miasta.

Adept był czujny i w pełni władz umysłowych. Bez trudu dostrzegał konsekwencje tych wydarzeń. A jednak nie potrafiło go to uradować.

Wykonał dzieło Pana i spełnił wolę Pana, a Pan go zdradził.

Pan pozwolił, by jego sługa padł w momencie poprzedzającym bezapelacyjne zwycięstwo. Zniósł wszelkie możliwe upokorzenie, wycierpiał dla Wiary wszelkie

wyobrażalne straty... Trupa swej wiary zostawił rozciągniętego na tamtym polu, między zwłokami swych chorążych.

–Gdzie teraz jesteście, Esmat?

–W Vorhangs, panie. Kilka dni drogi od Dunno Scuttari. Tam będziesz mógł odzyskać siły.

–Wyślij wiadomość do dowódcy garnizonu. Poinformuj go, że żyję. Każ mu wysłać kurierów do wszystkich naszych dowódców i donieść im o tym. Przekaż mu, że chcę ogłoszenia powszechnego zawieszenia broni. Powiedz także, by nagłośnił moją ofertę zwołania powszechnej konferencji pokojowej za miesiąc w Dunno Scuttari.

–Mój panie? A co z Nowym Imperium?

–Zadowolimy się tym, co uzyskamy w drodze negocjacji.

–Mamy wrogów, którzy nie zechcą zasiąść z nami do rozmów, panie.

–Gildię? Bandytów bin Yousifa? Powiedziałaś, że wszyscy zginęli. Ale oczywiście zaprosimy też Wysoką Iglicę. Z pewnością są już w wystarczającym stopniu zmęczeni wojną, by zrezygnować z sankcji wobec nas, które ogłosili, gdy Niezwyciężeni zmasakrowali tych starców. Ale nie będzie pokoju z rojalistami. Nigdy. Przynajmniej póki stanie mego życia lub życia bin Yousifa. Esmat, ten bój to wszystko, co mi zostało. Wszystkich innych już zabili. Moją żonę. Moje dzieci. Nassefa. Nawet moją wiarę w Boga i moje powołanie.

Esmat odpowiedział cytatami z jego nauk.

–To były naiwne, w chwili natchnienia zrodzone deklaracje, Esmat. Czasami nienawiść jest wszystkim, co pozostaje mężczyźnie. – Być może tak samo było w przypadku każdego, kogo wcześniej mianował sługusem Złego. Pijak, hazardzista, alfons... może każdy z nich stał się tym, czym się stał, nie z powodu oddania złu, ale ze względu na potrzebę, którą tylko tak odrażające życie było w stanie zaspokoić. Może niektórym ludziom potrzebna była pogarda dla samego siebie.

Jego wjazd do Dunno Scuttari stał się okazją do wielkiego świętowania. Wierni tysiącami stawali na trasie jego przejazdu, wiwatując i płacząc, jakby przywoził im wieści o zwycięstwie Wybranych. W przesyconym odorem rzeki powietrzu wisiała obietnica karnawału. Wybuch entuzjazmu nie kazał na siebie długo czekać. Wydobywano z kufrów kostiumy i maski. Pędzono byki ulicami. Wierni bratali się z niewierzącymi i dzielili z nimi łyż szczęścia.

El Murid pobłogosławił świętujących z wysokiego balkonu. Na jego twarzy zastygł nieznacznym uśmiech.

Esmat na głos dziwił się ich radości.

–Cieszą się nie ze względu na mnie, lecz na siebie, Esmat.

–Panie?

–Nie cieszą ich ani zdobycze, ani mój powrót. Cieszą się, ponieważ dzięki temu, że ocalałem, sekretne oblicze jutra powlekła znowu znana maska. Uwolniłem ich od niepewności.

–Wobec tego z pewnością będą rozczarowani, kiedy przekonają się, ile chcesz poświęcić dla pokoju.

Adept jednak już postanowił, że sprzeciwi się swemu Bogu. Jego misja, powtarzał sobie, polegała na zbudowaniu Królestwa Pokoju. Niezdolny był już dłużej wysyłać ludzi na

śmierć...

–Co ze środkami przeciwbólowymi? – zapytał jakby mimochodem. – Czy dostawy są zabezpieczone?

–Raz już nazwałeś mnie tchórzliwym szczurem, panie. Od lat okupowaliśmy Ipopotam. Zdobyłem dość, by wystarczyć na kilka żywotów.

El Murid w roztargnieniu pokiwał głową. Oszołomiony narkotykami, będzie w stanie nie dopuszczać do siebie prawdziwego powodu, dla którego sprzeciwił się swemu Bogu: czystej dziecinnej złości za strzały zdrady, które trafiły go pod Pięcioma Kręgami.

Wrócił do wcześniejszego pytania Esmata.

–Oni nie dbają o to, jaką maskę nosi niepoznawalne. Chcą tylko, by skrywało się za jakąkolwiek.

Emisariusze aliantów zaczęli przyjeżdżać po dwu tygodniach.

–Tym razem wydają się znacznie bardziej poważni – zauważył Adept. – Zwłaszcza Księżę Szarego Płaskowyżu.

–Być może wyczuwają twoje zdecydowanie, panie – odparł Esmat.

–Wątpię. – Już ostro zabrali się za sekretne knowania i podkładanie nóg konkurentom. Jednak nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że oto będzie miał do czynienia z ludźmi zdolnymi do uczciwych zobowiązań i wzięcia na barki ciężaru odpowiedzialności za ich realizację, a wszystko na oczach zgromadzonej ludności. Nawet Gildia wysłała swoje poselstwo, pod przewodnictwem groźnego generała Laudera. Itaskianie wysłali szacownego ministra wojny, jak również śliskiego niczym wąż Księcia Szarego Płaskowyżu. Z tych narad musiało się narodzić coś trwałego.

Ustalona procedura formalna zostawiała niewiele miejsca na konflikty lub manipulacje. Żadna ze stron nie przemawiała z pozycji siły. Po tygodniu El Murid zwrócił się do Esmata:

–Uda nam się. W ciągu miesiąca zamkniemy sprawę. Będziemy w Al Rhemish, zanim twoi dawni wspólnicy zdążą oddać wszystko, co ukradli na wieść o mojej śmierci. – Zachichotał.

Stał się El Muridem znacznie łatwiejszym do zniesienia – czerpał młodzieńczą przyjemność ze zbijania wszystkich z tropu swą otwartością i świeżo nabytym cynizmem. Ludzie pamiętali, że był synem kupca solnego, i szeptali, że krew zawsze się odezwie.

–Wcale nie tak długo jeszcze, Esmat. Jedyne prawdziwe złodziejami są tu Itaskianie, a oni sami sobie krzyżują szyki, nie potrafiąc działać w zgodzie. Wyjdziemy na tym znacznie lepiej, niż się spodziewałem.

Niemalże natychmiast zawarł tajne, długoterminowe porozumienie z Księciem Szarego Płaskowyżu. Na osobności księżę prezentował pragmatyczną uczciwość, którą El Murid potrafił docenić.

–A co z Drugim Imperium, panie? Czy mamy porzucić ten sen?

–Nie martw się, Esmat. Nie martw się. Kupujemy tylko odrobinę czasu na nabranie oddechu, czasu, w którym sen może stać się nową siłą. Wierni zanieśli Słowo aż na brzegi Srebrnej Wstążki. Posiali burzę. Te pola oddadzą nam swoje bogactwa, kiedy następne pokolenie Wybranych przybędzie na zbiory.

Esmat patrzył na swego pana i myślał:

„Tak, ale... Któż będzie ich siłą napędową? Kto wniesie iskierkę boskiego szaleństwa,

każącą ludzkim masom podążać na śmierć za sprawę, której nie potrafią pojąć? Nie ty, panie – myślał

Esmat. – Nie ty. Ty już nawet samego siebie nie potrafisz przekonać”.

Spojrzał na El Munda i poczuł, jak ogarnia go wielki smutek; poczuł się tak, jakby w chwili, gdy odwrócił wzrok, zabrano mu coś cennego. Nie miał jednak pojęcia, co to mogło być. Nie rozumiał tego uczucia. Zawsze uważał się za praktycznego człowieka.

Rozdział 22

Ostatnia bitwa Haroun i Beloul patrzyli w dół na szeregi wrogów. Obóz oblegających miasto rósł z każdym dniem.

–To może się paskudnie skończyć, panie – zauważył Beloul.

–Robi się z ciebie wielki prorok, Beloul. – Haroun powiódł wzrokiem po popękanych murach obronnych Libiannin. Ciężkie maszyny oblężnicze nie będą miały kłopotów z ich skruszeniem.

Wróg w istocie wcale nie musiał tracić czasu na budowanie machin. Dobrze zaplanowany atak z pewnością powali mury. Jemu i Hawkwindowi brakowało ludzi do ich obsadzenia, a tubylcy odmówili pomocy.

–Co się dzieje, Beloul? Dlaczego jeszcze nie atakują? Dlaczego nie pokazała się itaskiańska flota? Muszą wiedzieć, jaka jest nasza sytuacja. Z pewnością będą nas chcieli wydostać, nieprawdaż?

Od tygodni nie miał kontaktu ze światem. Wedle ostatnich wieści, jakie doń dotarły, El Murid poległ w bitwie z Itaskianami. Nadzieje Harouna uleciały ku niebu niczym triumfujące orły. Wysyłał posłańca za posłańcem, póki nie zaczęło to wyglądać jak niekończąca się procesja rybackich łodzi, opuszczających zatokę, by nigdy do niej nie powrócić.

–Zapomnieli o nas, panie – powiedział Beloul. – Świat zajmuje się jakimiś swoimi sprawami i o nas zapomniał. Może celowo.

–Ale skoro Adept nie żyje...

–Panie, nikogo prócz nas, rojalistów, nie obchodzi, czy kiedykolwiek zasiądziesz na Pawim Tronie. Itaskianie? Są zadowoleni, że robimy tu mnóstwo hałasu, zajmując ludzi Adepta. Ale czy zechcą oddać za nas życie? Nie mieliby z tego żadnej korzyści.

Haroun uśmiechnął się słabo.

–Miej litość, o zabójco złudzeń.

–Oto nadchodzi Shadek. Wygląda na człowieka, który sam chętnie zarzynałby kilka marzeń.

Na twarzy el Senoussiego gościł ponury cień. Haroun zadrżał. Wyczuwał złe wieści.

–Przybyła łódź, panie – wydyszał Shadek.

–I cóż?

–Przywiozła człowieka Gildii, nie zaś jednego z naszych ludzi. Teraz rozmawia z Hawkwindem. Kiedy na mnie patrzył, miał śmieszny wyraz twarzy. Smutny i pełen bólu. Przywodził na myśl kata, który właśnie ma ściąć swego bliskiego.

Haroun poczuł zniechęcające ciarki na plecach.

–Co myślisz, Beloul?

–Myślę, że najlepiej będzie, jak zaczniemy się oglądać za siebie, panie. Myślę, że wkrótce dowiemy się, dlaczego żaden z naszych kurierów nigdy nie powrócił.

–Obawiałem się, że coś takiego powiesz. Żałuję, że moich studiów shaghfina nie doprowadziłem do miejsca pozwalającego na dokonanie inwokacji wyroczni... Naprawdę mogliby się zwrócić przeciwko nam?

–Ich interesy nie są zbieżne z naszymi, panie.

–To też obawiałem się od ciebie usłyszeć.

Haaken i Reskird wyglądali jak ludzie stojący nad grobem nagle zmarłego przyjaciela. Ragnarson był tak wściekły, że słowa nie potrafił z siebie wydusić.

Nadeszły rozkazy. Po wszystkich tych latach.

Bragi zmusił się, by zachować spokój.

–Jak wielu ludzi wie?

–Tylko my. I kurier. – Smokbójca wskazał człowieka, który przywiózł wiadomość od generała Laudera.

–Reskird, zabierz gdzieś tego sukinsyna i zajmij się nim. Haaken, biegnij do koszarów i wybierz wszystkich, którzy byli z naszą kompanią, gdy opuszczała Wysoką Iglicę. Usuń ich jakoś z drogi, a pozostałym powiedz, że za dwie godziny otrzymają pełną informację. Niech będą gotowi do wymarszu.

Haaken popatrzył nań podejrzliwie.

–Co zamierzasz?

–Powiedzmy po prostu, że stały patent kapitana nie stanowi dostatecznie wysokiej zapłaty za zdradę przyjaciela. Zrób, jak ci mówię.

–Bragi, nie możesz...

–Mogę jak jasna cholera. Pięć minut przed przyjazdem tego faceta zrezygnowałem z członkostwa w Gildii. Słyszeliście mnie i ty, i Reskird.

–Bragi...

–Nie chcę więcej słyszeć na ten temat słowa. Zbierzesz swoich żołnierzy i odprowadzisz na górę do Wysokiej Iglicy. My, którzy już nie jesteśmy w Gildii, mamy ochotę na prywatną wycieczkę.

–Chciałem tylko powiedzieć, że idę z tobą.

Bragi przyglądał mu się przez chwilę.

–Nie tym razem, Haaken. Należysz do Gildii. Ja nie. Od dawna już się nad tym zastanawiałem. Nie pasuję. A z pewnością nie pasuję do tego, czym będzie Gildia w czasie pokoju. Mam ochotę robić rzeczy, na które Gildia nigdy nie pozwoli. Na przykład duże pieniądze. Nie możesz myśleć o wzbogaceniu się, pozostając w Gildii. Wszystko będziesz musiał scedować na rzecz bractwa. Ty... ty nie potrzebujesz takich rzeczy. A więc po prostu zostań. Za

kilka lat będziesz miał własną kompanię. Któregoś dnia...

Głos Ragnarsona stawał się coraz cichszy. Wyglądało na to, że Haakena naprawdę to zabolalo. Bardzo zabolalo. Wyraźnie powstrzymywał łzy.

Byli braćmi. Nigdy nie rozstawali się na długo. A teraz Bragi mówił mu, że nadszedł czas, by każdy poszedł własną drogą. Haaken słyszał tyle, że nie jest już dłużej potrzebny, że został odrzucony.

Bragi również czuł ból.

–Muszę to zrobić, Haaken. W Gildii będę miał przechlapane, niemniej muszę. Nie chcę

ciebie pociągać za sobą. Wróć, kiedy wszystko się skończy.

–Przestań. Dość już wyjaśnień. Jesteśmy dorosłymi mężczyznami. Zrobisz, co będziesz musiał zrobić. Idź... Odejdź już...

Bragi z uwagą przyglądał się bratu. Zranił dumę Haakena. Człowiek, który ukrywał się za tą milczącą fasadą nigdy nie zapomniał, że był adoptowanym synem, nigdy nie uważał się za równie dobrego jak inni mężczyźni. Te małe akty odtrącenia w jego umyśle urosły do nadnaturalnych rozmiarów... Lepiej skończyć to teraz, zanim któryś z nich powie coś, co naprawdę trudno będzie wybaczyć.

–Zbierz swoich ludzi, Haaken. Znasz rozkazy. – Bragi odszedł. On również czuł łyzy napływające do oczu.

Udało mu się zgromadzić dość wierzchowców, by wystarczyło dla jego ludzi; większość po prostu ukradł. Spiesznie wygnał swoich zdumionych żołnierzy z miasta, nim wieści o zdradzieckim pokoju dotarły do ich uszu.

Niemalże natychmiast jego zwiadowcy przechwycili kuriera wroga.

–Przeczytaj to – rozkazał tłumaczowi, podając mu przejętą wiadomość.

–Zobaczymy. Wszystkie zwyczajowe pozdrowienia i tytuły. Do Dowódcy Zastępu w Libiannin... To od samego El Murida. Oto treść. Adept zmierza na południe, by uczestniczyć w ostatecznym rozwiązaniu kwestii rojalistycznej. Jego własne słowa. To wszystko. Prawdopodobnie na wszelki wypadek wysłał kilku posłańców.

–Hm? Sam pewnie będzie podążał w ślad za swoim posłańcem, nieprawdaż? Teraz wszystko trzeba zrobić w tempie na cztery. Zobaczymy, czy zdołamy przygotować małą niespodziankę dla sukinsyna.

Haroun delikatnie, powściągliwie ujął Shadeka za łokieć. El Senoussi gotów był do wszczęcia jednoosobowej krucjaty przeciwko żołnierzom Hawkwinda.

–To się na nic nie zda, Shadek. Mają swoje rozkazy, czy im się to podoba, czy nie.

Żołnierze Gildii wsiadali na statki, które przybyły, by zabrać ich z miasta.

Zaambarasowany i rozczarowany sir Tury ustawił wartowników, którzy mieli dbać, by żaden z rojalistów nie

przyłączył się do ewakuacji. Strażnicy nie potrafili spojrzeć w oczy swoim byłym towarzyszom broni.

–Tak toczy się świat, Shadek – zauważył Beloul. – Wody polityki mroczne są i głębokie. Od czasu do czasu potrzebny jest kozioł ofiarny.

–To naprawdę nie jest, cholera, dobra chwila, żebyś nas raczył swoimi filozofiami, Beloul – odwarknął el Senoussi. – Przestań kłapać szczęką i zajmij się poszukiwaniem wyjścia z sytuacji.

–Zastanawiam się, co El Murid musiał oddać, żeby nas dostać? – myślał na głos Haroun.

–Pewien jestem, że dał Gildii i Itaskianom naszą równowartość w pieniądzech.

–Myślałem, że już przestaliśmy go obchodzić. Ostatnimi czasy zupełnie nas ignorował.

–Może fakt, że znalazł się trzy ćwierci od śmierci uczynił jego perspektywę bardziej osobistą – zasugerował Beloul.

–Nie błażnuj.

Hawkwind naruszył literę swych rozkazów i wprowadził ich w aktualne wydarzenia.

Perspektywy rojalistów nie były zbyt różowe.

Haroun zerknął na drugi brzeg zatoki. Znajdowały się tam dwa mocno ufortyfikowane wzgórza. Połączone były z miastem długim murem, strzegącym pasa wybrzeża szerokości pięćdziesięciu jardów. Wiele mniejszych łodzi tam właśnie przybijało do brzegu. Ludzie Harouna zarekwirowali je po cichu, w nadziei, że przynajmniej części rojalistów uda się odpłynąć za Gildią na morze.

–Jak wielu jesteście w stanie wydostać? – zapytał Shadek.

–Może tysiąc – odparł Beloul. – Jeśli odważni ratownicy Gildii nie zablokują wyjścia z portu i nas tu nie zamkną.

Haroun obrzucił łodzie pełne żołnierzy wściekłym wzrokiem.

–Sądziś, że zdrada sięga aż tak głęboko? Beloul wzruszył ramionami.

–Czas pokaże, panie.

Jeden po drugim transporty wychodziły w morze. Haroun, Beloul i el Senoussi obserwowali je w milczeniu. Krótco po tym jak ostatni odbił od przystani, przybył goniec.

Wydyszał:

–Panie, statki wojenne przygotowują się do wejścia do kanału.

–Ho-ho – oznajmił Shadek, gratulując sobie trafności przepowiedni.

Haroun poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy.

–Jaka bandera?

–Scuttariańska, panie.

–A Dunno Scuttari siedzi w kieszeni u Adepta. Beloul, zapomnij o swej małej flocie.

Wygłąda na to, że jedyny wybór, jaki mamy, to zabrać ze sobą tak wielu, jak tylko się da.

Shadek, zwołaj ludzi i wyślij ich na mury. To nie potrwa długo.

–Może moglibyśmy coś wynegocjować – zaproponował Beloul.

–Targowałbyś się z nimi, gdyby role się odwróciły? Beloul zaśmiał się gorzko.

–Rozumiem, co masz na myśli, panie.

Ragnarson nie zdołał poruszać się tak szybko jak El Murid, mimo iż narzucał ostre tempo. Adept dotarł do Libiannin piętnaście godzin przed nim, za późno jednak, by być świadkiem ataku, którego widokiem zamierzał nacieszyć oczy.

Zwiadowcy Ragnarsona przechwycili kuriera, który wprowadził ich w aktualny stan rzeczy.

–Przez całą noc będziemy maszerować – oznajmił Bragi. – Może dotrzemy na czas, żeby coś zmienić. Ja pojedę przodem.

Zebrał mały oddział i pomknął naprzód, wyprzedzając kolumnę swych głównych sił. Przyjrzał się otoczeniu miasta, zobaczył wszystko, co chciał, i dołączył do jednostki, kiedy niebo zaczynało jaśnieć.

Ze wzgórza, które wybrał, rozciągał się widok na główny obóz wroga. Jego podstawa znajdowała się w odległości mili od murów obronnych Libiannin. Szczyt wieńczyły pozostałości fortyfikacji z czasów Imperium. W ruinach obozował niewielki oddział pustynnych zwiadowców.

Ragnarson wysłał przodem swych najzręczniejszych ludzi. Główne siły dotarły na szczyt wzgórza piętnaście minut później. Żaden z wrogów nie przeżył.

–Doskonale. – Zwołał swych kapitanów. – Chcę, żebyśmy...

Cała uwaga El Murida i jego ludzi skupiona była na Libiannin. Żołnierze Ragnarsona od godziny już znajdowali się na pozycjach, zanim ich zauważono. Wówczas jednak Zastęp zajął już pozycje do ataku na miasto.

Bragi zszedł po stoku wzgórza, wysuwając się przed najdalej wysunięty okop. Stał tam, wsparł dłonie na biodrach i powiedział:

–Wy, ludzie, możecie ruszać naprzód. Nie zwracajcie na nas uwagi. – Nikt oczywiście nie mógł go usłyszeć, ale nie było to konieczne. Sama postawa mówiącego dostatecznie wyraźnie przekazywała wiadomość: „Ale uważajcie, kiedy zwrócicie się do mnie plecami”.

Powędrował z powrotem w górę stoku, słuchając, jak jego ludzie przeklinają i narzekają, pogłębiając okopy. Nie byli zadowoleni z widoku, jaki rozpościerał się pod ich stopami. Dramatyczna przewaga liczebna była po stronie wroga.

Jeden z oficerów Ragnarsona, wprowadzony w stan rzeczy, zapytał:

–Jaki sztandar mamy wznieść? Potrzebujemy nowego, skoro reprezentujemy tylko samych siebie.

Mimo zmęczenia i niepokoju Ragnarson był w dobrym humorze.

–Powinno to być coś niezwykłego, no nie? Coś, co sprawi, że zaczną łamać sobie głowy i nie na żarty się przestraszą. Powiem ci co. Zobacz, czy uda ci się znaleźć czerwone płótno. I trochę czarnego. Zrobimy flagę podobną do żagla mojego ojca. Pewnie zupełnie zgłupieją.

Kilku oficerów pojęło dowcip; wzięli się za tworzenie zupełnie nowych, dziwacznych sztandarów.

Zastęp przerwał przygotowania. Bragi wzniósł swój sztandar – czarny łeb wilka na czerwonym tle. Skonsternowany Adept wysłał parlamentariuszy, by dowiedzieli się, o to chodzi. Bragi śmiał się z ich pytań, równocześnie pieczołowicie skrywając swoją prawdziwą siłę. W końcu powiedział:

–Tak jak ja to widzę, wy, ludzie, macie trzy drogi do wyboru. Zaatakować Libiannin i pozwolić, byśmy wam wsiedli na karki. Zaatakować nas i pozwolić Harounowi zrobić to samo. Albo zmądrzeć i wracać, cholera, do domów.

Jeden z postów spojrzał na sztandar i chyba po raz piąty zapytał:

–Kim jesteś?

–Pozwolę ci się przekonać w najbardziej bolesny sposób. – Nie potrafił już dłużej hamować przepelniającej go pychy. – Ragnarson, Bragi Ragnarson. Ten Ragnarson, który załatwił Bicza Bożego, Mowaffaka Haliego i el Nadima. Nie wspominając o Karimie. Jeszcze jedno imię zostało na mojej liście. Powiedz swojemu głupkowatemu szefowi, że odhaczę i jego, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesie.

–Żołnierz Gildii z Altei? Gildia podpisała traktat pokojowy. Nie masz tu nic do roboty. To sprawa między naszym panem a bin Yousifem.

–I mną, robaczywe ścierwo. I mną. Nie jestem już członkiem Gildii.

Jeden z oficerów Ragnarsona wyszeptał:

–Niech ich pan nie naciska, sir. Może odejdą.

–Zaniosę te wieści mojemu panu – oznajmił Niezwyciężony. – Z pewnością pomogą mu w podjęciu decyzji. – Odwrócił się i zbiegł ze wzgórza.

–Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedział – mruknął ktoś.

–Myślę, że przegiąłem – przyznał Bragi. – Moje imię jest następne na liście Adepta, zaraz po Harounie. Trzymać broń w pogotowiu. Dwa razy sprawdzić strzały.

–Możesz mi powiedzieć, panie, co się dzieje? – zapytał Shadek. – Moje oczy nie są już takie jak niegdyś.

–Moje również nie są na tyle dobre. Wygląda na to, że ktoś się okopał tam, na tym wzgórzu.

–Muszą być po naszej stronie – zgadywał Beloul. – W przeciwnym razie już by na nas szli z tamtymi.

–Ale kto? Nie mamy już żadnych przyjaciół. Patrzyli, wyęzając oczy. Zastęp czekał, piekąc się w promieniach coraz bardziej doskwierającego słońca.

–Nie możesz tam sięgnąć nawet swoimi zmysłami shaghuna, panie? – zapytał Shadek.

–Nie mam pojęcia. Nie używałem ich od tak dawna... Spróbuję.

Beloul i Shadek odpędzili najbliższych wojowników. Haroun rozsiadł się wygodnie, pochylił naprzód, osłonił oczy przed słońcem. Mamrotał kiepsko pamiętane ćwiczenia, których wyuczył się tak dawno temu. Blade wspomnienie el Aswad przemknęło mu przez głowę. Czy to naprawdę był on? To niewinne dziecko? Wydawało się, jakby to był zupełnie inny chłopiec w innej jakiejś epoce, chłopiec, który przemierzał wzgórza z Megelinem Radetikiem, spędzał te żalosne godziny z mistrzami wiedzy tajemnej z cienistych dolin Jebał al Alf Dhulquarneni.

Powoli, powoli wydobywał z pamięci rytualne słowa. Powtarzał, póki jego umysł nie pozbył się wszystkich rzeczy rozpraszających jego uwagę. Potem sięgnął poza siebie, sięgnął jeszcze dalej...

Odgłos przypominający pisk myszy wyrwał się z jego nieruchomych warg.

–W porządku. – Uniósł dłoń. El Senoussi pomógł mu się podnieść. – Niech mnie diabli porwą – wymamrotał. – Niech mnie diabli.

–Na to raczej można liczyć, panie – zbeształ go Beloul. – Ale czy się czegoś dowiedziałeś?

–Zaiste, dowiedziałem się, Beloul. Zaiste. Tam jest nasz głupi przyjaciel, Ragnarson. Przybył, aby nas uratować przed furią szaleńca z pustkowi.

Shadek i Beloul patrzyli na niego dziwnym wzrokiem. Beloul powiedział:

–Ragnarson? Ale on jest z Gildii.

–Myślisz, że powinniśmy mu powiedzieć, żeby sobie poszedł?

–Jeszcze nie, panie. To, że znajduje się na tym wzgórzu, bardzo poprawia nasze widoki na przyszłość.

A Shadek dodał:

–Człowiekowi zaraz się robi cieplej na sercu, kiedy wie, że są ludzie, na których można liczyć.

–Nie zapominaj o tym, jeśli wyjdziemy z tego żywi, Shadek. Będziemy mu winni więcej niż dotąd. My też musimy być ludźmi, na których mogą liczyć przyjaciele.

–Nie tylko nasi przyjaciele, lecz również nasi wrogowie, panie.

–Adept musi być w niezłej kropce – zauważył Beloul. – Jak głodny pies między dwoma półciami mięsa. Na który w pierwszej kolejności się rzucić?

–Z tym, że każdy z tych półci ugryzie go, gdy tylko odwróci się doń plecami.

–Nie powinniśmy sobie za wiele wyobrażać, panie – ostrzegł Beloul. – Ragnarson ma z pewnością znacznie mniej ludzi niż Adept. A El Murid na dodatek dysponuje amuletem.

Zastęp ruszył z miejsca. Podzielił się jak jakiś dziwaczny organizm, wydając z siebie bliźniacze potomstwo. Połowa ruszyła w kierunku miasta. Reszta zawróciła i pomaszerowała na wzgórze Ragnarsona.

–I oto mamy odpowiedź – sarkastycznie zauważył Beloul. – Pies zmienił się w dwa psy.

–Powiedz ludziom, że mają się utrzymać, póki nasi sprzymierzeńcy nie wytną swojej części

Zastępu – powiedział Haroun.

–Niech będę pierwszym, który pogratuluje ci odzyskanego optymizmu – powiedział Shadek.

–Niepotrzebny ten sarkazm, Shadek.

–Jest dobro i dobro, panie, a niektóre rzeczy mogą się okazać lepsze niż na to wyglądają. Porozmawiam z ludźmi.

Haroun skinął głową. Wycofał się w swój połowiczny trans, zakładając, że w tej rozpaczliwej potrzebie jego niewielki talent magiczny okaże się bardziej wartościowy niżli umiejętności szermiercze. Próbował zasiać maleńkie, drobne ziarno wątpliwości w umysłach ludzi mających za chwilę zaatakować Libiannin.

Przynajmniej sześć tysięcy jeźdźców szturmowało wzgórze Ragnarsona.

–O, cholera! – zaklął. – Nie liczyłem na to, że się rozdziela. – Krzyczał i wymachiwał rękami, chcąc dać ludziom do zrozumienia, że mogą do woli szafować strzałami. Chmury drzewców pofrunęły w stronę jeźdźców.

Niewielu z tych konnych wojowników miało okazję zakosztować ulewy strzał tak często widywanej na północy. Przeżyli nieliczy wstrząs.

Każdy człowiek w oddziale Ragnarsona miał łuk. Pikinierzy i szermierze z przednich szeregów wystrzelili po kilka razy, zanim ujęli swą zasadniczą broń i złączyli tarcze, by przygotować się do odparcia szarży. Regularni łucznicy ani na moment nie przerywali ostrzału. Mieli już doświadczenia z szarżą kawalerii el Nadima. Wierzyli w siebie i swoich oficerów. Potrafili stanąć naprzeciw fali ludzkiej i nie stracić odwagi.

Zastęp zostawił tysiące poległych na zboczu tego wzgórza i niezliczonych następnych w stosach przed okopami. Pikinierzy odpędzali atakujących wojowników, podczas gdy łucznicy strzelali do nich jak do tarczy. Jednak sam impet ataku był tak przemożny, że front Ragnarsona zaczął się chwiać. Wydawało się, że ci jeźdźcy, którzy przeżyli, wciąż mogą obrócić zwycięstwo na swoją korzyść.

Włączył do boju swe niewielkie odwody, sam biegał w kółko za szeregiem, przeklinając łuczników, że nie potrafią zatrzymać ataku.

Przez pół godziny ważyły się losy bitwy. Potem, tu i tam, pojedynczy wrogowie zaczęli się wycofywać. Potężna masa ludzka, w chwili obecnej nieomal bez reszty spieszona, po tym jak Ragnarson kazał swym łucznikom skierować ostrzał głównie na zwierzęta, zaczęła oddawać pole. Ragnarson pchnął swoje flanki naprzód, by stworzyć wrażenie, że chce tamtych zamknąć w pierścieniu okrążenia.

Panika ogarnęła szeregi atakujących. Zniknęli niczym dym rozwiany przez wiatr.

–Niewiele brakowało – mruknął Bragi. Ludzie byli wyczerpani, ale nie miał dla nich

litości. – Oddzielić rannych i zanieść w te ruiny – zarządził. – Łucznicy mają zejść w dół stoku

i odzyskać strzały. Ruszać się! Dalej, żwawo! Oficerowie, sformować szyk do ataku. Musimy na nich ruszyć, zanim odzyskają równowagę.

Łomot bębnow poprzedał jego pochód. Kazał ludziom bić mieczami w tarcze. Miał nadzieję, że nerwy członków Zastępu będą zszargane w dostatecznym stopniu, by szeregi się rozpięzły.

El Murid miał jednak inne pomysły. Wycofał ludzi z ataku na mury Libiannin, potem wysłał ich, aby uzupełnili szeregi ocalałych z pierwszej fali i przygotowali następny atak. Z drugą falą Ragnarson zrobił to samo co z pierwszą, tylko bardziej dokładnie. Jeźdźcy ze znacznie mniejszym entuzjazmem gnali pod ulewę strzał, toteż więcej czasu zabrało im dotarcie do szeregu pikinierów, a w konsekwencji ucierpieli bardziej od nawały pocisków. Wrogowie idący pieszo do ataku nawet nie dotarli do frontu wojsk Ragnarsona.

Kolejne bębny. Łomotanie w tarcze. I znowu El Murid nie dał się nabrać. Odwołał swych ludzi od ataku na miasto. Tym razem poprowadził natarcie, kłując wzgórze grotami błyskawic padającymi z jasnego nieba.

Ragnarson mógł być dumny ze swych żołnierzy. Nie przeraziły ich czary. Chronili się jak mogli, starając utrzymać teren. Zmuszeni do odwrotu, nie pozwalali na rozluźnienie dyscypliny, powoli zmierzając w kierunku ruin. Póki starczyło im strzał, szerzyli śmierć wśród nieprzyjaciół. Jednak tym razem zapasy pocisków się skończyły.

Bragi usłyszał odległe kwiczenie koni i nagły tętent kopyt. Ludzie Adepta dotarli do jego wierzchowców.

–Wygląda na to, że tym razem się przeliczyłem, co? – zwrócił się do jednego ze swych oficerów.

–Mówi pan to cholernie spokojnie, pułkowniku. Zaskoczony zdał sobie sprawę, że rzeczywiście jest spokojny, mimo iż dookoła w ziemię biły błyskawice.

–Wycofujemy się do ruin. Będą musieli pieszo po nas przyjść. A w takim starciu nie są zbyt dobrzy.

Biegał tu i tam, rozlokowując swoje oddziały wśród zwalonych kamieni. Większość wrogów trzymała się z tyłu, pozwalając swemu prorokowi systematycznie niszczyć wzgórze. El Murid zresztą nie był szczególnie wytrawnym snajperem. Zadowolony z wydanych dyspozycji, Bragi wspiął się na najwyższy punkt ruin i spojrzał w kierunku miasta.

–W porządku, Haroun. To jest twoja wielka szansa.

Haroun przyjrzał się swoim ludziom. Konie tańczyły pod nimi, jakby żadne już rzucić się w ogień starcia. Na twarzach wojowników zastygły uśmiechy. Nie potrafili uwierzyć w szczęśliwą odmianę losu. Całkowita pewność zagłady zmieniła się w szansę ucieczki.

–Kiedy, panie? – zapytał Shadek.

Haroun spojrzał na wzgórze. Ragnarson miał duże kłopoty.

–Jeszcze kilka minut. Niech następnych kilkuset zsiądzie z koni. – Przyjrzał się biegnącej niżej ulicy. Beloul skończył przegląd szeregu, dając do zrozumienia, że póki El Murid trwa odwrócony do nich plecami, nie wolno im nawet myśleć o ucieczce. Mieli zaatakować go od tyłu.

Im dłużej Beloul mówił, tym bardziej bladły ich uśmiechy.

–Teraz, Shadek. Obejmij dowodzenie na lewym skrzydle. Beloul, weź prawe.

–Myślę sobie, że powinniśmy ruszyć na wschód, a potem na północ, co koń wyskoczy.

–A co z naszymi przyjaciółmi?

El Senoussi wzruszył ramionami.

–A ktoś wspominał coś o ludziach, na których można liczyć? Czasami zastanawiam się, do jakiego stopnia sam mogę liczyć na oparcie w tobie, Shadek.

–Panie!

–Lewe skrzydło, Shadek. Nękać ich tak bardzo, jak potraficie, i tak długo, jak zdołacie. Nie pozwólmy, by El Murid znowu umknął Mrocznej Pani.

–A przypuścimy, że on nie zechce, abyś ty jej znowu umknął?

–Shadek.

–Jak rozkażesz, panie.

Haroun zajął miejsce na czele wyjeżdżającej z miasta kolumny, a potem rozproszył ją, puszczając truchtem w kierunku wzgórza Ragnarsona. Jego szarża nie była zupełnie niespodziewana. Wielu jeźdźców Adepta wyjechało im na spotkanie.

Szeregi zderzyły się. Konie przysiadły na zadach i rżały. Żołnierze wykrzykiwali zawołania bitewne i przedśmiertne wrzaski. Lance z trzaskiem zderzały się ze sobą, miecze szczękały, tarcze dudniły pod impetem dzikich ciosów. Z ziemi podnosił się kurz, dławiąc walczących, pokrywając ich barwne stroje jednolitą ochrą. I ludzie Adepta ustąpili.

Haroun wył i krzyczał, zachęcając rojalistów, aby skończyli rzecz raz na zawsze. Krew tętniła mu w skroniach. Nigdy nie myślał o tym, by przemówić do swych ludzi argumentami bardziej przekonującymi niżli miłość poddanych do króla. Cóż znaczyło dla niego, że śmierć jednego człowieka pozwoli im powrócić do ukochanych, których nie widzieli od lat? On nie miał żadnych bliskich czekających na Hammad al Nakir. Cóż więc dla niego znaczyło, że śmierć El Murida pozwoli im na ucieczkę od smutnych ról niechcianych obcych w krainie groteskowych zwyczajów? On był obcy wszędzie.

Dla Harouna – i dla Beloula – życiem był pościg za znieawidzonym wrogiem. Rodzinę stanowili ci, którzy również brali w nim udział.

Dłoń strachu rzuciła cień na pole bitwy. Najmocniej odczuli go Wybrani.

Haroun krzyczał, poganiając swych ludzi do ataku.

Beloul i Shadek pchnęli swe skrzydła naprzód. Haroun, ranny, wciąż kłuł swą klingą i przeklinał żołnierzy, że ruszają się zbyt ospale.

Włócznie błyskawic runęły na pole walki, nie wybierając swoich celów. W każdym miejscu, w którym uderzały, znaczyły swój ślad szeregiem poległych jeźdźców.

Haroun próbował zlokalizować Adepta. Dostrzegł wielki oddział Niezwycięzonych, jednak nie potrafił określić, czy El Murid jest z nimi. Próbował przedostać się bliżej.

Coraz więcej jeźdźców Adepta uciekało. Niektórzy na wschód, w kierunku Hammad al Nakir. Inni galopowali przez wąski pas równiny, znikając za niebronionymi murami Libiannin.

Front przetaczał się w górę i w dół wzgórza Ragnarsona. Wszelka iluzja porządku dawno już przysła. Zapanował wszechogarniający chaos. Kurz utrudniał rozróżnienie wroga od przyjaciela. Żadna ze stron nie miała pojęcia, kto zwycięża. Ale im dłużej wszystko trwało, tym więcej dzielnych ongiś żołnierzy Zastępu wybierało wartość inną niżli odwaga.

Późnym popołudniem członkom wielkiego oddziału Niezwycięzonych puściły nerwy.

Szeregi poszły w rozsypkę. Morale Zastępu załamało się. W ciągu kilku chwil po zorganizowanych oddziałach nie było śladu.

–Dość – powiedział Haroun do Beloula, który chciał zarządzić pościg. – Uszliśmy z życiem. To wystarczy. – Z przesadną ostrożnością zsiadł z konia. Nogi ugiwały się pod nim ze zmęczenia i osłabienia pobitewnym szokiem. Osunął się na ziemię i zabrał za liczenie ran.

Dwadzieścia minut później, kulejąc zszedł ze wzgórza Ragnarson. Cały pokryty był zaschniętą krwią. Po części swoją własną. Końcem buta odepchnął na bok trupa, rozmościł się na stratowanej ziemi i wydał zmęczone westchnienie.

–Przez tydzień będę zbyt zeszywniały, żeby się ruszyć. Jeśli przyjdzie im do głowy wrócić...

–Nie wrócą – obiecał Haroun. – Pojadą prosto do domu. Mają dosyć. To była ostatnia bitwa. – Rozpacz błąkała się po zakamarkach jego duszy. Ostatnia bitwa. A pustynia wciąż należy do nich. Jęki i krzyki rannychomalże nie zagłuszyły zupełnie jego cichego, smutnego głosu. – Powinienem być to zrozumieć wcześniej.

–Co?

–Dla odzyskania Hammad al Nakir potrzeba czegoś więcej niż zabicia El Murida.

Spojrzał w dół stoku. Polegli leżeli w stosach, w rzędach, jakby wielkie tornado uderzyło w sam środek procesji. Mieszkańcy Libiannin biegli na pole, by również wziąć udział w łupieniu trupów.

–Beloul, odpędź tych ludzi. Nie musisz być szczególnie grzeczny. – Garstka rojalistów, którzy najwyraźniej mieli jeszcze zapasy energii, już oddawała się tej samej czynności.

Haroun zwrócił się do Ragnarsona.

–Mój przyjacielu... Mój przyjacielu. Co ty tutaj robisz? Sir Tury miał więcej przestrzeni do takiego manewru niż ty.

Ragnarson objął rękoma kolana, wsparł na nich brodę.

–Jakie rozkazy? To jest moja armia. – Próbował się uśmiechnąć, jednak nie zdołał. – Teraz jestem swoim własnym panem.

Zachodzące słońce malowało niebo ponad morzem w stosowne barwy krwi. Znad wody wiała lekka bryza. Śmiałe mewy sfruwały nad ląd – ich ciekawość przyciągały gromadzące się kruki.

–Nie postąpią z tobą szczególnie ostro – zaryzykował przypuszczenie Haroun. – Zwyciężyłeś. A zwycięzcom łatwo się wybacza.

–Nie chcę wracać. Nie nadaję się na żołnierza. A przynajmniej nie żołnierza Gildii.

–Wobec tego co teraz, mój przyjacielu?

–Nie wiem. Przynajmniej nie wiem w tej chwili. To się okaże. A co z tobą?

Haroun zerknął na Shadeka i Beloula, powracających z pola śmierci.

–Na Pawim Tronie zasiada uzurpator. – W jego głosie brzmiało bezbrzeżne zmęczenie. Był skonany, ale widmowe głosy wciąż szeptały mu do ucha. Jego ojca, Yousifa, po prawej stronie, jego wuja, Fuada, po lewej. Walczyły o lepsze z głosem Megelina Radetica. – Wciąż rządzi uzurpator.

–W mojej ojczyźnie również. Ale czas i jego własna głupota załatwią sprawę.

–Nie jestem stworzony do wyczekiwania.

Ragnarson wzruszył ramionami.

–To twoje życie. A co się stało z tym grubasem? Był dziwaczny, ale go lubiłem.

–Z Szydercą? Sądziłem, że jest z tobą.

–Nie widziałem go od czasu, gdy się rozstaliśmy. Przysiągłbym, że poszedł z tobą.

–Ciekawe.

–Może wrócił na wschód. Dużo o tym mówił.

–Bez przerwy mówił najróżniejsze rzeczy. Najpewniej ktoś w końcu dźgnął go nożem.

Ragnarson znowu wzruszył ramionami.

Pod ich stopami nieustannie rozlegały się jęki i krzyki. Coraz więcej ich ludzi odkrywało w sobie chęć zatroszczenia się o dobytek poległych.

Rozdział 23

Powrót do domu Al Murid wyrzucił obie dłonie ku niebu, modląc się o dalszy ogień z firmamentu. Był na poły oszalały z zawodu. Rojalistyczni bandyci nie ulękli się jego potęgi.

Cios spadł niczym miażdżące uderzenie młotem o żebra. Poczul pękające kości. Skowyt wydarł się z jego ust. Ziemia skoczyła mu na spotkanie. Próbował sięgnąć do niej dłonią, złagodzić upadek. Jedną ręką w ogóle nie potrafił poruszać. Twardo grzmotnął o podłoże. Jego straż przyboczna zawyla w przerażeniu.

Tracąc świadomość, słyszał jeszcze oddalający się tętent kopyt. Odemknął jedną powiekę i patrzył, jak jego Niezwyciężeni uciekają.

Wtedy spowiła go ciemność.

Ciemność, która wkrótce pierzchła.

Poczul, jak czyjaś stopa wbija się w jego żebra; został przewrócony na plecy. W gardle nabrzmiwał mu krzyk. Stłumił go, nie oddychał, kiedy wojownik przeszukiwał jego ubranie. I przeklinał go. Nie nosił przy sobie żadnych wartościowych rzeczy.

Oczy wojownika rozbłysły, kiedy odkrył amulet. Błyskawicznym, ukradkowym ruchem zerwał go i natychmiast schował pod ubranie.

Klejnot pulsował słabo. Łupieżca nie zauważył jego mętnej poświaty.

El Murid przeklinał tamtego, ale w skrytości serca. Wybór był prosty: amulet albo życie. Więc w istocie nie było żadnego wyboru.

Kolejny wojownik zawołał:

–Znalazłeś coś?

–Dwie nędzne sztuki złota i garść miedziaków. Ci faceci są biedniejsi nawet od nas. Chociaż ten ma zupełnie przyzwoite buty. Wygląda, że mogą na mnie pasować.

Adept zaciskał zęby, kiedy tamten szarpał jego nogi. Drugi wojownik dołączył do pierwszego.

–Znalazłem jeden z tych srebrnych sztyletów zabójców. Powinien być coś niecoś warty.

–Tak? Daj, niech zobaczę.

–Akurat.

–W porządku. W porządku. Patrz, tamten ma zupełnie niezły miecz.

–Znacznie lepszy niż ten wyklepany kawałek itaskiańskiej blachy, który nosisz.

El Muridowi chciało się śmiać. Broń otrzymał ledwie kilka dni temu w Dunno Scuttari. Nie zdążył ani razu dobyć go z pochwy. Było jakaś ironia losu w tej sytuacji.

A jeszcze większa w tym, że kiedy żołnierze się oddalili, wrogowie nie podjęli żadnego

wysiłku odszukania jego ciała wśród poległych. Nie potrafił tego pojąć. Przecież mieli go właściwie w rękach.

Jednak prawdziwą ironią losu byłoby, gdyby został dobity tylko dlatego, że znaleziono go żywego, a jego zabójca nigdy nie zdałby sobie sprawy ze znaczenia śmiertelnego ciosu, który zadał.

Ciemność objęła ramionami pole walki. Jeszcze przez jakiś czas najwytrwalsi rojaliści grabili zwłoki przy świetle pochodni, ale w końcu nawet najbardziej chciwych ogarnął sen.

Na pole bitwy spłynął spokój i cisza. El Murid czekał. Ból nie pozwalał mu zasnąć. Kiedy był już pewien, że się nie zdradzi, zaczął pełznąć, próbując się wydostać z pobojuwiska.

Nie pokonał nawet kilkunastu jardów, kiedy natknął się na ciało swego lekarza.

–Och, Esmat. Cóżżeś ty zrobił? Sądziłem, że jesteś jednym z nieśmiertelnych, a oto i ty mnie opuściłeś. Mój stary przyjacielu. Mój ostatni przyjacielu. Leżysz tutaj, wydany na żer krukowi. To okrutne. A wszystko, co ja mogę zrobić, to wznieść ci nagrobek.

Ktoś lub coś poruszyło się niedaleko, gdzieś w dole stoku. El Murid zamarł. Przez dłuższy czas nawet nie drgnął.

Jakimś cudem plądrujący nie zwrócili uwagi na torbę Esmata. Zabrał ją ze sobą. Rozpoczął powolną wędrówkę w stronę skraju bitewnego pola. Kiedy wreszcie poczuł się względnie bezpieczny, podpełzł do drzewa, i opierając się o jego pień, powstał. Zaczął kuśtykać na wschód, krwawiąc z poranionych stóp. Dwukrotnie zatrzymywał się, aby dodać sobie sił medykamentami z torby Esmata.

Przed świtem znalazł bezpańskiego konia. Złapał go, uspokoił zwierzę i z trudem wgramolił się na siodło. Skierował wierzchowca na wschód.

Po dwóch tygodniach nieprzerwanej agonii dotarł wreszcie na Sahel, do swych wiernych wyznawców. Zaopiekowali się nim, a po pewnym czasie odwieźli do Al Rhemish, gdzie schronił się w Najświętszej Świątyni Mrazkim.

Jego dalekosiężne plany zostały pogrzebane raz na zawsze...

Wojownik rojalistów, w którego ręce wpadł amulet Adepta, sprzedał go złotnikowi w Libiannin, kiedy Wybrani opuścili miasto. Z rąk złotnika trafił on do kobiety z wyższych warstw społecznych, która właśnie wracała na południe, by upomnieć się o dobra rodzinne w okolicy Simballawein. Cieszyła się nim przez dwa miesiące, kiedy nagle amulet ożył, przeklinając ją w obcym języku. Przerażona i pewna, że klejnot jest jakąś przerażającą zabawką czarownika, którą podstępem wcisnął jej nieuczciwy rzemieślnik, kazała służącemu cisnąć go do głębokiej studni. Studnię następnie wypełniono ziemią i ukryto pod warstwą roślinności.

Takim to sposobem amulet El Murida zniknął z powierzchni ziemi, ku wiecznej konsternacji historyków, Wiernych oraz przede wszystkim tego, który ofiarował go Adeptowi.

Ruch El Murida stracił cały swój czar. W literalnym sensie tego słowa.

Rozdział 24

Objawienie Grubas nigdy w życiu nie był bardziej ostrożny. Podróżował bowiem po niegościnnej ziemi, na której wręcz roiło się od bandyckich dezertów zarówno z armii itaskiańskiej, jak z Zastępów Światłości. Ci renegaci nikogo nie oszczędzali, co powodowało, że na pojawienie się jakiegokolwiek obcego tubylcy reagowali agresywnie,

widząc w nim zwiadowcę któregoś z band.

Bezład niepodzielnie królował na północ od Scarlotti aż po nurt Srebrnej Wstażki. Udało mu się uciec z tego chaosu. Tydzień w tydzień wymykał się nieszczęściu, konsekwentnie zmierzając do Portsmouth, gdzie pozostałości armii el Nadima wciąż oczekiwały na rozkazy Adepta.

–Ze mnie to ci dopiero zaprzysięgły głupiec – karcił samego siebie na kolejnych rozstajach dróg, czterdzieści mil od celu wędrówki. – Powiniennem jednak na najdalszy zmierzać wschód. Do krain, gdzie zdrowy rozsądek zasadą jest raczej niżli wyjątkiem, gdzie człowiek zręczny i genialny niewielką bodaj ma szansę na godziwe życie.

W tym szalonym kraju jego talenty szły na marne. Mieszkańcy byli zbyt podejrzliwi i zubożali. Przewalające się w tę i w tę armie zrujnowały dziesiątki tysięcy farm. Wszelkie bogactwa, jakie posiadali ich właściciele, trafiły w ręce plądrujących żołnierzy. Teraz, żeby przeżyć, musieli zaczynać od zera i bez przerwy walczyć o to, co już zdobyli.

Grubas systematycznie tracił na wadze. Głód był potworem, który wyżerał od środka jego żołądek. Gdyby nawet zdołał jakoś przyciągnąć uwagę potencjalnych ofiar, i tak nie dysponował zwyczajowym instrumentarium swojej profesji. A nie miał ani czasu, ani pieniędzy na zdobycie nowego zestawu.

Nawet na chwilę nie przestał zadawać sobie pytania, co też właściwie robi w tym szalonym kraju, jednak wciąż uparcie szedł naprzód. Musiał dogonić wschodnią armię. Musiał się dowiedzieć. Po prostu nie mógł odwrócić się i odejść, skazując tym samym na ciągłe wątpliwości, czy Zajac nie czai się gdzieś tam za jego plecami, z morderczym blaskiem w oczach.

Ta potrzeba zdobycia pewności stała się jego obsesją. Stanowiła pobudkę do działania bardziej przekonującą niż bat nadzorcy niewolników.

Po raz pierwszy w życiu Szyderca popadł w nawyk introspekcji. Próbował odkryć, dlaczego cała sprawa jest dlań tak istotna. Dotarł do najciemniejszych zakamarków swej duszy i wycofał się przerażony. Nie ośmielał się uwierzyć, że taki mrok może skrywać się w jego głębi. Przepojona miłością nienawiść do starego zdała mu się najbardziej odrażającym z potworów ukrytych w wewnętrznym bestiariusz. Pragnął za wszelką cenę nic nie czuć do Zajaca. Pragnął być w stanie zabić starego jak wesz, którą był – jeśli wciąż żył.

Nie chciał troszczyć się o niczyj los, prócz losu Szydercy.

Jednak nie potrafił uwolnić się od tych uczuć, nie tylko względem Zajaca, ale również przyjaciół, których sobie zdobył podczas wojennych przygód. Naprawdę polubił Harouna i Bragiego, ponieważ obaj traktowali go dobrze i ze zrozumieniem odnosili się do jego ciągłych wysiłków robienia z siebie osła.

Często głęboką nocą budził się zdjęty strachem. Nie był to zwykły ziemski strach, strach przed tą wrogą krainą ani też obawa przed jakimś określonym wrogiem. Była to trwoga przed brakiem celu w życiu, brakiem przyjaciół i całkowitym osamotnieniem.

Nie podobała mu się ta trwoga. Nie pasowała zupełnie do wizerunku, jaki sobie we własnych oczach zbudował – człowieka walczącego z całym światem i wciąż zwyciężającego dzięki sile swej woli. Nie chciał być od nikogo uzależniony, zwłaszcza emocjonalnie.

W miarę zbliżania się do Portsmouth, docierały doń coraz liczniejsze wieści o wschodniej

armii. Ostatnie niedobitki armii El Murida przygotowywały się do wymarszu do domu. Siły itaskiańskie obozowały na zewnątrz murów obronnych, gotowe do przejęcia kontroli nad miastem, gdy tylko tamci odejdą.

Wieści były zawsze o kilka dni spóźnione. Przyspieszył więc. Nie miał ochoty przybyć na miejsce po to tylko, by stwierdzić, że jego ofiara wymknęła się inną drogą.

Zawsze nieżyczliwy mu los chyba musiał zasnąć. Tym razem grubas trafił prosto na jeden z rzadkich uśmiechów fortuny. Dotarł do miasta tegoż ranka, gdy opuszczała je armia wschodu. Przez cztery długie godziny ukrywał się na jakimś dachu, przyglądając Zastępom.

Nigdzie nie dostrzegł ślepca.

Jednak pragnienie, które nim powodowało nie zostało zaspokojone. Szyderca chciał wiedzieć gdzie, dlaczego i jak Zajac pożegnał się z Zastępem. Przeklinając własną głupotę, podążył za wschodnimi wojskami drogą wiodącą do ich domów.

Trzy razy udało mu się spotkać samotnego żołnierza i dokładnie go wypytać. Z dwóch pierwszych żaden nie znał Zajaca. Trzeci wprawdzie pamiętał astrologa, ale nie miał pojęcia, co się z nim stało.

Szyderca aż się skręcał z irytacji. Przeklinał bogów, pojedynczo i wszystkich naraz, za ich ostateczną niesprawiedliwość. Igrali sobie z nim. Grali w okrutną grę. Domagał się od nich, by zaprzestali tych tortur i pozwolili mu się dowiedzieć. Przepelniała go taka frustracja, że w jednym z Pomniejszych Królestw, po nieudanej próbie porozmawiania na osobności z żołnierzem Zastępów, udał się do kapłana po radę. Kapłan nie okazał się pomocny. Szyderca nie chciał mu zdradzić dosyć szczegółów, by zaryzykował poradę. Grubas usłyszał tylko:

–Nie ma rzeczy pewnych w tym życiu, mój synu. Żyjemy spowici tajemnicą. Dzielimy ze sobą świat spowity niepewnością. Dla tych, którym brak wiary, życie staje się nieskończoną podróżą, pełną niebezpieczeństw niepewności. Chodź. Pomodlimy się wspólnie. Zaufaj Panu.

Ale Szydercy bynajmniej nie chodziło o zbawienie. Opuścił zakrystię, warcząc pod nosem,

że nie da się wciągnąć w najstarszy przekręt świata, pomstując na bezczelność kapłana, który próbował nabrać mistrza w sztuce nabierania.

Szedł w ślad za armią wschodu przez całą drogę aż na Sahel.

Stał teraz w nisko położonej oazie zieleni, patrząc na nagie wzgórza, wspominając chwile, gdy przemierzał je w drodze na pustynię z Yasmid i Niezwycięzonymi. Z pewnością nie miał szans przeniknięcia na to pustkowie bez ściągania na siebie uwagi dzikich tubylców.

–Biada! – tym okrzykiem podsumował trwające pół dnia rozważania nad dalszym postępowaniem. – Jestem przeklęty. Jestem skazany na ciągły żywot w strachu, ciągle oglądanie się za siebie, sprawdzanie, czy zły los nie czai się gdzie niezauważony. – Znowu przeklął wszystkich bogów i diabłów, jacy tylko przyszli mu do głowy, a potem zawrócił na zachód i powędrował, powłócząc nogami i zgarbiwszy ramiona. Zakładał, że gdzieś na wybrzeżu znajdzie Bragiego i Harouna.

Dwa dni później dotarł do wioski nie tkniętej przez wojenną zawieruchę. Psy w niej nie warczały i nie rzucały się zaraz gryźć obcego. Zwyczajowo tylko oszczeptały jego przybycie. Wieśniacy nie rzucili się nań z młotami i nożami, grożąc, że jeśli natychmiast nie zniknie,

przerobią go na karmę dla zwierząt.

Mieszkańcy okazali się wyznawcami wiary El Murida. Szyderca przybył na miejsce akurat w godzinie religijnego obrządku, kiedy muezin wyśpiewywał modlitwę z wieży kościoła, służącego onegdaj innemu bogu. Kiedy modlitwy dobiegły końca, wyznawcy ugościli Szydercę życzliwie, proponując mu jedzenie i picie, a w zamian prosząc tylko, by zrewanżował się za ich miłosierdzie kilkoma godzinami pracy.

Pracy? Szyderca? To było równie absurdalne, jak prosić słońce, by się zatrzymało. Jednak ostatecznie popracował dla nich, przez cały czas, gdy czyścił stajnię, dziwiąc się samemu sobie. Próbował zabawić ich kilkoma sztuczkami, ale nie spotkał się z życzliwym przyjęciem, ponieważ kojarzyły się one z czarami. Mieszkańcy wioski byli konserwatystami, którym nieszczególnie podobała się zmiana kursu Adepta względem mrocznych sztuk. Tak czy siak, okazało się, że wszystkie te sztuczki pokazał im już starzec żyjący w świątyni.

Szyderca poczuł, jak jego oczy robią się coraz większe. Starzec? Sztuczki? Świątynia? Ale... Czy to możliwe...? Nie. Niemożliwe. Żadnych szans. Nic nie dzieje się w ten sposób. Bogowie nie torturują człowieka bezlitośnie, zwieszając przedmiot pragnień jego serca tuż poza zasięgiem dłoni, by potem, kiedy już porzuci wszelką nadzieję, cisnąć go z pogardą na zakurzoną drogę u jego stóp. Czy może właśnie?

Zrobił się tak nerwowy, przepełnił go taki niepokój, że posunął się do skrajności i wykąpał przed następnym nabożeństwem. Dowiedział się, że rzezony starzec jest niewidomy i na ostatnich nogach. Przyjęto go do świątyni, kierując się miłosierdziem. Kiedy mógł, pomagał kapłanom, choć nie na wiele mógł się przydać; w zamian miał miejsce do przytulenia głowy, dwa

posiłki dziennie i kogoś, kto go pogrzebie, gdy nadejdzie koniec.

Usłyszawszy to, Szyderca poczuł napływ silnych emocji.

Z początku nie potrafił rozeznaczyć się w ich naturze. Potem zdał sobie sprawę, że to smutek z powodu losu tego nieznanego starego człowieka, umierającego samotnie kaleki, którego nikt nie kochał i który żył wyłącznie dzięki miłosierdziu obcych.

Uczucie nasilało się w miarę, jak nadchodziła godzina mszy. Kiedy próbował przyjrzeć mu się bliżej, odkryć jego źródło i sens, zdumiało go to, co znalazł. Poczuł ogarniające go zmieszanie i swego rodzaju dziwne przerażenie. Przez cały czas zastanawiał się, czy to naprawdę może być Zajac.

Przyłączył się do płynącego ku świątyni tłumu wiernych. Kilku nawet zwróciło uwagę na to, jak czysty i lśniący się im wydawał. Uśmiechał się tylko głupkowato, odpowiadając na nieliczne słabe zaczepki.

Im bliżej był świątyni, tym trudniejsza była dalsza droga. Kolejni mieszkańcy wioski mijali go. W końcu Szyderca stanął przed drzwiami świątyni, zupełnie sam, niezdolny wykonać kroku, zastanawiając się, co zobaczy, jeśli wejdzie do wnętrza. Słabowitego Zajaca pomagającego kapłanom? Czy kogoś zupełnie obcego?

Po trzykroć próbował zrobić ten ostatni krok. Trzy razy coś go powstrzymywało. W końcu odwrócił się i odszedł.

W ostatecznym rozrachunku okazało się, że wcale nie musi wiedzieć. Mógł spokojnie odejść i zostawić w świątyni tamtą żalostną istotę, kimkolwiek była.

Potrzeba serca gdzieś zniknęła. Empatia zwyciężyła nienawiść.

Podjął swą podróż na zachód.

Rozdział 25

Finale z osobą króla Jest tu jakiś Itaskianin i chce się z tobą zobaczyć, panie – oznajmił Shadek, stojąc w wejściu do namiotu Harouna.

–Itaskianin? – Haroun wymienił spojrzenia z Ragnarsonem. – Czego chce?

–Audiencji, panie. Nie powiedział w jakiej sprawie.

–Kto to jest?

Shadek wzruszył ramionami.

–Wysoko postawiony dżentelmen. Starszy.

–Ho-ho. Wprowadź go więc. – W głosie Haroun znać było przemożne zmęczenie.

–Co znowu? – zastanawiał się na głos Ragnarson.

–Kto wie.

Ich obóz położony był sto mil na północny wschód od Libiannin. Dostatecznie daleka droga dla każdego, skądkolwiek by wyruszał. Najbliższe znane pozycje Itaskian znajdowały się w Dunno Scuttari – były to wojska, które jeszcze nie zdążyły wrócić na północ wbrew literze podpisanego z El Muridem traktatu. Z raportów wynikało, że mimo takich a nie innych warunków pokoju, miały one zamiar wstrząsnąć władzą Wiernych nad królestwami położonymi na południe od Scarlotti.

Haroun ze swoim oddziałem powoli zmierzał w stronę Kapenrungów, nie bardzo mając dokąd pójść. Mógł udać się tylko do dawnych obozów. Ragnarson przyłączył się do niego, ponieważ on również nie miał dokąd pójść. Wcześniej rozpuścił swą niewielką armię. Ludzie bardzo już chcieli wrócić do domów, na nowo podjąć przerwane żywoty. Zostało przy nim nie więcej niż dwudziestu pięciu towarzyszy. Żaden z nich nie wiedział, co począć z własną przyszłością.

Wrócił Shadek.

–Oto Itaskianin, mój panie. – Odchylił klapę namiotu, wpuszczając drobnego staruszka. Haroun powstał, twarz mu poczerwieniała.

–Mój lord minister – warknął, opanowując się z najwyższym wysiłkiem. – Jestem... powiedzmy, że jestem zaskoczony twoją bezczelnością. Albo głupotą. Tylko śmiały zbójca albo idiota przyszedłby tutaj po tym, co nam zrobiłeś. – Przechodząc na ojczyzną mowę, wyjaśnił Ragnarsonowi tożsamość przybysza.

–Ja? – zapytał minister. – Śmiały? Nie bardzo. Raczej niezmiernie skonsternowany i lekko przerażony. Moi doradcy są zdziwieni, że udało nam się przeżyć dostatecznie długo, aby do ciebie dotrzeć. Nie wierzą, że jesteś dostatecznie subtelny, aby odróżniać Itaskian od tamtych.

–Co masz na myśli, mówiąc: odróżniać? – warknął Ragnarson. – Jeden ojciec kłamstw niczym się nie różni od innego. Bogowie okazali ci swą łaskawość, Haroun. Chyba chcą ci zaproponować traktat pokojowy. Znam doskonały sposób na pozbycie się tego robaka.

Haroun zmierzył ministra wzrokiem.

–Jestem otwarty na wszelkie propozycje.

–W Trolledyngji obwozimy zdrajców z miasta do miasta na wozie, a w każdym nowym miejscu delikatnie ich wieszamy. Tylko tak, żeby trochę potańczyli na linie. Kiedy taki zdrajca dociera wreszcie do Tonderhofn, patroszymy go i ćwiartujemy, a potem wszystkie

ćwierci ciskamy na cztery strony świata w charakterze ostrzeżenia.

–Bardzo interesujący zwyczaj. Kuszący z pewnością, gdybym dysponował wioskami, przez które można by przeprowadzić procesję, oraz stolicą, którą mógłbym nazwać własną. Gdyby nie śliska nić zdrady, miałbym i wioski, i stolicę. Ale nikogo, kogo mógłbym zarżnąć. To naprawdę poważny kłopot. Obawiam się, że będziemy musieli poprzestać na czymś znacznie mniej spektakularnym.

Minister jednak nie pozwolił się zdeprymować. Jego postawa i spojrzenie zdradzały odważnego człowieka, który z własnej woli wziął na siebie niebezpieczną misję.

–Nie jestem szczególnie z ciebie zadowolony – poinformował go Haroun. – Ale raz już mi pomogłeś. Możesz się nie obawiać ćwiartowania.

–Oto jakie są fakty. Mniejsza z tym, czy dasz mi wiarę, czy nie. Podczas negocjacji w Dunno Scuttari mój kuzyn zdołał nawiązać tajne porozumienie z El Muridem. Wtedy jego agenci odseparowali na kilka dni członkowie mego poselstwa. W tym czasie wypracowano podstawowe artykuły traktatu pokojowego. Gildia przystała na haniebne warunki w zamian za gwarancje dla jej posiadłości i ludzi na południe od Scarlotti. Potem mój kuzyn wydał rozkazy, których wynikiem było uwięzienie ciebie w Libiannin. Przyznaję się do hańby, sir, ale odmawiam wzięcia na siebie odpowiedzialności.

Haroun popatrzył nań groźnie. Tamten nie zareagował.

Ragnarson powiedział:

–To jednak jest twoja wina. Od momentu rozpoczęcia wojny jasne było, że Księżę Szarego Płaskowyżu spiskuje z El Muridem. Nie zrobiłeś nic, żeby go powstrzymać.

–A to kto jest? – zapytał minister.

–Towarzysz broni – odparł Haroun. – Bragi Ragnarson. Chcę, żebyś mu odpowiedział.

–Ragnarson? Dobrze. Chciałem się z nim spotkać. I odpowiem mu następująco: nie zna meandrów itaskiańskiej polityki. Niemożliwe jest ukrócenie Księcia Szarego Płaskowyżu bez wszczęcia wojny domowej.

Ragnarson parsknął.

–Kropla trucizny.

–Przejdźmy do porządku nad tym pytaniem – powiedział Haroun. – Do rzeczy. Chcesz czegoś.

–Odnowienia prywatnego porozumienia.

–Jakiego porozumienia?

–Tego, które zawarliśmy cztery lata temu. Nie chcę, żeby koniec walk oznaczał jego unieważnienie.

–Twoja wojna dobiegła końca. Moja nie. Odejdź.

–El Murid dalej pozostaje kim był. Nie zrezygnował. Zyskał tylko czas na nabranie oddechu. Kontroluje praktycznie rzecz biorąc wszystkie obszary na południe od Scarlotti, a na północ od rzeki jego idee znajdują podatny grunt. Jeśli spróbuje jeszcze raz, może nas pokonać.

–Więc?

–Powiedziałeś, że twoja wojna nie skończyła się. Ja ze swej strony proponuję dalsze wsparcie. Silny ruch rojalistyczny może powstrzymać zapędy El Murida. Może szarpać po trochu jego bastiony poza terytorium Sahel. A ja wciąż potrzebuję tego ukrytego sojusznika,

o którym wcześniej wspominałem. Teraz mój kuzyn zmieni swoją strategię. Przypadkowy cios nożem w ciemnościach byłby nieoceniony.

–Aczkolwiek, jak przypuszczam, pomocy tej nigdy nie będzie dość, bym mógł zasiąść na Pawim Tronie. Tylko tyle, żebym jakoś sobie radził, żebym pozostawał użytecznym narzędziem.

–Stajemy się coraz bardziej cyniczni i pełni goryczy, nieprawdaż?

–Tego nie negujemy.

–Mam pomysł na pewną operację. Dzięki niej możesz zdobyć dość bogactw, by stać się potęgą, z którą należy się liczyć.

–Mów. Jeszcze nie zdecydowałem, że poderżnę ci gardło.

–Oczywiście jest to sprawa przyszłości. Ponieważ flotę w całości związały zadania wojenne, na Czerwonych Wyspach usadowili się piraci. Ich przywódcą jest czarodziej renegat. Potrzebujemy kogoś, kto uda się tam i go zabije. Jeśli ten ktoś będzie dostatecznie bystry, może zdoła uciec ze skarbem piratów, zanim pojawi się flota, by posprzątać.

Haroun zerknął na Bragiego. Ragnarson wzruszył ramionami.

–Pozwolisz, by ten skarb wymknął ci się z rąk?

–Należał do Hellin Daimiel.

–Rozumiem. Shadek, zabierz tego dżentelmena w jakieś spokojne miejsce i zatroszcz się o jego potrzeby.

El Senoussi wyprowadził Itaskianina.

–Ten facet zręcznie cię podchodzi – zauważył Ragnarson.

–Tak?

–Zaświecił ci w oczy garncem złota, a ty już zapomniałeś o Libiannin.

–Myślisz, że mówi prawdę?

–Wszystko jest możliwe. Nawet to.

–Masz powiązania w Hellin Daimiel. Przekonaj się, czy stracili jakiś statek ze skarbem.

–Teraz?

–Masz coś innego do roboty?

–Pewnie nie. – Bragi powstał, zatrzeszczały mu kości. – Nie spuszczaaj go z oka, Haroun.

–Skończyłem z nim. Nigdy więcej nie zobaczy mnie na oczy. Ja również wyjeżdżam. Beloul! Wartownik, poszukaj Beloula.

–Dokąd się wybierasz?

–Nic ważnego. Osobiste sprawy. Uważaj na siebie.

Beloul wszedł do namiotu.

–Przez jakiś czas mnie nie będzie, Beloul. Ty i Shadek przejmujecie komendę. Wracajcie do obozów. I róbcie wszystko, co wyda wam się stosowne. Spróbujcie nie ściągać na siebie większej uwagi. Następných kilka lat będzie ciężkich. Trzeba się będzie bardzo starać, aby ruch się nie rozpadł.

–Gdzie cię będzie można znaleźć, panie?

–Nie będzie można, Beloul. Kieruj się własnym osądem.

–Jak długo to potrwa, panie?

–Nie mam pojęcia. Zależy.

–Rozumiem. – Z tonu Beloula wynikało, że bynajmniej nie jest to prawda.

–Przygotuj konia. I wyślij kogoś, żeby mi pomógł pakować rzeczy.

Haroun ostrożnie wspinał się na górę, czując równocześnie radosne oczekiwanie i pełne poczucia winy opory. Kiepskim okazał się mężem i ojcem.

Stara kobieta i jej bratanek zbierali na zewnątrz drzewo. Kiedy go zobaczyli, uciekli do chaty. Zdecydował się zupełnie otwarcie podejść bliżej, wolno, aby nie wzięli go za jednego z Harish. W końcu dotarł do chatki. Jej drzwi pozostawały otwarte, ukazując czarny prostokąt pełen niejasnych zapowiedzi.

–Yasmid? – zawołał. – Jesteś tam?

Kilka chwil później siedział już obok swojej kobiety, trzymając syna na kolanach. Na kilka najbliższych godzin, dni lub tygodni był wolny. Przez chwilę był mężczyzną, a nie królem bez tronu.

Z pewnością będzie szczęśliwy w tym sekretnym ustroniu. Na czas jakiś. Póki jego myśli nie zwrócą się kolejny raz ku sprawom świata. Będzie próbował zostać, być zwyczajnym człowiekiem, ale Pawi Tron nigdy nie przestanie go wzywać, śnić po nocy. Pewnego dnia znowu wyruszy do walki.

Oboje o tym wiedzieli, i Yasmid, i mały Megelin, ale udawali” że jego pobyt ma trwać wiecznie. Zawsze udawali. I zawsze będą udawać, i każdą minutę ich życia będą przeżywali tak, jakby miała być ostatnią.

–Silny mały psotnik, nieprawdaż? – zapytał Haroun. Mały Megelin schwycił go za palec dłoni i patrzył nań mądrymi oczami dziecka. Nieznaczny uśmiech wygiął miękkie, wilgotne wargi.

Haroun zapłakał. Zapłakał nad wszystkimi dziećmi tego świata.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/